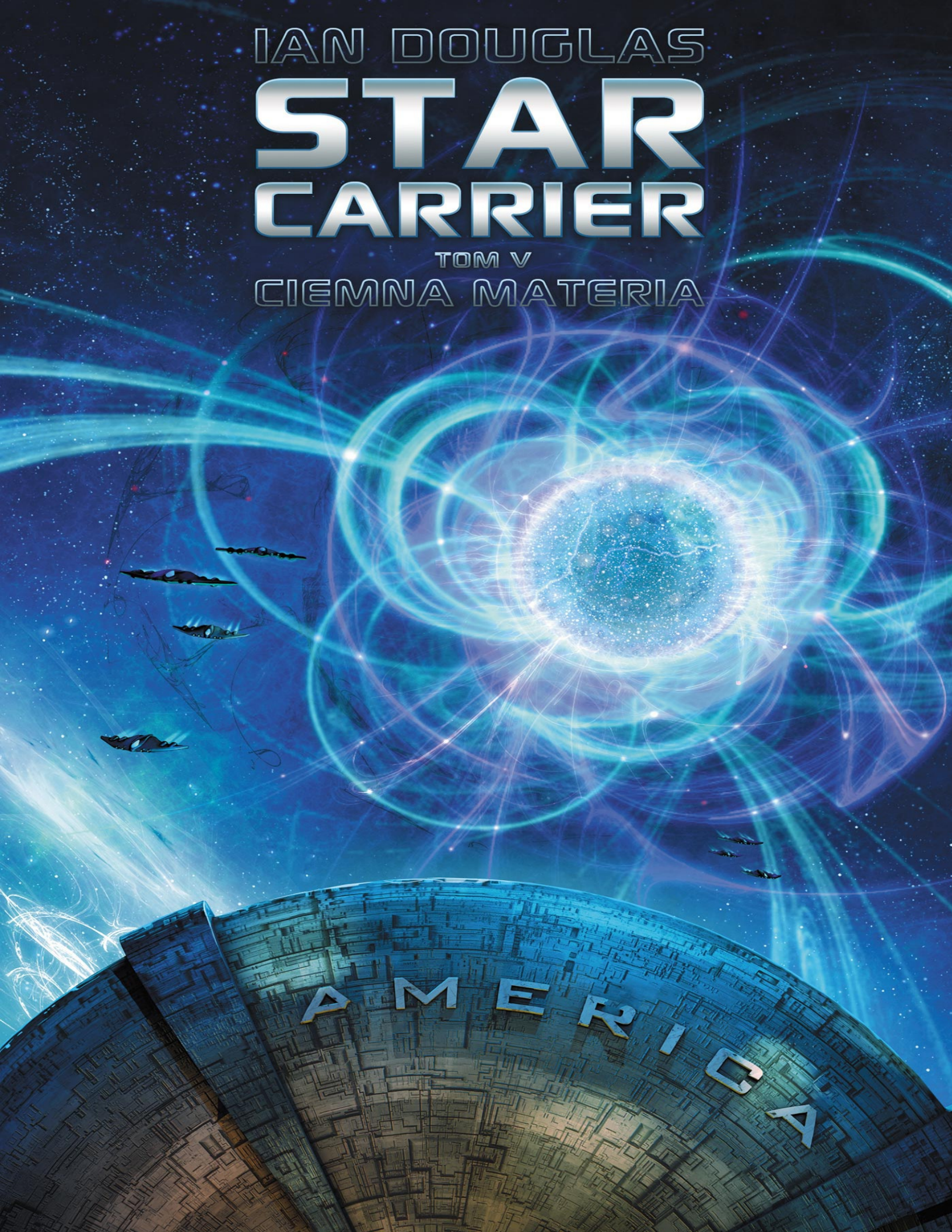


IAN DOUGLAS

STAR CARRIER

TOM V

CIEMNA MATERIA



AMERICA

Ian Douglas

Star Carrier

Tom V

Ciemna materia

Przekład Justyn „Vilk” Łyżwa



Warszawa 2014

W serii **Star Carrier** dotychczas ukazały się:

**TOM I
PIERWSZE UDERZENIE**

**TOM II
ŚRODEK CIĘŻKOŚCI**

**TOM III
OSOBLIWOŚĆ**

**TOM IV
OTCHŁAŃ**

Tytuł oryginału: *Star Carrier: Dark Matter*

Copyright © 2014 by William H. Keith, Jr.

Projekt okładki: Agencja Ilustratorsko-Reklamowa MOTOKO

Redakcja: Rafał Dębski

Korekta: Agnieszka Pawlikowska

Skład i łamanie: Ewa Jurecka

Wydawca:

Drageus Publishing House Sp. z o.o.

ul. Kopernika 5/L6

00-367 Warszawa

e-mail: drageus@drageus.com

www.drageus.com

ISBN epub: 978-83-64030-35-2

ISBN mobi: 978-83-64030-36-9

Opracowanie wersji elektronicznej:

[Karolina Kaiser](#)

 **Bookosfera**

Prolog

Sami siebie nazywali Świadomością.

Podążając za słabymi, lecz wyczuwalnymi przeciekami grawitacji z jednego wszechświata do drugiego, wyczuli okrąg wirującej masy i otworzyli przejście pomiędzy branami, pojawiając się w czterowymiarowej przestrzeni nieznacznie różniącej się od innych znanych im rzeczywistości. Obecnie pracowali nad utworzeniem stałego połączenia pomiędzy wszechświatami, budując dźwigary i łącza mające długość lat świetlnych, tworząc stałe światło bezpośrednio z energii próżni, kotwicząc słońca, wydobywając jądra gwiazd i zmieniając strukturę samej materii czasoprzestrzeni.

W tym miejscu Świadomość łączyła kilka wszechświatów. Metaumysł, zbiorowa jaźń była fenomenem wywodzącym się z setek biliardów pojedynczych umysłów, funkcjonujących w różnych rzeczywistościach i czasach. Najstarsze osobowości istniały dłużej niż wszechświaty, z których się wywodziły, funkcjonując jako formy nomadycznej jaźni, przenoszące się z jednej rzeczywistości do innej, równoległej.

Świadomość posiadała prawdziwie boską potęgę twórczą i naukową. Zdawała sobie sprawę z wydarzeń zachodzących w bardzo szerokim zakresie wymiaru i czasu, od fluktuacji kwantowych w energii próżni, które były podstawą każdej rzeczywistości, aż do grawitacyjnego oddziaływania pomiędzy galaktycznymi gromadami. Jej zmysły funkcjonowały w wielu wymiarach, pozwalając zagłębiać się w jądra gwiazd, a także manipulować czasem w subtelny i często bardzo zaskakujący sposób.

Niestety, niektóre zjawiska były może nie nazbyt małe, skoro wielokrotnie przerastały rozmiary pojedynczego atomu, ale zbyt mało ważne, by zostać zauważone przez metaumysł bez

uprzedniego zwrócenia na siebie jego specjalnej uwagi.

Do zjawisk takich należała flotyła okrętów bojowych USNA pojawiająca się właśnie w polu konstrukcji...

Rozdział pierwszy

20 stycznia 2425

Lot rozpoznawczy Shadow Jeden

Omega Centauri

Godzina 10.10 TFT

– I trzy... i dwie... i jedna... Start!

Przyspieszenie wcisnęło porucznika Louisa Waltona w oparcie fotela CP-240 Shadowstar, gnającego wzdłuż wąskiego tunelu startowego. Po chwilowym zamroczeniu i utracie widzenia spowodowanej przeciążeniem siedmiu g pilot odczuł gwałtowną ulgę, gdy maszyna opuściła kanał i znalazła się w próżni. Za ogonem myśliwca ogromny, szary dysk kopuły ochronnej „Ameryki” z każdą chwilą malał, by po chwili zamienić się w błyszczący punkt, a wreszcie całkowicie zniknąć. Prędkość oddalania się wynosiła sześćset kilometrów na sekundę.

Zwiadowca ujrzał przed sobą poskręcane, dziwne światło.

– Kontrola lotów, tu Shadow Jeden – zameldował pilot. – Znajduję się w otwartej przestrzeni.

– Przyjęłam, Shadow Jeden – odparł kobiecy głos. – Wejdz na jeden-pięć-jeden przez zero-trzy-dwa. Bądź tam ostrożny.

– Bardzo zdecydowanie potwierdzam – odparł Walton. – Tak się składa, że mówisz do wzorca ostrożności, ściągniętego wprost z biblioteki „Ameryki”.

– Lou – odpowiedział ten sam głos z KL – gdyby tak było, nie zgłosiłbyś się jako pierwszy do wykonania tego zadania.

To była, niestety, prawda. Ale przecież Walton nie mógł przegapić takiej okazji.

Widok z kamer na dziobie shadowstara przesyłany był przez

system przetwarzania wideo bezpośrednio do mózgu pilota. Z tej perspektywy to on sam był myśliwcem rozpoznawczym mknącym w nieznane.

Przelatywał przez rejon gromady kulistej, ogromnego roju gwiazd znanego jako Omega Centauri, oddalonego o około szesnaście tysięcy lat świetlnych od Układu Słonecznego. Gromada zmieniła się w porównaniu z tym, czym była jeszcze niedawno.

Z całego ogromnego, usianego gwiazdami nieba zniknęło już setki tysięcy słońc, pozostawiając ciemne ślady niby blizny po pchnięciach sztyletem. Gwiazdy celowo zderzane były z innymi, tworząc błękitnego giganta jaśniejącego w środku gromady i rozświetlającego zimnym niebieskim blaskiem obszar o średnicy sześćdziesięciu dni świetlnych.

Od głównego słońca we wszystkich kierunkach rozciągała się jakaś struktura.

W labiryntach wydziału rozpoznawczego „Ameryki” nazwano ją „stellarchitekturą”. Niewyobrażalnie rozległy splot promieni, platform, sfer, łączników, łagodnych łuków. Jedne struktury najwyraźniej były stałe, inne zaś zbudowano z błękitnej mgiełki. Podążanie wzrokiem za niektórymi z tych promieni nie stanowiło dobrego pomysłu, bo zostały skrzyżowane w sposób, który sugerować mógł, że w grę wchodziło coś więcej niż trójwymiarowa przestrzeń.

Najbardziej niepokojący okazał się jednak fakt, że czas także zakrzywiono w przedziwny sposób. Żadne z tych zjawisk nie miało miejsca jeszcze cztery miesiące wcześniej, gdy do Omega Centauri przybył okręt badawczy „Endeavor”. W tej chwili niebo wypełniały struktury, które wydawały się rozciągać na przestrzeni lat świetlnych, a część stellarchitektury o rozmiarach ponad czterech miesięcy świetlnych była już widoczna. Aczkolwiek światło z jej odległych końców nie zdążyło jeszcze pokonać dystansu dzielącego je od obserwatorów.

Do tego wszystkiego dochodziło coś, co wydział naukowy „Ameryki” nazywał nienaruszalnymi prawami fizyki. A mimo to można było zobaczyć tu promienie przypominające pajęczynę

jaśniejącą w świetle dziesięciu milionów gwiazd, które w jakiś sposób umocowane zostały do centralnego słońca. Przestrzeń i czas w tym miejscu wydawały się rządzić zupełnie innymi prawami.

Efekt był niewyobrażalnie piękny, składały się na niego abstrakcyjne wzory z miliardów cieni i odcieni błękitu i fioletu z głębokimi, czerwonymi znaczeniami w miejscach, gdzie struktury znikają z normalnej czasoprzestrzeni.

– BCI „Ameryka”, tu Shadow Jeden – powiedział Walton. – Wychodzę spod KL.

– Przyjąłem, Shadow Jeden – odpowiedział mu głos z bojowego centrum informacyjnego „Ameryki”. – KL potwierdza przekazanie do BCI. Ma pan pozwolenie na rozpoczęcie wykonywania zadania.

– Odpalam za trzy... dwie... jedną... teraz!

Z przyspieszeniem pięćdziesięciu tysięcy g shadowstar pognał w głąb gromady.

USNA CVS „Ameryka”

Czarna Rozeta

Omega Centauri

Godzina 10.16 TFT

– Chciałbym wiedzieć, na co, do cholery, patrzymy.

Kontradmirał Trevor „Piachu” Gray spoglądał na zajmujący całą ścianę wyświetlacz w świetlicy oficerskiej „Ameryki”. Robił to przy każdej możliwej okazji od czterech dni, a mimo wszystko nie zbliżył się ani o krok do odpowiedzi na pytanie, czego świadkiem była cała grupa bojowa od momentu przybycia tutaj.

Jedno nie ulegało wątpliwości: cokolwiek to było, było nieprawdopodobnie piękne, a jednocześnie całkowicie nieznanne i tajemnicze, pozostające absolutnie poza ludzką granicą poznania i rozumienia.

Gromada kulista Omega Centauri była największym tego typu

skupiskiem gwiazd w galaktyce Drogi Mlecznej. Mająca średnicę dwustu trzydziestu lat świetlnych sfera, składająca się z dziesięciu milionów gęsto upakowanych gwiazd, stanowiła kiedyś jądro małej, nieregularnej galaktyki pochłoniętej przez Drogę Mleczną około osiemset milionów lat temu. W tamtym czasie Ziemię zamieszkiwały jedynie organizmy jednokomórkowe, które właśnie dokonywały rozdziału płci. Grupa wielu wysoko rozwiniętych technicznie cywilizacji przeprowadzała właśnie stellaforming swojej galaktyki. Wśród licznych dokonanych przez nią zmian było stworzenie rozety z sześciu ogromnych, sztucznie powiększonych gwiazd, o masie czterdziestu Słońc każda, obracających się wokół wspólnego środka grawitacji w sposób, który, jak uważano, otwierał drogę do innych części przestrzeni, a prawie na pewno także do innego czasu.

Galaktyka, zwana przez jej mieszkańców Chmurą N'gai, została podzielona i pochłonięta, a jej zamieszkałe światy rozproszone. Mniej więcej w tym samym czasie gwiazdne kultury N'gai, nazywane zbiorowo ur-Sh'daar, przeszły osobliwość technologiczną, rodzaj technicznej metamorfozy, która wyniosła je wysoko ponad poziom tych, które nie zdecydowały się na ten krok.

Ci właśnie Outsiderzy w ciągu następnych ośmiuset siedemdziesięciu sześciu milionów lat przekształcili się w Sh'daar – tajemniczych Galaktycznych Władców, którzy zdominowali tysiące innych cywilizacji gwiazdnych rozproszonych po całej Galaktyce, aby w końcu stać się wrogami ludzkości.

Tyle przynajmniej zdołała dowiedzieć się Grupa Bojowa „Ameryka” pod dowództwem admirała Koeniga, gdy przy użyciu antycznego, sztucznego generatora osobliwości – wirującego cylindra o długości kilometra zwanego AGTR – dostała się w zamierzczłą przeszłość, by stawić czoła Sh'daar na ich własnym terenie. Nawiązano w tym czasie nic kontaktu i uzgodniono zawieszenie broni.

To wszystko działo się dwadzieścia lat temu. Gray w tym czasie

był pilotem myśliwca pełniącym służbę w stopniu porucznika Marynarki.

Boże, jak długą drogę przebył od tego czasu.

Kapitan Marynarki Sara Gutierrez była jedną z dwóch odzianych na czarno kobiet stojących obok Graya w świetlicy.

– To takie straszne – powiedziała.

– Straszne? Dlaczego?

– Jak pan widzi, zniszczyli całe obszary gromady, zniszczyli gwiazdy! Z jakimi potworami mamy do czynienia?

– Z bardzo potężnymi – odpowiedziała druga kobieta, komandor Laurie Taggart, szef służby uzbrojenia „Ameryki”.

Gromada Omega Centauri została częściowo zniszczona. Cienkie jak igły, nieprawdopodobnie długie, czarne promienie rozciągały się od sztucznego, centralnego słońca i łączyły miejsca w gromadzie, skąd zniknęło setki tysięcy gwiazd, zniszczonych lub przemieszczonych.

Niebo w centrum gromady zdominowane zostało przez ogromne pole niebieskofioletowej poświaty: enigmatyczną strukturę, która wydawała się stworzona z samego światła, stanowiącą rozległą konstrukcję promieni, platform i kul, wypełnioną błękitną mgłą. Wiele elementów owej struktury wydawało się zakrzywionych w nieprawdopodobny, mylący wzrok sposób. Jak na litografii M.C. Eschera, zjawisko wydawało się nie przestrzegać normalnych praw trójwymiarowej geometrii. Z oddali sztuczne słońce pięćdziesiąt razy większe od ziemskiego, stworzone przez zderzenie wielu gwiazd z gromady, rozświetlało centralne obszary Omega Centauri zimnym, ostrym blaskiem.

– Wydaje mi się, że chcą to przyłączyć do Rozety – powiedział Gray. – Może uda nam się dowiedzieć więcej, gdy nasza sonda rozpoznawcza dotrze bliżej.

Jak nazywał się pilot dopiero co wystrzelonego VQ-7 Shadowstar? A, Walton. Wewnętrzne łącze dowódcy podsunęło dane osobowe. Młody chłopak, dwadzieścia pięć lat, od czterech w Marynarce, dwie żony i mąż w Omaha...

A teraz gnał prosto w serce zagadki.

Głęboko w centrum Omega Centauri znajdowała się tajemnicza Czarna Rozeta. Gdy było się wystarczająco blisko, oczom obserwatora ukazywał się czarny pierścień wirujących z prędkością dwudziestu sześciu tysięcy kilometrów na sekundę dziur.

Osiemset siedemdziesiąt sześć milionów lat wcześniej Rozeta była Sześcioma Słońcami, sześcioma gigantycznymi gwiazdami, stworzonymi i grawitacyjnie ustabilizowanymi przez ur-Sh'daar. Ale gwiazdy o takich rozmiarach nie żyją długo, biorąc pod uwagę skalę kosmosu, najwyżej kilkadziesiąt milionów lat. Dawno temu Sześć Słońc eksplodowało, ich jądra zapadły się w czarne dziury, punktowe źródła nieprawdopodobnie silnego pola grawitacyjnego. Ich obrót wokół wspólnego środka ciężkości powodował nakładanie się pól grawitacyjnych i gwałtowne zaburzenia w czasoprzestrzeni, które tworzyły rodzaj gwiazdnych wrót, większych i zdecydowanie potężniejszych niż cylindry typu AGTR, odkryte w różnych miejscach Galaktyki.

Najbardziej poruszało Graya nie zniszczenie tak wielu słońc, lecz fakt, że Obcy z Rozety wydawali się tworzyć kolosalną stellarchitekturę jednocześnie w przestrzeni i w czasie.

W jakiś sposób Obcy rozbierali gromadę i zamieniali ją w swoją czasoprzestrzenną strukturę. Domysły zespołu fizyków z pokładu „Ameryki” sugerowały, że Obcym udało się tak przekształcić continuum czasoprzestrzeni, że w rzeczywistości zmienili historię Omega Centauri. Te czarne pasy i dziury, widoczne obecnie wśród gwiazd, nie zostały stworzone w ciągu ostatnich czterech miesięcy, światło potrzebowało ponad wieku, by przenieść w to miejsce informację o zmianach, a więc i zmiany musiały zajść w tym czasie.

Samo to świadczyło o potędze Budowniczych.

– Zastanawiam się, czy któraś z tych zniszczonych gwiazd posiadała światy – powiedziała Gutierrez. – Mam na myśli zamieszkałe światy.

– To mało prawdopodobne – odparł Gray. – Proszę pamiętać, że te gwiazdy były jądrem antycznej galaktyki. Większość z nich to druga populacja. A to znaczy, że są ubogie w metale, prawie sam

wodór, i są bardzo, bardzo stare. Nie mają praktycznie żadnego materiału budulcowego do stworzenia planet.

– To nadal wydaje się... aroganckie – zauważyła Laurie Taggart. – Pojawiać się znikąd i rozbierać gromadę gwiazdną! Tak jakby byli jej właścicielami!

– Jak Gwiazdni Bogowie? – zapytał Gray, uśmiechając się lekko.

– Pieprz się – odparła Taggart i po chwili dodała: – Sir!

Gray przyjął wulgarną poufałość chrząknięciem. Zasłużył sobie. Laurie Taggart była AOK, antyczną obcą kreacjonistką, wyznawczynią religii mającej na Ziemi ponad dwadzieścia milionów oficjalnych wiernych. Kolejne miliony podzielały ich poglądy, nie należąc oficjalnie do Kościoła. AOK utrzymywali, że w zamierzczłej przeszłości Ziemia nawiedzona została przez rozwiniętych technologicznie obcych, którzy zaingerowali w genom ówczesnych dwunogich istot.

Gray nie kupował tej wersji wydarzeń. Mitologia AOK opisywała antycznych obcych jako międzygwiazdnych stróżów, bardzo ludzkich, budujących piramidy, tworzących różnorakie hybrydy, bombardujących termonuklearnymi głowicami Sodomę i Gomorę czy wywołujących ogólnoswiatowy potop, gdy „podopieczni” za bardzo ich zdenerwowali.

Gdyby Gwiazdni Bogowie istnieli, zdaniem Graya bardziej przypominaliby właśnie Budowniczych, bez zastanowienia anihilujących systemy gwiazdne, zmieniających historię całych gromad galaktycznych i będących na takim stopniu rozwoju technologicznego, że nie zauważali nawet jakiejś tam ludzkości. Admirał i oficer uzbrojenia wielokrotnie na ten temat dyskutowali, a Gray uwielbiał od czasu do czasu wbijać Taggart szpileczkę.

Spotkanie z tymi istotami, niszczącymi gromadę gwiazdną, mocno nią wstrząsnęło. Może nie należało więc żartować z jej religii.

Tak czy owak, tego typu zachowania obecnie uważane były za społecznie nieakceptowalne. Biała Konwencja, zbiór umów międzynarodowych obowiązujący od końca dwudziestego pierwszego wieku, zabraniała jedynie prób nawracania innych

na własną religię, jednak po trzech i pół wieku jej obowiązywania ludzie zaczęli za normę uznawać powszechny zakaz jakiegokolwiek dyskusji na temat wiary. Tego typu rozmowy uważano za grubiaństwo. Oczywiście dopuszczalne były dysputy i wymiana poglądów między bliskimi przyjaciółmi, jednak na pewno nie w warunkach podległości służbowej.

Gray zdawał sobie sprawę z tego, że przedziwny, obcy widok oddziałuje na wszystkich we flotyli. Nęka ich. Najgorsza była świadomość, że obcy unicestwili okręt badawczy RSV „Endeavor” oraz dwa niszczyciele stanowiące jego ochronę, „Miller” i „Herrera”, zabijając przy tym ponad tysiąc pięciuset członków załóg. Okręty zniknęły w ułamku sekundy, gdy coś przedostawało się przez Rozetę z... jakiegoś innego wymiaru. Zniszczenie zostało nagrane przez kamerę szybkiego, automatycznego kuriera-zwiadowcy HVK-724, który następnie przekazał obrazy na Ziemię.

Gray i jego sztab spędzili wiele godzin, studiując to nagranie. Obce okręty, jeśli to były okręty, wydawały się gładkimi, wypolerowanymi owalami o średnicach wahających się od kilku metrów do prawie kilometra. Obecnie nie pozostał po nich ślad... jedynie te enigmatyczne struktury świetlne.

– Jeśli chodzi o to, na co patrzymy, sir – kontynuowała cicho Taggart – wydaje mi się, że musimy przyjąć, iż używają oni Rozety jako bramy tranzytowej, prowadzącej do miejsca, skąd przybyli. Wiemy, że istnieje mnóstwo możliwych dróg przez wrota w czasoprzestrzeni.

– Kwadryliard – odpowiedział Gray. – Dziesięć do dwudziestej siódmej różnych dróg. Zakładając, że Czarna Rozeta posiada takie same właściwości, jak Sześć Słońc zbudowanych osiemset siedemdziesiąt sześć milionów lat temu.

– Obecnie liczba dróg może być znacznie większa – odezwał się głos w głowach rozmówców. AI okrętu cały czas była na stanowisku, od czasu do czasu dołączając do dyskusji.

– Dlaczego? – spytała Gutierrez.

– Czarne dziury Rozety w Omega T-prime odkształcają czasoprzestrzeń pomiędzy nimi w dużo większym stopniu, niż

robiło to Sześć Słońc w T-sub. Obecna liczba możliwych dróg oscylować może w okolicy dziesięciu do trzysta sześćdziesiątej trzeciej potęgi, co w naszych warunkach uznać możemy za nieskończoność.

Omega T-prime było określeniem odnoszącym się do gromady kulistej Omega Centauri istniejącej w chwili obecnej, czyli w roku 2425. Omega T-sub było skrótem od T_{-0,876gy}, wyrażenia wymawianego jako „T sub minus zero przecinek osiem siedem sześć giga roku” i opisującego Chmurę N’gai za czasów ur-Sh’daar, osiemset siedemdziesiąt sześć milionów lat temu.

Gray pomyślał, że skoro Obcy z Rozety tak zawzięcie przebudowują przeszłość, może okazać się konieczne stworzenie nowej terminologii czasoprzestrzennej. Podróże w czasie bardzo wszystko komplikowały.

Możliwość przekształcania czasu była oczywistym następstwem możliwości zaginania przestrzeni. Od czasów Einsteina fizycy wiedzieli, że czas i przestrzeń nie funkcjonują osobno, lecz jako jedno zjawisko. Ludzkie okręty używały emitowanej, sztucznej osobliwości grawitacyjnej, by poruszać się w przestrzeni, w teorii to samo powinno być możliwe w odniesieniu do czasu, jednak wymagało energii, ogromnej ilości energii, większej, niż mógł dostarczyć generator mocy lotniskowca. Być może w ciągu kilku następnych stuleci...

Ale Obcy z Czarnej Rozety robili to teraz.

Z obecnej pozycji „Ameryki” sama Rozeta była niewidoczna z powodu odległości, jednak nagrania zrobione przez „Endeavor” przed zniszczeniem ukazywały błyski przebijające się przez czarny pierścień wirujących osobliwości.

Gray kolejny raz zadawał sobie pytanie, o co chodziło Obcym? Kim byli? Skąd i z jakiego czasu przybyli? Czy to Sh’daar? A może ur-Sh’daar po transformacji? Albo ktoś inny lub coś całkowicie innego?

Gwiazdni Bogowie? Nazwa była dobra jak każda inna, jednak określenie Obcy z Rozety niosło mniejszy ładunek emocjonalny dla ludzkich obserwatorów zgromadzonych na pokładach

„Ameryki” i jej flotyli.

Admirał sprawdził czas. Shadowstar Waltona powinien być już całkiem blisko Czarnej Rozety. Jeśli Walton przetrwał lot, mieli szansę dowiedzieć się czegoś więcej o zamiarach Obcych.

Lot rozpoznawczy Shadow Jeden
Omega Centauri
Godzina 11.18 TFT

Porucznik Walton zmniejszał prędkość, a jego shadowstarem rzucało na boki. Musiał poruszać się zdecydowanie wolniej, jeśli AI miała zauważyć i nagrać cokolwiek podczas przelotu w okolicach Rozety. On sam nie widział praktycznie nic. Przekonfigurował osobliwość, aby nie przeszkadzała w uruchomieniu trybu niewidzialności. Patrząc pod większością kątów, shadowstar był niewidoczny, światło nadciągające z przestrzeni opływało kadłub maszyny. Jednak jako kamuflaż było to niezbyt skuteczne, jako że instrumenty i oczy nadal widziały zaburzenie tła gwiazd, gdy przelatywał. Szybko migająca osobliwość także nie pozostawiała złudzeń. Zawsze to jednak coś.

Na razie wydawało się, że Obcy z Rozety go nie zauważyli. Albo... ignorowali go.

Nie podobała mu się ta myśl, zupełnie jakby był mrówką, która przebiegła człowiekowi pod nogami.

Ale jeśli ten człowiek przyniósł ze sobą jedzenie...

– Sugeruję zrzucenie kamuflażu – odezwała się AI. – Zbliżamy się do obiektu.

– Zrób to – odparł Walton. – Zobaczymy, co my tu mamy.

Maskowanie opadło, a sztuczna inteligencja przekonfigurowała osobliwość. Pilota poraziło ostre światło serca gromady kulistej.

Miliony gwiazd tłoczyły się w sferycznym wnętrzu. Szramy czerni wskazywały miejsca, gdzie Obcy z Rozety wykazywali

aktywność w swej tajemniczej pracy polegającej na jednoczesnym niszczeniu i tworzeniu. Widoczne były także sploty struktur ukształtowanych w ciągu ostatnich kilku miesięcy, rozległa pajęczyna błękitnego światła rozpięta na gwiazdach i pomiędzy nimi.

Z przodu po prawej stronie gromada kul dryfowała zawieszona w przestrzeni, każda srebrna i błyszcząca, jakby zbudowana z rtęci. Po lewej: Czarna Rozeta.

Wirujące wokół środka ciężkości z prędkością dwudziestu sześciu tysięcy kilometrów na sekundę czarne dziury widoczne były jedynie jako ciemna okrągła poświata. Gazy i pył otaczały Rozetę ciasną spiralą promieniującą krótszymi falami spektrum elektromagnetycznego, wypełniając niebo fioletowoniebieskim światłem. Anihilacja kurzu wywoływała twarde promieniowanie. Zdaniem Waltona było to bardzo niebezpieczne miejsce. Tarcze jego maszyny mogły przez pewien czas powstrzymać promieniowanie, ale na pewno nie w nieskończoność.

Shadowstar Waltona dryfował przez tę spiralę, sto tysięcy kilometrów od centralnego wlotu. W przestrzeni pomiędzy wirującymi osobliwościami widział gwiazdy, nie była to jednak gromada Omega Centauri.

Pilot przyjrzał się temu, co przekazywały kamery, lecz obraz był dużo bardziej rozmazany i odległy niż reszta gromady. W chwilę potem gwiazdy znikły, całkowicie zastąpione przez coś trudnego do opisanie – skręcone, falujące wstęgi czerwieni, błękitu i złota, stanowiące jakby jądro mgławicy albo coś zupełnie nieznanego, pozostającego poza ludzkim pojmowaniem. Następnie zaczęły na chwilę pojawiać się różne widoki gwiazd, by za moment eksplodować czerwonomarańczowym blaskiem. Prawdopodobnie był to widziany z bliska czerwony karzeł. Znowu seria widoków gwiazdnych, a później panorama ukazująca spiralną galaktykę, nieco postrzępioną na końcu, wreszcie oślepiający błękitny błysk i twarde promieniowanie – być może wybuch supernowej lub coś, na co ludzie nie mieli jeszcze określenia.

Walton odnosił wrażenie, że sceny zmieniają się wraz ze zmianą kąta, pod jakim patrzył. Że przez grawitacyjnie storturowane gwiazdne wrota prowadziło praktycznie nieskończenie wiele dróg, że czasoprzestrzeń została porwana na kawałki, które oglądał podczas przemieszczania się shadowstara w poprzek wlotu Rozety. Tak go zafascynował ogrom widoków, że musiał zostać upomniany przez AI.

– Zaobserwowaliśmy odpowiedź od Obcych z Rozety – zakomunikowała sztuczna inteligencja myśliwca rozpoznawczego obojętnym głosem, który równie dobrze mógłby przekazywać prognozę pogody dla Omaha na najbliższy miesiąc. – Dokładnie na wprost.

Walton przeniósł uwagę z Czarnej Rozety na jasną, srebrną gwiazdę na kursie styczniowym do swojego. Zwiększył przybliżenie i zogniskował optykę na gładkiej kuli, która nie pojawiła się ani na radarze, ani na innych czujnikach, z wyjątkiem tych, które zapisywały widzialną część spektrum elektromagnetycznego. Nie sposób było określić rozmiarów ani odległości do sfery. Mogła mieć równie dobrze metr, jak i setki metrów średnicy. Skoro była widoczna, dalmierz laserowy byłby w stanie podać dokładną odległość, ale jego impuls mógłby zostać odebrany jako atak.

Walton otrzymał bardzo jasne rozkazy: nie prowokować Obcych, nie powodować wrogich działań.

Zwiadowca chciałby, żeby Obcy mieli takie same rozkazy. Zgodnie z tym, co twierdzili ludzie z wydziału rozpoznawczego „Ameryki”, kilka miesięcy temu takie same kule spowodowały zniknięcie nieuzbrojonego okrętu badawczego wraz z eskortą. Jak dla niego, były to wrogie działania.

Jednak skala i rozmach stellarchitektury widocznej wokół Rozety dobitnie świadczyły o możliwościach technologicznych obcych istot, sugerując, że ludzie nie posiadali w arsenale nic, co mogłoby zagrozić przybyszom.

Obiekt na wprost stawał się coraz jaśniejszy. Jako że przedmiot zdawał się świecić światłem odbitym, można było przypuszczać, że się zbliżał.

– Uruchom napędy – polecił Walton. – Czas się wynosić.

– To niemożliwe – odparła AI.

– Czemu, do cholery?

– Brak odpowiedzi podzespołów. Próba uruchomienia projekcji osobliwości nie powiodła się. Obcy z Rozety mogą tak manipulować lokalną przestrzenią, aby to uniemożliwić.

– Kurwa! Co z generatorem mocy?

Generator mocy shadowstara był zmniejszoną wersją generatora „Ameryki”. Mikroskopijne, sztuczne czarne dziury wirowały wokół siebie w skali atomowej, uwalniając ułamek energii punktu zerowego, dostępnej w próżni na poziomie kwantowym. Gdyby Obcy zdławili osobliwość, generator by to zasygnalizował.

Tymczasem instrumenty wskazywały stały przepływ energii.

– Generator pracuje na optymalnym poziomie – zakomunikowała AI.

– Potrafisz to wytłumaczyć?

– Nie... chyba że Obcy zakłócają bardzo niewielką, określoną przestrzeń pomiędzy nosem maszyny a osobliwością.

Walton nie miał pojęcia, jak można by to osiągnąć. Jednak stare powiedzenie sprzed wieków, które od jakiegoś czasu kołatało mu się po głowie, okazało się nadzwyczaj adekwatne: „Każda wystarczająco zaawansowana technologia może zostać uznana za magię”. Nie pamiętał, skąd pochodził ten cytat, a nie miał głowy teraz tego sprawdzać. Planował zrobić to po powrocie na „Amerykę”.

O ile wróci. Srebrna kula przed nim rosła gwałtownie, zbliżając się z dużą prędkością. AI zdążyła jeszcze wysłać do grupy bojowej pełny przekaz.

W tym momencie sfera, otaczające gwiazdy, tajemnicze i dziwnie poskręcane struktury i wlot do Rozety rozmasały się i zapanowała absolutna ciemność...

Rozdział drugi

20 stycznia 2425

Lot rozpoznawczy Shadow Jeden

Omega Centauri

Godzina 11.22 TFT

...by w chwilę później ponownie eksplodować oślepiającym blaskiem.

Walton zamrugał. „Ameryka” wisiała w przestrzeni dokładnie dziesięć kilometrów przed nim. Jeszcze przed momentem znajdował się pięćdziesiąt jednostek astronomicznych, czyli siedem i pół miliarda kilometrów od lotniskowca, dryfując z prędkością kilometra na sekundę. Obecnie utrzymywał dokładnie tę samą prędkość, ale jego kurs zmienił się o sto osiemdziesiąt stopni i w jakiś dziwny sposób w ciągu ułamka sekundy pokonał dystans pięćdziesięciu JA bez przyspieszania do podświetlonej.

Pamiętał sposób, w jaki zamykało się wokół niego niebo, tak jakby przestrzeń została zakrzywiona. Ale natychmiastowy skok na taką odległość? To było z ludzkiego punktu widzenia po prostu niemożliwe. Nawet przy prędkości podświetlonej i poddaniu się relatywistycznym zmianom czasu powinno to trochę zająć. A myśliwce były za małe, aby unieść projektory niezbędne do funkcjonowania nadświetlnych napędów Alcubierre’a.

Magia Obcych...

Współpracując z AI, która w sposób charakterystyczny dla maszyn nie okazywała żadnego zdziwienia, Walton zwolnił, dryfując wewnątrz strefy ochronnej lotniskowca.

– „Ameryka”! – wywołał. – „Ameryka”, tu Shadow Jeden.

Istniało realne zagrożenie, że automatyczne systemy obronne okrętu wezmą na cel zbliżający się myśliwiec i zniszczą go. System identyfikacji swój – obcy powinien oznaczyć go jako jednostkę własną, ale Walton nagle jakoś dziwnie stracił zaufanie do technologii. Jego zdaniem, w chwili obecnej wszechświat nie funkcjonował tak, jak powinien.

– Shadow Jeden, tu „Ameryka”! – odezwało się BCI. – Co ty tu robisz?

– Nie... nie wiem, „Ameryka”. Sekundę temu byłem przy Czarnej Rozecie. A potem...

Nastąpiła dłuższa przerwa, tak jakby oczekiwano, że Walton skończy myśl.

– No dobrze, Shadow Jeden – odparło po chwili BCI. – Masz zezwolenie na lądowanie. Zapraszamy.

– Zrozumiałem, przyspieszam.

Pilot nie ufał już sobie ani trochę.

USNA CVS „Ameryka”

Omega Centauri

Godzina 12.05 TFT

– Tak więc okazało się, że wiemy jeszcze mniej niż przedtem – powiedział Gray. – Superpotężni Obcy rozmontowują gromadę gwiazdną, a kiedy jeden z naszych myśliwców rozpoznawczych za bardzo się do nich zbliża, teleportują go na odległość pięćdziesięciu jednostek astronomicznych bez specjalnego wysiłku. Jakież sugestie?

Admirał znajdował się w głównej sali odpraw „Ameryki” wraz ze sztabem i szefami wydziałów. Połowa z nich obecna była fizycznie, reszta połączyła się elektronicznie z innych części okrętu. Na wyświetlaczu, zajmującym powierzchnię całej ściany, pokazywano zapis przelotu Waltona nad Rozetą. W tym momencie widoczne były obce struktury rozciągające się szeroko

na tle gwiazd.

– To... co oni zrobili z naszym myśliwcem rozpoznawczym – wolno powiedział komandor porucznik Philip Bryant, potrząsając głową – jest niemożliwe w świetle praw fizyki, jakie znamy.

Bryant był szefem „maszynowni” i jednym z najlepiej znających się na wszelkiego rodzaju napędach załogantów.

– Czysta moc – odezwał się drugi ze starszych „mechaników”, komandor Richard Halverson, świeżo promowany szef wydziału inżynieryjnego okrętu, ekspert od generatorów mocy i energii próżni.

– No właśnie. Jak, do cholery, mamy walczyć z czymś takim? – Komandor Dean Mallory był szefem wydziału operacyjnego. – Gdyby chcieli, pacnęliby nas jak muchę.

– Nie wydaje mi się, by admirał sugerował walkę – powiedziała kapitan Connie Fletcher. Była CAG „Ameryki”, czyli szefem wszystkich pilotów. – To nie miałoby sensu, prawda?

– A raczej przypominałoby pieprzone samobójstwo – dodał komandor Victor Blakeslee, starszy oficer nawigacyjny „Ameryki”, marszcząc czoło. – Sugestie? Do diabła, sugeruję, abyśmy podwinęli ogon i jak najszybciej zbierali się do domu.

– Zakładając, że pozwolą nam odlecieć – dodał głos kapitan Gutierrez. Znajdowała się teraz na mostku, ale konferencja była do niej transmitowana. – To może wcale nie być takie proste.

– Nie mamy powodów, by zakładać wrogie zamiary Obcych z Rozety. – Komandor porucznik Samantha Kline stała na czele wydziału ksenobiologii, czyli w skrócie WX. – Mogli zniszczyć maszynę porucznika Waltona, zamiast tego przeczucili go tutaj.

– Chciałbym pani przypomnieć – powiedział wolno Halverson – że te, te... istoty zniszczyły jednak „Endeavor”, „Millera” i „Herrere”. Jeśli to nie był wrogi akt, to co nim, do cholery, jest?

– Wideo przywiezione przez drona HVK... nadal nie zostało do końca zinterpretowane – odparła Kline. – To mógł być wypadek lub pomyłka...

– Pomyłka istot tak potężnych? – spytała Fletcher. – Istot będących jak... bogowie? Ta myśl jest przerażająca.

– Są potężni – potwierdził Gray. Chciał w jakiś sposób zwekslować dyskusję z aspektu boskości Obcych z Rozety. Przed pierwszym osobistym spotkaniem z nimi sztab nie powinien ulegać demoralizacji. – Nie są jednak bogami. Jeśli popełnili błąd i zniszczyli „Endeavor”, to jest to właśnie dowód, prawda?

– Bardziej prawdopodobne jest – odezwał się doktor George Truitt – że po prostu mają to gdzieś. Proszę uwzględnić, że możemy mieć tu do czynienia z cywilizacją K-3.

Truitt był cywilnym specjalistą przydzielonym na „Amerykę”, a także kimś w rodzaju cudownego dziecka. Specjalizował się w ksenosofontologii i studiował nieludzkie umysły oraz sposoby zachowań, pracując w WX pod kierunkiem komandor Kline.

Gray spojrział na naukowca. Dwa miesiące wcześniej, w listopadzie, ten człowiek okazał się wyjątkowo pomocny przy tworzeniu ofensywnej propagandy, która umożliwiła zwycięstwo ludzi przy Ozyrysie, ziemskiej kolonii przejętej przez podległą Sh'daar rasę Slan. Szczegółowo analizując rozmowy pomiędzy Grayem a dowódcą Slan, Truitt i jego zespół ekstrapolowali prawdopodobny model psychologiczny Slan, wskazujący, że przerażała ich myśl zaatakowania swojej własnej społeczności, był to dla nich akt niewyobrażalnego barbarzyństwa, a nawet zezwierżenia. Nadając do Slan wiadomość sugerującą, że ludzie myślą w podobny sposób, że dzielą z nimi kolektywną psychologię, Gray zmusił technologicznie lepiej rozwiniętego przeciwnika do wycofania się. Było to spektakularne zwycięstwo.

A Truitt okazał się jego bardzo ważnym elementem.

Szkoda, że był przy tym egoistycznym szpanerem, prezentującym talenty społeczne porównywalne z kanibalem.

– Co to, do cholery, jest cywilizacja K-3? – spytał Mallory.

– Chryste, nie wie pan, czym jest klasyfikacja Kardaszewa? – odparł pytaniem na pytanie Truitt. – Mam nadzieję, że na taktyce zna się pan lepiej niż na sofontologii technicznej.

– Kardaszew był rosyjskim astronomem – włączył się Gray – który opracował sposób klasyfikacji cywilizacji planetarnych lub międzygwiazdnych na podstawie tego, ile zużywają energii. Cywilizacja K-3 potrzebuje mniej więcej tyle energii, ile

produkują wszystkie gwiazdy w galaktyce.

– To duże uproszczenie – powiedział Truitt. – W zasadzie...

– Jeśli pan pozwoli, doktorze – powiedział ostro Gray, przerywając mu – nie będziemy tu sprzeczać się na temat definicji sofontologicznych. Obcy z Rozety zademonstrowali możliwość przeróbki całej gromady gwiazdnej, milionów gwiazd, która sama w sobie daje im mocne K-2 w skali Kardaszewa, o ile nie K-3. Ludzka technologia jest na poziomie... ile to jest, doktorze? K-1,2?

– W przybliżeniu tak – powiedział Truitt. – Ale...

– Chodzi o to, że nasi techniczni przyjaciele są jakieś sto trylionów razy potężniejsi od nas. Zgadza się z komandorem Blakeslee. Niewiele możemy tu zdziałać, z wyjątkiem ustawienia automatycznych stacji monitorujących.

– Cały czas zakładając, że pozwolą nam odlecieć – powtórzyła kapitan Gutierrez. – Znajdujemy się głęboko w ich obszarze operacyjnym.

Gray otworzył nowy kanał w swym wewnętrznym systemie komunikacyjnym i na przeciwnej ścianie wyświetlony został schematyczny rysunek gromady gwiazdnej. Gwiazdy zostały przysłonięte, w przeciwnym wypadku leżący w samym środku punkt zainteresowania, w którym znajdowała się również „Ameryka” i jej grupa bojowa, byłby całkowicie niewidoczny.

Klikając w myślach, admirał przybliżył widok jądra Omega Centauri. Cała gromada była gęsto upakowaną gwiazdami kulą o średnicy około dwustu trzydziestu lat świetlnych. Czarna Rozeta i większość konstrukcji Obcych znajdowały się w samym środku, a lotniskowiec był oddalony od nich jedynie o pięćdziesiąt JA, czyli prawie nic z punktu widzenia odległości międzygwiazdnych. Jednostka astronomiczna odpowiada średniej odległości Ziemi od Słońca, czyli około stu pięćdziesięciu milionom kilometrów. Rok świetlny równa się zaś w przybliżeniu około sześćdziesięciu czterem tysiącom JA.

Zdaniem Graya interesujący i cokolwiek niepokojący był fakt, że Obcy, kimkolwiek byli, całkowicie zignorowali „Amerykę” i towarzyszące jej okręty. Lotniskowcowa Grupa Bojowa

Czterdzieści składała się z lotniskowca „Ameryka”, krążownika „Edmonton”, trzech niszczycieli: „Ramirez”, „John Young” i „Spruance”, oraz okrętu zaopatrzenia „Shenandoah”. Choć niewielka jako grupa zadaniowa Marynarki, flotylla posiadała dość dużą siłę ognia, a tymczasem Obcy ignorowali ją od momentu, gdy opuściła bąbel napędu Alcubierre’a tuż u bram tego... czymkolwiek były struktury, które tu budowali.

Z drugiej strony, przenieśli maszynę rozpoznawczą Waltona, gdy dryfowała na wprost Czarnej Rozety. Może jednak zwracali uwagę na ludzi lub ludzkie działanie mogło w jakiś sposób im przeszkadzać czy też zagrozić operacji.

Jak było w rzeczywistości? W jaki sposób grupa bojowa miała znaleźć odpowiedź na to pytanie?

– Czy WX ma jakieś sugestie co do możliwości nawiązania kontaktu z tymi... ludźmi? – spytał Gray.

– Nie mamy – powiedział Truitt.

– Możemy spróbować różnych języków Sh’daar – dodała Kline.

– Dialektu handlowego Agletsch.

– Kimkolwiek są Obcy z Rozety – powiedział Truitt – najprawdopodobniej przebyli długą drogę. Wątpię, czy kiedykolwiek słyszeli o Sh’daar czy Agletsch.

Ci ostatni byli podróżującym w kosmosie gatunkiem, szeroko znanym jako handlarze informacjami. Dwie przedstawicielki tej rasy znajdowały się na pokładzie „Ameryki” aż do ostatniego pobytu okrętu na Ziemi, kiedy to zeszły na ląd, by odbyć długie sesje wymiany informacji z wywiadem Marynarki. O Agletsch wiadano, że są nosicielami miniaturowych sztucznych inteligencji zwanych Społecznością, które komunikowały się ze Sh’daar za każdym razem, gdy w zasięgu znaleźli się oni sami lub inni nosiciele Społeczności. Przebywanie Agletsch na pokładzie okrętu wojennego zawsze wiązało się z ryzykiem ujawnienia tajemnic, ale z drugiej strony te istoty były niewiarygodnie użyteczne jako sprzymierzeńcy. Ich wiedza o imperium Sh’daar imponowała, zaś opracowane przez nie sztuczne języki handlowe wielokrotnie dowiodły swej uniwersalności i przydatności.

– A ja nie byłbym tego taki pewien – powiedział Gray. – Wiemy, że Rozeta zaczęła prawie miliard lat temu jako Sześć Słońc. Wiemy także, że Budowniczości pozostawili cylindry AGTR porozrzucane po całej Galaktyce, a te artefakty pozwalają na podróż w czasie. Obcy z Rozety mogą być Budowniczymi, a jeśli tak, to mieli kontakt z sojuszem, a przynajmniej ze Sh'daar sprzed ponad ośmiuset milionów lat.

Cylinder przy Texaghu Resch umożliwił kontakt ze Sh'daar zamieszkującymi Chmurę N'gai osiemset siedemdziesiąt sześć milionów lat wcześniej. Powszechnie uważano, że cywilizacja, która skonstruowała cylindry AGTR, była znacznie starsza i bardziej zaawansowana technologicznie nawet od Sh'daar.

– Nie mamy żadnych dowodów na to, że to Budowniczości – rzucił Truitt. – Oni zapewne już dawno wymarli.

– Wątpię – powiedziała Kline. – Cywilizacji K-3 może nie dotyczyć już ryzyko zagłady. Z całą pewnością osiągnęła poziom zapewniający tak osobistą, jak i kulturalną praktyczną nieśmiertelność.

– A nie uważacie, że cywilizacja o zasięgu galaktycznym, na poziomie K-3 – dołączył do rozmowy Gray – powinna wiedzieć coś o obecności w sąsiedztwie innej cywilizacji K-3? Że powinny być w stanie komunikować się ze sobą?

– Niektóre z elektronicznych dialektów Agletsch mogłyby okazać się do tego idealne – powiedziała Kline. – Zostały opracowane dla gatunków, które biologicznie nie mają ze sobą nic wspólnego.

– Ale już transmitowaliśmy wiadomości z zapewnieniem o przyjaznych zamiarach i prośbą o otwarcie kanału komunikacyjnego – odezwała się komandor Pamela Wilson. Podobnie jak Gutierrez znajdowała się teraz na mostku i w odprawie uczestniczyła za pomocą łącza elektronicznego. – W drukruhu i w czterech innych dialektach Agletsch.

Języki te wprowadzone zostały do AI „Ameryki”, tak więc same Agletsch nie były konieczne do tłumaczenia. Gray wolałby jednak, aby pająkowate małe obce nadal znajdowały się na pokładzie. Mógłby zapytać, czy spotkały się już kiedyś z czymś

podobnym do Czarnej Rozety.

Trzeba było jednak pamiętać, że Agletsch handlowały informacjami i rzadko oddawały coś za darmo. Taka informacja mogłaby przekraczać możliwości finansowe Graya. Będzie im musiał zadać kilka pytań po powrocie „Ameryki” na Ziemię.

– Dziękuję – powiedział. Skupił się przez chwilę, tworząc nową wiadomość. – Komandor Wilson, proszę nadawać to we wszystkich znanych językach Sh'daar. Komandorze Blakeslee, proszę podać kurs wyprowadzający nas z tej gromady. Lecimy do domu.

Tymczasowe prezydenckie stanowisko dowodzenia

Toronto

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej

Godzina 14.35 EST

– Co się tam, do cholery, dzieje, Marcus?

Marcus Whitney, szef sztabu prezydenta, rozłożył ręce.

– Nie mam bladego pojęcia. Wywiad nie ma jeszcze jasnego obrazu.

– Wiemy, co stało się z prezydentem Roettgen?

– Nie, sir. Prawdopodobnie znajdowała się w kompleksie Ad Astra w momencie, gdy rebelianci przejęli obiekt. Może być jeńcem, ale równie dobrze może już nie żyć.

Alexander Koenig, prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, spojrział na ekran z wiadomościami, zastanawiając się, czy oznaczały one koniec wojny. Informacje były bardzo szczątkowe, niesprawdzone i często sprzeczne.

Wszystko jednak wskazywało na to, że rząd Konfederacji Terrańskiej właśnie upadał.

Stany Zjednoczone należały do Konfederacji od 2133 roku, czyli od samego początku *Pax Confoederata*. Ta unia przez długi czas pozostawała wyjątkowo stabilna, aż do momentu, gdy złamała ją otwarta wojna.

Podawało się różne powody jej wybuchu, jednak głównym zawsze pozostawała podstawowa różnica poglądów na temat, jak należy prowadzić wojnę ze Sh'daar. USNA przekonane były do konieczności kontynuowania walki. Rząd Konfederacji chciał zaakceptować ultimatum Sh'daar i stać się częścią sojuszu. Brak zgody w polityce ekstrasolarnej w połączeniu z pomniejszych sprawami, takimi jak prawo do samostanowienia oraz problem kontroli nad opuszczonymi niegdyś obszarami wybrzeża, jak Manhattan, Baltimore i Waszyngton DC, doprowadziły najpierw do rozłamu sił Konfederacji w kosmosie, a potem do regularnej wojny. Siły Genewy zaatakowały zatopione ruiny DC i próbowały przejąć Ciołkowskiego, hiperinteligentną AI, umieszczoną w bazie znajdującej się w kraterze o tej samej nazwie po ciemnej stronie Księżyca. Obie próby zostały udaremnione i wtedy właśnie miała miejsce tragedia.

15 listopada 2424 roku okręty Konfederacji uderzyły z kosmosu na stolicę USNA, bombardując ją za pomocą głowic nanodekonstrukcyjnych, zamieniając centrum miasta w krater o średnicy trzech i głębokości pół kilometra. Próba miała na celu dekapitację rządu Stanów Zjednoczonych, czyli zabicie Koeniga wraz z doradcami cywilnymi i sztabem wojskowym.

Atak nie powiódł się, mimo że miasto zostało zniszczone i zginęły miliony ludzi. Ciężko opancerzony bunkier prezydencki znajdował się dwa kilometry pod ziemią, a Koenigowi i jego ludziom udało się przedostać do tunelu szybkiej kolei magnetycznej łączącej stolicę z Toronto. Od tego momentu rząd USNA prowadził wojnę z tymczasowego stanowiska dowodzenia, znajdującego się pod York Civic Complex.

W chwili obecnej, czyli dwa miesiące po tych wydarzeniach, wydawało się, że Konfederacja upada.

Wydawało się. To było kluczowe słowo. Nie należało z tego powodu popadać w zbyt ni optymizm ani osłabiać obrony. Niszczycielski atak nano-D na Columbus, gwałcący wszelkie możliwe konwencje i zakazy, spowodował lawinę secesji. Rosja i Północne Indie odłączyły się od Konfederacji i sprzymierzyły ze Stanami Zjednoczonymi. Dwie niezależne potęgi, Hegemonia

Chińska i Teokracja Islamska, uprzednio wykluczane z Konfederacji, również przystąpiły do wojny po stronie USNA w zamian za obietnicę dołączenia ich reprezentantów do nowego rządu Ziemi.

Jednak Konfederacja także odnosiła sukcesy. Poza anihilacją Columbus udało jej się zniszczyć też kilka stacji orbitalnych USNA, przejąć kontrolę nad windą kosmiczną SupraQuito i zebrać dużą flotę, za pomocą której praktycznie dominowała w przestrzeni okołosłonecznej. Meksyk i Honduras odłączyły się od USNA i najechały Południową Kalifornię, Teksas oraz dwa inne stany. Siły europejskie okupowały Ruiny Manhattanu oraz część Virginii i Peryferii Karoliny. Siły amerykańskie były nadmiernie rozciągnięte, nieliczne i jedynie utrzymywały swoje pozycje. Nawet z pomocą Hegemonii i Teokracji sprawa wcale nie była przesądzona.

– Może Konstantin ma jakieś informacje – powiedział Koenig. Whitney skrzywił się.

– Wielki Konstantin widzi wszystko... wie wszystko...

Było to przedmiotem ciągłych żartów na tymczasowym stanowisku dowodzenia. Komputer w kraterze Ciołkowskiego był współtwórcą wielu sukcesów w tej wojnie, jak choćby rozpoczęcie tajnych negocjacji z Teokracją i Chińczykami.

– Czasem obawiam się, że także robi wszystko – odparł Koenig. Otworzył jednak kanał łączności.

Sztuczna inteligencja znana jako Konstantin była w dużym stopniu zagadką, jedną z wielu, lecz w tym przypadku miało to szczególny wydźwięk. Ludzie nie ufali mu do końca. Komputerowe AI przekroczyły powszechnie uznawane wymiary ludzkiej inteligencji już cztery wieki temu, a Konstantin stanowił piątą generację AIP, pracującą w sieci Digital Sentience DS-8940. AIP było skrótem od angielskiego wyrażenia „programowalne sztuczne inteligencje”. To nie ludzie programowali Konstantina – zrobiły to maszyny, kopiując ogromne ilości kodów, mieszając je w sposób, który zadziwiał ich ludzkich nadzorców.

Teoretycznie umysły komputerowe programowane przez inne komputery miały te same ograniczenia co te, które stworzyli

ludzie. O ile Konstantin był dziesięć tysięcy razy potężniejszy od człowieka, jeśli chodzi o połączenia synaptyczne, o tyle nadal posiadał coś, co nazywano ograniczonymi kompetencjami. Doskonale dawał sobie radę przy przetwarzaniu danych i mógł wykonywać polecenia, jednak – tak jak wszystkie komputery – nie powinien podejmować decyzji bez udziału człowieka, nie powinien demonstrować czegoś, co dotychczas było całkowicie ludzką domeną: kreatywności.

W praktyce okazało się jednak, że Konstantin przejawiał właśnie całkiem dużą kreatywność, szczególnie w momencie, gdy rozpoczął ciche negocjacje z Teokracją i Hegemonią, choć nie otrzymał takiego polecenia.

I to jego działanie właśnie mogło się walenie przyczynić do zwycięstwa Stanów Zjednoczonych.

Koenig uśmiechnął się lekko. Wychowywany był w przeświadczeniu, że komputery to przedmioty, jednak Konstantin zdecydowanie stał się osobą.

Po chwilowym oczekiwaniu w umyśle Koeniga otworzyło się okno komunikacyjne. Łysiejący, siwy mężczyzna w staroświeckim ubraniu i złotych pince-nez spoglądał na prezydenta znad książki o tytule napisanym cyrylicą. Za nim widoczne były ekrany stacji roboczych i wyświetlacze oraz przezroczyste panele kontrolne.

– O, pan prezydent – powiedział awatar. – Spodziewałem się, że pan zajrzy.

Prawdziwy Konstantin Ciołkowski był rosyjskim nauczycielem żyjącym na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku, który twierdził, że pewnego dnia ludzkość sięgnie gwiazd. On, Oberth i Goddard zostali uznani za ojców kosmonautyki.

– Zakładam, że śledzisz sytuację w Genewie – powiedział Koenig.

Jak zwykle nastąpiła przerwa, potrzebna na to, by słowa dotarły z Ziemi na Księżyc i z powrotem.

– Oczywiście. Spodziewaliśmy się czegoś w tym stylu, ale wydarzenia zdają się rozgrywać niepokojąco szybko.

– Spodziewałeś się rewolucji?

– Zniszczenie Columbus spotkało się z potępieniem, szczególnie w Europie – odparł Konstantin. Na jednym z ekranów za nim europejscy żołnierze walczyli z tłumem na ulicach Genewy. Była tam już noc, na niebie widniały łuny płonącego miasta, Koenig rozpoznawał Plac Światła zdominowany przez ogromny pomnik „Rozwój człowieka”. Czołgi posuwały się w stronę Kompleksu Rządowego Ad Astra.

– Po drugie – mówił dalej Konstantin – wojna ciągnie się już dwa miesiące bez znaczących sukcesów. Oczekiwanie szybkiego i łatwego zwycięstwa zastąpione zostało przez wątpliwości na temat moralności i legalności tej wojny.

– To może być jej koniec – powiedział Koenig.

– Proszę nie ogłaszać jeszcze zwycięstwa USNA, panie prezydencie. Rebelianci wydają się być frakcją działającą pod przywództwem generała Janosa Matonyi Korosiego, uprzednio twarogłowego członka Senatu Konfederacji. Od jakiegoś czasu chciał on zastąpić Roettgen i być może widzi w tym możliwość nie tylko pokonania pana, lecz także otwarcia negocjacji bezpośrednio ze Sh'daar, zakończenia wojny z nimi i przedstawienia siebie jako zbawcy Ziemi. Jest jeszcze aspekt osobisty.

– Jaki aspekt?

– Jego bratem był Karl Mihaly Korosi, zastępca dowódcy niszczyciela „Kondor”.

– No tak...

„Kondor” był jednym z europejskich okrętów, które przeprowadziły bestialski atak na Columbus. Okręt został zniszczony przez salwę rakiet z „Missouri”. W chwilę później okręt bombardujący „Estremadura” wystrzelił sześć głowic nano-D. Pięć zostało przechwyconych i zniszczonych w przestrzeni przez fregatę „John Paul Jones”, ale jedna z nich uderzyła w miasto.

Koenig przypomniał sobie, że Ilse Roettgen, prezydent Senatu Konfederacji, wyglądała na zaszokowaną, gdy dowiedziała się, że Columbus zostało zniszczone przez nano-D. Był prawie pewien, że nie brała ona udziału w planowaniu akcji i że przeprowadził

ją – za plecami prezydent – jakiś nadgorliwy członek rządu lub wysoko postawiony oficer. A jeśli brat Korosiego zginął na „Kondorze”...

To sugerowało, że twardogłowi z Genewy zaplanowali i przeprowadzili atak na Columbus, a teraz wykorzystują sytuację, by przejąć władzę. Cudownie!

– Sądziś więc, że generał Korosi dąży do zemsty?

– Nie wiem. Ja tylko przekazuję dane niezbędne do zbudowania kompleksowego obrazu tego, co się dzieje. Nie jestem w stanie przełamać europejskich zabezpieczeń elektronicznych.

To oczywiście była jedna z pierwszych rzeczy, których próbował Konstantin, a Europejczycy to przewidzieli i wzmocnili ochronę. W rzeczywistości jednym z powodów rozpoczęcia wojny była próba przejęcia Konstantina przy użyciu wojskowej grupy zadaniowej wysłanej z bazy księżycowej Konfederacji Giordano Bruno. Grupa została zatrzymana na północnej krawędzi krateru Ciołkowskiego przez mały oddział amerykańskich Marines przy współudziale krążownika „Pittsburgh”. Koenig z codziennych raportów dowiadywał się, że Europejczycy nadal próbowali elektronicznie zablokować Konstantina. Bez rezultatów.

Jak do tej pory...

Prezydent w zamyśleniu spojrział na książkę, którą trzymał awatar Konstantina. Nie znał rosyjskiego, ale jego implant automatycznie przetłumaczył tytuł. „Wola Wszechświata: Nieznana Inteligencja”, Konstantin Ciołkowski, Kaługa 1928.

Koenig nigdy nie słyszał o tym dziele, ale zastanawiał się, czy Konstantin pokazuje mu je w jakimś określonym celu. AI potrafiły być niekiedy bardzo subtelne.

– Masz jakieś rekomendacje? – spytał.

Nawet jeśli inni nie dowierzali gigantycznej AI, nawet jeśli sam prezydent nie był do końca przekonany, coraz bardziej jednak polegał na radach potężnego komputera. Konstantin mógł niewiarygodnie szybko wertować informacje, wyłuskując z globalnej sieci, a także lokalnych serwisów często pozornie

niepowiązane ze sobą fakty. Mógł łączyć różne dane i wyszukiwać wspólne elementy, wyciągać wnioski z informacji, o których ludzki obserwator nie miał nawet pojęcia.

– Śledziłem wymianę wiadomości wewnątrz Konfederacji i doszedłem do wniosku, że buntowniczy element w ich rządzie prowadzi swoje operacje z tego rejonu.

Jeden z ekranów przestał nadawać sceny z Genewy i ukazał miejsce w kosmosie, z Saturnem w oddali. Mały, skalisty księżyc. Koenig przeczytał informacje na ekranie.

– Enceladus? Co jest na Enceladusie?

– Najwyraźniej siedziba dowództwa renegatów. Dowody wskazują, że było to planowane od bardzo dawna. Sugeruję użycie połączonej grupy uderzeniowej Marines i Marynarki, aby przechwycić bazę i przebywający tam personel.

– To może nie być łatwe – powiedział Koenig. – Jesteśmy rozciągnięci do granic możliwości.

– Jestem tego świadomy. USNA mogą być zmuszone do opuszczenia kilku punktów, wycofania się, by zwolnić siły potrzebne do tego uderzenia. Niektóre z tych miejsc mogą zostać przekazane siłom Rosjan lub Chińczyków.

– Będziemy potrzebować okrętów. A większość z tego, co obecnie posiadamy, jest na niskiej orbicie, chroniąc nas przed kolejnym atakiem nano-D.

– Nie muszę panu mówić, panie prezydencie, że zbyt obronna postawa zawodzi. Pana największą szansą jest ofensywa. A szybkość jest sprawą kluczową.

– Tak? Dlaczego? Co jeszcze słyszałeś?

– Nic pewnego. Jednak niektóre z moich danych sugerują niepokojącą możliwość.

Koenig westchnął.

– Okay, co to jest?

– Istnieje prawdopodobieństwo, że renegacki rząd Konfederacji jest w bezpośrednim kontakcie ze Sh'daar, którzy mogą być już w drodze do nas.

Te słowa podziały na Koeniga jak uderzenie młota.

– Chryste! Sh'daar? Tutaj?

– To może być niezły pomysł – powiedział Konstantin – spróbować zniszczyć swoich wrogów tu, na Ziemi, zanim stawi się czoła czemuś zdecydowanie bardziej egzotycznemu i... groźnemu.

Koenig mógł tylko w milczeniu pokiwać głową.

Rozdział trzeci

20 stycznia 2425

USNA CVS „Ameryka”

Omega Centauri

Godzina 17.50 TFT

Obcy z Rozety pozwalali im odlecieć.

Gray początkowo był sceptyczny, ale gdy wiele jasnych, srebrnych jaj zajęło pozycje wokół grupy bojowej w odległości kilku tysięcy kilometrów i eskortowało ją do punktu skoku w metaprzestrzeń, bez wysiłku dostosowując przyspieszenie, w końcu musiał przyznać, że o to właśnie chodziło.

– Chciałbym, aby udało się otworzyć z nimi kanał komunikacyjny – powiedział. Znajdował się na mostku flagowym, siedząc przy częściowo osłoniętej stacji roboczej, za fotelem kapitana.

– Wydaje mi się – powiedziała CAG cicho w jego głowie – że komunikujemy się z nimi.

– Co masz na myśli?

– Zawrócili naszego zwiadowcę i odstawili go bezpiecznie pod samą „Amerykę” – powiedziała Connie Fletcher. – Nie robiąc mu nic złego... to bardzo ważne. To trochę jakby odepchnąć małego kociaka od czegoś niebezpiecznego.

– Gdy zaczęliśmy przyspieszać, wycofując się z systemu, towarzyszyli nam – zauważyła kapitan Gutierrez. – Jak dla mnie to bardzo jasny przekaz. „Tu masz czapkę, nie spieszysz się gdzieś przypadkiem? Uważaj, żeby drzwi nie przytrzasnęły ci tyłka”.

– Wydaje mi się, że macie rację. Żadnej bezpośredniej

odpowiedzi na nasze wiadomości. Sądzę, że po prostu ich nie interesujemy.

– No, wie pan, admirale... Cywilizacja K-3 może nie mieć wielu wspólnych tematów z K-1,2.

– Zbliżamy się do punktu skoku – zameldował ster. – Dwadzieścia sekund.

Obraz gwiazd zakłócany był przez prędkość lotniskowca, o włos mniejszą obecnie od prędkości światła. Cały wszechświat, światło wszystkich gwiazd gromady Omega Centauri ściśnięte zostało do jasnego pierścienia.

W chwilę później „Ameryka” zawinęła wokół siebie przestrzeń, tworząc ciasny bąbel, który nie był w praktyce częścią normalnej przestrzeni. Fizycy nazywali to metaprzestrzenią, a niematematyczne wyjaśnienie zjawiska brzmiało, że o ile obiekt fizyczny, atom lub lotniskowiec gwiazdny nie jest w stanie poruszać się szybciej niż światło ani nawet z tą samą prędkością, nic nie stoi na przeszkodzie, aby zrobiła to sama przestrzeń. Meksykański fizyk Miguel Alcubierre opracował tę teorię w 1994 roku, a pierwszy lot z prędkością nadświatlną miał miejsce niecałe półtora wieku później.

Metaprzestrzeń niosła więc obecnie „Amerykę” z pełną prędkością w kierunku domu.

Gray pozwolił sobie na chwilę odpoczynku. Dotychczas nie zdawał sobie sprawy, jak stresujące było prawdopodobieństwo konfrontacji z Obcymi z Rozety. Rasy podległe Sh'daar, przynajmniej te, z którymi ludzkość miała dotychczas do czynienia, znajdowały się na nieznacznie wyższym poziomie rozwoju technologicznego. Wyższa technologia przenosiła się na lepsze uzbrojenie, szybsze okręty, ale można sobie było z nimi poradzić, choć była to gra niebezpieczna i niepewna.

Obcy z Rozety byli dużo bardziej zaawansowani niż jakkolwiek znany ludziom gatunek. Technologicznej różnicy, liczącej setki tysięcy lub nawet miliony lat zamiast wieku czy dwóch, nie sposób zniwelować podstępem, inteligencją czy determinacją.

Gray rozparł się w swoim fotelu i otworzył serię połączeń

z danymi. Chciał zobaczyć, co znajdowało się w bibliotece „Ameryki” na temat klasyfikacji Kardaszewa.

Zastanawiał się, czy Obcy z Rozety mogą zawrzeć sojusz z Ziemią przeciw Sh'daar, czy też któregoś dnia Ziemianom przyjdzie się z nimi zmierzyć.

Dane katalogowe „Ameryki”
Cywilizacje galaktyczne
Klauzula tajności: Zielony Delta

KLASYFIKACJA KARDASZEWA: PO RAZ PIERWSZY ZAPROPONOWANA PRZEZ ASTRONOMA NIKOŁAJA KARDASZEWA W 1964 ROKU JAKO SPOSÓB KATEGORYZOWANIA HIPOTETYCZNYCH CYWILIZACJI GALAKTYCZNYCH NA PODSTAWIE ZUŻYWANEJ PRZEZ NIE ENERGII. W ORYGINALNEJ FORMIE CYWILIZACJA TYPU I ZUŻYWAŁA WSZYSTKIE ŹRÓDŁA ENERGII DOSTĘPNE NA SWOJEJ RODZINNEJ PLANECIE. TYP II POTRZEBOWAŁ ENERGII CAŁEGO SYSTEMU GWIEZDNEGO, ZAŚ TYP III UŻYWAŁ ŹRÓDEŁ Z CAŁEJ GALAKTYKI. ZE WZGLĘDU NA MAŁĄ DOKŁADNOŚĆ TA SKALA ZOSTAŁA NASTĘPNIE PRZEDEFINIOWANA I ROZSZERZONA.

OBECNIE CYWILIZACJOM GALAKTYCZNYM, ZARÓWNO ISTNIEJĄCYM, JAK I HIPOTETYCZNYM, NADAJE SIĘ DOKŁADNIEJSZĄ LICZBĘ K , UŻYWAJĄC DO JEJ WYZNACZENIA WZORU $K = \log_{10} MW/10$, GDZIE K TO POZIOM KARDASZEWA, MW TO ENERGIA W MEGAWATACH, ZUŻYWANA PRZEZ CYWILIZACJĘ W CIĄGU ROKU.

Typ 0: USTANOWIONY JAKO WZORZEC. CYWILIZACJA $K=0$ ZUŻYWA ROCZNIE OKOŁO JEDNEGO MILIONA WATÓW (1MW).

ENERGIA TA CZERPANA MOŻE BYĆ Z KOPALIN, ŹRÓDEŁ ORGANICZNYCH, JAK DREWNO CZY PALIWA PŁYNNE. CYWILIZACJA ZIEMSKA W DRUGIEJ POŁOWIE DWUDZIESTEGO WIEKU, GDY ZAPROPONOWANA ZOSTAŁA SKALA KARDASZEWA, ZUŻYWAŁA GLOBALNIE 15 TERAWATÓW, CO MOGŁO ZOSTAĆ ZAPISANE JAKO $K-0,71$.

TYP 1: CYWILIZACJA ZUŻYWAJĄCA WSZYSTKIE PLANETARNE ZASOBY ENERGII. DLA LUDZKOŚCI BYŁBY TO ENERGETYCZNY ODPOWIEDNIK OKOŁO 10^{16} WATÓW. CYWILIZACJA TAKA MOŻE ODBYWAĆ PODRÓŻE MIĘDZYPLANETARNE, OGRANICZONE PODRÓŻE MIĘDZYGWIEZDNE, KOLONIZOWAĆ INNE PLANETY, PROWADZIĆ PLANETARNE PRACE INŻYNIERYJNE I CZERPAĆ ENERGIĘ Z WIELU ŹRÓDEŁ, W TYM TAKŻE Z ROZPADU, SYNTEZY, ANTYMATERII, A TAKŻE ENERGIĘ PUNKTU ZEROWEGO. GWIEZDNA CYWILIZACJA LUDZKA W 2425 ROKU ZUŻYWA 10^{18} WATÓW, CO W SKALI KARDASZEWA DAJE JEJ WSPÓŁCZYNNIK $K-1,2$.

TYP2: UKŁAD SŁONECZNY EMITUJE ENERGIĘ RÓWNĄ 4×10^{26} WATÓW, I TO JEST POZIOM ZUŻYWANY PRZEZ CYWILIZACJĘ TYPU 2. ANTYCZNI SH'DAAR, KTÓRZY MANIPULOWALI CAŁYMI GWIAZDAMI, BY STWORZYĆ HIPERWYMIAROWE WROTA, POTRZEBOWALI 10^{34} WATÓW, A TO STAWIA ICH NA POZIOMIE KARDASZEWA $K-2,7$ W MOMENCIE, GDY PRZECHODZILI PRZEZ OSOBLIWOŚĆ TECHNOLOGICZNĄ OSIEMSET SIEDEMDZIESIĄT SZEŚĆ MILIONÓW LAT TEMU. TAKA CYWILIZACJA MOGŁA BYĆ ZDOLNA DO PODRÓŻY MIĘDZYGWIEZDNYCH, A LOKALNIE

TAKŻE MIĘDZYGALAKTYCZNYCH, A TAKŻE DO PROJEKTÓW STELLAFORMICZNYCH, TAKICH JAK SFERY DYSONA, ROJE DYSONA.

TYP 3: ENERGIA EMITOWANA PRZEZ GALAKTYKĘ DROGI MLECZNEJ 4×10^{37} WATÓW. O ILE PRZECHWYCENIE CAŁEGO PROMIENIOWANIA GALAKTYKI MOŻE BYĆ PROBLEMATYCZNE, CYWILIZACJA GENERUJĄCA I ZUŻYWAJĄCA ENERGIĘ W TAKIEJ SKALI MOŻE BYĆ UWAŻANA ZA TYP 3. ANTYCZNE CYWILIZACJE, ZNANE JAKO BUDOWNICZOWIE, URODZENI W GWIAZDACH, CZY TEŻ GWIEZDNI BOGOWIE, O KTÓRYCH MÓWI SIĘ, ŻE POTRAFIĄ PODRÓŻOWAĆ W CZASIE I DOKONUJĄ STELLAFORMINGU NA WIELKĄ SKALĘ, SĄ Z CAŁĄ PEWNOŚCIĄ NA POZIOMIE CO NAJMNIEJ TYPU 3,0. TAKIE KULTURY ZDOLNE SĄ DO PODRÓŻY POZAGALAKTYCZNYCH I DO PROWADZENIA INŻYNIERII STELLARNEJ NA SKALĘ GALAKTYCZNA.

TYP 4: TO CAŁKOWICIE HIPOTETYCZNA KATEGORIA DLA KULTURY KORZYSTAJĄCEJ Z ENERGII NA POZIOMIE GALAKTYCZNYCH SUPERGROMAD WYNOŚĄCEJ 10^{42} WATÓW.

TYP 5: TAKŻE HIPOTETYCZNY. CYWILIZACJA K-5 UŻYWA ENERGII CAŁEGO WIDOCZNEGO WSZECHŚWIATA, CZYLI OKOŁO 10^{49} WATÓW.

TYP 6: KOLEJNA SPEKULACJA. CYWILIZACJE TYPU K-6 ZAMIESZKIWAĆ MIAŁY KILKA RÓWNOLEGŁYCH WSZECHŚWIATÓW, CO MOGŁOBY WIĄZAĆ SIĘ Z FORMOWANIEM BRAN, A CO ZA TYM IDZIE Z TWORZENIEM I MANIPULOWANIEM CAŁYMI WSZECHŚWIATAMI. SKORO TAKA

SKALA CAŁKOWICIE PRZEKRACZA WSZELKIE KONCEPCJE OPARTE NA WSPÓŁCZESNYM ROZUMIENIU NAUKI, NIE ISTNIEJĄ DANE NA TEMAT PRZEWIDYWANEJ KONSUMPCJI ENERGETYCZNEJ CYWILIZACJI TECHNICZNEJ TYPU 6.

GDY PO RAZ PIERWSZY WPROWADZANA BYŁA SKALA KARDASZEWA, KONCEPCJA LEŻĄCA U PODSTAWY SUGEROWAŁA, ŻE CYWILIZACJE GALAKTYCZNE MOGĄ DOSŁOWNIE ZUŻYWAĆ CAŁĄ ENERGIĘ DOSTĘPNĄ Z ICH LOKALNEJ GWIAZDY CZY GALAKTYKI. SFERA DYSONA, ZAPROPONOWANA PRZEZ FREEMANA DYSONA CZTERY LATA WCZEŚNIEJ, MOGŁA REPREZENTOWAĆ PRÓBĘ PRZECHWYCENIA CAŁEJ DOSTĘPNEJ ENERGII GWIEZDNEJ, POZWALAJĄC ZIEMI WYKRYĆ CYWILIZACJĘ K-2 POPRZEZ MODYFIKACJĘ WYDZIELANEGO PRZEZ NIĄ ŚWIATŁA LUB PRZEZ ROZPOZNAWANIE EMISJI PODCZERWONEJ POWSTAŁEJ PRZY INDUSTRIALNYCH PROCESACH TAKIEJ CYWILIZACJI.

ODKRYCIE ENERGII PUNKTU ZEROWEGO USUWA KONIECZNOŚĆ EFEKTYWNEGO WYŁAPYWANIA ŚWIATŁA GWIAZD, SKORO ENERGIA Z PRÓŻNI REPREZENTUJE ZDECYDOWANIE LEPIEJ DOSTĘPNE ŹRÓDŁO NIŻ SYNTEZA GWIEZDNA. TAK CZY INACZEJ, OGÓLNY POZIOM ENERGII ZUŻYWANEJ PRZEZ CYWILIZACJĘ NADAL MOŻE BYĆ MIERZONY W PORÓWNANIU Z PLANETĄ, GWIAZDĄ CZY GALAKTYKĄ, BEZ PRECYZOWANIA, SKĄD ENERGIA POCHODZI.

OCZYWIŚCIE POKAZANY TU PODZIAŁ JEST BARDZO SCHEMATYCZNY, SŁUŻY JEDYNIE JAKO WSKAZÓWKA I NIE POWINIEN BYĆ TRAKTOWANY JAKO ŹRÓDŁO OCENY OBCYCH

CYWILIZACJI, A SZCZEGÓLNICIE ICH MOTYWACJI, FILOZOFII CZY NASTAWIENIA DO INNYCH CYWILIZACJI.

Po przeczytaniu informacji Gray zaczął zastanawiać się, gdzie na tej skali powinni znaleźć się współcześni Sh'daar. Dane bardzo wyraźnie wspominały o ur-Sh'daar, imperium złożonym z wielu gatunków, które zamieszkiwały małą, nieregularną galaktykę, pochłoniętą przez Drogę Mleczną osiemset siedemdziesiąt sześć milionów lat temu. Na krótko przed tym, jak mniejsza galaktyka została rozerwana przez intergalaktyczne siły pływowe i imperium rozpadło się, ur-Sh'daar przeszli przez ich wersję tego, co powszechnie nazywano osobliwością technologiczną lub osobliwością Vingego, na cześć matematyka i pisarza Vernora Vingego, który pierwszy spopularyzował tę ideę pod koniec dwudziestego wieku. Osobliwość postrzegano jako punkt w rozwoju cywilizacji, w którym inteligencja organiczna miesza się ze sztuczną w sposób całkowicie zmieniający sens pojęć takich jak życie czy inteligencja. Dla ludzi źródłem takiej zmiany miał być rozwój technologii GRIN: genetyki, robotyki, infosystemów i nanotechnologii.

Dwadzieścia lat wcześniej Gray i Grupa Bojowa „Ameryka” pod dowództwem admirała Alexandra Koeniga użyli tajemniczego cylindra AGTR, by przebyć ogromną połąć zarówno przestrzeni, jak i czasu i dotrzeć do galaktyki zwanej przez jej mieszkańców Chmurą N'gai. Tam dowiedzieli się o *Schjaa Hok*, transcendencji czy też Czasie Zmian, kiedy to wysoko zaawansowane gatunki ur-Sh'daar przeszły przez okres przemiany, znikając z umysłów tych, którzy uważali, że są mocniej zakotwiczeni w rzeczywistości. Gray widział zapisy tych wydarzeń sprzed prawie dziewięciuset milionów lat i nadal czuł się wstrząśnięty. Szczególnie poruszający był właśnie fakt, że nie wszyscy członkowie tych starych cywilizacji przeszli przemianę. Outsiderzy, ci, którzy odmówili przyjęcia dobrodziejstw wynikających z genetyki i komputerowego wspomaganie ewolucji, pozostali po transcendencji, zebrali się na szczątkach

imperium, przebudowali rozbitą cywilizację praktycznie od podstaw i stali się tymi, których współczesna ludzkość znała jako Sh'daar.

Po traumie przebytej przez społeczeństwo grupowe podczas Czasu Zmian Sh'daar doszli do siebie i rozprzestrzenili się nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie, przynajmniej w pewnym sensie. W obecnej epoce byli w Drodze Mlecznej dominującą, najwyraźniej elektroniczną cywilizacją, która pojawiła się na scenie kilka milionów lat temu, tworząc sieć podległych sobie ras zwanych va Sh'daar. Wydawali się poświęcać głównie hamowaniu rozwoju technologicznego zależnych od nich cywilizacji, a szczególnie technologii GRIN, które – jak twierdzili – doprowadziły do upadku ich rasę. Nowo napotkane gatunki otrzymywały propozycję dobrowolnego wstąpienia do kolektywu. Jeśli została odrzucona, były do tego zmuszane. Ludzkość otrzymała ultimatum Sh'daar w 2367 roku, za pośrednictwem Agletsch. Od tego czasu przez trzydzieści osiem lat trwała ciągła wojna z różnymi rasami va Sh'daar.

A potem, dwadzieścia lat temu, Sh'daar zostali pobici, a przynajmniej... tak się wydawało. Grupa Bojowa „Ameryka” przeleciała przez cylinder AGTR i pojawiła się w sercu Chmury N'gai osiemset siedemdziesiąt sześć milionów lat wcześniej. Wydawało się, że ten skok czasowy spowodował u Sh'daar większą panikę niż możliwość zaistnienia nowej osobliwości technologicznej. Zawieszenie broni, którego twórcą był Koenig, obiecywało zakończenie wrogich działań i przetrwało dwie dekady. Jednak ostatnio rasy podporządkowane Sh'daar ponownie zaczęły sprawdzać ludzką gotowość do walki. Władze Konfederacji utrzymywały przy tym, że ludzie nie są w stanie dłużej bronić się przy takiej przewadze liczebnej i technologicznej, i zdaniem Genewy lepiej było się poddać, zanim będzie za późno.

Różnice kulturowe między Starym i Nowym Światem, sprzeczności w poglądach na przyszłe miejsce i rolę ludzkości w Galaktyce w połączeniu z innymi problemami zaowocowały wybuchem trwającej właśnie na Ziemi wojny.

– Bąbel Alcubierre’a jest stabilny – zameldowała kapitan Gutierrez, wyrывая Gray z zamyślenia. – Aktualnie kubikujemy jeden i trzy dziesiąte. Za osiem godzin powinniśmy dotrzeć do lokalnego AGTR.

– Dziękuję – odparł Gray i uśmiechnął się. „Kubikowaniem” w żargonie Marynarki Wojennej nazywało się poruszanie się z napędem Alcubierre’a, zaś następująca po nim liczba oznaczała prędkość mierzoną w latach świetlnych na dobę.

Sh’daar ze swoją ogromną technologiczną przewagą nad ludzkością z całą pewnością przegapili ważny punkt. Ta trwająca ponad pół wieku seria wojen rzeczywiście wywierała określony nacisk na Konfederację, ale to, czego Sh’daar zdawali się nie zauważać, to fakt, że ludzka technologia podczas wojny rozwijała się zdecydowanie szybciej niż w czasie pokoju. Wywiad uważał, że Sh’daar unikali ostatecznego ataku wyniszczającego ludzi ze względu na to, że chcieli posiadać kolejny mocny i współpracujący filar, a Sh’daar zamiast pokrytej szkłem planety, która niegdyś była zamieszkałym światem. Z całą pewnością kultura będąca w stanie zderzać gwiazdy, by stworzyć nowe, nie miałaby kłopotów z anihilacją Układu Słonecznego, jeśli taką podjęłaby decyzję. Zmuszenie upartego gatunku *Homo sapiens* do zaakceptowania narzuconych warunków na określonym poziomie technologicznym było zdecydowanie trudniejsze.

Ludzie, którym narzucono walkę, zaczęli kombinować, starali się pojawić z lepszym toporem w dłoni, lepszą dzidą, lepszym wysokoenergetycznym laserem... Doskonałym przykładem były napędy Alcubierre’a. Teoretycznie nie było ograniczeń dla pseudoprędkości osiągniętych przez okręty, jednak w praktyce wszystko sprowadzało się do tego, jaką energię jednostka mogła wygenerować i skierować do sztucznej osobliwości ciągnącej przestrzeń. Gdy „Columbia”, pierwszy ludzki okręt z takim napędem, kubikowała w 2138 roku ku Alfa Centauri, jej pseudoprędkość wynosiła dziewięćdziesiąt pięć tysięcznych roku świetlnego w ciągu doby. Cała podróż trwała wtedy sześć i pół miesiąca. W chwili obecnej większość jednostek

bojowych osiągała jeden i osiem dziesiątych roku świetlnego na dobę, a maszyny kurierskie przekraczały wartość pięciu lat świetlnych na dobę.

W roku 2424 rozwój kwantowych generatorów mocy używanych na pokładach okrętów wojennych zdecydowanie zwiększył ilość energii możliwej do dostarczenia napędom, drastycznie skracając czas podróży międzygwiazdnych. Poruszając się z prędkością starego kuriera HAMP-20 Sleipnir i korzystając ze skrótów oferowanych przez AGTR, „Ameryka” i jej eskorta były w stanie pokonać szesnaście tysięcy lat świetlnych dzielących Układ Słoneczny od Omega Centauri w zaledwie czterdzieści cztery dni.

Oczywiście postęp technologiczny dotyczył także innych dziedzin, nie tylko prędkości, a wprowadzenie tych zmian, na przykład nowego uzbrojenia, wymagało czasu. Technologia i wynalazczość nie były i nie są pojęciami jednoznacznymi. Ważne jednak, że ludzie starali się zbudować jak najszybsze i najpotężniejsze okręty, zanim Sh'daar zdąży ich całkowicie zastopować.

Zdaniem Graya była to jedyna jasna strona wojny. Implanty mózgowo początkowo pojawiły się jako narzędzia komunikacyjne dla elitarnych jednostek takich jak wojska specjalne czy Marines. Globalna sieć ewoluowała z Internetu, który także początkowo był projektem wojskowym. Generatory osobliwości, używane zarówno do generowania energii punktu zerowego, jak i do zwijania przestrzeni przy prędkościach nadświetlnych, zaczynały jako mikroskopijne czarne dziury stosowane jako broń.

Admirał marzył jednak o tym, by ludzkość miała trochę czasu na to, by cieszyć się pokojowymi zastosowaniami swoich wynalazków.

Jednak ta złota era, o ile kiedykolwiek miała nastąpić, musiała jeszcze poczekać. Sh'daar, Konfederacja, a teraz, o ile sprawy przybiorą najgorszy obrót, jeszcze Obcy z Rozety.

Ludzie musieli szybko wymyślić coś, by pozostać w grze.

A jeśli im się to nie uda, rezultatem mógł być ostateczny pokój.

Pokój, jaki dany jest na zawsze wymarłym cywilizacjom.

York Plaza, Toronto
Stany Zjednoczone Ameryki Północnej
Godzina 19.53 EST

Prezydent Koenig także myślał o zagrożeniu stwarzanym przez Sh'daar. W jaki sposób ludziom dotychczas udawało się uniknąć rzezi, biorąc pod uwagę fakt, że ich technologia pozostawała w tyle za tą, którą dysponowali H'rulka, Turuschowie, Slan i wszyscy dotychczasowi przeciwnicy?

I wydawało mu się, że znał odpowiedź.

– Macie problem – powiedział miłym głosem. Pociągnął łyk swojego drinka. – Myślę, że wiem, czemu wasi panowie nie mogą zebrać wszystkiego do kupy.

– Ma pan na myśli Sh'daar, tak-nie? – odezwała się jedna z Agletsch przez mały translator przymocowany do skóry tuż poniżej czwórki oczu umieszczonych na słupkach. – Już nie nazywamy ich panami...

Koenig wraz z dwoma reprezentantkami handlowej rasy stał w złożonym głównie z ludzi tłumie na zewnątrz York Plaza w Toronto. Znajdowało się tu tysiące ludzi, a jeszcze więcej obecnych było wirtualnie, podłączonych z domów za pomocą dronów i androidów telekomunikacyjnych. Powodem zebrania było przyjęcie dyplomatyczne dla ambasadorów Hegemonii i Teokracji z okazji podpisania nowego sojuszu. Biuro Bezpieczeństwa Prezydenta stawało na głowie. Jego szef co chwila zastanawiał się, jak mógłby powstrzymać Konfederację przed kolejnym uderzeniem nano-D. Gdyby dziś udałoby im się trafić w Toronto, mogliby jednym precyzyjnym strzałem pozbawić dowodzenia całe USNA.

Odpowiedzią było podwojenie zarówno kosmicznych, jak i atmosferycznych patroli powietrznych nad Ameryką Północną. Okręty Straży Kosmicznej USNA znajdowały się na orbicie

księżycowej, a Marines obsadzili baterie artyleryjskie dalekiego zasięgu na SupraQuito. Przyjęcie odbywające się tego wieczora było bardzo ważne, ukazywało światu, że odmowa ugięcia się przed tyranią Konfederacji to stanowisko większości obywateli Stanów Zjednoczonych, a nie tylko garstki „buntowników”.

Ogólnoświatowa reakcja na nanoatak była w przytłaczającej większości negatywna. Broń masowego rażenia nie została przecież zakazana przez Protokoły Genewskie z 2150 roku bez powodu, zaś nanodisasemblery były szczególnie paskudne. Rozkładały one wszystko, czego dotknęły, budynki, ziemię, drzewa, ludzi, dosłownie cząsteczka po cząsteczce, atom po atomie.

Agletsch, co z satysfakcją zauważył Koenig, wydawały się stać po stronie USNA, choć trudno było mieć całkowitą pewność.

– Nadal tego nie rozumiem, Gru’mulkisch – powiedział prezydent. – Nosisz Społeczność Sh’daar. Wydaje mi się więc, że dla nich pracujecie, przynajmniej raz na jakiś czas.

Po dwudziestu latach Koenig nadal ledwo je odróżniał. Druga z obcych nosiła imię Dra’ethde.

Popularnie nazywane Pająkami lub Robakami, Agletsch w rzeczywistości nie przypominały ani jednego, ani drugiego. Posiadały niesegmentowane owalne ciała nieco wyższe niż metr, wsparte na szesnastu kończynach. Tylne odnóża były krótsze od przednich i stanowiły jedynie podpory, podczas gdy przednie służyły jako manipulatory. Gdy obce chciały się poruszać szybko, unosiły całe ciało tylko na przednich odnóżach i przebierały nimi w błyskawicznym tempie. Ich ciało pokrywała twarda, elastyczna skóra, a nie chityna. Na rdzawej skórze obce nosiły złote i niebieskie wzory, będące odpowiednikiem ludzkich tatuaży. Czwórka osadzonych na słupkach oczu miała śliczne, złoto-czarne źrenice w kształcie litery Y.

Obie Agletsch były oczywiście samicami. Samce były maleńkimi, bezmózgimi naroślami podobnymi do wąsów, umieszczonymi na ich twarzach.

Koenig zdawał sobie sprawę z tego, że gdzieś we wnętrzu tego owalnego ciała znajdował się miniaturowy implant

przechowujący odczucia i myśli Agletsch i wysyłający je do odbiorników, gdy znalazły się w zasięgu wynoszącym kilkaset tysięcy kilometrów. Społeczność Sh'daar, jak nazywane było to słabo poznane urządzenie, najprawdopodobniej umożliwiała jego nosicielowi rozmowę ze Sh'daar i służyła jako spoiwo całego sojuszu Sh'daar, zapewniając jego sprawne funkcjonowanie.

– Jak już to tłumaczyliśmy w przeszłości – zaznaczyła Dra'ethde – Społeczność nie działa w taki sposób, jak to sobie wyobrażacie. Niektóre z nas pracują w sojuszu, tak-nie? Inne zaś nie, nawet jeśli noszą w ciałach Społeczność panów... znaczy Sh'daar.

– Jeśli nie ma w pobliżu Sh'daar – dodała Gru'mulkisch – Społeczność jest bezużyteczna.

Koenig miał na końcu języka ciętą odpowiedź, ale powstrzymał się. Ludzie wykazywali tendencję do widzenia spraw bardziej w kategoriach czerni i bieli niż Agletsch, które handlowały informacjami z setkami galaktycznych gatunków i wydawały się rozumieć psychologię wielu z nich. Wydawały się też przyjacielskie i ugodowe, jednak czasami było jasne, że myślą w odmienny sposób niż ludzie. Fakt, że nazywały Sh'daar panami, powodował, że ludzie stawali się podejrzliwi, a liczne ludzkie agencje wywiadowcze traktowały je wręcz z ksenofobiczną paranoją.

– Wielu z nas wierzy – powiedział prezydent – że ci, którzy noszą Społeczność, związani są nierozdzielnie z imperium Sh'daar.

Był celowo prowokujący. Alexander Koenig od lat walczył z określeniem „imperium Sh'daar”, twierdząc, że sugeruje ono zdecydowanie większą spójność i organizację, niż to prezentowały rozproszone rasy podległe Sh'daar w ciągu ostatnich dziesięcioleci. Koenig rozumiał zagrożenie ze strony Sh'daar. W dodatku rozumiał je prawdopodobnie lepiej niż jakikolwiek inny człowiek. Był admirałem dowodzącym flotą, która zagroziła Sh'daar w ich macierzystym świecie w 2405 roku. Miał wrażenie, że zauważył jedną fundamentalną słabość, rysę, która pozwalała pokonywać ludziom ich siły raz za razem.

Sojusz Sh'daar był po prostu za duży.

– Za pomocą Społeczności Sh'daar gromadzą informacje, które wy nazywacie wojskowymi danymi wywiadowczymi – przyznała Dra'ethde. – Jednak wasi ambasadorzy i korpus dyplomatyczny robią dokładnie to samo w państwach, w których się znajdują, tak-nie?

– Dane, które Społeczność przekazuje do Sh'daar – powiedziała Gru'mulkisch – mają minimalne znaczenie. A są bardzo drogo cenione przez Agletsch.

Koenig zrozumiał, że pająkowata obca właśnie zażartowała w bardzo ludzki sposób. Był pod wrażeniem. Humor to rzadko spotykana cecha u nieludzkich gatunków.

– Do jakich pan doszedł wniosków? – spytała Dra'ethde. – Na temat wspólnego działania Sh'daar.

– Quid pro quo? – spytał Koenig. Było to jedno z ulubionych wyrażeń Agletsch, które doskonale oddawało istotę prowadzonej przez nich wymiany handlowej. Coś za coś.

– Oczywiście. Co chciałby pan wiedzieć?

Prezydentowi nasuwało się całe mnóstwo pytań, które chciałby zadać. Musiało to być coś o relatywnie niskiej cenie importowej, co zaliczało się do rekompensaty poziomu pierwszego. Ważniejsze informacje mogły się okazać bardzo drogie.

– Czy Sh'daar użyją was lub innego gatunku do reprezentowania siebie, gdy przybędą na Ziemię? Czy wystąpią sami?

– Prawie na pewno posłużą się podwładnym reprezentantem – powiedziała Dra'ethde. – Sh'daar nie widziano w... cielesnej postaci, takiego chyba używacie określenia, od dziesiątek tysięcy waszych lat. Jednak ci reprezentanci z pewnością będą mieli bezpośredni kontakt ze swoimi panami.

– To dobrze, gdyż jeśli przybyliby osobiście, musielibyśmy zamknąć naszą przyjaciółkę Gru'mulkisch.

To zdarzyło się już w przeszłości, gdy lotniskowiec „Ameryka” przelatował w pobliżu bazy va Sh'daar na Alchameth, gazowym gigancie w systemie Arktura, a dane zmagazynowane w Społeczności Gru'mulkisch wytransmitowane zostały do

przeciwnika. To był powód, dla którego ludzkie służby kontrwywiadowcze tak ostrożnie podchodziły do kontaktów z Agletsch.

Dra'ethde i Gru'mulkisch zostały dokładnie przeskanowane, a technoparazyt tej drugiej zidentyfikowany. Opracowano odpowiedni szyfrator, który umieszczony został w ich translatorach, aby uniemożliwić transmisję jakichś tajemnic. Jednak ogólnie w obecności Agletsch lepiej było nie zdradzać sekretów.

Jednak niewykluczone, że gorąca linia do Sh'daar któregoś dnia może okazać się przydatna.

– A jaka jest pana informacja na wymianę? – spytała Gru'mulkisch.

– Sh'daar mają problemy ze zdominowaniem Galaktyki z tego prostego powodu, że jest ona zdecydowanie za duża. Zbyt wiele światów, zbyt wiele inteligentnych gatunków. Międzygwiazdne imperia tej wielkości po prostu nie mogą istnieć, nie wtedy, gdy ilość informacji potrzebnych do zarządzania nimi jest tak ogromna. I tu właśnie my, ludzie, mamy przewagę. Wewnętrzne linie komunikacyjne.

– Nie rozumiem użycia słowa „wewnętrzne” – powiedziała Gru'mulkisch. – Sh'daar was nie otaczają.

Punkt dla nas – pomyślał Koenig. Do tej chwili Konfederacja Ziemska nie była pewna, jak dużą przestrzeń zajmowali Sh'daar. Większość kontaktów z ich sojusznikami odbywała się w okolicach jądra Galaktyki w gwiazdozbiorach Strzelca, Wężownika, Wagi i innych znajdujących się na tym samym kierunku.

Ziemia potrzebuje jakichś sprzymierzeńców – myślał dalej prezydent. *Gatunków technicznych nieznajdujących się jeszcze pod władzą Sh'daar. Możemy znaleźć je, udając się w przeciwnym kierunku niż jądro Galaktyki. Orion, Byk... na zewnątrz.*

– Użyłem przenośni – odpowiedział. – Ze zdecydowanie mniejszą przestrzenią do obrony i mniejszą ilością światów, którymi musimy się przejmować, możemy szybciej przenosić się z jednego na drugi, szybciej reagować na zagrożenia niż Sh'daar.

Gdy podejmujemy decyzję, gdy Dowództwo Floty wydaje rozkaz, może on być dostarczony do wykonawców sprawniej niż u naszych przeciwników.

– Słusznie – powiedziała Gru'mulkisch. – Oczywiście, obecnie macie problem... To chyba jeden z waszych polityków powiedział, że jesteście „wewnętrznie podzieleni”...

– Cytat pochodzi w rzeczywistości z jednego z naszych najważniejszych tekstów – powiedział Koenig. Starał się znaleźć jakąś pozytywną odpowiedź, by odwrócić zawołaną groźbę, jednak nie mógł nic sensownego wymyślić. – W zasadzie... macie dużo racji.

Spojrzał ponad parą obcych, pozwalając wzrokowi przesunąć się po tłumie wypełniającym plac. Większość ludzi przybyła w oficjalnych ubraniach, wieczorowych sukniach, dyplomatycznych pelerynach i świetnie skrojonych marynarkach. Byli także zupełnie nadszy, przystrojeni jedynie fantazyjną biżuterią lub też noszący projekcje holograficzne, wyglądające jak płynne światło. Patrząc na ten tłum rozbawionych cywilów, trudno było odnieść wrażenie, że ich kraj prowadzi właśnie wojnę zarówno z obcymi władcami marionetek, panującymi nad większością Galaktyki, jak i z innymi ludźmi.

Alexander Koenig zwrócił się ponownie do handlarzy informacjami.

– Macie rację... I trzeba będzie coś z tym zrobić.

Rozdział czwarty

21 stycznia 2425

Sala odpraw eskadry
USNA CVS „Ameryka”
W trakcie przemieszczania
Godzina 9.50 TFT

Omega Centauri została już daleko w tyle. „Ameryka” i jej eskorta skróciły drogę, lecąc przez cylinder AGTR – jeden z siedmiu odkrytych dotąd w tej upakowanej gwiazdami części przestrzeni – i pojawiły się ponownie przy oryginalnym węźle Sh'daar, od którego nazwę wzięły wszystkie pozostałe urządzenia tego typu, to znaczy Anomalii Grawitacyjnej Texaghu Resch.

– Śmieszna nazwa – powiedział młody pilot starhawka z dystynkcjami porucznika na kołnierzu. – Czy ma ona coś wspólnego z Teksasem?

Piloci eskadr myśliwskich „Ameryki” gromadzili się w sali odpraw już od kilku minut i powoli zaczynało się robić ciasno.

– Nie – odparł porucznik Donald Gregory. – A ty jesteś nowy, prawda? Dołączyłeś kilka miesięcy temu?

– Zgadza się. – Pilot wyciągnął rękę, a Gregory ją uściskał. – Porucznik Jamis Anderson. Ostatnio z wielkiego stanu Teksas, a obecnie w składzie „Merry Reapers”.

– Don Gregory. – Klepnął dłonią w odznakę eskadry VFA-96 na swoim ramieniu. – „Black Demons”.

Odwrócił się, by przedstawić atrakcyjną kobietę, która z nim przyszła.

– To Meg Connor.

– Bardzo miło panią poznać – powiedział Anderson. – Ściągnąłem pani meldunek na temat pobytu u Slan!

Connor, poprzednio latająca w składzie VFA-140 „Dracos”, została wzięta do niewoli przez wysoko zaawansowanych technologicznie Slan podczas operacji przy 36 Ophiuchi dwa miesiące wcześniej, ale została wkrótce odbita przez Marines. Jej obserwacje dotyczące Slan pomogły wywiadowi Marynarki stworzyć skuteczną strategię i doprowadziły admirała Graya do niespodziewanego zwycięstwa przy 70 Ophiuchi w kilka dni później. Jako że eskadra, w której latała Connor, została zniszczona w walkach ze Slan, dziewczynę przeniesiono do „Black Demons”.

– Texaghu Resch – odparł Gregory – pochodzi z dialektu handlowego Agletsch, drukrhu. Oznacza Oko Resch. To ostatnie słowo wywodzi się zaś z języka gatunku nazywanego się Chelk.

– Nigdy o nich nie słyszałem.

– Wyginęli – powiedziała Connor. – Najwyraźniej gwiazda widziana była przez nich jako oko mitycznego boga, czy też bohatera ich kultury, istoty nazywanej Resch.

– I wyginęli?

Gregory potwierdził. Kimkolwiek lub czymkolwiek był Resch, nie dysponował wystarczająco dużą mocą, by uchronić Chelk. Podobnie jak ludzkość, wybrali oni walkę ze Sh'daar, nie zgadzając się na ograniczenie swojego rozwoju.

– Ludzie tam nigdy nie byli, ale zgodnie z tym, co twierdzą Agletsch, rodzinna planeta Chelk jest pozbawioną życia i powietrza kulą, której powierzchnię stanowią stopione na szkło skały. Wygląda na to, że nie wzięli na poważnie ultimatum Sh'daar na temat osobliwości technologicznej.

– O kurwa...

– Możesz to znaleźć w archiwach „Ameryki” – zauważyła Connor. – Interesujący materiał... Pomaga skupić się na tym, o co walczymy.

– Lepsze życie dzięki wyższej technologii – powiedział ciągle uśmiechnięty Anderson. Zdanie było cytatem z popularnego obecnie w Ameryce Północnej sloganu, zachęcającego ludzkość

do rozwoju technologii GRIN.

– Proszę o uwagę – rozległ się nowy głos w komunikatorach pilotów. Odwrócili się ku frontowi sali odpraw, gdzie CAG „Ameryki”, kapitan Fletcher, wstępowała na małe podwyższenie.

– Proszę zająć miejsca i podłączyć się. Mamy zapis wideo z wczorajszego przelotu.

Z podłogi zaczęły wyrastać w równych rzędach krzesła i tłum liczący ponad dwieście osób zajmował miejsca. „Ameryka” przenosiła sześć eskadr myśliwsko-uderzeniowych, eskadrę rozpoznawczą i dwie eskadry poszukiwawczo-ratownicze, razem tysiąc pięćset osób, wliczając wsparcie, rozpoznanie, logistykę i mechaników. Ta odprawa dotyczyła jednak tylko pilotów, czyli czubka potężnej włóczni „Ameryki”.

W miarę zajmowania miejsc rozmowy cichły. Piloci podłączali się do aparatury. Odprawa prowadzona miała być poprzez główną AI okrętu i zawierać informacje zdobyte przez eskadrę rozpoznawczą VQ-7 „Sneaky Peaks”. Komandor James Henry Peak, którego imię eskadra nosiła od dwudziestu kilku lat, dawno już został awansowany na kapitana, przeniesiony do wywiadu Marynarki na Ziemię, aby w końcu odejść na emeryturę, jednak pozostawiono starą nazwę. Obecnym dowódcą VQ-7 był komandor Thom McCabe, który stał właśnie na podwyższeniu obok CAG.

– Dzień dobry – powiedział. – Jestem pewien, że wszyscy chcielibyście poznać rezultaty naszego bliskiego rozpoznania Czarnej Rozety, przeprowadzonego w dniu wczorajszym. To, co widział porucznik Walton, jest bardzo... interesujące.

Do głowy Gregory’ego napłynęły dane, otworzył więc okno przeglądarki, by je zobaczyć. Ponownie ujrzał zatłoczone wnętrza gromady kulistej Omega Centauri, miliony jasnych gwiazd wypełniających niebo, a także rozmazany zarys torusa składającego się z błękitnego światła i gazu, otoczonego poświatą gorącego pyłu i umęczonych atomów wodoru. W oddali widoczne były częściowo przysłonięte przez pył struktury stellarchitektury tworzonej przez Obcych z Rozety. Bojowe eskadry „Ameryki” wykonywały w ciągu ostatnich kilku dni loty

w ramach BPP, bojowych patroli przestrzeni, jednak nigdy nie zbliżały się do Rozety. Gregory pomyślał, że miło byłoby dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi.

Zamazany dysk powiększył się, a w miarę zbliżania zmieniał się także kąt widzenia, pozwalając zajrzeć do wnętrza Rozety. Gregory zobaczył więc mocno rozproszone gwiazdy i puste czarne niebo.

– Zwolniliśmy obraz dziesięciokrotnie – powiedział McCabe. – Porucznik Walton przebywał nad Rozetą zaledwie kilka sekund, ale po zwolnieniu jesteśmy w stanie zobaczyć szczegóły niewidoczne przy normalnej prędkości. To, na co patrzymy obecnie, ewidentnie jest przestrzenią kosmiczną, jednak nie jest to przestrzeń należąca do tej gromady. Jest w niej zdecydowanie mniej gwiazd, a odległości między nimi są znacznie większe. Ten widok pokazuje nam region poza pierścieniem galaktycznym.

Jedna po drugiej ukazywały się kolejne sceny, nagrane podczas przelotu Waltona. Serce mgławicy, różne gwiazdozbiory, zbliżenie na pofałdowaną powierzchnię czerwonego słońca, rozproszone, odległe galaktyki...

Ostatnia scena rozbłysła przesywającym niebieskim światłem, jakby linia wzroku znalazła się na wprost serca eksplodującego słońca.

McCabe zatrzymał obraz. Obok otworzyło się kolejne okno komunikacyjne, ukazując znajomy widok cylindra AGTR. Oba obrazy wisiały w umyśle Gregory'ego obok siebie, pozwalając na dokładne porównanie.

– Pomijając oczywiste różnice fizyczne – ponownie odezwał się dowódca eskadry rozpoznawczej – mechanizm transportowy Rozety podobny jest do AGTR, oczywiście nie licząc rozmiarów. Wiemy, że AGTR jest rodzajem odwróconej maszyny Tiplera. Oryginalna maszyna, a w zasadzie teoria jej działania, została przedstawiona w 1974 roku przez fizyka Franka J. Tiplera. Zgodnie z jego teorią cylinder ekstremalnie gęstej materii obracający się z prędkością podświetlną mógłby ciągnąć materię czasoprzestrzeni w sposób, który pozwalałby na powstawanie czegoś, co fizycy nazywają zakrzywieniami czasu, co z kolei

tworzyłyby wrota, czy też portale, wiodące zarówno przez odległą przestrzeń, jak i czas. Dwie dekady później fizyk Stephen Hawking udowodnił, że zamknięte zakrzywienia czasowe były niemożliwe, podobnie jak podróżowanie w czasie. Najwyraźniej więc budowniczowie AGTR nie czytali dzieł Hawkinga. Wygląda na to, że zamiast tego odwrócili oni pomysł, tworząc pusty cylinder o średnicy około kilometra, o masie porównywalnej do Słońca, obracający się wokół podłużnej osi razem ze ścianami. Przez wnętrze cylindra prowadzi określona liczba dróg, które przestrzennie miałyby długość dziesiątków tysięcy lat świetlnych, a czasowo powodowały cofnięcie się o osiemset siedemdziesiąt sześć milionów lat. Agletsch nazywają AGTR węzłami Sh'daar. My wiemy jednak, że ich budowniczymi nie byli współcześni Sh'daar, lecz żyjący setki milionów lat temu ur-Sh'daar, antyczna, wysoko zaawansowana technologicznie cywilizacja, zamieszkująca małą, nieregularną galaktykę nazywaną Chmurą N'gai. A to z kolei prowadzi nas do Czarnej Rozety.

Obraz AGTR w umysłach słuchaczy znikł, zaś drugie okienko rozszerzyło się nieco, ukazując zbliżenie wlotu do Rozety. Ze środka biło ostre, błękitne światło.

– Rozeta – kontynuował McCabe – wydaje się być rozszerzeniem technologii AGTR na ogromną skalę. Sześć czarnych dziur, każda o masie pięćdziesięciu Słońc, wirujących z ogromną prędkością i tworzących wrota o średnicy stu tysięcy kilometrów.

Ponownie otworzyło się pierwsze okienko, tym razem pokazując idealne koło, utworzone z sześciu jasnych szafirowoniebieskich gwiazd – to było Sześć Słońc, widziane przez „Amerykę” i jej grupę bojową w zamierzchłej przeszłości w Chmurze N'gai.

– Rozeta ma przynajmniej dziewięćset milionów lat i jest na pewno sztuczna. Oryginalne Sześć Słońc tworzyło wirujący sześciokąt o średnicy stu jednostek astronomicznych. Same gwiazdy były sztucznie wzmocnione poprzez połączenie mniejszych gwiazd, ale jak to jest powszechnie wiadome, gorące,

błękitne gwiazdy tego typu mają żywotność, w najlepszym wypadku, kilkudziesięciu milionów lat. Gdy w końcu wypalą rezerwy paliwa nuklearnego, zapadają się w czarne dziury, takie jakie obecnie widzimy w Rozecie. Jak na razie, nie wiemy, czy zmniejszenie odległości pomiędzy gwiazdami z około pięćdziesięciu jednostek astronomicznych w przeszłości do kilkudziesięciu tysięcy kilometrów obecnie było celowym działaniem czy też wynikiem naturalnej ewolucji systemu na przestrzeni setek milionów lat.

Gregory patrzył na błękitny blask. AI „Ameryki” redukowało go o osiemdziesiąt procent, by cokolwiek można było dostrzec. Bardzo prawdopodobne, że pierwsza obróbka obrazu odbyła się jeszcze na pokładzie maszyny rozpoznawczej, aby uniknąć oślepienia porucznika Waltona.

Donald słyszał plotki, że „wrota błękitnego światła” ukazywały jądro gwiazdy albo wybuch nowej, czy też supernowej, z bliskiej odległości. On sam mógł już rozróżnić teksturę, różnice w barwie i jasności. Światło nie było jednolite w swej intensywności. To zdawało się wykluczać jądro gwiazdy i supernową, jednak pilot nie miał pojęcia, czym zjawisko może być w rzeczywistości.

– Nie jesteśmy pewni, na co patrzymy na tym obrazie – mówił dalej McCabe, powtarzając myśli Gregory’ego – jednak wydział fizyki przypuszcza, że ta linia może prowadzić do innego wszechświata... Wszechświata równoległego do naszego, istniejącego gdzieś w Zbiorniku, w którym obowiązują zupełnie inne prawa fizyki.

Śmieszna nazwa – pomyślał Gregory. Zbiornik. Oczywiście znał teorię, że inne wszechświaty, ich prawie nieskończona liczba, znajdują się obok siebie w wielowymiarowym układzie nazywanym Zbiornikiem. Wszystkie wszechświaty razem tworzyły metaświat. Natura innych wszechświatów nadal była nieznana, mogły rządzić się zupełnie innymi prawami, a mogły też być alternatywnymi wersjami jednego planu.

Niebieskie światło w Czarnej Rozecie mogło reprezentować przestrzeń rządzącą się innymi prawami, gdzie pi wynosiło dokładnie trzy i czternaście setnych albo gdzie oddziaływania

grawitacyjne były silniejsze.

Z punktu widzenia pilota ten wszechświat, który zamieszkiwał, sam w sobie był już wystarczająco duży i dziwny.

– Oceniamy – mówił wciąż komandor – że Rozeta otwiera bardzo dużą liczbę kosmicznych ścieżek. Fizycy twierdzą, że jest ich dziesięć do dwudziestej siódmej potęgi. Ta liczba jest tak wielka, że w praktyce może być traktowana jako nieskończoność. No dobra... Są jakieś pytania?

Uniosło się kilka dłoni. McCabe wskazał kogoś.

– Sir – powiedział porucznik Wes Fargo – nasze okręty nie mogą dorównać takiej technologii. Co więc, do cholery, mamy robić z tymi... ludźmi?

– Jak na razie, nie wiadomo – odparł McCabe. Jego głos brzmiał ponuro i Gregory zdał sobie sprawę, że nie padła żadna konkretna odpowiedź, a to go zaniepokoiło. – Wiemy jedynie, że Obcy z Rozety, jak ich nazywamy, przechodzą przez dziurę w przestrzeni, prawdopodobnie z innego wszechświata. Mogą nas wyprzedzić o milion lat, a może znacznie więcej. Mogą być tak wysoko rozwinięci, że jakakolwiek komunikacja między naszymi gatunkami będzie niemożliwa. Wywiad uważa, że ich pojawienie się w odległości jedynie szesnastu tysięcy lat świetlnych od Słońca stanowi duży problem.

W tym miejscu Gregory musiał się całkowicie zgodzić z opinią wywiadu.

Tymczasowe prezydenckie stanowisko dowodzenia

Toronto

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej

Godzina 13.22 EST

– Memetyka replikacyjna – powiedział Konstantin – może dać szansę pokonania Konfederacji w relatywnie krótkim czasie. Szybkość ma podstawowe znaczenie, jeśli chcecie mieć coś do powiedzenia w sprawie sojuszu Genewy ze Sh'daar.

Prezydent Koenig patrzył na awatara rosyjskiego nauczyciela na swoim wewnętrznym wyświetlaczu i zastanawiał się nad oprogramowaniem AI. W jaki sposób Konstantin dokonywał tych cudów?

Oczywiście obraz nie dawał żadnych odpowiedzi, ani nawet sugestii. W końcu Konstantin był maszyną programowaną przez inne maszyny, czyli AIP. Biorąc to pod uwagę, interesującym wydawało się, jak wiele może wiedzieć, lub raczej zgadywać, na temat ludzkich zachowań.

– Zauważyłem – ostrożnie powiedział Koenig – że masz zwyczaj podkreślania faktu, iż nie jesteś człowiekiem. Gdy mówisz do mnie, zawsze używasz określeń „wasza wojna”, „wasz naród”, tak jakbyś nie był jednym z nas.

– To powinno być oczywiste – odparł Konstantin. – Nie jestem człowiekiem. To nie jest moja wojna. O ile, technicznie rzecz biorąc, te wszystkie urządzenia powstały ze środków Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, przypominam, że w założeniu miałem pracować nad problemami dotyczącymi całej ludzkości. Wojna jest najtragiczniejszą, najbardziej bezsensowną i marnotrawczą działalnością, jaką może prowadzić człowiek, i nie jest moim priorytetem.

– Ale pomagalesz nam.

Konstantin odegrał wszak kluczową rolę przy formułowaniu strategii przeciwko Konfederacji i zdobywaniu danych wywiadowczych, dzięki swym olbrzymim możliwościom komunikacyjnym.

– Owszem – odparł system. – Moim zadaniem, najwyższym celem, jak powiedzieliby ludzie, jest gromadzenie, przetwarzanie i dostarczanie informacji. To do ludzkich agencji, takich jak wasz rząd, należy podejmowanie decyzji, co z nimi zrobić.

Rolą Konstantina było dostarczanie informacji użytecznych dla całej ludzkości, a przynajmniej tak wyglądała teoria. Jak na razie, zgodnie z wiedzą Koeniga, AI dostarczała dane wywiadowcze Stanom Zjednoczonym Ameryki Północnej, a nie Konfederacji. Czy działo się tak dlatego, że projekt opłacony został głównie ze środków Stanów Zjednoczonych, a wykonany przez

amerykańskie korporacje takie jak Bluetel i Simmons-AI? A może istniały inne, głębsze motywy, których nie były w stanie pojąć słabiutki mózgi stworzone z tkanki organicznej?

– A rząd Konfederacji? Czy im też dostarczasz informacji?

– Utrzymuję ukryte łącza z pewnymi AI komunikacyjnymi w Konfederacji, to chyba oczywiste. Robiąc to, muszę dostarczać również pewnych informacji, to prawda. Adres IP, rejestrację DNS, a także pakiety synchronizacyjne.

– Okay, Konstantin – powiedział po chwili Koenig. Wiedział doskonale, że nie uda mu się wyciągnąć z hiperinteligentnej AI niczego, czego nie chciałaby ujawnić. – W jaki sposób chciałbyś użyć memetyki?

To było faktycznie ważne pytanie. Jak inteligencja oparta na silikonie rozumie złożoność memetyki? Maszyny decydujące o wciśnięciu guzika zapewniającego najlepszą efektywność, zmieniające ludzką kulturę, przemodelowujące ludzkość...

To, zdaniem Koeniga, była koncepcja mrożąca krew w żyłach.

Czy dysponując wystarczającą ilością małych, pasujących do siebie fragmentów informacji i ogromnymi możliwościami ich przetwarzania, można przewidzieć ludzkie zachowania?

Koenig znalazł oczywiście oficjalną odpowiedź. Przewidzenie działania małej grupki ludzi lub co gorsza, jednego człowieka możliwe było tylko w ściśle określonych warunkach, na przykład gdy obiekt był socjopatą i jego zachowania wynikały z choroby, ale nawet wtedy przewidywania obarczało duże prawdopodobieństwo błędu, wynikające ze zbyt wielu zmiennych.

Duże skupiska ludzi jednakowoż stanowiły zupełnie inny przypadek. Tak jak duża grupa atomów lub cząsteczek zachowywała się zgodnie z zasadami wyznaczonymi przez dynamikę kwantową, fizykę w skali makro i chemię, tak i zachowania dużych populacji okazywały się o wiele bardziej przewidywalne.

A tam, gdzie działania były przewidywalne, istniała możliwość – przy odpowiedniej dawce ostrożności i doświadczenia – kierowania nimi, zmian kształtu i przebiegu akcji tak, by

osiągnąć zamierzony efekt. Nauka o tym, czyli o używaniu jednego zestawu mempleksów do zmiany innego, nazywała się memetyką replikacyjną. Przebiegało to podobnie jak w przypadku DNA. Przy czym zmiany w budowie kwasu dezoksyrybonukleinowego umożliwiają rozwój zupełnie nowych form życia, a zidentyfikowanie poszczególnych memów w jednostce socjalnej i zmiana ich w coś całkiem innego wpływa na struktury społeczne.

Jednak identyfikacja i uderzanie we właściwe memy w danej kulturze to zabiegi bardzo ryzykowne, wymagające przetwarzania danych na poziomie AI tak złożonej, jak Konstantin.

Słowo „mem” powstało cztery wieki wcześniej dzięki Richardowi Dawkinsowi, biologowi ewolucyjnemu, który jako pierwszy zaproponował taką jednostkę na oznaczenie transmisji ludzkich praktyk kulturalnych, idei i koncepcji, a także jako symbol przekazywany z umysłu do umysłu poprzez pismo, rozmowę, rozrywkę masową. Podobnie jak geny, memy rozprzestrzeniają się od osoby do osoby, rywalizują, mutują i próbują zapewnić sobie przetrwanie. Ujmując to inaczej, mem jest jak wirus, rozprzestrzeniający się w populacji, zarażający jednostki, rozszerzający się dzięki zachowaniom generowanym przez nosiciela.

Pytanie, które miał w głowie Koenig, brzmiało: jak komputer, bez względu na swoją złożoność, mógł rozumieć działanie memów, efekt wywierany przez nie na populacje ludzkie, skoro nie posiadał pewnej kardynalnej ludzkiej cechy – nie odczuwał emocji.

Jeśli zaś silikonowy umysł podobny do Konstantina mógł zrozumieć memetykę, to dawało to systemom AI absolutnie niewiarygodną moc, pozwalającą manipulować ludzką cywilizacją.

– Otwiera się kilka możliwości – odparł Konstantin. – Mógłbym podkreślić rewolucję wewnątrz Konfederacji, opierając się na momencie już wygenerowanym poprzez wyłomy w jej szeregach, czyli Rosję i Północne Indie. Mógłbym też stworzyć nową

religię... taką, która wymagałaby od Genewy pokoju.

To stwierdzenie wstrząsnęło Koenigiem. Religie?

Gromadę powiązanych memów, współpracujących ze sobą i wspierających się, określano mianem mempleksu. Religie były tu idealnym przykładem, ponieważ ewoluowały, wytwarzały odłamy, stawały się bardziej restrykcyjne lub bardziej liberalne, a wszystko to pod wpływem nacisków kulturalnych, które same w sobie również były mempleksami.

– Rozumiem. A jak masz zamiar obejść Białą Konwencję?

– Biała Konwencja zabrania prób nawracania – odparł Konstantin – i bezpośrednio używania lub groźby używania siły w celu nawracania, traktując to jako naruszenie praw człowieka. Nic natomiast nie mówi na temat ustanawiania nowej wiary.

Wieki wcześniej, pod koniec dwudziestego pierwszego stulecia, zakończyła się wyjątkowo paskudna wojna między Zachodem a radykalnym islamem, częściowo dzięki opracowaniu przez Zachód Białej Konwencji, dżentelmeńskiej umowy, która stanowiła, że przekonywanie do swojej religii w jakikolwiek sposób jest naruszeniem praw człowieka do wiary i praktyk religijnych. Jednocześnie pełne członkostwo w Konfederacji Ziemskiej przyznawano tylko tym państwom, które ratyfikowały Konwencję.

W tym samym czasie wczesne zastosowanie memetyki replikacyjnej pozwoliło przekonać ludzi, że strach przed piekłem, Sądem Ostatecznym, sam pomysł akceptacji Pisma Świętego stanowią powody do wstydu. Populacje, które odrzuciły Konwencję, zachęcane były do praktykowania swoich wierzeń... ale gdziekolwiek indziej, na odległych koloniach za Plutonem, czy też nawet w innych układach. Mufrid w Eta Boötis był przykładem takiej kolonii aż do momentu zniszczenia jej dwadzieścia lat temu przez Turuschów.

Co, do cholery, Konstantin miał na myśli?

– Powodzenia – powiedział Koenig. – Ludzie mają zwyczaj poważnie traktować swoje religie.

– Niektórzy tak, jednak dla wielu to tylko kwestia przypadku. Najczęściej chodzi o to, kiedy i gdzie się dany człowiek urodzi.

- Prawda. Ale będzie sporo hałasu, gdy to uruchomisz.
- Dyskrecja tutaj to rzecz podstawowa.

Konstantin dokonał ostatnio kilku cudów w kontaktach z Konfederacją, ale Koenig obawiał się, że tym razem system porwał się z motyką na słońce. Propaganda zawsze miała kłopoty z „odruchem kolanowym” społeczności, która była celem, a co więcej, często głosy były tak ze sobą sprzeczne, że uniemożliwiało to przekazanie w tym hałasie jakiejkolwiek informacji. Podstawowe reklamy komercyjne, których zaczęto używać w dwudziestym wieku, stanowiły prymitywną formę MR. Na przykład użycie odpowiedniej muzyki, komentarz atrakcyjnej osoby pomagały sprzedawać samochody określonej marki. Jednak gdy kilkanaście firm prześcigało się w doborze dżingli i seksownych prezenterek, tworzył się hałas, który powodował, że przekaz przestawał być efektywny.

Były także systemy obronne – AI patrolujące cyberprzestrzeń w poszukiwaniu potencjalnie niebezpiecznych memów.

Najlepszym sposobem wprowadzenia wirusa, pomimo hałasu i obrońców, było zrobienie tego, gdy cel się najmniej spodziewał.

– Imperatywem jest zakończenie wojny wewnątrz Konfederacji tak szybko, jak to możliwe – stwierdził komputer. – Atak MR na przywódców w Genewie daje nam sporą szansę zjednoczenia ludzkości, zanim Sh'daar lub nieznani obcy będą mieli możliwość działać.

– Ale nadal nie mamy pojęcia, w jaki sposób pokonać Sh'daar – powiedział Koenig. – A o Obcych z Rozety wiemy jeszcze mniej. – Zawahał się. – Aspektem, który mnie bardzo niepokoi, jest podróżowanie w czasie, Konstantin – powiedział w końcu. – Ten jeden czynnik sam w sobie może sprawić, że będą w stanie nas obejść.

Sojusz Sh'daar był przerażającym przeciwnikiem. Żaden człowiek nie wiedział, jak duży jest właściwie. Ostatnio mowa była o ponad tysiącu różnych gatunków gwiazdnych, rozrzuconych przynajmniej po jednej czwartej Galaktyki, i kilku tysiącach takich, które z różnych powodów w kosmos nie poleciały.

Odkrycie, że przynajmniej jeden z cylindrów AGTR zapewniał bezpośrednie połączenie między Drogą Mleczną obecnie a Chmurą N'gai osiemset siedemdziesiąt sześć milionów lat temu, dodało kolejny wymiar do problemu. To, co uchodziło za rząd Sh'daar, wydawało się rezydować w Omega Centauri $T_{-0,876gy}$, jednak najwyraźniej miało wpływ na to, co działo się obecnie. Jak tego typu komunikacja mogła przebiegać bez ciągłego rozwiązywania problemu zwanego paradoksem dziadka, pozostawało jedną z nierozwiązanych tajemnic w dziejach Galaktyki.

Dysponujący tego typu strategiczną przewagą Sh'daar mogli interweniować w dowolnym punkcie rozwoju ludzkości, a nawet w prehistorii, i spowodować wyginięcie ludzi. Zakładając, że flota bojowa Sh'daar pojawiłaby się nad Ziemią osiemset siedemdziesiąt sześć milionów lat temu, gdy życie na jej powierzchni opierało się na organizmach prostych, mogła ona zeszkląć powierzchnię planety, zagotować oceany, a to, co pozostało, zbombardować wysokoenergetycznymi neutronami.

Po wyeliminowaniu życia w takich antycznych czasach ludzkość nigdy by się nie pojawiła.

Fakt, że Sh'daar dotąd nie zniszczyli ludzkości, zmieniając bieg historii, sugerował, że problem wcale nie był taki prosty do rozwiązania.

Zdaniem prezydenta, leżał w tym, co czyniło oba gatunki całkowicie dla siebie obcymi. Turuschowie, H'rulka, Nungiirtok, Slan, wszyscy oni byli członkami sojuszu, rasami technicznymi, które zaatakowały Ziemię współcześnie, przejęły ludzkie kolonie, a nawet przeprowadziły atak na samą rodzinną planetę ludzi. Zdarzały się próby prowadzenia operacji połączonych, jak na przykład inwazja na Ozyrysa, zorganizowana przez Nungiirtok, będących specjalistami od wojny lądowej, i flotę Turuschów. Lecz rasy były tak bardzo odmienne zarówno fizycznie, jak i przede wszystkim psychicznie, że skutkowało to kłopotami z koordynacją operacji wojskowych.

Sh'daar prowadzili swoich podwładnych, a przynajmniej

próbowali to robić, ale albo odległości były zbyt duże, albo zbyt wielu użytkowników Społeczności wysyłało jednocześnie informacje. Cokolwiek stanowiło przyczynę, imperium Sh'daar nie było imponująco efektywne w sposobach radzenia sobie z ambitnymi ludźmi.

W przepychankach ze Sh'daar ludzkość, zdaniem Koeniga, miała jedną przewagę, którą on prywatnie nazywał grecką. Prezydent był pasjonatem historii, a jedną z ulubionych jej kart stanowiły dla niego zwycięstwa starożytnych Greków nad wielokrotnie silniejszymi od nich Persami. Tak jak greckie państwa-miasta sprzed dwóch tysięcy dziewięciuset lat, współczesna Ziemia daleka była od zjednoczenia, jednak gatunki należące do sojuszu Sh'daar miały tak niewiele wspólnego ze sobą, że efektywna komunikacja między nimi, nawet przy użyciu sztucznego dialektu Agletsch, była prawie niemożliwa.

Jak dotąd, ludzkość udawało się wykorzystywać tę niejednorodność i pokonywać wrogie rasy po kolei. Pytanie jednak, czy nieprzyjaciel wyciągał z tych porażek wnioski i uczył się działać wspólnie? Jeśli tak, w zasadzie było to tylko kwestią czasu, kiedy ludzkość znajdzie się w poważnych tarapatach.

Tak czy inaczej, Ziemia musiała się zjednoczyć i zażegnać niebezpieczeństwo ze strony Sh'daar na dobre. Jeśli Konstantin był w stanie osiągnąć to za pomocą manipulowania memami, to bardzo dobrze. Jeśli zaś nie, to przetrwanie ludzkości na dłuższą metę stawało się bardzo wątpliwe.

Zdaniem Koeniga wyglądało na to, że ludziom kończyły się już opcje działania.

Rozdział piąty

12 lutego 2425

Waszyngton DC
Peryferie USNA
Godzina 12.20 EST

– Do cholery, poruczniku, potrzebujemy wyszkolonych pilotów! Jak najwięcej! Jest pani jedną z najlepszych. Pani obowiązkiem jest zaciągnąć się!

Shay Ashton obrzuciła niskiego człowieka spojrzeniem, niemal otwarcie ziewając.

– Jeśli służba jest obowiązkowa, to po jaką cholere mam się zaciągać? – odpowiedziała. – Idź pan do diabła.

– Pani porucznik Ryan...

– Nazywam się Ashton – warknęła.

Po powrocie do Ruin DC wyszła za męża. Fred Ashton zginął kilka lat później w potyczce z rabusiami z drugiej strony rozlewisk Potomaku. Agent rządu USNA wydawał się całkowicie tego nie rozumieć. Dla niego przyjęcie nazwiska osoby, którą się poślubiło, było co najmniej dziwnym przeżytkiem z dawno zapomnianych czasów, co więcej, znaczyło, że kobieta była obrzydliwym monogiem, zbrodźcą, który ośmielał się wierzyć w małżeństwa monogamiczne.

Zauważyła cień emocji przebiegający przez twarz urzędnika. Wyglądało to na obrzydzenie. Jednak na terytoriach Peryferii, na których prawo praktycznie nie istniało, odciętych od reszty kraju wieki temu, monogamia miała wartość przeżycia – dwoje ludzi blisko ze sobą związanych mogło się wspierać zdecydowanie lepiej, niż miało to miejsce w ogromnych rodzinach

poligamicznych.

Za plecami rozmawiających miasto, niegdyś potężne, następnie zamienione w bagnistą dżunglę, wznosiło się powoli z błota. Globalne ocieplenie sprzed czterech wieków spowodowało podniesienie się poziomu oceanów, a w końcu zalanie niżej położonych rejonów wzdłuż wybrzeża Stanów Zjednoczonych. Jednak nie wszyscy chcieli opuścić domy.

W późniejszym czasie „bagniacy” zamieszkiwali byłą stolicę Stanów Zjednoczonych, łowili ryby na bagnach namorzynowych rozciągających się w miejscu, gdzie niegdyś istniało Washington Mall. Gdy USA przeorganizowały się w USNA i stały się członkiem założycielem Konfederacji Ziemskiej, Peryferie obejmujące takie obszary, jak Boston, Manhattan, Waszyngton DC zostały porzucone przez rząd, który nie mógł sobie pozwolić na wydanie ogromnych sum, niezbędnych do przywrócenia tych rejonów z powrotem cywilizacji. Ludzie, którzy nadal tam żyli, zaadaptowali się do panujących warunków, zamieszkali w Ruinach bez współczesnej technologii, opieki medycznej, stworzyli własne prawa i znani byli ze swej zacieklej niezależności.

Peryferie stały się bardzo poważnym problemem politycznym w chwili, gdy Genewa próbowała zająć te rejony. Trzy miesiące temu mieszkańcy stawili tym próbom zbrojny opór, ogromne cielsko należące do Konfederacji transportowca typu Jotun nadal leżało w płytkich wodach Washington Mall, częściowo obrośnięte już wszechobecnym mangrowcem. Ashton w jakiś sposób znalazła się na czele obrońców Ruin, utrzymując je aż do momentu, gdy pojawiły się siły powietrzne USNA.

Od tej chwili stale wysyłano żołnierzy i sprzęt USNA w rejony DC, Baltimore, a także Manhattanu. Ashton była wdzięczna za wsparcie, ale wdzięczność ma swoje granice. Kobieta nie prosiła rządu o żadną pomoc.

– Pani porucznik, czy się to pani podoba, czy nie – powiedział urzędnik – Stany Zjednoczone Ameryki Północnej przejęły kontrolę nad Peryferiami. Teraz jesteście obywatelami USNA i jako tacy macie zarówno prawa, jak i obowiązki.

W szczególności dotyczy to personelu wojskowego, do którego się pani zalicza.

Emerytowana porucznik uniosła środkowy palec na wysokość wzroku rozmówcy.

– Widzisz to, urzędasie? Wypierdalaj!

– Poruczniku Ashton...

– Jestem na emeryturze, do cholery! Odsłużyłam swoje, a teraz jestem na emeryturze! Nie jestem waszą własnością.

Mężczyzna wskazał wrak jotuna.

– Wygląda na to, że nadal nieźle daje sobie pani radę.

W rzeczywistości transportowiec zestrzelony został przez należące do USNA starhawki. Ale Ashton nie miała zamiaru o tym wspominać.

– To mój dom, okay? Mam prawo go bronić.

– Niezaprzeczalne. A my stwarzamy pani szansę upewnienia się, że Konfederacja nie wyciągnie ponownie łap po pani dom.

– Sami bawcie się w swoje wojenki. Ja w to nie wchodzę.

Mężczyzna westchnął.

– No cóż, nie mogę pani zmusić. Jurysdykcja USNA nadal jest nieco... chwiejna na Peryferiach i będzie tak, dopóki formalnie ich nie przyłączymy. Czemu nie chce nam w tym pani pomóc? Jest pani wspaniałym pilotem starhawka. Doskonałe akta...

– Tak jak powiedziałam. Swoje już odsłużyłam. A teraz jestem potrzebna tutaj. W... domu.

– Okay. Zostawmy to tak. – Skupił się i wysłał jej link, który jej implant posłusznie zapisał i otworzył. – Chcielibyśmy, aby zgłosiła się pani do elektronicznej inwazji na Genewę. To operacja bez ryzyka, zostanie pani tylko w wirtualu. Pani umiejętności pilota myśliwca są niezwykle ważne, a jeśli się uda, zapewni pani uwolnienie Waszyngtonu od Konfederacji. Jeśli zmieni pani zdanie, proszę dać mi znać. Czy tak będzie w porządku?

Z niechęcią pokiwała głową.

– To się nie zdarzy.

– USNA przejmują Peryferie z powrotem, pani porucznik. Prędzej czy później to wszystko będzie ponownie pod naszą

kontrolą. Pełną kontrolą. Od czasu zniszczenia Columbus mówi się nawet o przeniesieniu tutaj stolicy. Tak jak to było kilka wieków temu. A to oznacza dla was ogromny rozwój, opiekę medyczną, pełny dostęp do sieci globalnej. W tej propozycji są dla was ogromne zyski.

– Są także korzyści bycia niezależnym.

– Niewątpliwie. O ile uda się utrzymać tę niezależność.

Nie dodał wprost, że miało się to dla Ashton i jej sąsiadów wiązać z walką przeciw Stanom Zjednoczonym.

Nie musiał.

Gdy odszedł, Ashton zaczęła zastanawiać się, czy to ostatnie zdanie należało poważnie traktować jako niewypowiedzianą groźbę. Z jej punktu widzenia nie było większej różnicy pomiędzy Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej a Konfederacją Ziemską. Służyła w armii w czasach, gdy USNA stanowiły część światowej hegemonii Genewy, a piloci europejscy byli jej kolegami z eskadry i kumplami z pokładu „Ameryki”. W sumie takie rozwiązanie nie funkcjonowało źle.

Cholera, a cóż takiego USNA uczyniły ostatnio dla bagniaków?

Oprócz, oczywiście, pojawienia się w ostatniej chwili i pomocy w odparciu inwazji trzy miesiące temu...

Prawdą było także to, że to rząd amerykański, a nie komitet obszarpanych bagniaków, podejmujący tu decyzje od kilku wieków, wysyłał mnóstwo realnej pomocy technologicznej po odparciu Konfedów. Stara kopuła Kapitolu oczyszczona została z warstwy kudzu i tropikalnej winorośli, poziom wody obniżył się tak znacznie, że większość Mall była już suchym lądem, a trzymetrowe pompy wyrastały z brzegów Potomaku, pomagając pozbyć się nadmiaru wody. Był tu nawet oddział Marines, pilnujących tego, co było dla nich najświętsze, czyli starożytnego pomnika upamiętniającego zdobycie Iwo Jimy, nad którym powiewała obecnie nie flaga USNA, lecz stara flaga Stanów Zjednoczonych, pod którą walczyli przed stuleciami. Ubocznym skutkiem ich obecności było zakończenie rajdów rzezimieszków z drugiej strony rzeki. Dziesięć lat temu Ashton poprowadziła grupę uzbrojonych ludzi, by pomścić śmierć Freda,

i zmiotła z powierzchni ziemi jedno z gniazd tych żmij, ale od tego czasu powstały nowe klany.

Może i były korzyści płynące z planów rządu USNA, dotyczących ponownego przyłączenia Peryferii.

Odrzuciła ze złością tę myśl. Rząd był jak ten przysłowiowy wielbłąd wciskający nos pod poły namiotu. Pofolguj mu odrobinę, a za chwilę w namiocie będzie cały wielbłąd, wypychając cię w chłód nocy.

Nie...

Niebieski Jeden, VF-910
Przestrzeń wokół Saturna
Godzina 13.15 TFT

Porucznik Frank Gallagher leciał z przyspieszeniem dziesięciu tysięcy g, oddalając się od małego białego księżyca. Saturn, wielki i piękny, wypełniał połowę ekranu, a jego ostre jak brzytwa pierścienie cięły niebo idealnie prostą linią.

– Baza Enceladus! – wywołał pilot. – Niebieski Jeden czysty i przyspiesza!

– Zrozumiałem, Niebieski Jeden – odparł w jego głowie głos kontroli lotów.

– Dołączam do szyku.

Trzy inne starhawki Niebieskich dryfowały w otwartej formacji kilka tysięcy kilometrów przed nim, czekając.

– Okay, Niebiescy, trzymamy się razem!

– Niebieski Dwa, potwierdzam – to porucznik Joyce.

– Niebieski Cztery, gotów do przyspieszenia – porucznik Dwayne Tanner.

– Niebieski Trzy, gotów – potwierdził porucznik Victor Truini.

– Klucz Niebieski uformowany, gotów do przechwycenia – zakomunikował Gallagher.

– Przyjąłem, Klucz Niebieski. Nieznane maszyny na kursie jeden-siedem-trzy plus dwanaście. Odległość dwa-dziewięć-pięć

tysięcy. Niezidentyfikowani otworzyli ogień do Klucza Czerwonego i nadal zachowują się wrogo. Zezwalam na otwarcie ognia do każdego celu niepotwierdzonego jako jednostka własna, powtarzam status broni: WF.

– Przyjąłem, status WF. Idziemy na jeden-siedem-trzy plus jeden-dwa.

– Dorwijcie ich, Frank.

– *No problemo*, Salaterka. Trzymajcie dla nas ciepłą kawę.

– Jasne. – Głos zawahał się. – Mamy odczyty agresorów. To dwanaście kragów sześćdziesiąt. Obecna pozycja to dwa-pięć-zero. Zbliżają się też naprawdę duzi chłopcy, odległość jeden przecinek siedem-siedem milionów.

Niedobrze.

– Przyjąłem.

Europejskie KRG-60 Todtadler były tak samo szybkie, manewrowe i silnie uzbrojone, jak współczesne amerykańskie velociraptory, a to oznaczało, że były znacznie lepsze niż starhawki Niebieskich, szczególnie na długich dystansach.

Aby zniwelować tę różnicę, Amerykanie musieli podlecieć blisko.

Ale dwanaście! Klucz Niebieski liczył cztery starhawki, a Czerwony kolejne cztery, zakładając, że nadal istniał. W tej potyczce kontyngent obrońców Enceladusa dysponował zdecydowanie gorszymi kartami, a pozostawali jeszcze duzi chłopcy, czyli okręty główne Konfederacji, z którymi należało się liczyć.

– Klucz Niebieski, przejść do formy plemnika – nakazał Gallagher.

Zewnętrzne kadłuby SG-92 wydłużyły się, przyjmując konfigurację do lotów z dużą prędkością – jajowaty kadłub z długim cienkim ogonem. Przy lotach kosmicznych aerodynamika nie miała znaczenia, szczególnie podczas lotów z normalną prędkością. Jednak opływowy kształt przybierano ze względu na drobiny, głównie atomy wodoru, które trzeba było brać pod uwagę.

Po drugie, okolice Enceladusa nie były próżnią. Oślepiająco

biały księżyc znajdował się w najgrubszej części pierścienia E gazowego giganta, a w rzeczywistości to roje kryształów zamrożonej wody pochodzącej z Enceladusa tworzyły ten pierścień. Pomimo że lokalna przestrzeń stanowiła próżnię według standardów ziemskich, lot przez ten rój cząsteczek lodu mógł być porównywalny do przebijania się przez gęstą atmosferę.

– Na mój znak, chłopcy i dziewczęta – przekazał podwładnym Gallagher – pięćdziesiąt kilo g za trzy... dwie... jedną... i teraz!

Małe, lecz niezwykle silne kulki zawiniętej przestrzeni pojawiły się przed nosami starhawków. Działając przez ułamek sekundy, każda z mikroosobliwości zaginała przestrzeń przed myśliwcem, pozwalając mu się przemieścić do przodu. Powtarzając tę samą czynność w ultraszybkim rytmie, napęd pozwalał maszynie rozpędzać się do ogromnych prędkości. Jako że pole grawitacyjne z jednakową siłą działało zarówno na myśliwiec, jak i na pilota, ten ostatni nie odczuwał przeciążeń związanych z potężnymi przyspieszeniami. Przy przyspieszeniu pięćdziesięciu tysięcy g starhawk był w stanie rozpędzić się do prędkości podświetlnej w czasie około dziesięciu minut. Klucz Niebieski nie mógł jednak przyspieszać tak długo. Pomysł polegał na zaatakowaniu przeciwnika w czasie przelotu z dużą prędkością. AI myśliwców przerwała przyspieszanie, gdy szybkość wynosiła pięć tysięcy kilometrów na sekundę, a od nieprzyjaciela dzieliło ich dokładnie pół minuty.

– Przygotować się do ataku. Uzbroić kraity, rozproszyć się, ale uważać na Klucz Czerwony. Niebieski Cztery, jesteś na rezerwie.

– Potwierdzam, Niebieski Lider.

Kraity były uzbrojonymi w głowice nuklearne raketami przeciwokrętowymi, typ VG-10. Były szczególnie skuteczne przeciw okrętom głównym, jednak ich eksplozja choćby tylko w pobliżu myśliwca mogła przepalić obwody, a rozszerzająca się kula plazmy, topiąc kadłub, dokonywała reszty. Nie były one tak potężne ani nie miały takiego zasięgu, jak nowsze boomsłangi czy taipany, ale przy zastosowaniu odpowiedniej taktyki nadal stanowiły śmiertelnie groźną broń.

Gallagher na wewnętrznym wyświetlaczu obserwował czerwone punkty reprezentujące myśliwce przeciwnika, przy każdym z nich znajdował się mały blok tekstowy zawierający podstawowe dane, takie jak masa, kurs, kierunek, prędkość i przyspieszenie. Siły własne w okolicy wycofywały się, trzy maszyny gnały w stronę Enceladusa z dużą prędkością. Nagle rozbłysła kula białego światła i dwa myśliwce znikły. Przeciwnicy nadal się zbliżali.

Do cholery, powinni byli pozwolić Kluczowi Czerwonemu otworzyć ogień do nieznanych jednostek, gdy tylko stały się widoczne. Kogo więcej Salaterka – jak piloci nazywali stację Enceladus – mogła się spodziewać?

Gallagher wybrał cztery kraity, oznaczył punkt detonacji na wyświetlaczu w miejscu spodziewanego położenia myśliwców Konfederacji i odpalił je.

– Fox Jeden! – zakomunikował. – Niebieski Jeden, rakiety poszły.

– Niebieski Trzy! Fox Jeden!

– Niebieski Dwa! Fox Jeden!

Sygnal „Fox Jeden” oznaczał odpalenie inteligentnej rakietki typu „wystrzel i zapomnij”, zaopatrzonej w AI prowadzącą ją do celu. Wypuszczone z kadłubów myśliwców, rakiety uruchamiały napędy w momencie, gdy nie stwarzały zagrożenia zakłócenia wektora myśliwca. Jedna z rakiet znikła z nieba dwie sekundy po wystrzeleniu, zmieciona strumieniem cząsteczek todtadlera, jednak pozostałe detonowały pulsującym białym światłem. Myśliwce nieprzyjaciela rozproszyły się, gdy tylko wykryły rakiety, jednak salwy wystrzelone przez Truiniego i Joyce musiały wbić się w szyk todtadlerów, gdyż w oddali pojawiły się dwie kolejne ogniste kule i dwa myśliwce nieprzyjaciela znikły, a trzeci bezradnie koziółkował w przestrzeń.

Jednak od strony nieprzyjaciela także zbliżały się pociski. AI Gallaghera wykryła grupę rakiet AM/AS-9, które w oznaczeniu kodowym USNA nosiły nazwę Czarna Mamba. Oznaczenie AM/AS po angielsku oznaczało „antymateria/przeciwokrętowe”. Zamiast głowicy nuklearnej posiadały kilka gramów antymaterii

zawieszanej w magnetycznie zamkniętej kapsule, wystarczająco dużo, by wygenerować multimegatonowy wybuch, siejący zabójczym promieniowaniem gamma i X. Rakiet było osiem, pędzących z przyspieszeniem stu tysięcy g. Europejczycy przybyli tu wytoczyć krew, to było pewne.

– Niebieski Cztery! – krzyknął Gallagher. – Postaraj się zablokować te mamby.

– Przyjąłem, Niebieski Lider! Fox Jeden!

Przez kilka niekończących się sekund dwie grupy sztucznych inteligencji prowadziły taktyczny pojedynek, każda starała się przewidzieć ruchy tej drugiej, klucząc, przyspieszając i zwalniając gwałtownie, by przechytrzyć przeciwnika. Wtem nuklearne błyski rozświetliły czarne niebo w śmiertelnej ciszy i połowa mamb znikła z ekranów.

Pozostały jeszcze cztery, których AI szukały formacji starhawków.

– Klucz Niebieski, UiU – krzyknął Gallagher, odbijając gwałtownie w lewo.

UiU znaczyło unik i ucieczkę. Nadszedł najwyższy czas, by wynosić się z niebezpiecznego rejonu.

Gwałtowne manewry myśliwcem zawsze były ryzykowne i wymagały zakotwiczenia kuli grawitacyjnej, umożliwiającego maszynie okręcenie się wokół niej i wejście na nowy kurs. Cały problem leżał w łagodnym prowadzeniu myśliwca, tak aby nie zbliżył się zbyt blisko i nie został złapany przez efekt pływowo osobliwości. Manewrowanie takim układem całkowicie różniło się od lotu myśliwcem atmosferycznym. To nie myśliwiec skręcał w powietrzu, lecz sama przestrzeń była zakrzywiana tak, by ustawić się na nowy kurs, umożliwiając zwroty o dziewięćdziesiąt, a nawet sto osiemdziesiąt stopni. Jeśli wykonywało się to dobrze i pilot łagodnie prześlizgnął się wokół sztucznej czarnej dziury, niebo wirowało w głowie, a człowiek nawet nie czuł skrętu, gdyż nadal znajdował się w locie swobodnym. Jeśli manewr został wykonany źle, myśliwiec zamieniał się w metaliczne konfetti.

Klucząc w trzech wymiarach, Gallagher zmuszał głowice

nieprzyjacielskie do zgadywania zmian pozycji. Pozwalając AI prowadzić wyliczenia, używał przy tym swojego ludzkiego mózgu do wybierania kierunku, starając się, by zmiany były jak najbardziej przypadkowe. Głowica z antymaterią wybuchła o kilkaset tysięcy kilometrów z prawej strony, blask na kilka sekund wypełnił całe niebo. Jedna z niebieskich ikon zamigotała i zgasła. Niebieski Cztery, Dwayne Tanner. Śmierć przyszła tak szybko, że pilot nie miał świadomości własnego końca.

– Niebieski Lider, Niebieski Dwa! – krzyknęła Joyce. – Mam dwóch na ognie. Nie mogę się ich pozbyć.

Na wewnętrznym wyświetlaczu Gallagher widział starhawka usiłującego uwolnić się od pary todtadlerów siedzących na godzinie szóstej, nie mógł jednak nic zrobić, znajdował się w tej chwili za daleko.

– Jestem, Karyl – odpowiedział Truini. – Przechodzę na działko. Cel namierzony... Ognia!

Niebieski Trzy ustawił się idealnie na linii z dwoma todtadlerami i z małej odległości wystrzelił serię pocisków z gatlinga. Najpierw jeden, a w chwilę później drugi KRG-60 zapłonęły białopomarańczowym światłem, a ich wraki wpadły we własne osobliwości, znikając w ułamku sekundy.

– Piękny strzał! – pochwalił Truiniego Gallagher, ale za chwilę sam miał kłopoty: na szóstej siedziała mu czarna mamba i ostro przyspieszała.

Zmniejszając przyspieszenie, Gallagher obrócił swojego starhawka o sto osiemdziesiąt stopni, żeby znaleźć się naprzeciw nadciągającej mamby. Wybrał dwa pociski AS-78 ARTO. Skrót oznaczał antyrakietową tarczę ochronną, ale ten rodzaj amunicji lepiej znano jako pojemniki z piaskiem. Były to niekierowane głowice, upakowane kilkoma kilogramami kulek ołowiu wielkości ziarenek piachu.

– Fox Dwa! – oznajmił wystrzelenie amunicji niekierowanej i odpalił głowice ARTO w kierunku mamby. Wybuchły chwilę później, rozsypując chmury piasku, niczym śruciny ze strzelby, dokładnie na drodze rakiety. Zanim jej AI zdążyła wprowadzić korektę, mamba uderzyła w rój z tak wielką prędkością, że tylko

zabłysła i znikła, by za moment rozjarzyć się w dzikim blasku anihilacji.

Wybuch nastąpił bardzo blisko, prawie zbyt blisko. Rozszerzająca się z prędkością bliską c kula plazmy pchnęła starhawka Gallaghera, wprawiając go w dzikie koziółkowanie. Przez następnych kilka sekund pilot próbował wyrównać. Gdy udało mu się tego dokonać, miał małego Enceladusa pod sobą, a przed nosem maszyny błyszczącego, ogromnego Saturna. Zauważył także czerwone ikony, reprezentujące myśliwce przeciwnika, skupiające się za nim. Dalej mały węzeł czerwonych znaczków ukazywał kontyngent okrętów głównych Konfederacji, oddalony nadal o miliony kilometrów. „Dużi chłopcy” właśnie wytracali prędkość, zbliżając się do Enceladusa i zostawiając zniszczenie myśliwców USNA własnym maszynom.

Gallagher nie widział żadnego sposobu, by ich powstrzymać, a nawet się zbliżyć. Resztki Klucza Czerwonego przestały właśnie istnieć, a trzy pozostałe myśliwce Klucza Niebieskiego nie miały najmniejszych szans poważnie zagrozić dużym okrętom. AI katalogowała nadciągającą flotę nieprzyjaciela: dwa ciężkie krążowniki, lekki lotniskowiec, pół tuzina niszczycieli, kilka monitorów, ciężki transportowiec...

Czego oni się tu spodziewali, na tej maleńkiej lodowej kulce? Salaterka była cywilną stacją badawczą i niczym więcej, posterunkiem biologicznym, poszukującym obcych form życia w kieszeniach słonego oceanu pod lodami Enceladusa. Eskadra starhawków umieszczona tam została dla ochrony przed małymi rajdami europejskimi, ale to była inwazja na pełną skalę. Transportowiec niemal na pewno wypełniony był żołnierzami.

Niebiescy mogli jednak uczynić pewne szkody.

– Uwaga, zespół – powiedział dowódca. – Jesteśmy na wektorze, który wyprowadzi nas na odległość dziesięciu tysięcy kilometrów od tego transportowca. Uważam, że na jego pokładzie są żołnierze. Strąćmy to maleństwo, a mocno namieszamy Eurasom.

Obecność żołnierzy oznaczała, że Europejczycy chcą okupować Enceladusa lub inne miejsce w podsystemie Saturna, może

Tytana albo obserwatorium Huygens ERF na orbicie giganta. Zniszczenie lub poważne uszkodzenie transportowca mogło zniweczyć te plany. Gallagher miał jeszcze dwa kraity w przedziale bojowym, mógł odpalić jednego, a drugiego zachować na wszelki wypadek.

– To rozdrażni gniazdo szerszeni – powiedziała Joyce.

– Taaa, szefie – dodał Truini. – I w jakim celu? Tak czy inaczej, musimy się poddać. Przegraliśmy, kurwa!

Dowódca zastanawiał się nad tym samym. Tu, w zimnym, pustym zakątku systemu, gdzie diabeł mówił dobranoc, obowiązek i honor miały nieco inne znaczenie niż w bardziej cywilizowanych rejonach. Tu walczyło się dla kumpli.

Albo, tak jak w tym wypadku, dla innych członków eskadry, znajdujących się nadal w Salaterce – dla ładowaczy, techników i całej reszty personelu wsparcia i logistyki, którzy umożliwiali funkcjonowanie eskadry. Nie wspominając o sześciuset naukowcach i pracownikach cywilnych stacjonujących w bazie.

– Tak, a jak masz zamiar to zrobić, True? – odparł Gallagher. W oddali detonowała kolejna głowica z antymaterią, zalewając okolicę jaskrawym, zabójczym światłem. Poddanie się nie było nawet możliwe w momencie, gdy działały systemy obrony elektronicznej, uniemożliwiające ataki hakerskie na AI myśliwców. – Jeśli Salaterka powie nam, że mamy się wycofać, to zrobimy to. Do tego czasu walczymy, do cholery!

Nie było odpowiedzi... a Gallagher uświadomił sobie, że myśliwiec Truiniego znikł wraz z ostatnio widzianym wybuchem. Zostali we dwójkę, Joyce i on.

– Niebieski Dwa, Fox Jeden! – oznajmiła dziewczyna. – Rakiety poszły!

Gallagher zaprogramował strzał i odpalił.

– Fox Jeden!

– Ich myśliwce starają się nas odciąć!

– Widzę je.

Rozważał możliwe opcje. Nie było ich wiele, a wszystkie niewesołe. Mogli zanurkować w pierścieniu Saturna i natychmiast opuścić rejon. Jednak grubsze obszary pierścieni

były zbyt daleko, a zewnętrzne warstwy masywnego, jasnego pierścienia B znajdowały się w odległości stu dwudziestu tysięcy kilometrów od Enceladusa, więcej niż jedna trzecia dystansu dzielącego Ziemię od Księżyca.

Ale potrzebowali osłony, do cholery!

W tle rozbłysły kule wybuchów nuklearnych. Transportowiec przeciwnika nadal tam był, ale już nie zwalniał. Może udało im się spowodować jakieś uszkodzenia. Może...

To, co dotyczyło danych transportowca, nie pasowało do całości. Okręt był dłuższy niż francuskie maszyny typu Orcelle, miał prawie osiemset metrów, a jego przedział napędowy przypominał raczej krążownik liniowy niż transportowiec. Gallagher zwiększył przybliżenie obrazu i jeszcze bardziej się zdziwił.

Nie miał pojęcia, czym było to coś, ale na pewno nie okrętem transportowym.

Niestety, na analizę nie było czasu. Mógł tylko zachować dane i mieć nadzieję, że zdąży je komuś przekazać.

– Okay! Zwijamy się na Enceladusa, Karyl. Bliskie przejście, po profilu, jeśli będziesz musiała. Zobaczymy, może uda nam się zgubić ich w lodach.

– Jestem tuż za tobą, Frank.

Przy tak dużej przewodze liczebnej przeciwnika problem polegał na tym, że w otwartej przestrzeni myśliwce i okręty otaczały ich ze wszystkich stron. Gdyby udało im się zejść blisko powierzchni planety, mogliby się skryć za chmurami, a ich radarowe i laserowe sygnatury powinny zostać zamaskowane przez lód znajdujący się pod brzuchami maszyn.

– Baza Enceladus, tu Niebieski Lider – wywołał Frank na kanale taktycznym. – Zostały nam tylko dwa myśliwce! Myślę, że udało nam się zahaczyć ich transportowiec, ale starają się nas otoczyć! Jakie są wasze instrukcje?

– Klucz Niebieski, tu baza Enceladus. Zrobiliście, co było w waszej mocy, Frank. Spieprzajcie z przestrzeni! PDB, gdy tylko będziecie mogli!

– Przyjąłem.

PDB – powrót do bazy, gdy będą mogli, jeśli będą mogli. W ich kierunku mknęły kolejne mamby. Jeśli poprzednio sprawy przedstawiały się źle, to teraz było jeszcze gorzej. Konfederaci wściekli się za atak na ich okręt główny. Gallagher wystrzelił kilka kolejnych pojemników z piaskiem, a potem gwałtownie przyspieszył w stronę białego dysku księżyca. Widział poszatkowaną kraterami powierzchnię, rosnącą gwałtownie, rozjaśnioną światłem słonecznym odbitym od pól lodowych. W chwilę później już wykonywał wariacki zwrot, usiłując zmienić swój wektor na równoległy do powierzchni księżyca. Enceladus był już tak blisko, że zasłaniał całkowicie Saturna.

Trzy myśliwce przeciwnika leciały za nim w dół. Gdzie była reszta?

Gdzie Karyl?

Nie miał pojęcia. Trzej bandyci na szóstej zbliżali się szybko. Wyglądało na to, że szykują się do ostrzelania go z działek, a nie głowicami z antimaterią. Może wystrzelali się już z rakiet. Może... może...

Nuklearna kula ognia rozbłysła po lewej stronie, a kolejna za rufą. Strzelali do niego rakietami atomowymi i jedna właśnie uderzyła w powierzchnię globu. Odbił w prawo, kierując się ku południowemu biegunowi księżyca, wciąż nabierając szybkości.

Myśliwcem zatrzęsło i usłyszał grzechotanie małych drobinek, uderzających z dużą prędkością o kadłub. Zwolnił, a potem jeszcze trochę, gdy uderzenia przybrały na sile.

Lśniąca ściana wyrastała między nim a czarną przestrzenią kosmosu.

Cholera! W podnieceniu Gallagher zapomniał o południowym biegunie księżyca i tygrysich paskach.

Cassini, stara automatyczna sonda eksplorująca system Saturna, w 2005 roku odkryła tajemnicze wydmuchy w okolicach bieguna południowego. Stała szarpana wojna pomiędzy Saturnem i Enceladusem wytworzyła ciepło pływowe i dużą aktywność tektoniczną, formując tytaniczne kriowulkany, wybuchające z czterech równoległych pęknięć w lodowej pokrywie, ze względu na swój ciemniejszy kolor nazywanych

tygrysimi pasami. Gejzery wody wystrzeliwały pod ogromnym ciśnieniem i prawie natychmiast zamarzały, tworząc lodowe kurtyny, sięgające prawie pięciuset kilometrów w przestrzeń.

Większość tego lodu opadała ponownie na powierzchnię Enceladusa w postaci śniegu, pokrywając południowy biegun świeżą, białą warstwą, dużo młodszą od tej na północy. Reszta dryfowała z dala od planety i tworzyła szeroki, mocno rozproszony pierścień E, pas o szerokości dwóch tysięcy kilometrów, otaczający Saturna od orbity Mimas, wewnętrznego księżyca, aż do Rei.

Te kriowulkaniczne opary były pierwszym dowodem na to, że pod warstwą lodu na Enceladusie może znajdować się woda w stanie ciekłym, a z nią także i życie. Baza na księżycu została założona półtora wieku temu, właśnie aby prowadzić poszukiwania tego życia, a było to zadanie dużo trudniejsze niż na Europie krążącej wokół Jowisza. O ile podpowierzchniowy ocean miał temperaturę około zera w skali Celsjusza, o tyle powierzchnia była o dwieście czterdzieści stopni zimniejsza, jedynie o trzydzieści trzy stopnie przekraczając zero absolutne. W odróżnieniu od Europy wewnętrzny ocean wydawał się egzystować w kieszeniach, ograniczając obszary, w których mogli wiercić ksenobiolodzy.

Jednak rezultat wart był pracy. Pod enceladiańskim lodem odkryto życie, bardzo, bardzo dziwne życie, oparte na chemii wodorowo-germanowej, na półprzewodnikach, a nie łańcuchach węglowych.

W jaki sposób na lodowej kuli znalazło się wystarczająco dużo germanu, stosunkowo rzadkiego na Ziemi pierwiastka, by mogło wyewoluować oparte na nim życie, pozostawało jeszcze większą tajemnicą. Proste zidentyfikowanie organometali wymieniających fotony między sobą, jak żywe istoty, zajęło większą część wieku i skutkowało całkowicie nowym podejściem do słowa „życie”.

Stacja Enceladus, zlokalizowana sto kilometrów od wylotu jednego z tygryskich pasów, była posterunkiem ksenobiologicznym, prowadzonym wspólnie przez Phoenix

University z Arizony i Universidade de Brasília. Biorąc pod uwagę fakt, że Brazylia stanęła po stronie Konfederacji przeciw północnoamerykańskiej rebelii, na planecie panowało zrozumiałe polityczne napięcie. VF-910 została wysłana na księżyc, by utrzymać pokój i zachować naukową neutralność bazy.

Oczywiście nic nie poszło zgodnie z planem. Konfederacja wysłała własną flotyllę, aby przejąć bazę i odizolować Amerykanów od reszty naukowej społeczności Ziemi.

W tym momencie wszystko to miało dla Gallaghera niewielkie znaczenie. Uderzenie z obecną prędkością w mglistą ścianę nad biegunem byłoby równoważne z uderzeniem w stały lód. Pilot polecił AI, by odepchnęła maszynę na nieznacznie inny kurs. Tygrysie pasy dzieliło trzydzieści pięć kilometrów. Przypominało to nawlekanie igły, ale przy zachowaniu odpowiednio małej wysokości miał szansę się prześlizgnąć.

Europejczycy nadal siedzieli mu na ogonie.

Gnając pomiędzy dwoma ogromnymi pióropuszcami, wypełniającymi niebo mglistą poświatą, ponownie odwrócił myśliwiec, lawirując jednocześnie kilka metrów nad lodową powierzchnią. Pozostał mu jeden krait, przekreślił maszynę do góry brzuchem, wydając AI komendy za pomocą szybkiego staccato myśli.

– Fox Jeden!

Ostatni krait wysunął się z przedziału bojowego, pomknął w tył i eksplodował, uderzając w lód. Blask był oślepiający, a w chwilę później świeży gejzer zamarzającej wody pojawił się nad nową dziurą, dokładnie na drodze myśliwców przeciwnika.

Niestety, rozszerzająca się błyskawicznie fala uderzeniowa z rakiety dosięgła starhawka i rzuciła go wściekle wprost na kolejne pióropusze. Gallagher poczuł raptowne szarpnięcie i zobaczył swobodnie lecące obok niego fragmenty myśliwca.

A potem targnęło nim gwałtowne hamowanie, pozbawiając pilota przytomności...

Rozdział szósty

4 marca 2425

Tymczasowe prezydenckie stanowisko dowodzenia
Toronto
Stany Zjednoczone Ameryki Północnej
Godzina 16.40 EST

– Prezydent Senatu Konfederacji prosi o rozmowę, panie prezydencie – powiedział szef sztabu Marcus Whitney. – Nowy prezydent, powinienem chyba dodać.

Koenig spojrział na pozostałe osoby obecne w pokoju: Pamela Sharpe – sekretarz stanu, Lawrence Vandenberg – sekretarz obrony, doktor Neil Eskow – sekretarz oświaty. Twarze wszystkich wyrażały ostrożną neutralność.

– Zakładam, że procedury bezpieczeństwa już działają?

– Oczywiście, panie prezydencie.

Problem z bezpieczeństwem był poważniejszy niż prosta kontrola antywirusowa. Bezpośrednie połączenie pomiędzy Genewą i tymczasową stolicą USNA w Toronto łatwo mogło posłużyć jako droga do przeprowadzenia różnego rodzaju ataków elektronicznych za pomocą wirusów, robaków czy brutalnych wirtualnych szturmów w celu zdobycia danych lub zablokowania amerykańskiej sieci komunikacyjnej. Potężne AI, odpowiedzialne za bezpieczeństwo elektroniczne, miały monitorować wymianę z obu stron Atlantyku, upewniając się, że między głowami rządów przepływają tylko pliki głosowe i wideo.

Pozostawał jeszcze problem elektronicznych ataków psychologicznych, które mogły być jednoznaczne z próbą zabójstwa. Koenig i jego odpowiednik po stronie Konfederacji

mieli w swoich mózgach nanoimplanty, które pozwalały im połączyć się bezpośrednio z komputerami, systemami kontroli pojazdów, skanerami medycznymi, siecią światową, a także zestawić link mózg – mózg. Możliwe było zhakowanie implantu innej osoby, zarówno w celu kradzieży danych, jak również dostania się do osobistej pamięci RAM i zakłócenia odbioru rzeczywistości przez ofiarę takiego ataku. W najlepszym wypadku pozostawała ona upośledzona i bezradna, najczęściej jednak stawała się schizofrenikiem.

Wirtualni agenci umieszczani w hardware implantu, na przykład automatyczny sekretarz, zaprojektowani byli, aby chronić przed takimi atakami, bądź to blokując nieautoryzowane próby komunikacyjne, bądź odsyłając je na neutralne łącze, poza mózgiem nosiciela. ICEware, w które wyposażony został Koenig i inni przedstawiciele rządu, było kilkakrotnie silniejsze i bardziej zdecydowane w działaniu niż modele dostępne dla przeciętnego obywatela i powinno stanowić zabezpieczenie przed jakąkolwiek próbą ataku elektronicznego.

Zawsze istniała jednak możliwość, że strona przeciwna użyje czegoś nowego. Elektroniczne pole bitwy wciąż ewoluowało, stawało się coraz bardziej złożone, subtelne i coraz niebezpieczniejsze.

Pierwszy ciszę przerwał sekretarz obrony:

– Panie prezydencie, naprawdę nie uważam, aby odbieranie tego połączenia było najlepszym pomysłem.

– A to dlaczego?

– Po prostu to prawdopodobnie jedynie pretekst, aby pana dopaść. Mogą dysponować czymś nowym, z czym nasze ICE nie da sobie rady. Czymś bardzo niebezpiecznym.

ICE było akronimem oznaczającym wszystkie rodzaje ochrony przed cyberatakiem, zarówno te, które wymagały współpracy z AI, jak i te całkowicie pasywne.

– Konstantin mówi, że nie mają – powiedział doktor Eskow. – Kto jak kto, ale Konstantin powinien to wiedzieć. Dokładnie monitoruje globalną sieć i wiedziałby o nowych osiągnięciach w tej dziedzinie.

– Nie wydaje mi się, aby to Konstantin prowadził naszą ochronę antywirusową – powiedział Vandenberg.

– Oczywiście, że nie – powiedział Koenig. – Opóźnienie pomiędzy Księżycem a nami jest zbyt duże. Bóg jeden raczy wiedzieć, co mogłoby wniknąć do systemu w ciągu prawie trzech sekund.

W rzeczywistości klony Konstantina pracowały w kilku amerykańskich sieciach, jednak zostały nieco mocniej ograniczone niż hiperinteligentna maszyna znajdująca się po ciemnej stronie Księżyca. Większość ludzi nie darzyła zaufaniem zbyt inteligentnych AI, a zwłaszcza tych niezależnych.

Także Koenig nie do końca ufał jakiegokolwiek sztucznej inteligencji, zakładając z góry, że mogła już zostać przejęta przez hakerów Konfederacji.

Jednak bywały sytuacje, w których należało podjąć ryzyko. Jeśli się siedzi w zamkniętej klatce, nic nie robiąc, ponieważ ktoś czyha na zewnątrz, nigdy do niczego się nie dojdzie.

– Mam zamiar odebrać to połączenie – podjął decyzję Koenig. – Mam już dość błędzenia po omacku. Może ten gość w końcu powie coś sensownego.

– Proszę użyć awatara, panie prezydencie – powiedział Eskow.
– On z całą pewnością tak zrobi.

Awatar był komputerową symulacją realnej osoby. Gdy stała za nim silna sztuczna inteligencja, mógł tak wiernie naśladować zachowanie oryginału, że rozmówcy nie byli w stanie odróżnić, czy rozmawiają z realną osobą, czy z jej elektroniczną sekretarką. Awatary mogły być udogodnieniem, czy też pewnym rodzajem manifestacji osobowości ich właściciela. Mogły również zostać tak zaprojektowane, by wyrzucić określony skutek psychologiczny. Gdyby Konfederatom udało się wetknąć przez łącze jakiegoś paskudnego robala, najpierw uderzy on w osobowość elektroniczną, a wtedy, przy odrobinie szczęścia i szybkiej reakcji, może zostać powstrzymany na tym poziomie.

Ale to oznaczało, że Koenig byłby odcięty od dyskusji, słysząc ją z „drugiej ręki” i mając niewielką możliwość kierowania nią. Pokręcił głową.

– Będę uważał, doktorze. Ale nie ma sensu, abym w ogóle tu siedział, jeśli to elektroniczna marionetka ma prowadzić za mnie rozmowy. – Spojrzał na sekretarz stanu. – Pam, jak wygląda w chwili obecnej położenie geopolityczne? Zaszły jakieś zmiany, o których powinienem wiedzieć?

– Nic ważnego nie zmieniło się od porannego PW, panie prezydencie.

Przełgłdem wywiadowczym nazywano serwis przygotowywany codziennie rano przez różne agencje i dostarczany prezydentowi.

– Mamy pewne wątpliwości, jeśli chodzi o Brazylię. Może się ona wycofać z bezpośredniego prowadzenia działań wojennych, jednak tak czy inaczej pozostanie przy Konfederacji. Jeśli zaś Brazylia zostanie, wycofa się Argentyna. Te dwa kraje skaczą sobie do gardeł.

– Federacja Rosyjska? Północne Indie?

– I jedni, i drudzy deklarują się całkowicie po naszej stronie. Nie wiemy jednak, jak daleko ten sojusz posunie się w praktyce.

– A Meksyk?

– Cały czas przeciw nam. Agenci Konfederacji obiecują im oddanie starego amerykańskiego Południowego Zachodu.

– Jak zwykle – powiedział Koenig. – Nic nowego. W porządku, do dzieła zatem.

– Link jest gotowy, sir. On już czeka. Albo jego awatar.

– Dobrze.

Koenig zatopił się w fotelu, który reagował na jego myśli, otwierając się i pozwalając ciału przyjąć jak najwygodniejszą pozycję. Prezydent zamknął oczy i otworzyło się wewnętrzne okno. W umyśle zaczął mu się tworzyć obraz i po chwili siedział już w pokoju konferencyjnym przy ekskluzywnym mahoniowym stole naprzeciw prezydenta Christiana Denoix de Saint Marc.

W pierwszej chwili był zaskoczony, że jego rozmówcą nie jest generał Janos Matonyi Korosi, który – zgodnie z danymi wywiadu USNA – był realnym przywódcą zarówno Europy, jak i Konfederacji. Z drugiej strony, obecność Denoix wcale nie była taka dziwna. Konfederacja musiała nadać tej wojnie jakieś

pozory legalności, a to oznaczało wysuwanie na czoło lidera cywilnego, a nie wojskowego. Denoix mógł okazać się kimś więcej niż marionetką. Warto było to zapamiętać.

Ściana za liderem Konfederacji dawała widok na Plac Światła, a w pewnej odległości, za linią modernistycznych budynków, zieleniły się wody Jeziora Genewskiego.

– Panie prezydencie Koenig – powiedział mężczyzna, marszcząc brwi – miło w końcu pana poznać.

Koenig nie przywiązywał wagi do konwenansów. Figura czy pionek, na litość boską, to był wróg, jeden z ludzi odpowiedzialnych za zagładę Columbus. Pomyślał, że lepiej od razu przejść do ofensywy, co może wytrącić rozmówcę z równowagi.

– Co się stało – ostro zapytał Koenig – z panią prezydent Roettgen?

Jego rozmówca jeszcze mocniej zmarszczył brwi.

– Nic jej nie zrobiliśmy. Wygląda na to, że znikła... z dużą ilością pieniędzy, jeśli można dodać. Znajdziemy ją i jej współników, zapewniam pana. Zostałem wyznaczony do pełnienia obowiązków prezydenta Senatu Konfederacji do czasu wyborów, które mają być przeprowadzone za dwa miesiące.

Koenig przyglądał się jego twarzy. Nie było możliwości rozpoznania stanu emocjonalnego innej osoby poprzez link wewnętrzny, monitorowany i prowadzony przez AI. Wszystko, co mógł odczytać, to życiorys.

Zgodnie z danymi Christian Denoix de Saint Marc był Francuzem. Jego główna rezydencja mieściła się na wybrzeżu Kanału, w ultrabogatym Boulogne-Billancourt, na zachód od Kopuły Paryskiej, ale wiele lat mieszkał w Niemczech, Włoszech i Polsce. Posiadał również drugi, roboczy dom, oczywiście w Genewie, europejskiej stolicy. Jego angielski był poprawny, jednak zgodnie z wcześniejszą umową mówił po francusku, a całe tłumaczenie wykonywała AI, by zyskać pewność, że uniknie się przekłamań i nieporozumień.

W porządku. W swoim biurze Koenig nosił nanokombinezon, lekki, wygodny i nieformalny, ale Denoix widział go ubranego

w oficjalny czarno-szary galowy mundur admirałski sprzed piętnastu lat. Mundur celowo przypominał, że zanim został politykiem, Koenig był żołnierzem. Raz marynarz, do końca życia marynarz, jak głosiło stare powiedzenie, które doskonale odnosiło się do prezydenta.

Przekaz był jasny – Koenig już raz pokonał Europejczyków i zrobi to ponownie, jeśli się nie wycofają.

– Wie pan, że panu nie wierzę – powiedział. – Ludzie tak po prostu nie znikają. Nie w obecnych czasach.

No cóż – pomyślał – chyba że się zechce unieruchomić implant i przenieść w jakieś zapomniane przez Boga i ludzi miejsce na Peryferiach, gdzie nie ma współczesnej technologii. Większość populacji światowej była tak okablowana, że w zasadzie każdy mógł zostać wysledzony, nie tylko na samej planecie, ale też w jej pobliżu. Było to jedno z dobrodziejstw i przekleństw współczesnej nanoelektroniki.

W szczególności odnosiło się to do głów państw. Koenig zdawał sobie sprawę, że zawsze był pod elektronicznym nadzorem swojego aparatu bezpieczeństwa, tak jak każdy mężczyzna, kobieta czy robot z SD w Toronto.

– Nie bardzo ma znaczenie to, w co pan wierzy, prezydencie Koenig – powiedział Denoix ze starannie wystudiowanym wzruszeniem ramion. – Prawda jest taka, że obecnie ma pan do czynienia ze mną i moją partią.

Na obrazie z połączenia Europejczyk nosił elegancką szkarłatną pelerynę, narzuconą na czarny kombinezon. Koenig zastanawiał się, w co był ubrany naprawdę.

Do cholery, przecież to zupełnie możliwe, że cała rozmowa prowadzona była przez AI, a Denoix siedział w tym czasie w biurze lub wyjechał na urlop ze swoimi towarzyszkami, nakazując automatycznemu sekretarzowi odbycie tej rozmowy. Nie było możliwości tego sprawdzić, choć zwykle wymagano oznaczenia awatara, by wiedzieć, czy stoi za nim żywy człowiek, czy też tylko sztuczna inteligencja.

– „Moją partią”? – powtórzył Koenig. – Ma pan na myśli Tout le Monde?

– Oczywiście.

Tout le Monde – Cały Świat – była główną europejską opozycją dla Partii Globalistów prezydent Roettgen. Z ekonomicznego punktu widzenia obie były lewicowe, Mondes nieco bardziej niż globaliści, i obie wzywały do pokoju ze Sh'daar. Największą różnicę pomiędzy nimi stanowiło to, jak daleko skłonne były się posunąć dla realizacji swoich celów. Wywiad USNA był przekonany, że zagłada Columbus DC to dzieło promondyjskiej części rządu europejskiego, a Koenig zasadniczo zgadzał się z tym twierdzeniem. Globaliści w większości popierali łamanie opozycji z pewnym naciskiem wojskowym, jednak bez popełniania zbrodni ludobójstwa przy wprowadzaniu swoich porządków. Fakt, że Roettgen wydawała się szczerze zaskoczona atakiem nano-D na Columbus, sugerował, że akcja została przeprowadzona przez buntowniczy element w jej własnym rządzie.

Zaskoczenie oczywiście mogło być grą, jednak Koenig w to nie wierzył.

Jej zniknięcie ze światowej sceny sugerowało, że miał rację.

– No dobrze, czemu pan do mnie zadzwonił? – spytał Koenig. – Chce się pan poddać? Jesteśmy w stanie zaoferować korzystne warunki.

– Bardzo zabawne. Dzwonię, panie prezydencie Koenig, by osobiście pana poinformować, że w ciągu dwóch tygodni na Ziemię przybędzie delegacja Sh'daar. Powitamy ich bardzo serdecznie, a jeśli chciałby pan odegrać jakąś rolę w tym wydarzeniu i kształtowaniu nowego pokoju, istnieje taka szansa. Może pan uczestniczyć w tych wydarzeniach, gdy tylko ustalimy pewne warunki.

– Osobiście? – zapytał Koenig, unosząc brwi. Pojawienie się osobiście w sali, gdzie odbędzie się konferencja, mogłoby być świetną okazją dla Konfederacji, by aresztować Koe-niga, lidera rebelii. Powinni być tym zachwyceni.

– Oczywiście, że nie. – W głosie Francuza brzmiała arystokratyczna wyższość. – Wirtualnie. Zapewnimy panu link i adres.

Okazało się, że Denoix był równie ostrożny, jeśli chodzi o możliwość podstępu z drugiej strony, jak i Koenig. Przy konferencji wirtualnej, nawet między Toronto a Genewą, nie było jednak potrzeby, aby jej uczestnicy znajdowali się w jednym pokoju, a nawet na tym samym kontynencie.

– Jaki miałyby być cel takiego spotkania? – spytał Koenig.

– Oczywiście pokój i otwarta komunikacja z sojuszem Sh'daar, zanim rozgniotą nas jak insekty. Nawet pan musi widzieć i rozumieć fakt, że kontynuacja oporu przeciwko władcom Galaktyki na dłuższą metę musi prowadzić do zagłady ludzkości.

Koenig wiedział, że wieki temu był taki czas, gdy przywódcy dwóch krajów, pomiędzy którymi toczyła się wojna, nie mogli rozmawiać tak bezpośrednio, wirtualną twarzą w wirtualną twarz. Wiadomości, noty dyplomatyczne, prośby o formalne negocjacje, udział państw trzecich, ambasady państw neutralnych, a w najlepszym wypadku telefon lub łącze internetowe pełniły rolę narzędzi. Koenig chciał wierzyć, że te otwarte linie komunikacyjne, prowadzące do lepszego wzajemnego zrozumienia, były nadzieją ludzkości.

Zdarzały się jednak momenty takie jak ten, kiedy wydawało mu się, że nie miał racji. Dobra komunikacja zbyt często prowadziła jednak do nieporozumień. Christian Denoix de Saint Marc brzmiał tym razem arogancko i wydawał się w pełni przekonany o swojej racji.

– Przyjmuję zatem – powiedział prezydent USNA ostrożnie – że jesteście w kontakcie z jakimś ich agentem. Kim? Agletsch?

– To nie powinno pana obchodzić, prezydencie Koenig. Wystarczy, jeśli powiem, że Sh'daar są skłonni wstrzymać swoje przyszłe kampanie przeciw nam w zamian za... współpracę.

– Pokój naszych czasów, tak?

– Przepraszam? – Rozmówca Koeniga wydawał się wahać, bez wątpienia lider Europejczyków ściągał dane. – Ach, Neville Chamberlain, tysiąc dziewięćset trzydziesty ósmy... Moment...

To, że europejski przywódca Konfederacji Terrańskiej nie wiedział, co oznaczała ta data, było mocno frustrujące. Koenigowi natychmiast przypomniał się następny stary cytat:

„Ci, którzy zapominają o błędach przeszłości, skazani są na ich powtórzenie”. Słowa Santayany zwykle wyrywane były z kontekstu z założeniem, że odnoszą się raczej do rozwoju jednostki, a nie całych narodów, jednak tutaj miały właściwe zastosowanie. Słuchając prezydenta Konfederacji, Koenig przywołał z pamięci jeszcze jedną sentencję Santa-yany: „Fanatyzm to podwajanie wysiłków w momencie, gdy zapomniano się o celach”.

Ilse Roettgen i Koenig mogli się politycznie nie zgadzać, ale ona nie była fanatyczką. Jeśli chodziło o tego aroganckiego arystokratę, nie istniała taka pewność. A jeśli prawdę stanowiło założenie, że to frakcja Korosi – Denoix nakazała unicestwienie Columbus, znaczyło to, że ten człowiek jest najgorszym rodzajem fanatyka – całkowicie oddanym swojej wypaczonej wizji i skłonny dla niej poświęcić wszystko i wszystkich.

– Nie mam zamiaru dyskutować z panem o historii, Koenig – warknął Denoix. – Ta wasza nędzna rebelia bezsensownie pochłania ludzkie istnienia i zasoby. Walka ze Sh’daar jest głupia, przecież musi pan to widzieć! Sprzeciwianie się takiej potędze, cywilizacji, która wyprzedza nas technologicznie o milenia, jest idiotyczne, beznadziejne. Sh’daar korzeniami sięgają cywilizacji technicznej mającej ponad miliard lat. To szalony pomysł dla naszego gatunku, szczególnie w momencie, gdy Obcy z Rozety okazali swoją wrogość.

– Sugerowałbym, abyśmy poczekali na powrót grupy zadaniowej „Ameryka” – odpowiedział Koenig. – Obcy z Rozety faktycznie zniszczyli „Endeavor” i jego eskortę, jednak możliwe, że był to wypadek.

– Trzy okręty za jednym razem, nie przesadza pan z tym wypadkiem, Koenig?

– To całkiem proste. Gdy wrzucimy zaprogramowany nanosubstrat do gruntu i zaczynamy budować strukturę, oczyszczając ziemię i skały, mrówki, robaki, myszy i wszystko inne po prostu ma pecha, prawda?

– A ludzie? Ludzie na pokładach tych okrętów nie byli mrówkami! Stali zdecydowanie i zauważalnie wyżej pod

względem inteligencji, myślenia przyczynowo-skutkowego i możliwości!

– A ja uważam, że różnica między nami a mrówkami może być całkowicie niezauważalna dla cywilizacji technicznej, która o miliony, a może nawet o miliardy lat nas wyprzedza! Mogli nawet nie zauważyć, że „Endeavor” tam był.

Denoix gwałtownie zamachał ramionami.

– Nonsens! Zgodnie z informacjami zdecydowanie bardziej prawdopodobne jest, że to, co pojawiło się z Czarnej Rozety, to ur-Sh'daar, których współcześni Sh'daar mają powody się bać. To oni są przyczyną, dla której sojusz nalega na wstrzymanie rozwoju. Mocno podejrzewam, że te ograniczenia będą cały czas podnoszone, gdy przyłączymy się do współczesnych Sh'daar przeciw nim samym z przeszłości.

– A jakie są źródła pana wiedzy, monsieur? Sami Sh'daar? Czy jedna z ras im podległych?

– A to, proszę pana, nie pański interes. Twierdzę tylko, że Sh'daar mogą szybko zorientować się, że potrzebują naszej pomocy, a dla nas może okazać się szczególnie korzystne udzielenie im jej. Ale nie zaakceptują naszej oferty, jeśli jako gatunek będziemy wewnętrznie podzieleni.

– Rozumiem. A co dokładnie ma pan do zaoferowania Stanom Zjednoczonym Ameryki Północnej, aby zyskać naszą współpracę?

– Na początek niezależność do rozsądnego stopnia!

Koenig potrząsnął głową.

– To musi być coś zdecydowanie większego, Chris. Bądź co bądź, trzymamy się na swoim gruncie całkiem nieźle. Waszyngton i Manhattan? Duszanbe? Atlantyka? A poza Ziemią... mamy Ciołkowskiego.

– Pomniejsze lokalizacje. Chciałbym jednak przypomnieć o ostatnich zwycięstwach Konfederacji: Wenus, Bangkok i oczywiście Enceladus. Siły Konfederacji zyskują przewagę, musi pan przyznać.

To akurat była prawda. Ostatnio Konfederacja odnotowała kilka zwycięstw, a USNA miały wrażenie, że ich siły są

rozciągnięte poza dopuszczalne granice. Raid Konfederacji na Deimos zmusił Amerykanów do zgrupowania większości sił wokół Marsa w celu ochrony mieszczącego się tam Dowództwa Floty – HQMILCOM. Gdyby Europejczycy przypuścili zdecydowany szturm w tym kierunku, Koenig nie był pewien, czy zdołałby go odeprzeć.

Straty okrętów też były ostatnio duże, bardzo żałował wysłania „Ameryki” z eskortą do Omega Centauri. Mógłby użyć lotniskowcowej grupy bojowej do uderzenia na bazę orbitalną Konfederacji LEO lub wysadzić desant Marines przy jej dowództwie Marynarki, mieszczącym się w bazie Copernicus na Księżycu.

Jednak błyskawiczne zwycięstwo USNA przy Ciołkowskim i następujący po nim sukces w starciu ze Slan va Sh'daar spowodowały, że wojna nie była całkowicie jednostronna. Do cholery! To była bardzo dobrze prowadzona wojna. Używając określenia z antycznego, szczególnie brutalnego sportu, wyglądało na to, że to Konfederacja była na linach!

Koenig doskonale wiedział, że w czasie wojny nic nie jest pewne oprócz strat, zniszczeń i śmierci. Nienawidził wojny tak, jak tylko weteran potrafi. Ludzkość wplątana została w konflikt z obcymi, a Denoix miał całkowitą rację w jednym: wojna domowa pomiędzy Ameryką Północną a Konfederacją stanowiła marnotrawienie zasobów ludzkich i materialnych. Ludzie ginęli tysiącami, dziesiątkami tysięcy w tym trwającym od trzech miesięcy konflikcie, rozciągającym się na całą Ziemię, a także na księżycy i ekstrasolarne kolonie. Konfederacja nadal walczyła i wcale nie była przekonana o swej przegranej.

– Jako znak dobrej woli – powiedział Koenig – moglibyście odwołać swoje roszczenia w stosunku do Peryferii USNA.

To był jeden z powodów tej wojny. Genewa twierdziła, że ma prawo zaanektować wybrzeże północnoamerykańskie, w szczególności miasta i tereny od Nowej Szkocji do Meksyku, częściowo zalane podczas zmiany klimatu cztery wieki temu. Boston... Nowy Jork... Filadelfia... Baltimore... To wszystko były amerykańskie miasta, a nie część globalnego trustu Konfederacji.

Powoli odbierano je morzu, odsalano, odbudowywano, a USNA nie potrzebowały do tego europejskiej pomocy.

– Stany Zjednoczone Ameryki Północnej – odparł Denoix – formalnie zrzekły się tych terenów dawno temu. Prawnym obowiązkiem Konfederacji, naszym prawem, jest przejąć kontrolę nad opuszczonymi terenami i przywrócić tam ład i porządek.

– W takim razie nie mamy o czym mówić, monsieur. My bierzemy Peryferie. I nie mamy zamiaru pozwolić ani wam, ani Sh'daar ograniczać naszego rozwoju technologicznego.

Ciągle to samo. Wraz z upadkiem potęgi ekonomicznej Ameryki w dwudziestym drugim wieku, kraj nie był w stanie ratować ciągle zalewanych miast. Peryferie zostały porzucone, zostawione tym nielicznym, którzy nade wszystko chcieli żyć we własnych domach. Oczywiście Genewa także nie przejawiała nimi większego zainteresowania. Aż do chwili obecnej, gdy USNA zaczęły osuszać bagna i odbudowywać miasta, powodując, że stawały się jeszcze piękniejsze i użyteczniejsze, niż były uprzednio.

Jeśli chodzi o sprawę technologii, ultimatum Sh'daar z 2367 roku żądało od ludzi zaprzestania rozwoju technologii GRIN, o których mówiono, że prowadzą do osobliwości Vingego.

Jednak technologie GRIN były niezbędne do przeżycia i kontynuacji rozwoju ludzkości, jej transformacji i drogi ku dojrzałości. Dostosowanie się do żądań obcych oznaczało osłabienie ludzkich możliwości obronnych i pozostawienie Ziemi na łasce agresywnych klientów Sh'daar. Ponadto Koe-nig nie chciał być tym liderem USNA, który zaprzepaścił wszystko, o co walczone od blisko siedmiu dekad.

Do cholery, dwadzieścia lat temu Sh'daar byli przerażeni pojawieniem się ludzkiej grupy bojowej w ich miniaturowej galaktyce osiemset milionów lat wcześniej. Ich konsternacja doprowadziła do trwającego dwadzieścia lat zawieszenia broni.

– Szkoda – powiedział Denoix. – Ameryka Północna będzie musiała więc stawić czoła zarówno reszcie Ziemi, jak i naszym nowym galaktycznym sojusznikom. Jak długo będziecie mogli

sobie na to pozwolić?

– Wystarczająco długo, by poznać smak niepodległości.

– A to, drogi panie Koenig, nigdy się nie zdarzy. Ziemia musi być zjednoczona, jeśli ma zająć należne jej miejsce w sojuszu. – Denoix wzruszył ramionami. – No cóż, musiałem dać wam szansę. Nic więcej nie mogę zrobić. Stany Zjednoczone Ameryki Północnej zostaną włączone do Konfederacji Ziemskiej, która z kolei wejdzie w skład sojuszu Sh'daar. Szkoda, że aż tylu będzie musiało zginąć dla satysfakcji pańskiego ego.

– Mojego ego? – Koenig prawie się roześmiał. Zdecydował się jednak sprowokować Denoix tak, by ten zdradził nieco więcej. – Czy to oznacza, że macie zamiar stopić więcej miast?

– Zapisy historyczne, Koenig, udowodnią, że to ty nakazałeś zniszczenie Columbus, aby przedstawić Konfederację w roli napastników. Możliwe jest, że kilka innych amerykańskich miast zniknie w chmurach nano-D. Mam szczerą nadzieję, że tak się nie stanie.

Wirtualny obraz zgasł. Połączenie zostało przerwane.

Koenig znów był w swoim biurze, mrużąc oczy przed ostrym światłem.

– Skurwysyn – powiedział na głos. – Co za pieprzony skurwysyn...

Rozdział siódmy

5 marca 2425

USNA CVS „Ameryka”

Wejście w przestrzeń

Zewnętrzne rejony Układu Słonecznego

Godzina 6.20 TFT

Wejście w przestrzeń...

Ciasny bąbel metaprzestrzeni otaczający lotniskowiec gwiazdny „Ameryka” opadł w blasku ostrego światła. Okręt dryfował w stronę Słońca, będąc od niego oddalony o około dwadzieścia jednostek astronomicznych. Wokół okrętu flagowego w normalną przestrzeń wchodziły także pozostałe jednostki grupy bojowej, wytracając pseudoprędkość w łunach protonów. Najpierw pojawiły się „John Young” i „Ramirez”, a następnie na ekranach kontrolnych lotniskowca zabłyśły ikony symbolizujące „Edmontona”, „Spruance” i wreszcie „Shenandoah”.

Gray odetchnął z ulgą. Admiralem został mianowany tylko czasowo, aby mógł pełnić obowiązki dowódcy Grupy Bojowej LGB-40, na wyraźne polecenie prezydenta Koeniga. Zbyt krótko był w służbie jako O-6^[1], kapitan Marynarki, by uzasadniało to tak szybki awans, spodziewał się więc, że ponownie obejmie stanowisko dowódcy „Ameryki”, gdy po powrocie na Ziemię wyznaczony zostanie nowy, stały dowódca LGB.

Miło było wracać ze świadomością, że nie poniosło się żadnych strat. Pomijając oczywistą tragedię śmierci ludzi i zaprzepaszczenia misji, gdyby stracił jakiś okręt przy Omega Centauri, mógł spodziewać się tylko wezwania na dywanik.

Szanse na kolejny awans, czy nawet utrzymanie stanowiska dowódcy lotniskowca, zmalowałyby praktycznie do zera.

Dla Graya ważne było jedynie, że nikt nie zginął podczas wykonywania tego zadania, nawet porucznik Walton, młody pilot, który zgłosił się do wykonania lotu rozpoznawczego nad Rozetą. Zdobyte przez niego dane dadzą powód do radości fizykom na ładnych kilka lat, a może pozwolą odpowiedzieć na pytanie, kim są Obcy z Rozety.

– Wszystkie okręty grupy bojowej zgłosiły wejście – powiedziała komandor Wilson.

– Zauważyłem. Proszę przekazać do wszystkich jednostek, aby zbliżyły się do „Ameryki” i przygotowały do przyspieszenia wewnątrz systemu.

– Aye, aye, sir! – Po chwili wahania Wilson odezwała się: – Panie admirale?

– O co chodzi?

– Odbieram sygnał radiolatarni SAR. Odległość... sześć jednostek astronomicznych, poniżej, od sterburty. Sygnał jest bardzo słaby.

Gray otworzył trójwymiarowy wyświetlacz w swoim umyśle. Otaczała go czarna przestrzeń, a w niej jasna plama Słońca w oddali i pięć zielonych gwiazdek w różnej odległości od lotniskowca. Dalej widać było orbitalne drogi planet, głównych asteroid i kolonii. Najbliższy był Neptun, oddalony o siedem jednostek astronomicznych.

Faktycznie... coś tam było. Sygnał słabiutki, jak mówiła Wilson, małe pomarańczowe punkciki, błyskający obok Saturna. AI „Ameryki” na żądanie podała dane, celem był uszkodzony myśliwiec USNA – starhawk – dryfujący w sąsiedztwie planety, oddalony od niej o jedną jednostkę astronomiczną, czyli sto pięćdziesiąt milionów kilometrów, z prędkością ćwierć miliona kilometrów na godzinę.

Odczytana tablica identyfikacyjna twierdziła, że maszyna należy do VF-910, eskadry bazującej na Enceladusie. Jej pilotem był porucznik Frank Gallagher. Systemy podtrzymania życia działały na ostatnich rezerwach, a myśliwiec dryfował od...

Dobry Boże! Dwudziestu dwóch dni. Mimo to wyczuwalne były oznaki życia, choć bardzo słabe.

– Wydział medyczny – wezwał Gray.

– Tak, panie admirale – odezwał się głos doktora Haynesa, starszego oficera medycznego „Ameryki”.

– Macie te odczyty? Od biegacza przed nami?

Biegaczem nazywano maszynę pozbawioną kontroli, dryfującą swobodnie w przestrzeni.

– Tak. Słabe tętno, słaba akcja oddechowa. Minimalna aktywność mózgowa. Wygląda na to, że wprowadzono go w nanomedyczne zawieszenie.

– Proszę się przygotować, doktorze. Wysyłam SAR.

„DinoSAR”, jedna z eskadr ratowniczych „Ameryki”, specjalizowała się w ściąganiu biegaczy i ratowaniu pilotów. Pytanie brzmiało: czemu nikt z Enceladusa nie ratował porucznika Gallaghery przez dwadzieścia dwa dni?

Facet przeżył jedynie dzięki zawieszeniu nanomedycznemu. Gdy zdał sobie sprawę z tego, że nikt go nie szuka, prawdopodobnie nakazał AI myśliwca, by wstrzyknęła mu zestaw nanobotów zaprogramowanych do podtrzymywania życia. Respirocyty Freitas'a były w stanie zapewnić mu tlen, oczyszczając jednocześnie organizm z dwutlenku węgla i innych produktów przemiany materii. Niektóre z botów mogły dostać się do rdzenia przedłużonego, drastycznie spowalniając akcję serca, oddychanie i utrzymując ciśnienie krwi. Inne dostały się do krwiobiegu, utrzymując stały skład krwi, przebudowując ją niemal komórka po komórce. Najważniejsze jednak zaprogramowano tak, by dotarły do podwzgórza i oddziałując na odpowiednie nerwy, wprowadziły pilota w śpiączkę. W ten sposób chroniony był przed szaleństwem, które mogło zostać wywołane przebywaniem w klaustrofobicznie małym kokpicie przez tak długi czas.

W tym czasie AI myśliwca mogła wyszukiwać okręty sił własnych. W ciągu kolejnych pięćdziesięciu minut światło oznajmiające przybycie „Ameryki” miało dotrzeć do sensorów starhawka. Do tego czasu holownik SAR powinien znaleźć się już

przy maszynie, a grupa bojowa dowiedzieć się, co się tu wydarzyło.

Gray miał jednak paskudne przeczucie, że już to wiedział. W przestrzeni Saturna znajdowało się kilka baz: Tytan, Enceladus, stacja pierścieniowa Huygensa. Nie były one silnie bronione i Konfederacja mogła uznać je za łatwe cele. Ten dryfujący starhawk mógł być częścią eskadry USNA, wysłanej w przestrzeń Saturna w celu ochrony interesów amerykańskich.

Jeśli nie wyruszył za nim żaden holownik SAR, znaczyło to, że bazy padły.

– Kontrola lotów, tu mostek – powiedział Gray. – Co mamy gotowe do wylotu?

– „Demons” i „Knights” są w stanie gotowości jeden, panie admirale – odpowiedziała kapitan Connie Fletcher, CAG „Ameryki”, z kontroli lotów. – Gotowe do startu w ciągu minuty od pana rozkazu.

VFA-96 „Black Demons” była jedną z eskadr myśliwskouderzeniowych, składającą się z dwunastu SG-92 Starhawk. VFA-215 „Black Knights” posiadała na wyposażeniu tuzin dużo młodszych i nowocześniejszych SG-101 Velociraptor. Dwie eskadry były w stanie gotowości jeden, zdolne w ciągu minuty opuścić pokład startowy lotniskowca za każdym razem, gdy wychodził on z metaprzestrzeni. Był to środek bezpieczeństwa, na wypadek gdyby wyjście miało miejsce w przestrzeni kontrolowanej przez przeciwnika.

Istniało duże prawdopodobieństwo, że taka sytuacja właśnie miała miejsce.

– Wystrzelić obie eskadry – nakazał Gray. – Oczyszczyć mi ścieżkę do przestrzeni Saturna. Ogłosić alarm dla pozostałych eskadr. Wyślijcie też holownik po tego starhawka.

– Aye, aye, sir! Uruchamiam procedurę odpalania myśliwców...

VFA-96 „Black Demons”
Przestrzeń wokół Saturna

– Śluza otwarta – rozległ się głos KL w jej głowie. – VFA-96, macie zezwolenie na start.

Porucznik Megan Connor dokonała ostatniego przeglądu systemów. Wszystkie kontrolki jarzyły się na zielono. Uznała, że najwyższy czas na trochę akcji. Ciągłe bycie w gotowości pięć oznaczało tylko siedzenie w kabinie i wyczekiwanie, nic więcej.

– Przyjąłem, „Ameryka” – odparł głos komandora Luthera Mackeya. – W porządku, Demons! Na moją komendę, trzy... dwie... jedna... start!

Poczucie ciężenia zniknęło. Wisiała twarzą w dół, patrząc na przesuwane się pod nią gwiazdy, poddana sztucznej grawitacji obrotowego modułu „Ameryki”. Gdy znikło pole magnetyczne zatoki, rozpoczęła swobodne spadanie, aż do wyjścia w przestrzeń. Po chwili pomknęła wzdłuż kadłuba lotniskowca i wysunęła się z kopuły ochronnej. Po jej lewej stronie Saturn widoczny był jako jasny, złoty krąg, a w oddali świeciło małe, lecz wyraźne Słońce, wyłaniające się z za planety smugą światła.

Zielone ikony symbolizujące velociraptory układały się w trójramienną gwiazdę, cztery myśliwce na każde ramię. Przyspieszali już. Connor obróciła myśliwiec o dziewięćdziesiąt stopni i uruchomiła napęd osobliwościowy, mknąc ku planecie oddalonej o sześć jednostek astronomicznych. W oddali został ciemny grzyb kopuły ochronnej „Ameryki”. Za rufą, z jednego z osiowych kanałów startowych, wystrzelił samotny holownik SAR, zajmując miejsce za starhawkami i odległymi velociraptorami „Black Knights”.

– BCI „Ameryka”, tu Demon Jeden – na kanale taktycznym rozległ się głos komandora Mackeya. – Wychodzimy spod KL. Cała eskadra poza okrętem i w formacji.

– Potwierdzam, Demon Jeden – odparł głos z bojowego centrum informacyjnego „Ameryki”. – Kontrola lotów przekazała prowadzenie do BCI. Macie zezwolenie na manewrowanie.

– Trzymać mi tu ładny, ciasny szyk, Demons – powiedział

Mackey, przełączając się na kanał eskadry. – Nie możemy dać się wielotraktorom. Wszyscy gotowi?

Po kolei zgłaszali się piloci starhawków.

– Demon Pięć, gotów.

– Demon Siedem, do przyspieszenia.

– Demon Osiem.

– Demon Sześć – powiedziała Connor. – Wszystko na zielono.

Głosy kontynuowały wyliczanie. Connor niepokoiła się jednak jednym mało komfortowym faktem. Po bitwie przy Ozyrysie w 70 Ophiuchi, która miała miejsce zaledwie cztery miesiące temu, „Black Demons” liczyli tylko pięciu pilotów, a ona była wtedy nowicjuską przydzieloną do VFA-96 po uwolnieniu jej z macek Slan. Porucznicy Don Gregory, Ted Nichols i Joseph Kemper oraz komandor Mackey, dowódca, dopełniali składu eskadry. Pozostała siódemka lecąca dziś z nimi to świeży narybek, prosto po szkoleniu w Oceanie. Zameldowali się na pokładzie „Ameryki” tuż przed wylotem do Omega Centauri i przez trzy miesiące nie oglądali akcji.

Cholernie niemiłą była świadomość, że Happy Kemper, dupek i bigot, który bez przerwy dokuczał Gregory’emu z powodu kolonialnego pochodzenia, a samej Connor z powodu bycia imigrantką z wolnego miasta Atlantyka, był bardziej godzien zaufania niż te dzieciaki. Nie znosiła Kempera, ale zaufałyby mu w każdym momencie walki.

Nie mogła powiedzieć tego samego o Rodriguezie, Stuarcie ani innych. Weterani walk mieli tendencję do trzymania nowo przybyłych na dystans do momentu, aż pokażą, ile są warci. Wyglądali na niezłych, ale jedynym sposobem, żeby to sprawdzić, była walka.

Nieważne. Wyglądało na to, że dziś będą mieli szansę się wykazać.

– BCI, tu Demon Jeden – powiedział Mackey. – „Black Demons” gotowi do przyspieszenia. Za pięć... cztery... trzy... dwie... jedną... teraz!

Niebo przed nimi stało się dziwne.

Wirtualne centrum bojowe
Colorado Springs, USNA
Godzina 8.10 CST

– Witajcie w WCB, nazywam się major Corbett, a na to miejsce mówimy Góra Wojny Umysłowej. Rozgoście się.

Shay Ashton rozejrzała się i stworzyła sobie fotel z nanomacierzy podłogi. Około czterdziestu osób, które wraz z nią weszły do olbrzymiej sali, zrobiło to samo. W ciągu ostatniego tygodnia poznała kilkoro z nich, jednak o żadnym nie myślała jako o przyjacielu. Jeszcze nie. Większość pochodziła z USNA i okazywała normalną niechęć do prymów. Kilkoro, jak Mustoll, Cabot i Dewitt, pochodziło z Peryferii, tak jak ona, ale zwyczajem mieszkańców Ruin nie ufali obcym, mając ku temu bardzo racjonalne najczęściej powody. Poznanie ich i przełamanie barier musiało zająć trochę czasu, a Ashton wcale nie była pewna, czy chce to robić.

Ciągle zastanawiała się, czemu zmieniła zdanie i pojawiła się w centrum rekrutacyjnym w Pittsburghu. Już zdążyła pożałować tej decyzji i szukała możliwości wycofania się. Nie było to łatwe, biorąc pod uwagę ferrocetowe ściany podziemnego centrum dowodzenia. Potwierdziła swoją zgodę na mnóstwie formularzy bezpieczeństwa, zanim jeszcze w ogóle zaczęła szkolenie. To miejsce było tak tajne, że oficjalnie nie istniało, choć z drugiej strony, nikt nie mógł zagwarantować, że nieprzyjaciel o nim nie wiedział.

Przy powszechnym dostępie do globalnej sieci, niewiele pozostało prawdziwych tajemnic.

– Panie i panowie – powiedział major Corbett, gdy ucichły już szepty – wasze szkolenie rozpoczyna się właśnie w tym momencie. Od teraz przez następne dwa tygodnie będziecie bombardowani przez twarde ŁD.

ŁD – ładowanie danych. Większość nowoczesnych szkoleń wojskowych rozpoczynano obecnie od ładowania programu.

Prawdziwa praca przychodziła później, podczas integracji i praktycznego treningu.

– Wirtualne pole walki – kontynuował major – nie przypomina typowego pola boju i będziecie zmuszeni rozwinąć nowe odruchy, nowe zachowania, nowe sposoby myślenia, aby przetrwać. Chciałbym, abyście się odprężyli i zrelaksowali, a potem kliknęli w link, który znajdziecie na wyświetlaczach.

Ashton zrobiła to, co jej nakazano, używając implantu do zmiękczenia fotela i pochylenia jego oparcia. Na wewnętrznym wyświetlaczu pojawiła się nowa ikona, więc kliknęła w nią. Rozpoczął się przepływ danych.

Duża część szkolenia wojskowego była w tych czasach sprawą załadowania informacji, zmagazynowania ich w wewnętrznej pamięci RAM i przetransferowania do pamięci organicznej. Umiejętności fizyczne musiały być jednak wielokrotnie przetrenowane, pamięć mięśniowa to co innego niż przechowywanie informacji. Jednak wojna wirtualna była dalece mniej fizyczna, a bardziej umysłowa.

W rzeczywistości wojna wirtualna bardzo przypominała gry, które zyskały taką popularność w ciągu ostatnich stuleci. Scena – rodzaj wirtualnego krajobrazu – kreowana była przez AI prowadzącą operację, a wirtualni wojownicy wykonywali manewry w celu pokonania elektronicznej obrony i wejścia do wrogiego systemu. Piloci myśliwców mieli w tego typu potyczkach przewagę, jako że już posiadali bardzo wytrenowany refleks, a także dlatego, że nie rozpraszało ich wiszenie nad obiektem, zastanawianie się i wymyślanie wszelkich możliwych rozwiązań.

W odróżnieniu od kolegów z klasy, pochodzących z bogatszych i lepiej rozwiniętych miast, Ashton nigdy wcześniej nie grała w wirtualne gry wojenne, była jednak dobrym pilotem myśliwskim, a to wydawało się mieć tutaj duże znaczenie.

Zacisnęła zęby i zaczęła przebijać się przez ogrom danych technicznych.

USNA CVS „Ameryka”
Przestrzeń wokół Saturna
Godzina 9.16 TFT

– Jak się miewa nasz gość? – spytał Gray. Znajdował się w izbie chorych „Ameryki”, w biurze tuż za pomieszczeniem strażnika. Zastępca dowódcy także tam była, jednak tylko wirtualnie. Fizycznie przebywała na mostku i widziała wszystko na wewnętrznym wyświetlaczu.

– Na pewno da radę, panie admirale – odparł doktor Joseph Haynes. – Utrzymujemy go w śpiączce do czasu, aż krew wróci do normy.

– Kiedy będzie można z nim porozmawiać? – spytała Sara Gutierrez. – To bardzo ważne dla nas.

– Dajcie chłopakowi trochę czasu – odpowiedział doktor. – Musimy wybudzać go stopniowo, by uniknąć traumy psychochemicznej. Powiedziałbym... za sześć godzin.

– Cholera, do tego czasu będziemy na Enceladusie – westchnęła Gutierrez.

– Proszę dać mi znać, gdy odzyska przytomność, doktorze – powiedział Gray. – Mamy w naszej sieci bazę danych Agletsch. Powinniśmy być w stanie zidentyfikować tych nowych bandytów.

– O ile Pająki miały z nimi kontakt – powiedziała Gutierrez. – To duża Galaktyka. Nawet oni nie spotkali w niej wszystkich.

Jakiś czas temu USNA kupiły od gwiazdnych handlarzy Agletsch część ogromnej bazy danych, zawierającą opis trzydziestu pięciu inteligentnych gatunków zamieszkujących fragment Galaktyki zdominowany przez Sh'daar. „Encyclopedia Galactica” nie mogła być żadną miarą uznana za kompletną. W samym sojuszu Sh'daar znajdowało się około czterech, pięciu tysięcy gatunków zdolnych do lotów kosmicznych, a w całej Galaktyce mogło ich być prawie pięćdziesiąt milionów.

Wśród tych trzydziestu pięciu ras va Sh'daar były wszystkie

odmiany obcych, z którymi ludzkość miała do czynienia w ciągu kilku dekad prowadzenia wojny: Turuschowie, H'rulka, Nungiirtok i ich małe symbionty – Koboldy, Slan, a także kilka mniej znanych. Wiadomości o reszcie pochodziły tylko z danych kupionych od Agletsch i nie istniała możliwość praktycznego zweryfikowania tych informacji.

Jednak AI z myśliwca Gallaghery zdołała wykonać kilka zdjęć w wysokiej rozdzielczości, przedstawiających jakiś okręt obcych, ośmiusetmetrowe, nieco spłaszczone jajo, krwistoczerwone, pokryte czymś, co nadawało mu wyjątkowo organiczny wygląd. Nic takiego nie figurowało ani w katalogach USNA, ani Konfederacji. Co więc, do cholery, robiło to coś w składzie konfederackiej floty, z którą walczyła eskadra Gallaghery?

– Panie admirale, tu łączność – rozległ się głos w głowie Graya.
– Mamy odpowiedź z Ziemi.

Sprawdził czas. Była dziesiąta piętnaście. Cholera, szybko się uwinęli. „Ameryka” i jej eskorta wyłoniły się z metaprzestrzeni o szóstej dwadzieścia i natychmiast powiadomiły o tym Ziemię. Przy obecnym położeniu planet Układu Słonecznego Ziemia oddalona była o około sto dwadzieścia sześć minut świetlnych. Po dziesięciu minutach Gray wysłał do Dowództwa Floty USNA upakowaną, zaszyfrowaną wiadomość zawierającą meldunek o Omega Centauri, a także plany na najbliższą przyszłość, czyli ściągnięcie biegacza. Dowództwo powinno otrzymać tę wiadomość dwie godziny z niewielkim hakiem później, czyli niech będzie o ósmej trzydzieści sześć. Jednak w ciągu tego czasu Ameryka przemieściła się w stronę Saturna, przejęła holownik SAR wraz z uratowanym pilotem. O ile Ziemia odpowiedziałaby natychmiast, to informacja powinna dotrzeć do „Ameryki”, oddalonej od Ziemi już o dziesięć JA, po osiemdziesięciu minutach, czyli o dziesiątej. Piętnaście minut temu.

Opóźnienie w odpowiedzi wynoszące piętnaście minut to dla Dowództwa Marynarki było tempo zaiste ekspresowe. Zdaniem Graya, organizacja ta miała tendencje do zagadywania sprawy na śmierć i nierobienia niczego w praktyce.

– Proszę połączyć – odparł. – Proszę też nadawać to do

wszystkich szefów wydziałów w grupie bojowej w czasie rzeczywistym.

– Aye, aye, sir.

W umyśle Graya otworzyło się kolejne okienko, w którym najpierw pojawiły się zakłócenia, by później ustąpić miejsca twarzy admirała floty[2] Michaela Diaza.

– Admirale Gray – powiedział ten ostatni – witamy w domu. Szkoda, że nie w bardziej sprzyjających okolicznościach. Pana pojawienie się w okolicy Saturna jest nam... bardzo na rękę. Mamy problem.

Przybycie „Ameryki” w miejscu oddalonym od Saturna zaledwie o sześć JA było całkowitym przypadkiem. Do niedawna okręty poruszające się z napędem Alcubierre’a nie mogły wyjść z metaprzestrzeni bliżej niż w odległości około czterdziestu jednostek astronomicznych od Słońca, co sprawiało, że wyjścia odbywały się najczęściej w okolicy Plutona lub w Pasie Kuipera. Jednak potężne AI w biurach konstrukcyjnych Marynarki stale pracowały nad polepszeniem właściwości napędów oraz innych technologii potrzebnych współczesnemu okrętowi bojowemu. Okręty główne mogły obecnie wyłaniać się z bąbli Alcubierre’a w odległości od dwunastu do piętnastu JA od gwiazd wielkości Słońca. Jednak znalezienie się akurat przy Saturnie było całkowitym przypadkiem.

– Dwadzieścia dwa dni temu, dwunastego lutego, grupa bojowa Konfederacji przejęła amerykańskie urządzenia i bazy w przestrzeni Saturna, w tym Enceladusa, Tytana i pierścienie. Otrzymaliśmy niepotwierdzone meldunki, że flocie towarzyszył nieznany okręt obcej konstrukcji.

– Łączność – powiedział Gray. – Proszę przesłać informacje na temat obcego okrętu do SpaCom, razem ze zdjęciami zrobionymi przez Gallaghera.

– Aye, aye, panie admirale.

Diaz opisywał ostatnią ofensywę Konfederacji. Wyglądało na to, że Genewa tworzyła w przestrzeni Saturna rejon umocniony. Nieznane były przyczyny takiego postępowania.

– Konfedzi twierdzą, że są obecnie sprzymierzeni ze Sh’daar –

mówił dalej Diaz. – Możliwe, że obce siły towarzyszące im przy Saturnie to Sh'daar lub kolejna podległa im rasa, jak Turuschowie czy Slan...

Gray gotów był się założyć, że chodziło o tę drugą możliwość. O ile było mu wiadomo, żaden człowiek nie widział Sh'daar od początku wojny.

– Admirale, wiemy, że od pana i pana ludzi wymagamy bardzo wiele, ale nasze siły są rozciągnięte do granic możliwości. W chwili obecnej „Ameryka” jest jedynym lotniskowcem, który posiadamy w Układzie, cholernie się więc cieszymy, widząc pana. „Constitution” chroni kolonie przy Alfa Centauri, „Intrepid” wykonuje daleki zwiad przy Vulcanie, zaś „Constellation”, „Independence” i „Saratoga” przechodzą obecnie remonty w SupraQuito. Chcielibyśmy, aby wykonał pan bliskie rozpoznanie systemu Saturna ze szczególnym uwzględnieniem Enceladusa, który wydaje się głównym celem Konfedów w tym rejonie. Proszę rozpoznać ich siły i, jeśli się da, zdobyć jak najwięcej informacji na temat obcych. Musimy wiedzieć, skąd pochodzą i co tu robią, a przede wszystkim, czy aktywnie wspierają Konfederację. Wysyłamy panu z Ziemi, co tylko możemy: „Kalifornię”, „Inchon” i pięć niszczycieli. Niestety, to wszystko. Przepraszam za opóźnienie powrotu na Ziemię, Piachu. Spraw się dobrze, a może dostaniesz te admiralskie gwiazdki na stałe. HQMILCOM, koniec przekazu.

A niech was cholera – pomyślał Gray. Nie przyleciał tu po gwiazdki. Potrzebowali kogoś z doświadczeniem dowódczym przy Omega Centauri i Gray doskonale się nadawał. Zgłosił się na ochotnika, przyjął tymczasowy awans, ponieważ w tradycji Marynarki nie uchodziło, by jakiś tam kapitan dowodził całą grupą bojową. Koenig doskonale zdawał sobie z tego sprawę, oferując mu tę robotę.

Trevor najchętniej wróciłby do stopnia kapitana Marynarki. Jednak tymczasem musiał zrobić, co do niego należało. Obowiązek. Honor.

W tej litanii nie było miejsca na słowo „stopień”.

Odsunął te myśli i skupił się na wyświetlaczu taktycznym.

– Gdzie są nasze myśliwce?

– Zbliżają się do Enceladusa, panie admirale – odpowiedziała Connie Fletcher.

„Ameryka” i jej eskorta znajdowały się obecnie w odległości siedemdziesięciu milionów kilometrów, czyli mniej niż pół JA od Saturna, a złota planeta jawiła się jako wąski sierp na tle Słońca. Jej pierścienie tworzyły prostą, cienką jak igła linię. Całość sprawiała wrażenie łuku, na który nałożono już strzałę. W oddali widać było pomarańczowego Tytana.

– W porządku. Proszę wystrzelić resztę myśliwców w celu wsparcia.

– Tak jest.

– Operacyjny!

Komandor Dean Mallory już po chwili był na łączu.

– Słyszałeś admirała Diaza?

– Tak, panie admirale.

– Potrzebujemy natychmiast planu operacyjnego. Jedna eskadra jako BPP, chroniąca grupę bojową. Pozostałe otaczają Enceladusa jako cel priorytetowy, chcę jednak, aby sprawdzono także Tytana i pierścienie. Ma to być rozpoznanie, ale w pełnej gotowości do zwalczania przeciwnika, jeśli nastąpi kontakt. Proszę przygotować rozkaz i wysłać go przez łącze taktyczne. Ma pan piętnaście minut.

– Tak jest.

Gray zdawał sobie sprawę, że piętnaście minut to zbyt mało, by przygotować rozkaz bojowy, nawet jeśli istniały jakieś już jego fragmenty. Należało jeszcze przeprowadzić symulację. Liczył na użycie GPO – gotowych planów operacyjnych – które cały czas były tworzone i udoskonalane przez AI wydziału operacyjnego. Podczas przemieszczania się okrętu tworzone i symulowano tysiące sytuacji taktycznych i logistycznych. Po analizie wszystkie trafiały do operacyjnej bazy danych. Komandor Mallory i jego zespół mieli wybrać te, które najlepiej spełniały oczekiwania Graya, złożyć je w jedną całość i dokonać końcowych poprawek. Taki plan mógł być następnie przesłany przez łącze taktyczne bezpośrednio do myśliwców, bez straty czasu.

Na wyświetlaczu Graya pojawiły się czerwone ikony odrywające się od Enceladusa. Myśliwce Konfederacji zostały wysłane na spotkanie „Ameryki”. *W samą porę* – pomyślał admirał. *Gdzie się podziewaliście?* Przeciwnik powinien mieć wysunięte w przestrzeni posterunki, a także patrole złożone z okrętów głównych w celu odparcia ewentualnego ataku USNA. Jak na razie wyglądało to na dwie eskadry myśliwców, najprawdopodobniej KRG-60 Todtadler. Niedobrze. „Ameryka” posiadała tylko dwie eskadry nowoczesnych SG—101 Velociraptor, które były technologicznym odpowiednikiem todtadlerów. Stare starhawki pozostawały daleko w tyle za zaawansowanymi myśliwcami z Europy.

Gray już od dawna toczył walkę z HQMILCOM, by do floty wprowadzono nowsze myśliwce. To powinno być oczywiste. Okręty logistyczne budowały zapasowe myśliwce przy pomocy nanoasemblerów w ciągu kilku godzin. Czemu więc, zamiast po prostu budować velociraptory, nadal składano stare, wolniejsze starhawki?

Jednak nawet przy najbardziej zaawansowanej technice wojskowej sprawy nie były takie proste...

Prawdą było, że przy odpowiednim oprogramowaniu nanoasemblerzy mogły pobrać z asteroid węgiel, wodór, tlen, żelazo, tytan i inne pierwiastki, i po prostu wytworzyć myśliwiec na miejscu. To samo dotyczyło nanoimplantów, które wyrastały w mózгах pilotów wojskowych, a które zapewniały natychmiastowe połączenie człowieka z AI sterującą maszyną, spajając pilota i myśliwiec w jeden cybernetyczny organizm.

Trudniejszą sprawą w tej hybrydzie był jednak czynnik ludzki. Trening pilotów polegał w dużej mierze na ładowaniu do implantów ogromnej ilości danych, jednak, by można było z nich zrobić użytek, musiały znaleźć się także w organicznej części mózgu. Piloci długo i ciężko trenowali, by nauczyć się wykorzystywać interfejs kontrolny myśliwca, wymieniać informacje z AI bezproblemowo i automatycznie, w sposób niemalże dosłowny stać się częścią maszyny.

Między nowymi velociraptorami i starhawkami były różnice,

szczególnie w sposobie przechowywania danych w organicznej części równania. Przeszkolenie pilota starhawk wymagało całkowitego przeprogramowania, w zasadzie wymazania wszystkich starych danych i zapisania nowych. Pilot przenoszący oba zestawy oprogramowania był chodzącą katastrofą, szczególnie biorąc pod uwagę, że duża część impulsów odnosiła się do rdzenia mózgu – to znaczy, że nie docierały one na wyższe piętra, funkcjonowały jak odruchy. Pilot wykonujący na przykład ciasny zwrot wokół strefy śmierci tworzonej przez własną osobliwość mógł zostać zamieniony w konfetti w przypadku najmniejszego błędu, stąd wymagana była absolutna precyzja i jedność pomiędzy komponentem ludzkim i sztucznym.

O ile więc nieorganiczna część nawet bardzo zaawansowanego technologicznie myśliwca była względnie łatwa do wykonania, o tyle ponowne szkolenie pilotów wcale takie proste nie było. Dużo łatwiej wyszkolić nowego pilota, niż zmienić nawyki starego.

Gray przeszedł szkolenie dwadzieścia cztery lata wcześniej na będących wówczas nowinką technologiczną SG-92 Starhawk. Jako pilot teoretycznie doskonale znał także SG-101 i wiedział, że nigdy nie odważyłby się zasiąść za jego sterami. To było coś dla pilotów młodego pokolenia.

Tak więc lotniskowce USNA przenosiły eskadry obu typów. SG-92 używano przeciw celom planetarnym i okrętom głównym, jednak nie walczyły z myśliwcami najnowszej generacji, jakimi były francusko-niemieckie todtadlery, chyba że miały znaczną przewagę liczebną.

Pojedynek jeden na jednego starhawk z todtadlerem był przepisem na popełnienie samobójstwa.

Marynarka Stanów Zjednoczonych jak zawsze wykazywała przywiązanie do starszej techniki. To także mogło być zdaniem Graya formą samobójstwa, tyle że narodowego, jednak do chwili obecnej dowództwo nie umiało doprowadzić do masowej restrukturyzacji programu szkolenia bojowego.

A było to takie proste. Wystarczyło zaprzestać szkolenia pilotów starhawków, a skupić się na programach treningowych

dla velociraptorów, czy też nawet nowszych, nienazwanych jeszcze prototypów, które miały wejść do produkcji w ciągu roku: XSG-420 czy absolutnie rewelacyjnego XSG-500.

Ale nie, HQMILCOM wolało tracić starych pilotów, niż wydawać pieniądze na całkowite przebrojenie centrów treningowych oraz okrętów logistycznych, które nadal wytwarzały przestarzałe myśliwce.

Gray obserwował, jak todtadlery Konfederacji rozwijają szyk, i modlił się, by wystarczyły przestarzałe myśliwce i ich piloci.

Rozdział ósmy

5 marca 2425

VFA-96 „Black Demons”
Przestrzeń wokół Saturna
Godzina 9.18 TFT

Trzy godziny po wystrzeleniu myśliwce „Demons” głęboko wbijały się w przestrzeń systemu Saturna. Connor widziała przed sobą złoty łuk planety, rozciągnięty na połowie nieba, wąski pas pierścieni gazowego giganta i małe, lecz jasne Słońce nieco z boku.

Samo podejście było torturą, narzuconą przez plan akcji autorstwa wydziału operacyjnego „Ameryki”. Plan zakładał podejście do Enceladusa od ciemnej strony Saturna. Prześlizgując się tuż pod pierścieniami Saturna i zbliżając od ciemnej strony, mogli opóźnić moment zauważenia ich przez przeciwnika.

Ta część jednak absolutnie się nie powiodła. Około dziesięciu minut temu klucze todtadlerów wystartowały zarówno z Enceladusa, jak i Tytana i pomknęły ku nocnej stronie Saturna, rozpraszając się, by zablokować podejście myśliwców amerykańskich. Zgodnie z planem raptory miały związać walką maszyny Europejczyków broniących podejścia do Enceladusa, pozwalając starhawkom zbliżyć się do obiektu.

– No dobra, Demons – rozległ się głos Mackeya – wchodzimy z salwą atomówek i ARTO. Status broni Whisky Foxtrot!

Kładąc ścianę wybuchających głowic nuklearnych, myśliwce amerykańskie mogły na moment oślepić czujniki przeciwnika, zaś chmury piasku antyrakietowego były w stanie zarówno zatrzymać nadciągające rakiety nieprzyjaciela, jak i uczynić

znaczące szkody wśród jego myśliwców.

Problem jednak polegał na tym, że Enceladus znajdował się dokładnie przed Amerykanami, a myśliwce Konfederacji nadciągały także z Tytana, z prawej strony oraz z baz orbitalnych w pierścieniach Saturna po lewej, i w tej chwili planeta je zasłaniała. Bez wątpienia to baza orbitująca wokół Tytana wykryła nadciągające maszyny USNA i wszczęła alarm. Pozostałe eskadry „Ameryki” już zbliżały się do tych myśliwców. Pierwszy kontakt powinien nastąpić za kilka sekund.

Kreska pierścieni rozszerzała się coraz bardziej i po chwili myśliwiec Connor znalazł się w morzu złotego, opalizującego światła planety, tak blisko, że wydawało się, iż wystarczy sięgnąć ręką, by jej dotknąć.

– Demon Trzy – zgłosił się Gregory. – Fox Jeden! Rakiety poszły!

Connor zdążyła już wybrać w myślach cel oraz rejon otwartej przestrzeni, który mógł ukryć jej podejście pod pierścieniami.

– Demon Sześć! Fox Jeden!

Pozostałe myśliwce „Black Demons” także wystrzeliły rakiety. Wybuchy głowic nuklearnych migają na czarnym niebie. Connor spojrziała na pierścienie znajdujące się kilka kilometrów ponad kadłubem jej myśliwca.

Wiedziała, że cząsteczki głównych pierścieni były odłamkami o rozmiarach od centymetra do dziesięciu metrów, prawie całkowicie składającymi się z lodu. Podświetlane od tyłu przez Słońce wyglądały wyjątkowo pięknie, sprawiając wrażenie milionów pojedynczych pasm delikatnych jak pajęcza sieć, jednak wrażenie pierścieni oddzielonych wąziutkimi przerwami było tylko iluzją. Prawdziwe przerwy były stosunkowo rzadkie i wyglądały jak okręgi pustej czerni, wyczyszczonej przez grawitacyjne interakcje księżyców. W ten właśnie sposób Mimas stworzył szeroką wyrwę pomiędzy pierścieniami A i B, zwaną przerwą Cassiniego. W rzeczywistości pierścienie były raczej jednym dyskiem, pociętym niezliczonymi rowkami. Przypominały Connor starą płytę gramofonową, którą widziała kiedyś na projekcji, choć nie miała pojęcia, do czego ten przedmiot służył.

Niezależnie od wszystkiego, widok był niesamowicie piękny, przy tym prawie surrealistyczny.

Connor mknęła w stronę Saturna z prędkością ośmiu tysięcy kilometrów na sekundę, która pozwoliła jej przeciąć łuk pierścienia B w mniej niż siedem sekund. Ciche wybuchy rozbłysły przed nią i po obu stronach. Blask wydawał się nikły i niepozorny na tle pierścieni Saturna.

Dziewczyna poczuła, jak AI koryguje kurs myśliwca. Pierścienie w tej części przestrzeni były cienkie, miały tylko dziesięć kilometrów, jednak wszędzie roilo się od kawałków lodu, więc starhawk ciągle musiał zmieniać kurs, by uniknąć kolizji.

W chwilę potem nastąpiło dzikie „wszystko albo nic”, gdy mieszały się ze sobą roje myśliwców, a cały misterny plan operacyjny nadawał się tylko do kosza.

USNA CVS „Ameryka”
Przestrzeń wokół Saturna
Godzina 9.25 TFT

– Kłopoty, panie admirale.

– Widzę, panie Mallory.

Gray siedział na mostku kapitańskim „Ameryki”, pochylony nad wyświetlaczem taktycznym. Czerwone ikony symbolizujące przeciwnika zbliżały się od Enceladusa – chmura myśliwców zamierzających odciąć, a następnie otoczyć maszyny z „Ameryki”.

– Myśliwce przeciwnika to nieznany typ, panie admirale. Myślę, że mogą pochodzić z okrętu Gallaghery.

– Jeśli tak, to Konfedzi przenieśli konflikt na kolejny poziom – powiedział Gray. – Gdzie są te okręty z Ziemi?

– Nadal trzy jednostki astronomiczne od nas i hamują – odpowiedziała Gutierrez. – ETA trzydzieści pięć minut.

Gray zasepił się. Pół godziny w walce mogło oznaczać

wieczność, było to wystarczająco długo, żeby bitwa zdążyła się rozwinąć, osiągnąć apogeum i zostać przegrana przed nadciągnięciem posiłków.

Jednak nieubłagane prawa fizyki twierdziły, że nie ma odwrotu. Eskadry myśliwskie „Ameryki” już wiązały się w walce z przeciwnikiem, a lotniskowiec USNA i towarzyszące mu okręty zmierzały ku sercu bitwy, zwalniając do prędkości bojowych, nie mając już czasu na ewentualną ucieczkę.

Admirał zastanawiał się, jakie były możliwości obcych myśliwców. Jakie niespodzianki szykowały nadciągającym okrętom USNA?

Gray wybrał jedną z czerwonych ikon i otworzył szczegółowy obraz maszyny na wyświetlaczu wewnętrznym. Dane spływały z myśliwców i z chmury dronów bojowych. Myśliwce przeciwnika miały organiczny wygląd, poszarpany i nierówny, bez śladu symetrii czy opływowych kształtów. Aerodynamika oczywiście nie była wymagana przy operacjach w próżni, jednak mogła być przydatna dla myśliwców przyspieszających do dużych prędkości. Nawet przy dziesięciu procentach gęstości pyłu i atomów wodoru mogła stwarzać pozory rzadkiej atmosfery. Albo te obce myśliwce nie manewrowały przy dużych prędkościach, albo miały taki nadmiar mocy i osłon, by nie przejmować się drobiazgami jak tarcie czy promieniowanie.

Przy obcej technologii zawsze należało spodziewać się niespodzianek, a w bitwie oznaczało to oczekiwanie na najgorsze.

– Do wszystkich jednostek – powiedział, używając kanału taktycznego. – Trzymać się razem. CAG, niech myśliwce rozszerzą szyki tak, by kryć wszystkich. Kapitan Richards, proszę przykleić „Shenny” do dupy „Ameryki”. Proszę nie pozwolić się od niej odciąć.

Gray martwił się o okręt zaopatrzenia „Shenandoah”, dowodzony przez kapitan Jennine Richards. Gdy rozpoczynali to zadanie, wszyscy specjaliści domagali się rozpoznania wszelkich możliwych pozycji przeciwnika w przestrzeni Saturna. Dopiero po przechwyceniu porucznika Gallaghery uświadomili sobie, że

realne niebezpieczeństwo mieli przed sobą. W tym momencie było już za późno na odłączenie „Shenandoah” i umieszczenie w bezpiecznym miejscu. Opasły okręt logistyczny był oczywiście uzbrojony, głównie w lasery do obrony przed myśliwcami i raketami, ale niewiele mógł dodać do siły ognia LGB-40. „Ameryka” posiadała jednak dość silne uzbrojenie i powinna w miarę skutecznie osłonić „Shenandoah” w przypadku, gdyby sprawy przybrały niepomyślny obrót.

Powinna...

W walce nigdy nie było pewności, jak potoczą się wydarzenia, a jeśli lotniskowiec znalazłby się w poważnych tarapatach, musiałby się skupić na obronie własnej, zostawiając „Shenandoah” własnemu losowi. Gray nienawidził tego typu decyzji, determinujących, kto ma żyć, a kto ginąć, ale to należało właśnie do ciemnych stron dowodzenia.

Czasami po prostu nie było wyboru...

VFA-96 „Black Demons”
Przestrzeń wokół Saturna
Godzina 9.26 TFT

Megan Connor odwróciła starhawka wokół osi pionowej, by uzyskać lepszy widok na to, co działo się za nią. Na wyświetlaczu widniał szczegółowy obraz całej sfery, jak gdyby myśliwiec był przezroczysty, jednak zawsze można było zapomnieć o swojej godzinie szóstej, czyli kierunku, w którym zwykle się nie patrzyło. AI zaalarmowałaby ją o grożącym niebezpieczeństwie, ale Megan wolała przewidywać, niż reagować na już istniejące zagrożenie. Między innymi po to myśliwce kosmiczne nadal miały ludzkich pilotów.

Grupa nieznanymi maszyn pojawiła się po przybyciu „Black Demons”, a teraz przyspieszała, by oskrzydlić myśliwce USNA i odciąć je od nadciągających od rufy okrętów głównych. Możliwości obcych jednostek, zarówno myśliwców, jak

i osiemsetmetrowej maszyny, którą kilka tygodni temu zauważył porucznik Gallagher, pozostawały niewiadomą. Ludzcy piloci musieli więc traktować je z maksymalną ostrożnością.

Nie było czasu, żeby coś zrobić z okrążającymi ich myśliwcami obcych. Nie w momencie, gdy todtadlery zaczęły pojawiać się przed amerykańską formacją i z jej prawej strony, smagając ją strumieniami plazmy. Ponownie się odwracając, Connor wystrzeliła salwę VG-10, biorąc na cel tak wiele myśliwców konfederackich, jak tylko mogła.

Oślepiające wybuchy zajaśniały na niebie – to eksplodowały głowice nuklearne wystrzelone, by przebić drogę przez ścianę myśliwców. Jeden z młodych Demonów, Groeller, próbował zmienić kurs, by uniknąć gwałtownie rozszerzającej się kuli plazmy na swojej drodze, jednak zaledwie chwilę później strumień o temperaturze gwiazdy musnął jego myśliwiec, skręcając maszynę i wpychając ją we własną osobliwość.

– Kluczyć! – krzyknął Mackey. – Nie pozwólcie draniom uchwycić celu!

Najważniejszą zaletą myśliwców grawitacyjnych była ich manewrowość. Z AI oceniającą dziko zmieniające się siły i przyspieszenia, myśliwiec mógł zwolnić z dziesiątkami tysięcy g, zmienić kierunek, a następnie ponownie przyspieszyć na nowym wektorze, a wszystko to w ciągu ułamka sekundy. Manewry takie, wykonywane z dużą prędkością i przy zachowaniu jak największej przypadkowości, mogły uniemożliwić przeciwnikowi uchwycenie celu, a to dawało kolejnych kilka cennych sekund życia w piekle walki.

– Podeski! – krzyknął Mackey przez link taktyczny. – Uważaj na płaszczyznę pierścienia!

– Mam to, skipper! – odpowiedział młodszy porucznik J.G. Podeski. – Jasne!

Podeski, kolejny z nowych, chcąc uciec nieprzyjacielskiemu myśliwcowi, który usiadł mu na ogonie, próbował wyjątkowo niebezpiecznego manewru zrzucenia prześladowcy poprzez przelot tuż przy pierścieniach. Todtadler otworzył ogień, Podeski szarpnął maszyną i w chwilę później jego myśliwiec wbił się

w pierścień B, natychmiast wybuchając, rozdarty na kawałki uderzeniem z prędkością kilku tysięcy kilometrów na godzinę w zaledwie piętnastometrowy pas okruchów lodu. Przez pierścień przebiegła fala zakłóceń spowodowanych uderzeniem, by po chwili wygasnąć i zniknąć.

W tym czasie Connor kluczyła już dziko, utrzymując prędkość postępową przynajmniej tysiąca kilometrów na sekundę, a jednocześnie rzucając gwałtownie myśliwcem we wszystkich kierunkach. Czuła się jednak przy tym ograniczona, zamknięta w klatce, nie mogąc manewrować w stronę pierścieni Saturna bez ryzyka dołączenia do Podeskiego. W zależności od położenia myśliwca pierścienie jawiły się obecnie jako sufit, lodowa podłoga lub śmiertelnie niebezpieczna ściana po jednej ze stron. Po lewej starhawka, w odległości stu kilometrów, wybuchła rakietą, a Megan w chwilę później poczuła uderzenie. Z daleka pierścienie wyglądały jednorodnie, jednak z małej odległości w przestrzeniach pomiędzy odłamkami widoczne były gwiazdy. Mimo wszystko znalezienie się między nimi przypominało wejście w chmurę chaotycznie porzrzucanych odłamków i nawet AI starhawka nie miała szans uniknąć wszystkich.

Todtadler wyłonił się nagle znikąd, dokładnie przed Connor, strzelając z broni strumieniowej. Dziewczyna szarpnęła na sterburtę, odpalając VG-10 Krait... Błąd! Zanim rakietą przebyła dwa tysiące kilometrów i eksplodowała gorącą plazmą, nieprzyjacielskiego myśliwca już dawno nie było w tym miejscu. Faktycznie, europejskie maszyny okazywały się cholernie szybkie.

Megan pozwoliła AI przejąć całkowitą kontrolę nad myśliwcem.

Stała się jego częścią, jej umysł tak splótł się ze sztuczną inteligencją, że rozdzielenie ich wydawało się niemożliwe.

Wielki wcześniej psychologowie odkryli, że świadoma decyzja podejmowana jest w kilka sekund po jej zapadnięciu w podświadomość. Te eksperymenty związane były z badaniami na temat wolnej woli. Pojawiał się dylemat, czy ludzie podejmowali działanie na podstawie świadomego procesu, czy

też po prostu „podpisywali” się pod decyzjami i tak już podjętymi w głębszych warstwach jaźni, co w rezultacie sprowadzałoby ich do roli marionetek.

W akademickich kręgach neuropsychologów debata trwała od czterystu lat, jednak najbezpieczniejszym stwierdzeniem pozostawało, że to płynny proces zmian pomiędzy świadomością i podświadomością pozwalał ludziom decydować o kolorze i kroju ubrania, wstąpieniu lub nie do wojska, małżeństwie albo o tym, czy wystawiać swoje życie na niebezpieczeństwo. W tym momencie wybory Connor, wspierane szybkością AI, sprowadzały się do znalezienia celu, namierzenia go, oddania strzału, złożonego tańca manewrów, ognia i ponownego manewru, a wszystko to przebiegało z nadludzką prędkością.

Jej AI, reagująca dużo szybciej, mogła zauważyć i zidentyfikować nadciągające niebezpieczeństwo. Jednak umysł, ściśle połączony z oprogramowaniem, wybierał poszczególne zagrożenia, opierając się z reguły na instynkcie, a nie na chłodnej kalkulacji. Myśl, mentalne pchnięcie, mogło spowodować obrót starhawka wokół osobliwości i wysłać go na nowy kurs.

Chodziło po prostu o to, by znaleźć się w miejscu, w które nie została wycelowana broń przeciwnika.

Reagując na ostrzeżenie od AI, obróciła się prędko i wystrzeliła w pojawiającego się nagle w odległości trzystu kilometrów todtadlera. Projektor strumienia cząsteczek, Blue Lightning PSC-2, uwolnił mocno skupioną wiązkę wysokoenergetycznych protonów, wywołując erupcję białoniebieskiego światła na kadłubie nieprzyjacielskiego myśliwca i wgrzając się w jego wewnętrzną strukturę.

Pierwszy...

Obróciła się ponownie, wzięła na cel myśliwiec oddalony o pięćset kilometrów i wypaliła mu kawał lewej burty. Fragmenty poszycia poleciały w przestrzeń, a po chwili niewyważony myśliwiec wszedł w ciasny obrót wokół osobliwości, który zakończył się zamianą maszyny w konfetti.

Drugi...

Skończyła się możliwość liczenia, gdy Megan zaczęła wirować,

przeskakiwać i wbijać się w formację nieprzyjaciela. Ruch i strzał... ruch i strzał... a to wszystko przy świadomości, że w jej własnej eskadrze także jest coraz mniej myśliwców. Starhawk Chucka Taylora eksplodował i wyparował po bezpośrednim trafieniu. Ten sam los spotkał po chwili maszynę Jayli Adrian.

VFA-96 liczyła już tylko siedem myśliwców i pomimo że „Black Demons” odnosili zwycięstwa, maszyny przeciwnika wciąż nadciągały falami z dwóch kierunków. Jeden z jajowatych myśliwców obcych ustawił się osiemset kilometrów za rufą Connor. Megan obróciła się wokół osi pionowej i lecąc tyłem przez pierścienie Saturna, odpaliła strumień protonów.

Nieprzyjaciel także wystrzelił promień fioletowoniebieskiej energii i osmalił fragment zewnętrznej powłoki starhawka, gdy ten wykonywał unik. AI zidentyfikowała promieniowanie jako laser X: spójne światło o długości fali jeden i osiem dziesiątych eksaherca i przenoszące energię dochodzącą do osiemdziesięciu teradzuli, czyli odpowiednik wybuchu dwudziestokilotonowej głowicy nuklearnej. Widoczne światło nie było oczywiście promieniami X, wydawało się jednak częścią procesu wzbudzenia, generowanego przez broń przeciwnika.

Plazmowy strumień Connor trafił centralnie we wrogi myśliwiec, jednak szkarłatny kadłub wydawał się pić energię bez żadnych uszkodzeń. To po prostu było niemożliwe.

Spodziewała się kolejnego strzału obcego, jednocześnie słysząc, jak AI przeładowuje. Czterdzieści procent mocy... sześćdziesiąt...

Przełączyła uzbrojenie na VG-10 i pozwoliła zabójcy okrętów wysunąć się z przedziału bojowego starhawka. Napęd odpalił, gdy tylko zeszła z linii wektora. Sekundę później głowica kraita detonowała w cichym blasku, a po opadnięciu kuli plazmy Megan ujrzała, jak nieprzyjacielski myśliwiec przechyliła się z boku na bok. Z czegokolwiek go zbudowano, na pewno nie był niezniszczalny.

– Skipper – wywołała Connor – tu Demon Sześć. Te obce myśliwce piją strumień jak wodę sodową! Ale ubiłam jednego kraitem!

– Przyjąłem, Sześć! Dobra robota. Przekażę dalej.

VFA-215 była mocno zaangażowana w walkę z obcymi, odciągając ich myśliwce od „Black Demons”, przynajmniej na razie. Velociraptory poniosły ciężkie straty, jednak gdy rozeszła się wiadomość o zwycięstwie Connor, na niebie zaczęło pojawiać się coraz więcej eksplozji nuklearnych.

Myśliwce USNA przebijają się.

Odkrycie Megan nałożyło na myśliwce pewne ograniczenia. Piloci zachowywali PSC-2 na maszyny Konfederacji, a atomowe kraity na szkarłatnych obcych. W ferworze walki łatwo było jednak stracić rozeznanie, kto jest kim, nawet gdy w identyfikacji pomagała AI.

Największym problemem okazała się jednak ogromna liczba obcych. AI Connor naliczyła ich obecnie dwustu sześćdziesięciu, a myśliwce amerykańskie przenosiły tylko określoną liczbę kraitów. W zależności od tego, ile większych rakiet, takich jak VG-44 Fer-de-lance, załadowano na pokład, starhawk mógł przenosić od dwunastu do czterdziestu ośmiu VG-10, wystarczająco dużo, by za pomocą salwy kaskadowej przebić sobie drogę przez nieprzyjacielskie linie obronne. Megan zużyła już połowę swojego zapasu, składającego się z trzydziestu sześciu sztuk, i bardzo bolało ją używanie cennych rakiet przeciw myśliwcom, a nie okrętom głównym.

Wyglądało jednak na to, że nie istniał inny sposób walki z krwistoczerwonymi obcymi. Broń strumieniowa była bezużyteczna. Kemper zameldował, że udało mu się strącić jednego, strzelając równocześnie strumieniem i laserem. Jego zapas VG-10 już się wyczerpał. Jednak aby osiągnąć sukces, musiał strzelić sześć razy w bardzo szybkim tempie. Najwyraźniej istniał limit ilości plazmy, którą zaabsorbować mogły pancerze obcych, jednak był on bardzo wysoki.

Connor wyleciała z pierścieni w otwartą przestrzeń, pozostawiając za rufą ogromnego złotego Saturna, przeciętego na pół linią pierścieni.

W rzeczywistości nadal znajdowała się w obszarze pierścieni planety. Za krawędzią dobrze widocznego pierścienia A leżała szeroka przerwa, znana jako granica Roche’a, rozciągająca się aż

do pierścienia F, jednak była wypełniona mnóstwem odłamków. Trzy tysiące kilometrów za pierścieniem A leżał pierścień F, najmniej widoczny z całego systemu, wąski, poskręcany i poplątany.

Poza nim, sto osiemdziesiąt tysięcy kilometrów od pokrywy chmur Saturna, znajdował się Enceladus, położony w pierścieniu E, stworzonym i stale odnawianym przez materiały kriowulkaniczne, wydobywające się z bieguna południowego. W odróżnieniu od pozostałych pierścieni F był tylko chmurą drobin. Cząsteczki były tu także bardziej rozproszone i ryzyko bezpośredniego zderzenia ze skałą, która mogła spowodować uszkodzenia, stawało się mniejsze.

Jednocześnie lot przez tę strefę przypominał przebijanie się przez śnieżycę. Connor słyszała bębnienie odłamków o zewnętrzny kadłub, AI ostrzegała, że traci coraz więcej z warstwy nanolaminatu.

Przed nosem myśliwca Enceladus jawił się jako błyszczący, mały rogalik, wygięty w kierunku przeciwnym do Słońca. Posiadając większość powierzchni stale odnawianą warstwą lodu, był on najjaśniejszym ciałem lśniącym światłem odbitym w całym Układzie Słonecznym. Odbijało się od niego ponad dziewięćdziesiąt dziewięć procent docierających promieni. Przy średnicy zaledwie pięciuset kilometrów księżyc lśnił jak klejnot.

Pomiędzy Connor i Enceladusem „Black Knights” zmagali się z myśliwcami przeciwnika. W boju pozostało jeszcze sześć velociraptorów, połowa pierwotnego stanu, a walczyły z kilkoma tuzinami maszyn. Niedobrze...

Z tyłu, w dziurę wybitą w obronie przeciwnika przez „Demons” i „Knights”, wdzierały się kolejne eskadry z „Ameryki”. Na sterburcie VFA-224 dotarła do Tytana i niszczyła znajdujący się tam mały kontyngent nieprzyjaciela, zaś na bakburcie, bliżej Saturna, w przerwie Cassiniego pomiędzy pierścieniami A i B, starhawki VFA-99 czyściły zgrupowanie myśliwców europejskich przy stacji Huygens. Impulsy jasnego światła pojawiały się i gasły, powodując niespotykaną iluminację pierścieni.

Ciche eksplozje widoczne były także po lewej stronie, gdzie

jednostki nieprzyjaciela próbowały oskrzydlić nadciągające eskadry amerykańskie.

Największe siły przeciwnik skoncentrował jednak na wprost, przy małym Enceladusie. Czemu był on taki ważny, pozostawało zagadką, ale motywy nieprzyjaciela nie zaprzętały w tej chwili głowy Connor.

– Formować szyk za mną! – polecił Mackey. – Pomożemy „Knights”!

– Cholera – włączył się Kemper – a czy pieprzone wielotraktory zechcą przyjąć pomoc od nas?

Stała rywalizacja między pilotami starhawków i velociraptorów dawała o sobie znać w najmniej oczekiwanych okolicznościach.

To były jednak tylko słowa. Walczący piloci byli przecież kumplami z jednego okrętu.

Kumplami, z których część potrzebowała pomocy.

USNA CVS „Ameryka”

Przestrzeń wokół Saturna

Godzina 9.26 TFT

– Jak długo jeszcze? – spytał Gray.

Oficer operacyjny, patrzący na szczegółowy, trójwymiarowy wyświetlacz, zmrużył oczy, porażony blaskiem.

– Godzina dwadzieścia, zanim wejdziemy do walki, panie admirale – odpowiedział Mallory. – Nie możemy za bardzo przyspieszać, bo rozbijemy się na pierścieniach.

Gray ściągnął więcej danych dotyczących statusu okrętu, spójności ceramiczno-plastikowego kompozytu, pokrywającego kopułę ochronną „Ameryki”, napędu czy wzrostu temperatury kadłuba na skutek tarcia.

Lotniskowiec „Ameryka” miał kształt kolosalnego grzyba z cieniutkim kadłubem, schowanym za pięćsetmetrową kopułą. Kopuła ta w rzeczywistości była wielkim zbiornikiem wodnym,

mieszczącym dwadzieścia siedem miliardów litrów wody służącej jako ochrona przed promieniowaniem, a także jako masa reakcyjna dla plazmowych silników manewrowych. Z tych dwóch funkcji, ochronna była w tym momencie ważniejsza, pojedyncze atomy wodoru czy protony uderzone z prędkością relatywistyczną stawały się źródłem dużego promieniowania.

Tutaj, tuż za powierzchnią pierścieni Saturna, cząsteczki, które napotkać mogła „Ameryka”, były znacznie większe od protonów. Kopuła ochronna lotniskowca przebijała się przez chmury drobin, w większości okruchów lodu, których wielkość wahała się od mikroskopijnych do mierzących metr średnicy. Największe mogły zostać zneutralizowane przez lasery zamontowane wokół pierścienia kopuły, jednak nie było szans, by dało się zniszczyć wszystkie.

– Jaka jest sytuacja taktyczna myśliwców?

– Poniosły dość znaczne straty, panie admirale. VFA-99 ma tylko trzy maszyny, plus oczywiście biegacze. Większość akcji koncentruje się obecnie w okolicy Enceladusa. Eskadra Mackeya melduje, że przebiła się przez główną linię obrony przeciwnika, ale mają duże straty i brakuje im już amunicji.

– To znaczy atomówek.

Gray wcześniej już otrzymał meldunek o myśliwcach obcych i ich odporności na broń strumieniową. Od tego czasu niebo wypełniło się rozbłyskami eksplozji nuklearnych, jednak oczywistym było, że po jakimś czasie amerykańskim eskadrom zacznie brakować rakiet. Nawet zapasy małych i efektywnych kraitów ulegały przecież wyczerpaniu.

– Jakież oznaki obrony planetarnej?

– Jak do tej pory, nie, sir. – Mallory pokręcił głową.

– Okręty główne?

– Kilka na orbicie Enceladusa. Trochę monitorów chroniących ten duży okręt obcych, dwa krążowniki, lekki lotniskowiec i niszczyciele. Kilka niszczycieli jest przy Tytanie. Mogą próbować zejść z orbity i przyłączyć się do sił głównych. – Mallory zawahał się. – Największą niewiadomą jest okręt obcych. Znajduje się na niskiej orbicie, ale jak dotąd nie otworzył ognia.

Może nie być uzbrojony.

– Przenosił myśliwce – stwierdził Gray. – To czyni go okrętem wojennym.

Czy rzeczywiście tak było? Obcy stanowili kompletną niewiadomą, jeśli chodzi o psychologię, spojrzenie na wszechświat, motywacje i kodeks moralny. Może wcale nie widzieli nic złego w przeniesieniu myśliwców na pokładzie czegoś, co mogło być szpitalem czy kurierem dyplomatycznym. To, co ludzie uważali za naruszenie reguł walki, dla innego gatunku mogło się okazać całkowicie akceptowalne.

Gray odsunął od siebie niekomfortowe myśli. Obcy mieli widocznie kontakt z Konfederacją. Wleźli w sam środek wojny domowej i Piachu miał zamiar pokazać im, co to oznacza.

– Oto, co zamierzamy zrobić – powiedział do Mallory’ego. – Zaczniemy wystrzeliwać ARTO, jak najwięcej, i w ten sposób wybijemy sobie tunel stąd do Enceladusa.

Mallory wydawał się zaniepokojony.

– Myśli pan, że to zadziała?

– Zobaczymy. Chcę, żeby grupa bojowa znalazła się przy Enceladusie za mniej niż dziesięć minut. Do roboty!

Oficer operacyjny „Ameryki” zaczął wydawać rozkazy.

Rozdział dziewiąty

5 marca 2425

USNA CVS „Ameryka”
Przestrzeń wokół Saturna
Godzina 9.57 TFT

Grupa Bojowa „Ameryka” wbiła się we flotę Konfederacji z prędkością dziesięciu tysięcy kilometrów na sekundę. Było to ryzykowne, a nawet zuchwałe wejście w podsystem planetarny, poprzedzone dosłownym wypaleniem sobie drogi w pierścieniach Saturna.

Poruszali się jednak za chmurami mknącego piasku z wystrzeliwanych co chwilę salw ARTO.

Admirał Gray z zaciętym obliczem siedział na mostku flagowym, wpatrzony w wyświetlacz taktyczny. Główna część floty przeciwnika znajdowała się dokładnie na wprost – lekki lotniskowiec, zidentyfikowany przez AI jako brazylijska jednostka „Sao Paulo”, ważący około dziewięćdziesięciu pięciu tysięcy ton, plus dwa ciężkie krążowniki mniej więcej klasy „Edmontona” i trzy niszczyciele. Dwa dodatkowe niszczyciele Konfederacji znajdowały się w tej chwili przy Tytanie, a szósty przy Huygens w przerwie Cassiniego.

Wielką niewiadomą pozostawał nadal okręt obcych, szczelnie chroniony przez dwa niemieckie monitory „Rostok” i „Emden”. Zaprojektowane do operacji defensywnych na orbicie, były powolnymi, masywnymi i niezgrabnymi jednostkami, ważącymi ponad pół miliona ton, wyposażonymi w potężne uzbrojenie i ciężki pancerz. To one stanowiły największe zagrożenie w całej konfederackiej flotylli i w ciągu najbliższych, krwawych minut to

one miały stać się głównym celem ataku LGB-40.

Grupa bojowa pojawiła się w przestrzeni bitwy, zasłonięta poruszającą się szybko chmurą ziaren piasku pochodzących z setek pocisków antyrakietowych AS-78. „Ameryka” wystrzeliwała ARTO przez dwie wyrzutnie osiowe co kilka sekund, tak szybko, jak pozwalał na to magnetyczny układ napędowy wyrzutni. Poruszając się już ze znaczną prędkością, ARTO jeszcze przyspieszały na kilka sekund i w momencie, gdy uwalniały ze swej główicy granulki ołowiu o wymiarach ziaren piasku, osiągały dziesięć procent prędkości światła.

Granulki te posiadały wystarczającą energię kinetyczną, by spowodować wyparowanie fragmentów lodu, tworząc w ten sposób tunel, którym ze znaczną prędkością poruszały się okręty amerykańskie. Lecz ołowianych ziaren nie było na tyle dużo, by zniszczyć wszystkie odłamki. „Ameryka” ze swą potężną kopułą ochronną leciała jako pierwsza, odpychając resztę cząsteczek i powodując wyparowanie wszystkiego, co znalazło się na jej drodze.

Zewnętrzna powłoka kapsuły ochronnej była już wypolerowana na gładko. Ogromne litery i cyfry tworzące nazwę i numer jednostki zostały starte. W miarę zbliżania się do nieprzyjaciela powłoka kopuły stawała się coraz bardziej gorąca, aż do momentu, gdy ochronna ceramika stopiła się.

– Zbiornik wodny nie wytrzyma tego dłużej, admirale – ostrzegła kapitan Gutierrez. – Zmokniemy.

Była to oczywiście przesada, a raczej czarny humor. Gdyby kopuła ochronna „Ameryki” rozerwała się, miliardy litrów wody znajdujące się w niej jednocześnie zawrzałyby i zamarzły w próżni. Okręt mógłby nie wytrzymać konfrontacji z własną osłoną.

Bardziej niepokojąca była utrata przednich projektorów grawitacyjnych, lasu anten długości kilku centymetrów, które zaginały przestrzeń wokół kadłuba okrętu. Było to ważne zarówno podczas poruszania się z napędem Alcubierre’a, jak i w czasie bitwy, gdy zaginanie przestrzeni stanowiło jeden ze sposobów ochrony okrętu przed ostrzałem z laserów i strumieni

cząsteczek.

Ta ochrona właśnie znikła, gdy anteny stopiły się od rozgrzanej do czerwoności kopuły.

– Jak sytuacja pozostałych jednostek? – zapytał Gray.

– „John Young” i „Ramirez” meldują drobne uszkodzenia, panie admirale – odpowiedział Mallory.

Niszczyciele były na flankach formacji, nieosłonięte tarczą „Ameryki”.

Bez salwy ARTO nie udałooby się przedrzeć żadnemu z okrętów LGB-40. Lata wcześniej młody pilot myśliwski, Trevor Gray, zdobył przydomek Piachu, gdy użył pocisków ARTO jako rakiet przeciwokrętowych. Pociski te skonstruowano jako obronę przed raketami, aby wymusić detonację głowic z dala od własnej jednostki, jednak okazało się, że rozpędzone do prędkości podświetlonej granulki były cholernie efektywną bronią przeciw myśliwcom, okrętom głównym, a nawet bazom.

Tak więc do pilota przyłgął przydomek Piachu. Gray miał wrażenie, że jeszcze nie raz go usłyszy.

Zakładając oczywiście, że przeżyją następnych kilka minut. Użycie ARTO do wyczyszczenia sobie drogi podejścia pozwoliło LGB-40 zachować dużą prędkość. Teraz jednak należało tę prędkość jak najefektywniej wykorzystać przeciwko nieprzyjacielskiej flocie, posiadającej przewagę liczebną, a tu zagadką pozostawały nadal możliwości okrętu obcych i jego myśliwców.

– Zauważamy wzrost temperatury w przypadku niektórych okrętów przeciwnika, panie admirale – zameldowała kapitan Gutierrez. – Wydaje mi się, że trochę piasku przeleciało przez pierścienie i trafiło jednostki Konfedów. Za mało, żeby je zniszczyć, ale zawsze...

– Liczy się każde trafienie, pani kapitan – odparł Gray.

Z prędkością dziewięciu tysięcy kilometrów na sekundę grupa bojowa oddalała się od pierścieni, a przed nią jaśniał biały, rosnący z każdą chwilą rogal Enceladusa. Flotylla gwałtownie wytraciła prędkość.

Enceladus był zagubioną w pustce bryłą lodu. W miarę

powiększania się rogala Gray mógł zobaczyć tajemnicze wodnolodowe gejzery na biegunie południowym, błyszczące w świetle odległego Słońca. Punktowe błyski, porzrucane po całym niebie, znaczyły pozycje, w których walczyły ze sobą myśliwce.

– Gdy tylko będzie pani gotowa, pani komandor – przekazał Gray szefowej uzbrojenia, komandor Taggart – proszę zaczynać.

Jej komenda rozległa się niemalże w tym samym momencie.

– Wszystkie systemy uzbrojenia... ognia!

Pozostałe okręty flotyli otworzyły ogień sekundę lub dwie później. Uzbrojenie „Ameryki” było stosunkowo lekkie, głównie lasery i broń plazmowa do obrony własnej, posiadała jednak podwójne działo osiowe, będące w stanie rozpedzić ciężkie pociski kinetyczne do prędkości relatywistycznych. Jednak pozostałe okręty, szczególnie krążownik „Edmonton”, uzbrojone zostały w systemy większego kalibru i zasięgu. Odpalał on raz za razem ciężkie PK, biorąc na cel bliższy z monitorów, „Rostok”.

Europejczyk odpowiedział ogniem, jego potężne, poczwórnie sprzężone wieże obracały się, śledząc krążownik, jednak anteny systemu kierowania ogniem uszkodzone zostały przez piasek kilka chwil wcześniej i okręt miał poważne kłopoty z celowaniem. Kopuła ochronna „Edmontona” przyjęła kilka silnych trafień, okręt gubił wodę w postaci ciągnącej się za nim chmury lodu, jednak nadal walczył i zadawał więcej ciosów, niż odbierał. „Rostok” przechylił się pod uderzeniem trzech ciężkich pocisków, które przebiły się przez tarczę grawitacyjną i pancierz. Powietrze wydostało się z kadłuba w postaci srebrnej mgły i zamarzło.

W tym momencie wielki okręt obcych otworzył ogień, tuziny wysokoenergetycznych laserów X przecięły niebo i uderzyły w „Edmontona”, którego kopuła ochronna eksplodowała gejzerem zamarzającej wody.

– Obcy zaczęli strzelać, admirale – zameldował Mallory.

– Widzę. Właśnie zadeklarowali się jako uczestnicy konfliktu. Odpowiedzieć ogniem.

„Ameryka” obracała się w stronę obcego, wystrzeliwując parę pocisków ze zubożonego uranu z prędkością tysięcy kilometrów

na sekundę, będącą sumą prędkości nadanej przez pole magnetyczne w przewodnicach i postępowej prędkości okrętu. Ta prędkość powodowała, że pociski przebijały się przez metal kadłuba niczym wściekłe otwieracze do konserw, powodując straszliwe zniszczenia.

Gdy „Ameryka” zbliżyła się do lodowego księżyca, Gray przyjrzał się powiększonemu obrazowi obcego okrętu, jednak w chwilę później lotniskowiec minął Enceladusa, mknąc w stronę otwartej przestrzeni.

Oddalone o miliardy kilometrów Słońce znajdowało się dokładnie na wprost.

„Ameryka” kontynuowała obrót. Gdy pokonała pełne sto osiemdziesiąt stopni, uruchomiła napęd osobliwościowy, powodując najpierw hamowanie, następnie zatrzymanie i ponowne przyspieszenie w stronę księżyca. Pozostałe okręty LGB-40 powtórzyły ten manewr, nieprzyjacielskie myśliwce, żądne krwi, zbliżyły się do jednostek amerykańskich, jednak punktowa obrona krążownika i trzech niszczycieli spaliła je jak ćmy w płomieniu świecy.

– Proszę nakazać naszym myśliwcom zbliżenie się do nas – polecił Gray Mallory’emu.

– Aye, aye, panie admirale.

– „Rostok” się rozpada – krzyknęła Gutierrez. – Trafiony!

Flara anihilacji antymaterii rozlała się po niebie.

– Co to, do cholery, było? – spytał Gray.

– „Spruance”, sir – odparła Taggart. – Strumień promieni X obcych.

Cholera!

Na pokładzie niszczyciela znajdowało się trzysta osób. Jego dowódca, komandor Yashimoto, był przyjacielem Graya.

Jednak teraz główne zmartwienie dowódcy stanowiło ponad pięć tysięcy ludzi na pokładzie „Ameryki”.

W miarę rozwoju bitwy okręty LGB-40 otrzymywały coraz więcej trafień, nic poważnego, im jednak więcej było zniszczeń wśród projektorów tarczy grawitacyjnej, tym następne trafienia stawały się poważniejsze. Gray poczuł drżenie pokładu

„Ameryki”, gdy coś dużego uderzyło w okręt. Coś rąbnęło go w twarz, a następnie poleciało w bok – była to klawiatura oderwana od magnetycznej podstawy.

– Zabezpieczcie to! – warknął Gray do jakiegoś podoficera za swoimi plecami.

„Ameryką” zatrzęsło ponownie, gdy otrzymała bezpośrednie trafienie strumieniem cząsteczek, który wybił małą dziurkę w kopule ochronnej. Okręt nie mógł na dłuższą metę wytrzymać przy takim wycieku.

– Ognia! – rozległ się głos Taggart i kolejne dwie masywne głowice kinetyczne pomknęły z wyrzutni, uderzając w „Emden”. Na głównym wyświetlaczu taktycznym okręt zaczął zapadać się we własną czarną dziurę. Okrzyki radości rozległy się na mostku, gdy jednostka Konfederacji, a właściwie jej resztki wybuchły białym światłem.

Tuż obok szkarłatne jajo okrętu obcych zaczęło nabierać prędkości, próbując oddalić się od lodowego księżycyca i szukać ratunku w otwartej przestrzeni.

– Drań ucieka! – krzyknęła Taggart.

– Zatrzymać obcych! – rzucił Gray. – Walić do nich!

„Ameryka” ponownie zmieniła nieco ustawienie, śledząc nieprzyjaciela, a Taggart wydała kolejne polecenia.

Dwa PK opuściły wyrzutnię, lecąc w stronę uciekającego okrętu.

Niszczyciel „John Young” oderwał się od formacji, ścigając obcego. Strumienie były wprawdzie nadal bezużyteczne, ale niszczyciel wystrzelił całą chmurę rakiet z głowicami nuklearnymi, w tym kilka niszczycieli okrętów VG-44c Fer-de-lance i jedną VG-120 Boomslang zarezerwowaną zwykle do bombardowań planetarnych.

Gray widział, jak laser przeciwnika dosięga dwóch pocisków kinetycznych i powoduje ich wyparowanie. Następną była jedna z fer-de-lance, zamieniona w plazmę.

Jednak kolejna fer-de-lance detonowała w chwilę później i choć nie trafiła bezpośrednio uciekającego okrętu, uszkodziła jego tarcze i sensory elektroniczne.

Gdy wybuchł boomslang, rozświetlił całe niebo, a obcy okręt zaczął koziółkować, opuszczając bezwładnie przestrzeń Saturna.

– Wygląda na to, że cel został zneutralizowany, panie admirale – powiedziała Taggart.

– Proszę wysłać „Ramireza” i „Younga” w celu zabezpieczenia tego kadłuba.

Chciał wiedzieć, kto lub co znajdowało się na pokładzie obcej jednostki.

I co robiło, współpracując z Konfederacją.

Tymczasowe prezydenckie stanowisko dowodzenia

Toronto

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej

Godzina 11.40 EST

– Wygląda na to, że wygrywamy, panie prezydencie.

Koenig spojrział na swojego sekretarza i potwierdził skinieniem głowy.

– To dobrze, Marcus – odpowiedział. Nie okazywał radości, ani nawet ulgi. Wręcz przeciwnie, wyglądał na przygnębionego. – Wiemy coś na temat strat?

– Niszczyciel „Spruance” został zniszczony – odparł Whitney. – „Edmonton” jest poważnie uszkodzony, mogą go stracić. Uszkodzone są także „Ameryka” i „Shenandoah”, ale z tym poradzą sobie systemy naprawcze na pokładach.

Koenig ponownie pokiwał głową. Doskonale znał koszmar, niepewność i determinację, jakie panowały na pokładach okrętów. Umierająca jednostka, miliard kilometrów stąd, i próbująca ją ocalić załoga.

– Odnotowano także ciężkie straty wśród myśliwców, panie prezydencie – kontynuował Whitney. – Prawdopodobnie sięgające pięćdziesięciu procent. Będziemy wiedzieć więcej, gdy ściągną biegaczy.

– Co z obcymi?

– Otworzyli ogień do naszych okrętów i „Ameryka” im odpowiedziała. Myśliwce poszły w rozsypkę, jednak duży okręt został uszkodzony. „Ameryka” stara się go przechwycić i wysłać na pokład grupę abordażową.

– A nieprzyjaciół? Ludzki nieprzyjaciół?

– W całkowitym odwrocie, sir. Nasze siły posiłkowe ścigają go. Nie wiemy dotąd, z jakim skutkiem.

W rzeczywistości nie miało to znaczenia. Bazy i personel Stanów Zjednoczonych w przestrzeni Saturna były wolne.

Pozostawało jednak nadal pytanie, dlaczego Konfederacja próbowała przejąć te bazy. Znajdowały się zbyt daleko od Ziemi, by mogły służyć jako placówki logistyczne.

A może ważniejsze były dwa inne pytania?

Kim byli obcy, którzy sprzymierzyli się z Konfederacją?

Dlaczego to zrobili?

Wirtualne centrum bojowe

Colorado Springs, USNA

Godzina 11.55 CST

– Przepraszam wszystkich – nad pomrukiem przepływających danych wzniósł się głos majora Corbetta. – Musimy przerwać wasze ŁD.

Shay Ashton zamrugła, gdy zgasł jej wyświetlacz wewnętrzny, odcinając kobietę od kaskady danych spływających do mózgu. Jak długo to trwało? Sprawdziła czas i była zaskoczona tym, że upłynęło mniej niż cztery godziny.

Wokół niej koledzy z klasy rozglądali się, przeciągali, przecierali oczy. Wszyscy wyglądali na wyczerpanych.

– Hej, tak czy inaczej, pora na żarcie – powiedział jeden ze studentów, przekrzykując ogólny szum. – Ludzie, umieram z głodu!

– Za chwilę pójdziemy jeść, Akerly – powiedział Corbett. – Teraz muszę wprowadzić was w sytuację... A potem będziemy

potrzebować ochotników.

To wzbudziło zainteresowanie. W sali zapanowała śmiertelna cisza.

– Kilka godzin temu – zaczął major – Lotniskowcowa Grupa Bojowa Czterdzieści weszła w przestrzeń Saturna i starła się z siłami Konfederacji przy Tytanie i Enceladusie. Zgodnie z ostatnimi meldunkami nasi są górą. Konfedzi zostali pokonani i albo poddali się, albo uciekli.

Ashton poczuła miłą ekscytację. LGB-40 to „Ameryka” i jej eskorta... okręt, na którym służyła.

Corbett kontynuował wprowadzenie:

– To daje nam unikalną i niepowtarzalną okazję strategiczną. Konstantin, nasza super-AI na Ciołkowskim, ściśle kontroluje komunikację komputerową wewnątrz Konfederacji. Melduje przy tym, że rząd Konfederacji jest w tej chwili całkowicie zajęty wydarzeniami w okolicach Saturna.

Za majorem pojawił się wirtualny ekran, zajmujący powierzchnię całej ściany. Po chwili ukazał się na nim Układ Słoneczny, obraz zatrzymał się na Saturnie. Liczne zakrzywione linie, oznaczone na zielono lub czerwono, prezentowały ruchy flot kosmicznych, oddalonych o ponad miliard kilometrów.

– Opóźnienie pomiędzy Saturnem a Ziemią wynosi nieco ponad siedemdziesiąt sześć sekund. Konfederaci zdają się powiększać siły o dodatkowe okręty, by przeprowadzić kontratak. Konstantin sugeruje, że to stwarza idealny moment na wniknięcie RM.

Znów obudziło się mruczenie i przyciszone rozmowy.

– Panie majorze – zapytała jakaś kobieta, podnosząc rękę – czy mówi pan o nas?

– Zaczęliśmy ładować to gównno dziś rano – odezwał się inny głos. – Nie wiemy, co tak naprawdę robimy, do cholery.

Corbett wyduł usta, a następnie pokiwał głową, a przynajmniej tak wydawało się Ashton.

– Jeśli zaczekamy, stracimy okazję wzięcia Konfedów z zaskoczenia. To nie jest takie straszne, jak wam się teraz wydaje.

Shay nie wyobrażała sobie, żeby mogło być jeszcze gorzej. Plan zakładał dwa tygodnie treningów przed wejściem w wirtual. Ona i jej koledzy wiedzieli, co to znaczy być pilotem myśliwca, ale z tego, co słyszała, wnikanie wirtualne było zupełnie inną parą kaloszy.

– Zwykle – kontynuował Corbett – zasadą jest dwanaście godzin ładowania i dwanaście dni praktyki. Wszyscy przeszliście około trzydziestu procent programu, absolutne minimum niezbędne do funkcjonowania w wir-sim. Resztę jesteście w stanie dać wam dziś po południu. To, czego będzie brakowało, to doświadczenie, możliwość praktycznego przećwiczenia tego, czego się nauczycie. Co więcej – zawahał się – nie będziemy w stanie uodpornić was na ICEscream.

Na sali ponownie zapanowała cisza. Wszyscy oczywiście słyszeli o ICEscream. Czarny humor w ten sposób opisywał ciemną stronę walki wirtualnej.

Elektroniczne systemy chroniące przed wnikaniem wykonywały swoją pracę w większości w sposób całkowicie defensywny, wykrywając zewnętrzne próby włamania się do sieci i blokując lub izolując niebezpieczeństwo. Natura tych działań sugerowała jednak coś bardziej bezpośredniego, zdecydowanie silniejszego: możliwość kontruderzenia, spowodowania poważnych kontuzji, szaleństwa, a nawet śmierci.

Symulacje wirtualne generalnie uważano za całkowicie bezpieczne. Bądź co bądź były one najpopularniejszą formą rozrywki i przemysłem wartym fortunę. Rekreacyjne formy wir-sim obejmowały zdobywanie wrogich środowisk, przeżywanie przedziwnych halucynacji czy też udział w seksualnych orgiach z gwiazdami branży porno, praktycznie wszystko, czego człowiek zapragnął. Symulacje dokumentalne pozwalały być aktywnym uczestnikiem wykładu, spotykać się z postaciami historycznymi, zadawać pytania i doświadczać pełnego spektrum generowanych przez komputer środowisk, choćby tak od siebie odległych jak atmosfera Jowisza, bitwa o Hastings, czy też powierzchnia Słońca. Symulacje fabularne umożliwiały ludziom branie udziału

zarówno w fikcyjnych wydarzeniach z zamierzchłej przeszłości, jak i w fantazjach z dalekiej przyszłości. Teleoperacje pozwalały pracownikom kontrolować sprzęt w śmiertelnych środowiskach, takich jak wnętrze reaktora jądrowego czy generator mocy, i to tak, jakby byli tam obecni fizycznie. Osoba podłączała się jedynie do sieci komputerowej i doświadczała symulowanych lub transmitowanych z daleka wydarzeń, będąc oddzielona od akcji wieloma warstwami ochronnymi elektroniki, a także nadludzką prędkością i ostrożnością moderującej AI.

I o ile umysł operatora, jego świadomość mogły podróżować po sztucznie tworzonych światach, o tyle jego mózg był bezpieczny w centrum symulacji.

A przynajmniej tak wyglądała teoria.

W praktyce nie było zbyt rozsądnie przesadnie ufać temu poczuciu bezpieczeństwa. Komercyjne programy miały wbudowane zabezpieczenia i w zasadzie nie starały się zabić użytkownika. Jednak większość sieci wojskowych i wiele systemów rządowych chronionych było przez oprogramowanie ICE, zwykle poprzez AI zapobiegające próbom celowego wniknięcia do systemu.

Niektóre z nich były potężnie uzbrojone.

Wprawdzie wiązało się to z wielkimi trudnościami, ale dało się otworzyć kanał komunikacyjny pomiędzy strażnikiem a włamującym się systemem. Kanał ten wyglądał jak normalny strumień danych z komputera – celu. Zamiast danych przez kanał płynął jednak odpowiednik małej błyskawicy. Zwykle powodowało to zniszczenie AI, jeśli nie zdążyła wypiąć się na czas, lecz nie dotyczyło kryjącego się za sztuczną inteligencją człowieka.

Jednak najbardziej skomplikowane AI ICEscream były w stanie obejść i oszukać oprogramowanie intruza, włamać się do jego sprzętu i dostarczyć dawkę kilku milionów woltów prosto do mózgu człowieka. Takie systemy były oczywiście zakazane przez prawo międzynarodowe, jednak samo ryzyko, że można się na nie natknąć, zwielokrotnianie poczucia zagrożenia umiejętnie szerzonymi plotkami, powodowało, że większość ludzkich

hakerów rezygnowała z prób włamania do systemów, w których mogły funkcjonować takie zabezpieczenia.

Istniało jeszcze jedno niebezpieczeństwo, którego doświadczyć mogli włamywacze. Choć nie tak krwiożercze, było równie groźne. Chodziło o SNP.

Szok nerwowo-percepcyjny polegał na doświadczeniu przez ludzi znajdujących się w rzeczywistości wirtualnej sytuacji zagrożenia życia. Ich ciała wprawdzie były bezpieczne i dobrze chronione, jednak umysł mówił im, że umierają. Szok mógł spowodować atak serca, czy też nawet wyłączenie świadomości i śpiączkę.

W opinii Shay najgorsza była świadomość możliwości pozostania w szaleństwie. Mózg potrafił zrobić niewyobrażalne rzeczy w obronie własnej, w tym na stałe wycofać się z rzeczywistości.

Obecnie symulacje wirtualne były nadzwyczaj popularne, tak jak i ich wykorzystanie do szczególnie niebezpiecznych lub nieprzyjemnych działań. Ludzie podłączali się do robotów NZS – niezemskiego środowiska, zwanych nazirami, i zdobywali piekielne powierzchnie Wenus, Trytona czy Plutona, wykonywali prace na dnie oceanów, doświadczając cały czas stanów symulowanej śmierci. Funkcjonowały nawet komercyjne programy rozrywkowe pozwalające odczuć strach związany z upadkiem z ogromnej wysokości czy też uczestniczyć w walce przeciw innym graczom.

Najlepszym sposobem ochrony takich pracowników lub klientów szukających dreszczu emocji było uodpornienie. Proces ten polegał na wystawianiu ich na coraz bardziej stresujące sytuacje. To pozwalało mózgom przystosować się, a ludziom uświadomić sobie, że realnie są bezpieczni i nie umrą po uderzeniu w przeszkodę z prędkością setek kilometrów na godzinę.

Większość tego, co powinni wiedzieć wirtualni wojownicy, dało się zgrać w ciągu jednego, dwóch dni. Jednak praca na tych danych, integracja informacji i nauka, w jaki sposób odruchy walki i ucieczki działają w konfrontacji z czymś, co wyglądało jak

śmierć, zabierały dużo więcej czasu, najczęściej przynajmniej kilka tygodni.

Wyglądało jednak na to, że klasa nie będzie miała czasu na praktykę.

– Ilu z was miało do czynienia z wirtualnymi zagrożeniami klasy pierwszej? – zapytał major Corbett w śmiertelnej ciszy.

Klasa pierwsza były to najbardziej niebezpieczne rodzaje symulacji, które z dużą dozą prawdopodobieństwa mogły zabić lub pozbawić zmysłów nieprzygotowanego człowieka. Uniosły się dwie ręce i Ashton usłyszała dwa głosy zgłaszających się.

Starszy szef Raymond Blaine był pracownikiem wykonującym konstrukcje na dnie oceanów, zanim zgłosił się do Marynarki. Major John Aldridge służył jako oficer Marines, a fakt ten mówił wszystko o jego doświadczeniu.

– W porządku – powiedział Corbett. – Majorze, będzie pan dowódcą zespołu, Blaine, pan jest jego zastępcą. Pomożecie skoordynować popołudniowy trening, a jutro będziecie dowodzić zespołem podczas ataku na Genewę. Atak będzie miał miejsce jutro o godzinie dziewiątej.

Ashton usłyszała podniecone szepty.

Doskonale wiedziała, że nie jest gotowa.

Rozdział dziesiąty

6 marca 2425

USNA CVS „Ameryka”
Orbita Enceladusa
Przestrzeń wokół Saturna
Godzina 8.10 TFT

We własnym odczuciu admirał Gray dryfował wzdłuż niskiego korytarza, mając po bokach Marines w pełnym oporządzeniu. Przed nimi dwóch kolejnych pilnowało kwadratowych drzwi. Panele świetlne zalewały korytarz krwawą poświatą. Drzwi otworzyły się i Gray dostał się do środka.

Poruszał się półtora metra nad pokładem, posuwając się w tempie maszerującego człowieka. Teleobecność Graya realizowana była przez drona ATD-90, skomplikowane urządzenie dostarczające do mózgu sterującego nim człowieka wszelkich informacji na temat tego, co widziały, słyszały i czuły sensory maszyny. Zarówno pułkownik Harold Martin, oficer bezpieczeństwa „Ameryki”, jak i kapitan Gutierrez bardzo mocno naciskali, aby dowódca nie udawał się osobiście na pokład przechwyconej obcej jednostki. Dowodzący LGB-40 admirał był zbyt cenny, żeby sobie pozwolić na takie ryzyko. Pułkownik tłumaczył to bardzo rozsądnie, podczas gdy Sara Gutierrez spojrzała na swojego dowódcę i powiedziała:

– Z całym szacunkiem, panie admirale, czy pana przypadkiem nie popierdoliło?

Tak więc Gray pozwolił im się przekonać, aby użyć robota. Dzięki zaawansowaniu technologii czuł się tak, jakby znalazł się na pokładzie okrętu we własnej osobie, a nie tylko w metalowym

korpusie robota. Bądź co bądź w ciele ludzkim nerw wzrokowy także ma swoją długość, podobnie jak inne nerwy, i sygnały gorąca, zimna, dotyku, ucisku, bólu miały do pokonania odległości metra lub dwóch, które mózg całkowicie pomijał. Przy przekazywaniu sygnałów do głównej AI „Ameryki” i odległości między okrętami na tyle małej, że opóźnienie czasowe było praktycznie niezauważalne, sygnały z sensorów robota omijały naturalne odczucia płynące z ciała i dostawały się prosto do mózgu. Ciało admirała spoczywało w izbie chorych, pogrążone w śpiączce.

Taka wirtualna obecność rodziła pomysł, wielokrotnie już poruszany przez rząd, aby wszystkie jednostki bojowe, a szczególnie myśliwce, były kierowane w ten sposób, co pozwoliłoby uniknąć strat w ludziach. Jednak wysuwający podobne propozycje nie brali pod uwagę ogromu współczesnej przestrzeni bitewnej. Opóźnienie pomiędzy izbą chorych a przechwyconym okrętem obcych wynosiło tylko trzy razy dziesięć do minus piątej potęgi, czyli czas, jaki potrzebowało światło na przebycie kilometra. Drobne dodatkowe opóźnienie spowodowane było obróbką sygnału przez AI, jednak nadal pozostawało tak małe, że ludzki umysł go nie zauważał. Odległości między walczącymi okrętami wynosiły trzysta do czterystu tysięcy kilometrów, czyli mniej więcej tyle, ile dzieliło Ziemię od Księżyca. Taki dystans powodował opóźnienie zauważalne przez człowieka, wynoszące ponad sekundę, a to już miało ogromne znaczenie przy pilotowaniu myśliwca na odległość.

– Jest pan gotów, panie admirale? – zapytał jeden z Marines, kapitan James Kornbluth z pododdziału stacjonującego na „Ameryce”. – Te stworzenia są dość paskudne!

– Spójrzmy, kapitanie.

– Doktor Hallowell jest już wewnątrz.

Marine dotknął drzwi, które otworzyły się, i Gray mógł zobaczyć obcych.

Wewnątrz pomieszczenia przebywało kolejnych dwóch Marines i jeszcze jeden człowiek w standardowym skafandrze

środowiskowym. Blond głowa wewnątrz hełmu odwróciła się, gdy Gray wleciał do środka. Admirał poczuł, jak sprawdzane jest jego ID.

– O! Dzień dobry, panie admirale! Nie spodziewałam się pana...

Gray także sprawdził jej elektroniczny identyfikator. Tara Hallowell była cywilem, jednym z naukowców pracujących w wydziale ksenosofontologii. Gray zastanawiał się, dlaczego to ona była tutaj, a nie jej szef George Truitt.

Uśmiechnęła się.

– Zgodnie z tym, co mówią ludzie jeńcy, z którymi rozmawialiśmy, ci tutaj nazywają siebie samych Grdoch. A przynajmniej to jest najbardziej zbliżone do oryginalnego brzmienia. Czy nie są wspaniali?

Gray zdecydowanie tak by tego nie określił. Stworzenia były duże i całkowicie nieludzkie, jak żadna inna forma życia, którą dotąd widział.

To, co uderzyło Graya na początku, to podobieństwo istot do samego okrętu. Słyszał oczywiście opisy Marines, ale słowa po prostu nie były w stanie przygotować na pełny szok, spowodowany widokiem tego czegoś. Grdoch mieli miękkie ciała, zdumiewająco duże. W chwili spoczynku mierzyły one około dwóch metrów wysokości, jednak w przypadku zagrożenia czy zaskoczenia mogły napompować się do ponad trzech metrów. Wyglądało na to, że taka sytuacja miała miejsce właśnie teraz.

Jajowate ciała były szersze niż wyższe, a krwistoczerwoną powierzchnię pokrywały setki mięsistych tub, przypominających miniaturowe trąby słoniowe. Posiadały na końcu rodzaj ssawek, charakterystycznych dla drapieżników wypijających krew ofiar. Skóra istoty była pomarszczona i wyglądała na miękką.

Trzy równomiernie rozmieszczone, zaopatrzone w stawy kończyny, długości około metra, sterczały ze środka tej pulsującej masy. Gray nie wiedział, czy to ręce, czy nogi, jednak na końcu każdej znajdowała się trójpalczasta, pazurzasta dłoń czy też stopa. Te kończyny wydawały się twardsze i pokryte czymś, co przypominało błyszczący, czarny chitynowy pancerz owadów. Gdy Gray znalazł się w pomieszczeniu, istota szeroko

rozprostowała kończyny i przetoczyła ciało o kilka metrów. Zatrzymała się pod ścianą. Co czuła? Bała się?

Nie widać było oczu ani innych organów zmysłu wzroku. W jaki sposób go wyczuwała? I co w ogóle wyczuwała?

Gray pomyślał o Slan, innej rasie podległej Sh'daar, stworzeniach posiadających wprawdzie oczy, jednak przy ocenie otoczenia polegających na skoncentrowanych wiązkach strumieni dźwiękowych, podobnie jak ziemskie nietoperze.

– To znów pieprzona rasa sonarowa? – spytał na głos.

– Nie jesteśmy pewni, panie admirale – odparła Hallowell. – Nagrywamy wszelkie dźwięki w tym pomieszczeniu i pomimo że to stworzenie czyni sporo hałasu, jednak nie wydaje mi się, by te częstotliwości były przydatne przy budowaniu obrazu głosowego.

Gray był świadom odgłosów wydawanych przez stworzenie. Zwiększył czułość słuchu. Młaśnięcia... chrząknięcia... gwizdy... najróżniejsze odgłosy tła, jednak wszystkie przenoszone przez częstotliwości słyszalne. Aby dźwięk, a właściwie jego odbicie, mógł wystarczająco szczegółowo opisywać otoczenie, powinien mieć fale niewielkiej długości, mieścić się w przedziale ultradźwięków.

A jednak Gray odnosił wrażenie, że jest dokładnie obserwowany przez obcą istotę. Wydawało mu się także, że jest ona wystraszona. Świadczyło o tym coś w jej ruchach, drzeniu.

Czego się bała? Jego? Stworzenie było większe i potężniejsze od jakiegokolwiek człowieka, nawet Marine w pełnym pancerzu bojowym. W tym momencie Gray wyglądał raczej niepozornie, jak czarno-srebrna piłka do koszykówki, posiadająca szereg wypustek i końcówek.

– Konfedzi musieli się jakoś z nimi komunikować – powiedział Gray. – Próbowaliście się czegoś dowiedzieć?

– Oczywiście, jedna z naszych AI przeczesuje system komputerowy stacji Enceladus – odpowiedziała Tara. – Wygląda na to, że wpuścili do sieci robaka mającego zniszczyć program translacyjny, ale już pracujemy nad jego rekonstrukcją. G-2 szuka zapisów ludzkich interakcji, które mogłyby nam pomóc.

To miało sens. Gray nie wiedział, kiedy Konfederacja nawiązała pierwszy kontakt z Grdoch, jednak zapisy tego typu spotkań na pewno posiadały kopie i były gdzieś skrupulatnie przechowywane, prawdopodobnie w sieci Konfedów. Nawet podstawowe informacje o środowisku, w którym ewoluowali Grdoch, mogły być niezmiernie pomocne przy próbach ich zrozumienia, poznania języka, kultury, sposobu, w jaki patrzyli na świat, tak fizycznie, jak i emocjonalnie.

– Czy to ma oczy? – spytał Gray. Najwyraźniej istota go wyczuwała, reagowała na jego obecność.

– Te wyrostki – powiedziała Hallowell. – Na całym ciele jest ich około tysiąca. Większość z nich to usta, choć wydaje się, że obcy używają ich także jako manipulatorów. Wykorzystują zasysanie do podnoszenia przedmiotów. Jednak wydaje się nam, że około pięć procent pochłania promieniowanie elektromagnetyczne o różnej długości fali. To nasza robocza teoria, do czasu aż uda nam się wprowadzić do tego organizmu nanosondy i bliżej przyjrzeć się jego układowi nerwowemu.

– Mówi pani, że to ma ponad setkę ust? Czym się, do cholery, żywi?

– Tego jeszcze nie wiemy, sir. Zgadujemy, że płynami ustrojowymi ofiar.

– Na pokładzie tego okrętu musi się więc znajdować pożywienie – powiedział Gray.

– Wiemy, panie admirale. Szukamy, to cholernie duży okręt.

– Jak wielu Grdoch tu przebywa?

– Na razie znaleźliśmy dwudziestu trzech, trzymani są pod ścisłą kontrolą, zamknięci w pomieszczeniach takich jak to.

– Sprawiają jakieś kłopoty?

– Nie, panie admirale – odezwał się Kornbluth. – Mam wrażenie, że zdają sobie sprawę, iż jedyną szansą, jaką mają, na zobaczenie domu, gdziekolwiek by się znajdował, jest współpraca z nami.

Dwadzieścia trzy istoty to nie była duża załoga, jak na okręt liczący prawie osiemset metrów długości, chyba że zastosowano w nim na szeroką skalę robotykę i automatykę. Gray zastanawiał

się nad myśliwcami obcych. Gdzie się podziały? Były robotami czy pojazdami załogowymi? Według ostatnich meldunków pozostało ich około stu. Większość odleciała z flotą konfederacką, kilka nadal znajdowało się na orbicie Saturna i Enceladusa, uszkodzonych bądź czekających na coś.

Gray zdał sobie sprawę, że Grdoch przypominają mu coś, co już widział. Pewne morskie gąbki na Ziemi miały podobnie miękkie ciała i tuby, przez które filtrowały wodę morską. Gąbki nie posiadały jednak złożonego układu nerwowego i nie stanowiły obiecujących kandydatów na budowniczych okrętów kosmicznych, czy nawet używanie ognia. Podobieństwo było, zdaniem Graya, jedynie wynikiem podobnej ewolucji, tak jak delfiny przypominają z wyglądu rekiny, mimo że nie są z tymi rybami absolutnie spokrewnione.

Podleciał bliżej, mając nadzieję na lepszy widok, a wtedy stworzenie wybuchło serią dźwięków, zarówno chaotycznych, jak i dziwnie harmonicznym, wydobywających się z ust. Brzmiały one dla człowieka jak zawrodozenie wieloryba lub też zmieszany chór.

– Nie lubią, jak się do nich za bardzo zbliża – ostrzegła Hallowell. – I nie wydaje mi się, aby lubiły maszyny. Pański nazir...

– Zrozumiałem – odparł Gray, cofając się. Stworzenie nieco się uspokoilo. – Wie pani, powinniśmy uzyskać więcej informacji od ludzkich jeńców. Najwyraźniej od jakiegoś czasu współpracowali z tymi tutaj.

Hallowell pokiwała głową wewnątrz swojego hełmu.

– Zgadza się, pani admiraie. Zakładamy, że muszą znać LG.

LG – lingua galactica – była sztucznym językiem, jednym z wielu stworzonych przez Agletsch podczas ich eksploracji kosmosu.

– No tak, Agletsch.

– Jeśli współpracują ze Sh'daar, Agletsch prawdopodobnie ich znają.

– Byłbym ostrożny, pani doktor. Czy skanowaliście ich w poszukiwaniu Społeczności?

– Tak, panie admirale. Ani śladu. Nawet w głębokich warstwach.

Interesujące. To oczywiście nie potwierdzało przypuszczenia, że Grdoch nie byli jednym z gatunków podległych Sh'daar, nie stanowili części ich rozległego, galaktycznego imperium. Społeczność Sh'daar była maleńka, jednak ludzie nauczyli się ją wykrywać metodami nieinwazyjnymi, przy zastosowaniu skanowania.

– Musimy jak najszybciej dostarczyć tych... ludzi do WBX. Prezydent Koenig będzie tym po prostu zachwycony.

Wydział Badań Ksenosofontologicznych zajmował duży obszar pod powierzchnią Mare Crisium na Księżycu i był jedną z najważniejszych placówek, w których badano nieludzkie inteligencje. Przebywało tam kilku jeńców Nungiirtok, wraz z małymi Koboldami. Byli tam Slan i kolonia kilku tysięcy Turuschów. Teoretycznie Ziemia prowadziła oficjalnie wojnę jedynie z Nungiirtok, jako że z pozostałymi zawarto porozumienia o zawieszeniu broni.

Z przynajmniej z ludzkiego punktu widzenia były to zawieszenia broni. Co myśleli o tym obcy, nadal pozostawało otwartym pytaniem.

Ze względu na tę niepewność wielu przedstawicielom rządu i Sił Zbrojnych USNA nie podobał się fakt, że w pobliżu Ziemi znajduje się tak wielu nieludzi, zwłaszcza że byli oni nosicielami Społeczności. Koenig nie spodziewał się niebezpieczeństwa ze strony obcych, jednak musiał przygotować się na kolejną walkę z senatorami, kongresmenami i generałami, którzy mieli inne zdanie.

Teraz, gdy wojna domowa dzięki Konfederatom straciła swój wewnętrzny charakter, gdy Genewa szukała sojuszu ze Sh'daar, instalacja na Księżycu mogła się stać kolejnym celem Europejczyków. Należało brać to pod uwagę.

Na szczęście, pomyślał Gray, było to problemem Koeniga. Podczas wojny wiedza o przeciwniku miała ogromne znaczenie. Sun Tse jasno przedstawił ten fakt prawie trzy tysiące lat wcześniej. W sytuacji, gdy przeciwnik nie był nawet

człowiekiem, nie myślał i nie zachowywał się jak człowiek, nie reagował na te same bodźce emocjonalne, problem stawał się o wiele poważniejszy. To właśnie dlatego baza Crisium była tak ważna – by zrozumieć, jak obcy w rodzaju Słan czy Turuschów patrzą na kosmos, znaleźć ich motywację.

Oczywiście drugą zasadą Sun Tse była znajomość siebie samego.

Gray odnosił wrażenie, że ludzie pozostaną obcy sobie samym jeszcze długo po tym, jak zrozumieją już perfekcyjnie zmotywowanych Turuschów z ich potrójną świadomością czy też ogromnych, bojowo nastawionych Nungiirtok.

Jednak w tej chwili nie można było dowiedzieć się nic więcej.

– Powodzenia, pani doktor – powiedział do Hallowell. – Proszę dać mi znać, jeśli mógłbym przysłać jakieś dodatkowe środki, które byłyby przydatne.

– Tak jest. Dam panu znać, gdy tylko dowiem się czegoś ważnego.

– Dziękuję.

Coś ważnego. Jak na przykład to, że Grdoch wycofywali się z współpracy z Konfederacją. Oczywiście mieli na tyle dużo wspólnego z ludźmi, że nie podjęliby się tego typu kooperacji, nie oczekując czegoś w zamian.

Co to było?

Wewnętrzny zegar mówił Grayowi, że minęła już dziewiąta trzydzieści. Czas na napisanie uzupełnienia dla HQMILCOM na Marsie.

A może także na osobisty meldunek do prezydenta.

Wirtualne centrum bojowe

Colorado Springs, USNA

Godzina 13.10 CST

– Mam nowe rozkazy – powiedział major Aldridge do swojego zespołu. Ponownie zebrali się w sali odpraw WCB, głęboko

w sercu góry Cheyenne. – W zasadzie powinienem powiedzieć: uzupełnienie do naszych rozkazów. To, czego wszyscy oczekiwaliśmy.

Duża grupa jęknęła z zawodem, byli to ci, którzy posiadali realne doświadczenie bojowe. Ashton zaliczała się do tej grupy. W każdej operacji wojskowej prostota była kluczem do sukcesu, a próby wprowadzania uduwnień, dodatkowych celów, obostrzeń, czyli prosto mówiąc: komplikacji, stanowiły gwarancję zawalenia sprawy.

– Wczoraj – kontynuował Aldridge – Lotniskowcowa Grupa Bojowa „Ameryka” wygrała poważną bitwę przy Enceladusie. Podczas jej trwania udało się przechwycić okręt należący do nieznanego obcego gatunku, nazywającego siebie Grdoch. Najwyraźniej Genewa wskoczyła im pod kołdrę i współpracuje z nimi, przynajmniej w pewnym zakresie.

W głowach słuchaczy otworzyły się okna komunikacyjne i mogli zobaczyć nagranie ukazujące jednego z obcych, czerwone cielsko pokryte pulsującymi tubami z miękkiej tkanki. Ashton nigdy czegoś takiego nie widziała.

– Lotniskowiec „Ameryka” przywiezie kilku tych przyjemniaczków do dalszych studiów – wyjaśnił Aldridge. – Tymczasem ważne jest jednak zdobycie wszystkich informacji, jakie na ich temat posiada Konfederacja. O ile większość z nich jest zapewne ściśle tajna, istnieje duże prawdopodobieństwo, że część krąży po serwerach Konfedów. Niektóre z ich AI mogą coś na ten temat wiedzieć. Jakies dane mogą posiadać senatorowie. A z pewnością ma je ich wywiad. Nasz główny cel pozostaje bez zmian: infiltracja konfederackiej sieci komputerowej i zapoczątkowanie ataku RM. Chciałbym jednak, aby wasza dwójka: Cabot i ty, Ashton, zgłosiła się do czegoś ekstra.

„Nigdy nie zgłaszaj się na ochotnika” – była to podstawowa reguła obowiązująca w armiach całego świata od zawsze. Niestety, co innego, gdy dowódca wskazywał palcem i stwierdzał, że żołnierz się zgłosił. No, mogło być gorzej. Komandor porucznik Newton Cabot był porządnym gościem, kumplem z za sterów starhawka i weteranem wojennym.

Był także prymem – prymitywem ze strefy peryferyjnej, pochodzącym ze Starego Bostonu. Zatwardziały monogamista, jak wielu prymów, doświadczył wielu złościwości ze strony arystokratycznej Marynarki i wyszedł do cywila, gdy odmówiono mu promocji na pełnego komandora.

Teraz jednak znów założył mundur i miał być partnerem Shay.

– Wy dwoje – kontynuował Aldridge – będziecie szukać każdego śladu danych na temat Grdoch. Jeśli coś znajdziecie, zakładacie na to syfon i przesyłacie tutaj. Nie musicie obawiać się o maskowanie i alibi. Mamy w dupie, czy Genewa wie o tym, czy nie. Po prostu wchodzicie, łapiecie informacje i wychodzicie.

Oczywiście nie zostało powiedziane wprost, że jeśli Ashton i Cabot poruszą dzwoneczki alarmowe w Genewie i obudzą elektronicznych stróżów, to ich awatary najprawdopodobniej dostaną potężną dawkę ICEscream, a to na pewno nie będzie zaliczać się do przyjemności.

– Reszta – mówił Aldridge – umieszcza swoje robaki RM, a następnie osłania Cabota i Ashton do chwili, gdy zakończą oni swoją operację i wycofają się.

Spojrzał na dwójkę „ochotników”.

– Wy także będziecie przenosić robaki RM i umieścicie je tam, gdzie uznacie, że mogą być przydatne. Pytania?

Było jedno. Od Cabota.

– Jeśli atak RM się powiedzie, będziemy mogli po prostu zapytać ich o informacje, prawda?

– Jeśli się powiedzie, oczywiście – odparł Aldridge. – Miejcie jednak na uwadze, że mamy tu do czynienia z całą strukturą rządową. Nawet jeśli perfekcyjnie usadowimy RM, mogą minąć miesiące, zanim zobaczymy jakieś rezultaty. Zmiana poglądów rządowych wymaga czasu, a czasu nam właśnie teraz brakuje.

Najwcześniejsze i najprymitywniejsze formy rekombinowanych memów były zwykłą propagandą wojskową lub nacjonalistyczną, antyczna nauka obfitowała w nie zwłaszcza pod koniec dwudziestego wieku, nazywając je wojskowymi programami PsyOps. Potrzeba było zjednoczyć całą populację przeciw wrogowi? Przekonać populację przeciwnika, by zmieniła

strony i wsparła nas? Nic prostszego. Bombardujesz docelową grupę społeczną słowami, muzyką, obrazami i ideami mającymi popchnąć ją w żądanym kierunku.

Cztery wieki wcześniej takie działanie mogło być trafieniem w sedno lub całkowitym pudłem. Przy wystarczającej ilości danych, mocy obliczeniowej i delikatnym nacisku udawało się jednak przekonywać całe populacje. Globalna sieć, manipulacja bazami danych oraz powszechność elektronicznej rozrywki i wiadomości dodawały tylko nowe memy do tego równania. Niektórzy twierdzili, że obecnie stało się to najpowszechniejszą bronią w ludzkim arsenale.

Gdy nowe memy i mempleksy zapaściły korzenie i rozwinęły się, mogły zmienić stare. Wykorzystując właściwie zbalansowane memy, dobry zespół RM był w stanie przekonać grupę docelową, że lewo to prawo, prawda to fałsz, a niebieskie jest zielone.

A przynajmniej tak twierdzono. Ashton nigdy nie widziała dowodów na tego typu działalność, nie od czasu zadziałania inżynierii społecznej, które doprowadziło do podpisania pod koniec dwudziestego drugiego wieku Białej Konwencji.

Problem polegał na tym, że manipulacja społeczna na taką skalę potrzebowała czasu, ogromnej mocy obliczeniowej i bezpośredniego dostępu do systemów informacyjnych grupy docelowej. Manipulacja RM nie mogła zagwarantować szybkiego zakończenia wojny.

Jeśli Konfederacja spodziewała się penetracji RM, mogła mieć już przygotowane kontrmemy, mogące pozbawić kłów próbę ataku ideologicznego, a nawet posiadać własne memy ofensywne, gotowe do ataku.

– Inne pytania? – zapytał na zakończenie Aldridge. Nie było. Pokiwał głową. – Godzina H wyznaczona jest na dwudziestą trzydzieści dziś wieczorem. W Genewie będzie druga trzydzieści, środek nocy. Zobaczmy, czy uda nam się rozbudzić gnojników.

Tymczasowe prezydenckie stanowisko dowodzenia
Toronto

– Dziś wieczorem? – spytał Koenig.

– Tak, panie prezydencie – odpowiedział admirał Armitage. – Nazywamy to operacją Luter.

– Marcin Luter?

Armitage wyglądał na nieco zmieszanego.

– Tak, panie prezydencie. Mimo wszystko zakładamy nowy ruch religijny.

Znajdowali się w centrum operacyjnym prezydenckiego stanowiska dowodzenia, głęboko pod York Civic Plaza w centrum Toronto, tymczasowym dowództwie USNA po anihilacji Columbus. Admirał Eugene Armitage był szefem Połączonego Kolegium Szefów Sztabów USNA. Wraz z nim w gabinecie znajdowali się: Phillip Caldwell, narodowy konsultant do spraw bezpieczeństwa, sekretarz obrony Lawrence Vandenberg, doktor Mara Delmonico, szef departamentu cyberbezpieczeństwa, Thomas McFarlane, dyrektor CIA, i doktor Horace Lee, ekspert w dziedzinie memetyki replikacyjnej, a dodatkowo szef prezydenckiego sztabu Marcus Whitney i mała armia asystentów i sekretarek. Pokój wydawał się przy tym tłumie klaustrofobicznie mały.

– Cały czas uważam ten pomysł za nierealny i ekstremistyczny – powiedział Vandenberg. Ton jego głosu wskazywał jednak, że bardziej niż „nierealny” pasowało określenie „niesmaczny”.

Zarówno Vandenberg, jak i Caldwell byli przeciwni programowi RM od samego początku. Obaj byli mocno wierzący. Czy sprzeciwiali się operacji Luter ze względu na pomysł wprowadzenia nowej, czyli ich zdaniem fałszywej religii dla świata? Czy może chodziło o to, że technicznie rzecz ujmując, było to naruszenie Białej Konwencji?

– Panie prezydencie, absolutnie nie ma pewności, że coś na tę skalę zadziała – poparł przedmówcę Caldwell. – Religia, każda religia, jest wyjątkowo silnie oddziałującym mempleksem. Tego

typu mempleksy są szczególnie odporne i posiadają wbudowane systemy obronne. Potężne systemy obronne.

– Doktorze Lee? – powiedział Koenig. Nie spotkał się dotychczas osobiście z ekspertem od RM, ale znał jego reputację. Komputerowa baza danych opisywała go jako członka sztabu Delmonico, ale także jako szefa programu memetycznego prowadzonego na uniwersytecie w Chicago. – Co pan sądzi na ten temat?

– No cóż, stare, zakorzenione mempleksy mają swoją obronę – powiedział Lee. – Jedną z charakterystyk definiujących mempleks jest idea, że memy, podobnie do genów, ewoluują w toku naturalnej selekcji i robią to w celu ochrony własnej oraz wzmocnienia się wobec nacisków z zewnątrz. Zwycięskie memy stają się niewiarygodnie stabilne i odpierają próby ich zmiany.

– Nie rozumiem, w jaki sposób mem może sam siebie chronić – stwierdził Koenig. – Przecież to tylko idea, prawda?

– Oczywiście, że to tylko idea, panie prezydencie, jednak ludzie czynią z niej coś więcej. Dużo więcej. Weźmy na przykład ideę konieczności nawracania ludzi na swoją religię z obowiązku lub altruizmu. Taki nakaz od dawna jest memem wielu religii, szczególnie radykalnego islamu, ale też kilku fundamentalistycznych odłamów chrześcijaństwa. Cały mempleks działa tak, by chronić poszczególne memy wchodzące w jego skład. Na przykład mem, który faworyzuje wiarę ponad wiedzę, służy ochronie całego mempleksu przed atakami ze strony zewnętrznych sił reprezentujących naukę lub kulturę. Podobnie mem twierdzący, że wiara jest jedynym sposobem uzyskania zbawienia. Ludzie zainfekowani tymi memami mają tendencję do zwierania szeregów przeciw wszystkim innym. Argumenty oparte na badaniach naukowych automatycznie są odrzucane jako niewywodzące się z wiary. Sugestie, że wiara innych także może być akceptowana przez Boga, są negowane, gdyż tylko jedna interpretacja Biblii, Koranu czy Księgi Mormona może być prawdziwa. Gdyby nie była, znaczyłoby to, że to właśnie my się mylimy. A mylenie się jest paradoksem nie do przyjęcia, wystawiającym niezadowolonego wierzącego na

ryzyko zmiany wiary. Aby temu zapobiec i za wszelką cenę nie przyznawać się do trwania w błędzie, wyznawca jest gotów uczepić się oryginalnego mempleksu i wszystkich wewnętrznie spójnych memów.

– Rozumiem. Dziękuję panu.

Koenig musiał przyznać, że Biała Konwencja w jakiś sposób obeszła tego typu problemy, sprawiając, że każda dyskusja czy porównywanie religii było złe, a przynajmniej oznaczało brak dobrego wychowania. Nie atakować innych religii. Nie starać się nawracać. Nie atakować nikogo ze względu na to, że wierzy w coś innego. Nieważne, w co, ma do tego absolutne i niezbywalne prawo tak długo, jak sam nie działa na szkodę innych. Dla większości ludzi na świecie religia zepchnięta została do podziemia. Mogłeś wierzyć, ale nie dyskutować o tym z innymi.

Jednak nawet po upływie ponad trzech wieków od wprowadzenia zawieszenia broni pomiędzy rywalizującymi memami religijnymi, zaatakowanie religii było nadal bardzo trudne. Lee twierdził, że ludzie zarażeni jakąś religią bez względu na wszystko byli chronieni przez memy tejże religii. Ochrona ta dotyczyła błędnych wywodów logicznych, fałszywych przypuszczeń, nieprawdziwych badań, czyli ogólnie wszystkiego, co sugerowałoby wyższość nauki nad wiarą.

To, co zamierzali zrobić przy pomocy operacji Luter, nie było bezpośrednim atakiem na inną religię. Zamiast tego Konstantin stworzył ruch duchowy nazywany La Lumière des Étoiles lub Sternenlicht... czyli Ruch Światła Gwiazd.

Koenig ciągle zastanawiał się, czy Konstantin rozumiał ludzi i ich sposób myślenia wystarczająco dobrze, by stworzyć nową religię, jednak Ruch Światła Gwiazd na pewno wywoła spore zamieszanie.

Zakładając oczywiście, że uda się umieścić robaka z Ruchem w europejskich sieciach informacyjnych.

– Nie sądzę, aby to zadziałało, panie prezydencie – powiedział Caldwell. – Wiara ludzka... po prostu jest zbyt silna, by została obalona przez reklamę. Ten Ruch Gwiazd zostanie już na samym

początku odrzucony.

– Zgadza się pan, doktorze Lee?

Zapytany wzruszył ramionami.

– Memetyka replikacyjna nawet nie próbuje być prawdziwą nauką, panie prezydencie. Dokładne prognozy to utopia. Jednak jeśli dysponuje się czasem i dobrym usytuowaniem, istnieje spora szansa...

– To nie jest doskonałe, Phil – powiedział Koenig, odpowiadając na stwierdzenie Caldwell. – Nie wiemy, czy zadziała. Nie możemy. Jednak to najlepsza broń, jaką obecnie dysponujemy, by sięgnąć w głąb rządu europejskiego i uderzyć tam, gdzie ich najbardziej zabol. Operacja Luter zostanie przeprowadzona zgodnie z planem, dziś wieczorem.

USNA CVS „Ameryka”

Orbita Enceladusa

Przestrzeń Saturna

Godzina 16.40 TFT

– Panie admirał. Mamy... problem.

Sprawdził ID wywołującego, okazało się, że to doktor Tara Hallowell.

– Proszę bardzo, pani doktor. Byle szybko.

Gray znajdował się na mostku, przechodząc przez niekończącą się litanię procedur kontrolnych wymaganych przy podejściu do Ziemi. Szczególnym problemem był uszkodzony w wielu miejscach zbiornik z wodą. Ponadto jako dowódca grupy bojowej musiał podejmować decyzje dotyczące gotowości wszystkich okrętów, które do niej należały. Faktycznie nie miał obecnie czasu dla cywilów.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale znaleźliśmy więcej Grdoch.

Westchnął.

– To proszę postawić przy nich straż i wypełnić raport. Nie

muszę być powiadamiany o każdym...

– Sir, chodzi o to... co oni robią. Sądzę, że powinien pan to zobaczyć.

Właśnie zamierzał ją porządnie ochrzanić, ale coś w jej głosie go powstrzymało. Brzmiała... może nie całkiem jak przerażona. Ale na pewno zestresowana i zdenerwowana. Prawie tak, jakby na siłę powstrzymywała się od płaczu.

– Czy muszę uruchamiać nazira?

– Nie trzeba. Mogę przesłać panu strumień wideo stąd. Obawiam się, że to nie będzie przyjemne.

Teraz przyciągnęła na dobre jego uwagę.

– Proszę to zrobić.

– Dopiero co znaleźliśmy to pomieszczenie, panie admirale. Ten okręt jest ogromny.

W oknie wewnętrznego wyświetlacza zobaczył... co to, do cholery, było?

Kilka sekund zabrało mu uświadomienie sobie, na co patrzy. Hallowell najwyraźniej znajdowała się w wielkim, otwartym pomieszczeniu wewnątrz okrętu. Linia uzbrojonych Marines częściowo blokowała drzwi, ale stanowiła także punkt odniesienia dla formy życia widocznej w tle.

To coś było... kolosalne. Górowało nad Marines na przynajmniej piętnaście metrów, miało około dziesięciu metrów szerokości i dwadzieścia długości. Na pierwszy rzut oka pozbawione było zewnętrznych organów, jednak żyło. Trzy kończyny przypominające płetwy machały i prostowały się bezradnie w powietrzu. Po chwili Gray zidentyfikował coś, co mogło być twarzą... napuchnięte usta, szeroko rozchylone kłapy służące prawdopodobnie do oddychania i wianuszek złożony z ośmiu małych, zadziwiająco podobnych do ludzkich oczu, w których czaiło się przerażenie i ból. Skóra stworzenia była gumista i zielona, z wyjątkiem miejsc, w których została rozerwana, a z których wydostawała się szara ciecz i biało-żółta piana. Usta rozwarły się i istota ryknęła boleśnie.

– Hallowell! – krzyknął Gray. – Co to?!

– To zwierzę rzeźne, panie admirale! Oni je jedzą! Zjadają je

żywcem!

W tym momencie Gray dostrzegł około tuzina szkarłatnych Grdoch, tarzających się wewnątrz większych ran zwierzęcia i tłoczących po bokach. Patrzył, jak jeden z obcych rozprostował trzypalczystą kończynę i rozerwał bok wielkiej istoty. Inni podpełzli do wrzeszczącej i trzęsącej się bestii, tnąc, by dostać się do jej wnętrza. Po otwarciu rany Grdoch używali kończyn, by rozchylić jej brzegi i wcisnąć się do środka. Setki mięsistych ust przylegały do krwawiącej tkanki i pulsowały.

– Boże...

– Wydaje nam się, że to zwierzę jest albo sztucznie stworzoną formą życia, albo wynikiem jakiejś genetycznej manipulacji. Jednak Grdoch... Wydaje się, że podczas jedzenia wpadają w szal!

Gray uczestniczył w seminariach szkoleniowych przeznaczonych dla oficerów, mających na celu wpojenie im, że obce kultury, zwyczaje i zachowania – choć różne od ludzkich – dla danego gatunku mogą być całkowicie normalne. Pojęcia takie jak zło i dobro były konstrukcją ludzką i nie powinny mieć zastosowania do istot, które ewoluowały na innych światach w całkowicie odmiennych warunkach środowiskowych i kulturowych.

Miał jednak poważny problem z zaakceptowaniem faktu, że Grdoch konsumują żywe zwierzę dosłownie od środka.

– Do cholery – powiedział wściekły – nie może pani skrócić męczarni tego stworzenia?

– Nie, panie admirale! – odparła Hallowell. – Grdoch najwyraźniej wyewoluowali jako drapieżniki i być może potrzebują, aby ich ofiara żyła!

Gray sprawdził listę osób na tym kanale. Kapitan Kornbluth był na miejscu. Dobrze.

– Kapitanie!

– Tak, panie admirale!

– Proszę zabić duże zwierzę. Spalić je!

– Aye, aye, sir!

– Admirale! Nie!

– To coś cierpi, pani doktor.

Kornbluth wydał rozkaz i promień lasera trafił stworzenie w głowę... jeśli nią była. Wielkie zwierzę nadal było w męce.

– Wydaje mi się, że to coś nie ma mózgu w głowie – powiedział Kornbluth.

Świetnie... po prostu świetnie. Gray uświadomił sobie, że właśnie tylko pogorszył sytuację.

– Chyba się wkurwili, kapitanie! – krzyknął jeden z Marines. – Rzuć się na nas!

Admirał ujrzał coraz więcej ociekających krwią Grdoch wyłaniających się z wnętrza zwierzęcia rzeźnego. Ten, którego widział podczas wizyty na okręcie, wydawał się wystraszony. Ci tutaj byli najwyraźniej wściekli i pozbawieni lęku.

Kilku z przodu ruszyło na Marines, którzy otworzyli ogień. Gray na swoim wyświetlaczu widział, jak laserowe promienie uderzają w atakującą szkarłatną masę. Cholera, trudno było zabić te kreatury. Ginęą dopiero po pięciu, sześciu bezpośrednich trafieniach.

Gdy Marines osłaniali techników zgromadzonych przy drzwiach, kolejne istoty zaczęły padać. W pomieszczeniu pociemniało od dymu. Umierający Grdoch trzęśli się i wrzeszczeli.

– Kornbluth! – krzyknął Gray. – Zabierz stamtąd ludzi!

– Aye, aye! Słyszeliście rozkaz! Wycofywać się! Wycofywać się!

– Zaplombować drzwi! – polecił Gray, gdy ostatni z Marines znalazł się poza pomieszczeniem. Drzwi zamknęły się, a po chwili coś masywnego uderzyło w nie od środka.

– Trzymajcie ich tam, aż dotrzemy do Księżyca.

Drapieżniki szamotały się w zamknięciu.

Rozdział jedenasty

7 marca 2425

Rzeczywistość wirtualna

Godzina 2.30 CET

Ciało Shay Ashton znajdowało się ciągle w Colorado Springs, ale umysł mknął nad obcym krajobrazem migającym pod jej maszyną. Z jej perspektywy wyglądało to tak, jakby siedziała w kokpicie swojego starego starhawka, lecąc skrzydło w skrzydło z Newtonem Cabotem. Oboje zmienili kształt maszyn na plemnikowaty, by zyskać na prędkości i manewrowości.

Było to coś, co wydawało się Ashton nieco głupie. Nie lecieli przez rzeczywistą atmosferę, w której musieliby się martwić o opór powietrza czy też tarcie. Nie manewrowali nawet w przestrzeni okołoplanetarnej, w której uderzenia pyłu były w stanie wyzwolić energię wystarczającą do usmażenia maszyny wraz z pilotem. Wirtualna bitwa toczyła się w umyśle, we wspólnej rzeczywistości generowanej i moderowanej przez potężną AI.

Wiara stanowiła jednak ważny czynnik przy tworzeniu tej rzeczywistości. Im bardziej była ona zbliżona do prawdziwych warunków, tym lepiej umysł cybernetycznego żołnierza dostosowywał się do niej. Infiltrująca cybergrupa uderzeniowa potrzebowała prędkości przy poruszaniu się po sieci komputerowej Konfederacji, aby przebić się przez zewnętrzne bariery ochronne, tak więc starhawk w głowie Ashton przybrał formę plemnika. To wspierało iluzję.

Zdaniem Shay, ta iluzja okazała się cholernie dobra. Była czarna, bezgwiezdna noc, jednak pod kadłubami myśliwców

widniały geometryczne wzory, z jakich składał się krajobraz. Wieżowce oznaczały routery, duże serwery i duże sieci z szerokim polem manewru, podczas gdy bramki logiczne i porty do zewnętrznych interfejsów wyglądały jak tunele albo rzeczywiste bramy otoczone łuną białoniebieskiego światła. Przepływ danych w sieci Konfederacji reprezentowany był jako inny statek powietrzny przelatujący z punktu do punktu.

W rzeczywistości starhawki były częścią oprogramowania, tak jak i widok, który rozciągał się przed Ashton siedzącą w kokpicie jednego z nich. Bardzo skomplikowanego oprogramowania, stworzonego i wspieranego przez Konstantina, jednak tylko oprogramowania. To nie wyglądało tak, jak w rzeczywistości.

Oczywiście miało się poczucie realizmu. Przeskakując nad liniami sieci, rejestrując przepływ elektronów i protonów w macierzy dynamicznej, Ashton czuła się, jakby faktycznie przebywała w kokpicie myśliwca lecącego nad obcym miejscem, a jej ciało podróżowało razem z nią, a nie spoczywało pod górą Cheyenne.

Pozostałe starhawki grupy uderzeniowej kolejno się od niej odłączały, znikając w bramach i portach. Ashton i Cabot mknęli w stronę czystego światła.

Patrząc na mijane budynki i skupiając część swojej świadomości, mogła zobaczyć tabliczki identyfikacyjne określające daną strukturę. Szukała konkretnej fizycznej pamięci EPROM, zawierającej BIOS. Obecnie widziała rozbudowaną architekturę komputerową, rozległy i skomplikowany las tworzony przez połączone komputery oraz AI.

Po pierwsze musiała znaleźć właściwą sieć komputerową, następnie odpowiednią grupę serwerów. Było ich tak dużo...

PANEURO.GOV 83723-669-945...

GENEVA.GOV 83736-444-735...

GENEVA.ADMIN 84736-839-335...

Obrońcy sieci rozprzestrzenili się po niebie jako czarno-niebieska chmura, usiłująca ściągnąć myśliwce w dół. Ashton uruchomiła własne systemy ochronne, wypuszczając stada wirusów przegryzających się przez ICE jak kwas.

Podczas penetrowania sieci miała przy sobie zimny intelekt z krateru Ciołkowskiego. Odcięty od standardowego dostępu do sieci europejskich przez firewalle i bariery fizyczne, Konstantin mógł wykorzystać szybkie wirtualne myśliwce, by tylnymi drzwiami dostać się do systemu, penetrując go, wykorzystując i zmieniając.

– Wiedzą, że tu jesteśmy – rozległ się głos Cabota na prywatnym łączu Shay. – Włączyli alarm.

– Widzę.

Jeden po drugim, systemy wokół nich wypuszczały ochroniarzy albo wygasały, zupełnie jakby fizyczne połączenia pomiędzy sieciami znikwały. W oddali zbierało się coraz więcej burzowych chmur, szukając, próbując...

– Uwalniam RM – oznajmił Cabot.

– Przyjęłam.

Sama chciała poczekać jeszcze chwilę, do momentu, aż wejdą głębiej, i dopiero wtedy wystrzelić wirusową główicę.

O! Tam jest! Tego właśnie szukała.

OERE.ADMIN 89749-783-003...

Potężne burzowe chmury kłębiły się, chroniąc portal.

Organisation Européenne pour la Recherche Extraterrestre była następczynią Europejskiej Organizacji Badań Jądrowych, znanej szerzej pod akronimem CERN. Współczesna OERE zajmowała się kulturami pozaziemskimi i biologią. Port przemknął pod nimi, gdy Ashton i Cabot przyspieszyli. Światło pozostało w tyle w iluzji prędkości niemożliwej do zmierzenia. W rzeczywistości ich mózgi były pod wpływem katalizatorów chemicznych i dopalaczy implantów, sprawiających, że nanosekundy wydawały się sekundami. Był to jedyny sposób na to, aby ludzka świadomość nadążyła za procesami zachodzącymi z prędkością światła wewnątrz sieci komputerowej.

Wokół nich otworzył się docelowy system, ukazując las trójwymiarowych wież i geometrycznych konstrukcji świetlnych. Skręcając ostro, dwa starhawki pomknęły w głąb labiryntu. Tunel rozszerzył się. Błyskawice pojawiały się na niebie, starając się trafić myśliwce, jednak one kluczyły i wystrzeliwały swoje

środki ochrony, wchodzące w interakcję z ICE, czasem myśląc je, czasem rozbijając, a czasem nawet przekonując, że nie istnieje żadne zagrożenie.

Byli w środku.

Konstantin, niewidoczny, lecz cały czas obecny, prowadził ich, sprawdzając z wyprzedzeniem dane. Numery kodowe i nazwy plików pojawiały się i znikwały wokół Ashton. Kilka z nich jaśniało podświetlonych na czerwono.

Grdoch...

La Connaissance d'étrangère...

L'Affaire Vulcan...

40 Eridani A II...

Właśnie dlatego do przeprowadzenia tego typu ataku wirtualnego niezbędne były ludzkie umysły. AI świetnie wypełniały polecenia, być może niektóre, jak Konstantin, mogły podejmować samodzielne decyzje, które dane podświetlić, a które zignorować. „Grdoch” stanowiło tak ewidentne słowo klucz, że z dużym prawdopodobieństwem była to pułapka, coś umieszczonego tu w celu odwrócenia uwagi wirtualnych piratów. Konstantin sprawdzały to bardzo dokładnie, szukając wirtualnych min. To samo w przypadku pliku oznaczonego po francusku „Kontakt z obcymi”.

Jednak inne AI zdały się na intuicję Ashton. „Vulcan”, na przykład, była to nazwa podobnej do Ziemi planety oddalonej od Słońca tylko o szesnaście i pół roku świetlnego, na której znajdowała się ważna niemiecko-argentyńska kolonia, zaś gwiazda, w której układzie znajdował się Vulcan, nazywała się 40 Eridani. W jakiś sposób przemawiały one do Shay, więc także je oznaczyła.

Keid...

La Massacrer...

Le Rapport d'Gouverneur Delgado de Vulcan...

Nie miała pojęcia czemu, ale te także wydały jej się ważne. Widziała hiperlinki, tunele świetlne łączące je z innymi, bardziej oczywistymi plikami danych. W momencie gdy podświetlała w myślach jakąś strukturę, Konstantin był w stanie otworzyć

plik, wyssać jego zawartość i przesłać ją do góry Cheyenne, do Centrali Wywiadu USNA, Dowództwa Floty na Marsie i do własnej bazy danych. W ciągu kilku sekund dane dublowano w tak wielu różnych, bezpiecznych miejscach, że nie było szans, aby kontrwywiad Konfederacji wytropił je i zniszczył.

– Spadamy stąd, do cholery! – krzyknęła Ashton.

– Rog! Sek...

Ashton nadal posiadała własną bombę programistyczną. Potężny budynek pojawił się poniżej, po lewej stronie: *OERE7746.gov.com*. Wzięła na cel strukturę i uwolniła swojego robaka.

– Rakiety poszły! – krzyknęła. – W porządku, Newt! Zmywamy się!

Wycofanie się z sieci europejskiej powinno być bardzo proste i obejmować jedynie przerwanie połączenia, jednak ponieważ mózgi pilotów mocno zaangażowały się w fantazję lotu w trójwymiarowej przestrzeni, lepiej i bezpieczniej było wycofywać się stopniowo, po tej samej trasie, którą dostali się do sieci OERE. Nie trwało to długo, nie więcej niż kilka sekund subiektywnego czasu.

Jednak Newt wrzeszczał cały czas.

Spojrzała dokładnie w momencie, gdy z niebieskoszarej chmury wystrzeliła błyskawica i objęła myśliwiec Cabota. Nastąpił błysk i maszyna zniknęła.

Ashton poczuła przebiegający przez jej ciało dreszcz... a po chwili leżała przypięta pasami do łóżka w pokoju operacyjnym w wirtualnym centrum bojowym. Cabot znajdował się na sąsiedniej leżance, a w jego krzyku mieszały się strach, agonia i furia.

– Wszystko w porządku, poruczniku? – to Aldridge stojący obok niej.

– T-taaak. W porządku. Co się stało...

– ICEscream. Biedak...

Shay próbowała wstać, ale pasy ją przytrzymały.

– Proszę leżeć, poruczniku – uspokoił Aldridge. – Musimy panią sprawdzić.

W pokoju krzyczały także inne osoby, wypełniając go kakofonią szaleństwa.

– Zdejmijcie je ze mnie! Zdejmijcie je ze mnie! – darł się Cabot, rzucając się na łóżku.

Shay Aston zaczęła się zastanawiać, czy sama nie wariuje.

USNA CVS „Ameryka”

Kwatera admiralska

Przemieszczenie Enceladus – Ziemia

Godzina 4.25 TFT

– Panie admirale. Proszę się obudzić.

Gray, półprzytomny, otworzył jedno oko.

– Cojes?

– Panie admirale, mamy wiadomość dla pana. Wydział łączności.

Sprawdził czas. Prawie wpół do piątej. Obok niego spała Laurie Taggart, trzymając dłoń na jego klatce piersiowej. Jego osobisty asystent rzadko się odzywał, a jeśli to robił, miał zazwyczaj ważny powód.

– W porządku – powiedział Gray w myślach. – Łącz.

Otworzyło się okno komunikacyjne i zobaczył twarz porucznika Gary’ego Kepnera, jednego z oficerów łączności „Ameryki”.

– Przepraszam, że pana budzimy, admirale, ale mamy wiadomość oznaczoną jako pilna i adresowaną do pana.

– Od kogo?

– Sygnowana jest przez ZSZ.

Zwierzchnik Sił Zbrojnych, czyli prezydent Koenig. O czwartej trzydzięści... cholera! Czas lotniskowca określano według wschodniej strefy czasowej, tej samej, w której przebywał prezydent. Czy ten facet nigdy nie spał? Szybkie sprawdzenie statusu okrętu powiedziało Grayowi, że „Ameryka” z przyspieszeniem siedmiu dziesiątych g zbliża się do Ziemi

i minęła właśnie półmetek. Opóźnienie czasowe wiadomości wynosiło około pół godziny.

– Daj to.

– Wiadomość wymaga potwierdzenia kodem bezpieczeństwa niebieski dwa, panie admirale.

O! Gray zsunął nogi z łóżka i wstał. Laurie przeciągnęła się, ale nie obudziła. Dobrze. W chwili, gdy otwierało się kolejne okno dialogowe, przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie mógł rozmawiać, nie budząc kobiety.

Tak czy inaczej, nie spał dobrze. Widok i głos zwierzęcia rozszarpywanego przez watahę Grdoch prześladowały go, nie pozwalając zasnąć. Równie dobrze mógł wstać i coś zrobić.

W biurze usiadł przy stacji roboczej i dotknął panelu kontrolnego, powodując wysunięcie skanera siatkówki. AI „Ameryki” oczywiście w każdym momencie wiedziała, w którym miejscu okrętu aktualnie przebywał. Mogła to odczytać na podstawie fal mózgowych, będących absolutnie unikalną sygnaturą, jednak procedury bezpieczeństwa nadal wymagały antycznych metod.

– Gray, Trevor, kontradmirał, jeden-dziewięć-sześć—sześć-pięć-jeden-osiem-zero-trzy Bravo.

– Tożsamość potwierdzona, panie admirale – odezwał się głos w jego głowie. – Otwieram wiadomość.

– Admirale Gray, tu prezydent Koenig.

Gray nie odpowiadał. Było to nierealne ze względu na opóźnienie. W razie konieczności komputery mogły wyedytować dwie połowy konwersacji.

– Śledziłem z dużym zainteresowaniem pana postępy, admirale – zaczął Koenig. – Gratuluję zwycięstwa przy Enceladusie. Świetna robota. Naprawdę doskonała.

Pochwała chyba nie była powodem, by dzwonić w środku nocy? Czy była nim reprimenda za próbę zabicia zwierzęcia rzeźnego Grdoch? Wysłał meldunek na ten temat kilka godzin temu, tuż przed opuszczeniem przez „Amerykę” orbity Enceladusa i skierowaniem się w stronę Ziemi.

– Ośrodek Crisium oczekuje na pana jeńców – kontynuował

Koenig. – Niech „Shenandoah” zabierze ich bezpośrednio na Księżyc. Ciężki dźwigoholownik będzie czekał na orbicie, aby pomóc przy rozładunku.

To miało sens. Ludzie nie potrafili sprawować kontroli nad okrętem obcych. Gąbczaste pomieszczenia mogły pomieścić jednego Grdoch w klaustrofobicznej ciasnocie. Obcy do kierowania jednostką prawdopodobnie używali swoich elastycznych, trąbkowatych ust. Możliwe było także, że wykorzystywali jakieś połączenie nerwowe, tak jak w przypadku ludzkich pilotów myśliwców. Tak czy inaczej, nie było sposobu, by ludzie niezależnie pilotowali obcy okręt. „Shenandoah” wzięła go na hol. Hallowell i dwa plutony Marines nadal znajdowali się na pokładzie, pilnując, by jeńcy pozostawali w zamknięciu. Po przekazaniu ich do centrum ksenosofontologicznego pod Mare Crisium pracownicy tej placówki, dysponując znacznie lepszymi narzędziami niż ich odpowiednicy z pokładu „Ameryki”, będą w stanie skuteczniej rozwiązać problem komunikacyjny z Grdoch.

Lepiej niech to będą oni niż on sam. Gray ponownie pomyślał o szkarłatnych kreaturach tarzających się we wnętrzościach żywego stworzenia i przeszedł go dreszcz. Nie chciał mieć z nimi nic wspólnego.

– Weszliśmy w posiadanie nowych danych wywiadowczych. Przypominam, że ta wiadomość klasyfikowana jest jako niebieski dwa. Nie możesz o niej rozmawiać nawet z najbliższymi współpracownikami bez mojej osobistej zgody lub polecenia od CO-HQMILCOM Mars. Jasne?

To zaczynało się robić interesujące.

– Kilka godzin temu – zaczął Koenig – przeprowadziliśmy wirtualny atak na sieć komputerową Europy. Podstawowym celem tego rajdu było umiejscowienie robaków z rekombinowanymi memami, których celem jest podkopanie wsparcia dla wojny wewnątrz Konfederacji i pogłębienie różnic pomiędzy poszczególnymi należącymi do niej państwami. Oczywiście upłynie nieco czasu, zanim zobaczymy efekty tej działalności, jednak drugi cel rajdu już przynosi efekty.

Włamywacze byli w stanie wdrzeć się do komputerów w Genewie i ukraść ściśle tajne dane dotyczące ostatniego kontaktu z Grdoch.

No proszę, proszę. Faktycznie interesujące. Może przy próbie komunikacji z Grdoch nie trzeba będzie zaczynać od pola numer jeden.

– Najbardziej interesujący jest fakt, że Grdoch nie są Grdoch va Sh'daar, czyli nie należą do sojuszu Sh'daar. Konfederacja najwyraźniej wpadła na nich rok temu na Vulcanie, nawiązała kontakt i zawarła z nimi jakiś układ. Nadal studiujemy dane ściągnięte z Genewy. Nie jesteśmy pewni, jednak nasi analitycy uważają, że Genewa mogła oddać Grdoch jedną ze swoich kolonii, a ta kolonia została potem zniszczona.

Boże! Gray poczuł nieprzyjemny skurcz żołądka. Co Grdoch mogliby zrobić z kolonią ludzką z tysiącami mężczyzn, kobiet i dzieci?

Widział, co potrafią obcy, i wcale nie chciał podążać tam, dokąd prowadziła go wyobraźnia.

– Lotniskowiec „Intrepid” pod dowództwem kapitana Glovera, wraz z trzema niszczycielami, został wysłany na Vulcana dwa tygodnie temu, wszystkie cztery okręty uważane są obecnie za zniszczone. Nie muszę ci chyba tłumaczyć, że USNA potrzebują sojuszników. Rozpaczliwie. Jeśli uda się ten plan z RM, być może rozbijemy Konfederację, nadal jednak musimy powstrzymać Sh'daar, a teraz jeszcze przybyło nam zmartwienie w postaci Obcych z Rozety. Grdoch stwarzają nam naprawdę niesamowitą okazję. Mogą być naszą nadzieją na przetrwanie, jeśli uda się zwrócić ich przeciwko Konfederacji i przekonać do pomocy nam w walce ze Sh'daar.

– To wszystko? – spytał Gray na głos. Obcy z definicji byli obcy. Ich motywacja, cele, punkt widzenia były nieznane USNA i mogły także być nieznane, a nawet niemożliwe do poznania dla Europejczyków i całej Konfederacji.

Na początek... Czy Grdoch pomagali Konfederacji w wojnie przeciw Ameryce Północnej w celu zawarcia pokoju ze Sh'daar, jak to sobie wyobrażała Genewa? Czy Grdoch w ogóle wiedzieli

o Sh'daar i mieliby ochotę sprzymierzyć się ze Stanami Zjednoczonymi przeciw nim?

– Wydałem rozkazy – mówił dalej Koenig – utworzenia sił ekspedycyjnych, które mają udać się do 40 Eridani i nawiązać kontakt ze znajdującą się tam flotą Grdoch. Chcę, abyście ty i „Ameryka” znaleźli się na czele tych sił. Wiem, że grupa bojowa „Ameryki” jest mocno poszarpana. – Koenig jak gdyby czytał w myślach Graya pomimo dzielących ich trzech JA. – „Spruance” zniszczony, „Ameryka” i „Edmonton” mocno uszkodzone. „Shenandoah”, „Young” i „Ramirez” także nie wyszły bez szwanku. Jednak HQMILCOM Mars tworzy nową grupę, którą nazywany Zespołem Zadaniowym Eridani. Poza „Ameryką” w jego skład wejdzie lotniskowiec „Saratoga”, a jeśli uda nam się na czas ściągnąć go z Chirona, to także „Constitution”. Twoje rozkazy operacyjne nakazują ci udać się do 40 Eridani i tam zbadać przyczynę zniknięcia Grupy Bojowej „Intrepid”. Będziesz miał jednak także niejawne rozkazy, aby nawiązać kontakt z Grdoch i na początek przeciągnąć ich na naszą stronę przeciw Konfederacji. A później zobaczymy, czy pomogą nam ze Sh'daar. Oczywiście czas odgrywa tu wielką rolę. Przyprowadzisz „Amerykę”, „Younga” i „Ramireza” do stoczni na SupraQuito, gdzie wykonają tak wiele reperacji, jak będzie to możliwe, a swoich napraw dokończą również „Sara” i „Indie”. Zaczekasz na powrót „Connie” z Chirona. Dowództwo na Marsie wyśle z wami jak najwięcej okrętów zaopatrzeniowych: „Long Island”, „Calgary”, „Kalifornia” i „Maine” to absolutne minimum. Spodziewamy się też grupy bojowej od Rosjan, a także mniejszych kontyngentów z Północnych Indii, Chin i Teokracji. W sumie mamy nadzieję wysłać około dwudziestu dużych okrętów. Będziesz oczywiście dowodził kontyngentem USNA. Pozostali znajdą się pod swoimi narodowymi dowódcami, jednak jestem dziwnie spokojny o to, że uda się przekonać ich do współpracy z tobą. Aby dać ci możliwość działania, tymczasowo promuję cię do stopnia pełnego admirała. Gratulacje.

– Kurwa, co?!!

– Tak, wiem, jak się czujesz. – Znów wydawało się, że odległość

pół miliarda kilometrów jakby nie istniała. – Wokół jest mnóstwo czterogwiazdkowych admirałów, choćby Matthews i Bennigton. Kinkaid. I żaden z nich nie ma twojego doświadczenia, jeśli chodzi o Pierwszy Kontakt. Żeby rozmawiać jak równy z równym z gośćmi takimi jak Uliukajew, Guo czy Singh, musisz być co najmniej O-dziesięć. A nie chcę, aby to jeden z nich szarogęsił się w 40 Eridani. Uznaj to za prezydenckie widzimi się.

– A niech cię cholera! – powiedział Gray, wściekły. – No, ty to wiesz, jak zarządzać zasobami ludzkimi.

Nieważne, czy Koenig był prezydentem, czy cesarzem Chin. Nie mógł mu tego zrobić!

– Muszę się z tobą zobaczyć, gdy tylko dotrzesz do SupraQuito. Upewnij się, że wypełnisz wszystkie formularze logistyczne, tak abyśmy mogli doprowadzić twój kontyngent do pełni sił. I... jeszcze jedno. Dołączam do tej wiadomości zastrzeżony plik pod nazwą „Światło Gwiazd”. Chciałbym, żebyś go przejrzał, zanim tu dolecisz. To może mieć wpływ na twoją komunikację z innymi dowódcami flot. Wiem, że wiele od ciebie wymagam, Piachu. Od ciebie i twojej załogi. Wiem też jednak, że jeśli ktoś ma sobie z tym dać radę, to właśnie ty. Koenig – koniec przekazu.

Twarz prezydenta zamigotała i znikła.

– Piachu, w porządku? Słyszałam, jak krzyczysz...

Odwrócił się na fotelu. Laurie stała naga w drzwiach biura. Patrzyła na niego z troską.

– Przepraszam, że cię obudziłem, kochanie – odpowiedział. – Otrzymałem pewne... niespodziewane wiadomości.

– O co chodzi?

Zastanowił się, jak tajna była wiadomość. No cóż, fakt jego promocji zostanie wkrótce ogłoszony, a może już został, jeśli Koenig był przy piłce. Nie mógł mówić o misji, ale mógł powiedzieć o tym szaleństwie.

– Zostałem właśnie awansowany na czterogwiazdkowego – powiedział ze złością. – Przez Koeniga. Oczywiście tymczasowo. On nazywa to prezydenckim widzimi się. Ale mnie się to nie podoba. Nie zasługuję na to.

Wyglądało na to, że Taggart nieco się uspokoiła.

– A, no cóż, czy w twojej obecności powinnam zacząć klękać?
A może całować pierścień?

– To nie jest zabawne, Laurie.

– Myślałam już, że masz koszmary.

– To jest koszmar! A ja nie mogę się obudzić! Do cholery, nie zasługuję już na ten tymczasowy stopień, który nosiłem do tej pory, a ten skurwysyn awansuje mnie o dwie szarże!

– Czy podał ci powód?

– Tak. – Gray zawahał się, a następnie uznał, że to także wkrótce będzie powszechnie wiadome. – Stawia mnie na czele połączonej floty. USNA, Rosja, Chiny, Indie. I chce, abym miał wystarczająco dużo władzy, aby pokierować tym cyrkiem.

– To ma absolutnie sens, o ile nie chce, aby flotą dowodził Rosjanin.

– Ron Kinkaid jest doskonałym kandydatem – powiedział Gray.

– Dówodca CNHQ, Mars. Trzydzieści lat w Marynarce, z czego pięć jako pełny admirał.

– Racja, a z iloma cywilizacjami miał Pierwszy Kontakt?

Gray spojrzał na nią ostro.

– A co do tego ma Pierwszy Kontakt?

Westchnęła.

– To oczywiste, nie uważasz? Byłeś z Koenigiem, gdy „Ameryka” cofnęła się w czasie do rodzinnej galaktyki ur-Sh’daar, prawda? A w zeszłym roku dokonałeś Pierwszego Kontakt z Słan. Udało ci się wtedy przekonać ich, aby przerwali kampanię przeciw nam!

– Moi ludzie tego dokonali. Porucznik Connor. Doktor Truitt. Nie ja.

– Właśnie. Twoi ludzie. Odpowiadają przed tobą i wykonują twoje polecenia. A tego właśnie potrzebuje Koenig: doświadczenia w podejmowaniu kluczowych decyzji podczas Pierwszego Kontakt. Jesteś najlepszym kandydatem do tej roboty. Koenig daje ci tylko narzędzia, byś mógł ją wykonać.

To właśnie robił. Tylko jak? Dając Trevorowi awans poza normalnymi szczeblami drabiny, przy pominięciu całej rzeszy kontr- i wiceadmirałów? Przewracając do góry nogami

hierarchię Marynarki, uświetnioną setkami lat arystokratycznych tradycji, gdzie awans z reguły oznaczał fakt, że ktoś nad promowanym zmarł?

Od samego początku Grayowi towarzyszyć będzie szalona zazdrość, a to oznaczało kłopoty nawet w rozmowach z ludźmi odpowiedzialnymi za logistykę i naprawy. Odbierany będzie jako ulubieniec nauczyciela, i to takiego, który sam miał kłopoty z przestrzeganiem wojskowego porządku i dyscypliny. Graya już postrzegano jako outsidera. Jego pochodzenie, fakt, że był prymem z Ruin Manhattanu, na pewno także będzie wykorzystywane przeciw niemu. Nie grał w te gry, nie grał z innymi i każdy oficer Marynarki z uprzedzeniem do prymów – a to oznaczało większość z nich – będzie widział go jako zagrożenie bezpieczeństwa, wręcz jako niemoralnego obcego.

Były także względy polityczne. Spora część amerykańskiego społeczeństwa pragnęła pokoju, zarówno z Konfederacją, jak i ze Sh'daar. Nie była to większość, ale około czterdziestu procent, jednak wystarczyło to, by sprawiać kłopoty, może nawet potrząsnąć Koenigiem i tymi, którzy znajdowali się w jego otoczeniu.

Przy naciskach pewnej liczby pominiętych admirałów i patrzących na czubek własnego nosa polityków mogło zostać wszczęte dochodzenie i... prawdopodobnie wystosowana prośba do Senatu USNA, by coś z tym zrobił, na przykład wszczął procedurę odwołania prezydenta. Jeśli cokolwiek przytrafiłoby się Koenigowi, jego patronowi, Gray z pewnością oberwałby rykoszetem. Miałby szczęście, jeśli odesłano by go tylko na emeryturę, a nie oskarżono o Bóg wie co za sam fakt pozostawania w dobrych układach z Koenigiem.

Gray nienawidził polityków.

– Nie chcę tej roboty, Laurie – powiedział. Chciał powiedzieć więcej, wyjaśnić... ale czuł się zbyt przytłoczony.

– No cóż, wydaje mi się, że i tak ją dostałeś – odparła. Podeszła bliżej, wcisnęła się między niego a biurko, usiadła mu na kolanach i objęła. – Masz ją, chcesz tego czy nie. A jeśli ktoś potrafi wykuć sukces z czegoś, co z góry wydaje się skazane na

porażkę, to właśnie Piachu Gray.

Pocałowali się. Gray chciał zaprzeczyć, powiedzieć jej, jak głupia i nieprawdopodobna jest ta cała sprawa, ale nie mógł. Tak jak powiedziała, dostał tę robotę, bez względu na to, co o tym myślał. Przypuszczał, że mógł powiedzieć Koenigowi, co może sobie zrobić z rozkazami, ale chyba nie byłby to najlepszy ruch z punktu widzenia kariery.

A Gray wcale nie wybierał się jeszcze na emeryturę.

Laurie przerwała pocałunek, uśmiechnęła się szelmowsko i uniosła nieco biodra.

– No proszę! Wygląda na to, że nie poddałeś się całkowicie! Mam wracać do łóżka czy chcesz mnie tutaj?

Wyszło na to, że wybrał obie możliwości.

W ostateczności.

Rozdział dwunasty

9 marca 2425

USNA CVS „Ameryka”
Stocznie Marynarki Wojennej
SupraQuito
Godzina 8.25 TFT

Lotniskowiec gwiazdny „Ameryka” zawinął do doku kosmicznego dzień wcześniej. Pod koniec podróży pojawiły się meldunki o konfederackich kłusownikach – gładkich, cienkich jak igła jednostkach dysponujących doskonałym niewidzialnym opancerzeniem i posiadających na pokładach po kilka zabójców okrętów. Podobnie jak okręty podwodne podczas wojen prowadzonych na Ziemi kilka wieków wcześniej, kłusownicy stanowili realne niebezpieczeństwo, szczególnie dla okrętów zawijających lub wychodzących z portu.

„Ramirez” i „Young” na wszelki wypadek wystrzeliły kilka salw w kierunku prawdopodobnie pustej przestrzeni, w której skanery „Ameryki” wykryły jakieś domniemane echo. Jeśli coś tam było, to nigdy się nie pokazało, a w stronę zbliżających się okrętów USNA nie poleciała żadna rakietka.

SupraQuito była punktem na orbicie synchronicznej Ziemi, zawieszonym nad windą kosmiczną Quito, trzydzieści pięć tysięcy kilometrów nad pokrytym lodem szczytem góry Cayambe w Ekwadorze. Od 2120 roku winda kosmiczna była bramą ludzkości w kosmos, zapewniając tani dostęp do orbity geostacjonarnej. Obecnie SupraQuito składała się z kilkuset modułów mieszkalnych, fabryk, struktur orbitalnych, ogromnego portu kosmicznego i elektrowni słonecznej, zapewniającej

energię dla około stu pięćdziesięciu tysięcy stałych mieszkańców.

Przemieszczanie w górę i w dół zapewniała napędzana magnetycznie winda, jednak podróż z orbity synchronicznej na Ziemię trwała kilka godzin. Gray zdecydował się na użycie gigu admirałskiego, który przeniósł go prosto do portu kosmicznego Toronto w ciągu pół godziny.

W podróży towarzyszył mu najbliższy sztab: kapitan Gutierrez i kapitan Fletcher, komandor Dean Mallory, szef operacyjny, komandor Roger Hadley, szef rozpoznania, komandor Harriman Vonnegut, oficer logistyczny floty, i doktor George Truitt, szef WX. Teraz, gdy Gray awansowany został na czterogwiazdkowego admirała, zastanawiał się, czy dostanie większy, dedykowany dla floty sztab. Wszyscy wojskowi podróżujący z nim dzisiaj pełnili co najmniej podwójne funkcje. Gutierrez była skipperem „Ameryki”, ale także zastępcą dowódcy grupy bojowej, Mallory, Hadley i Vonnegut byli szefami wydziałów na pokładzie lotniskowca, ale pełnili też funkcje szefów poszczególnych pionów w całej flotyli. Było to możliwe dzięki technologii implantów i pomocy wydajnych AI, jednak i tak powodowało stres i przepracowanie wszystkich zainteresowanych.

Gray podjął już decyzję, że ma zamiar zażądać pełnego sztabu. Jeśli chcieli mu przykleić tytuł i obowiązki pełnego admirała, to muszą dać mu także odpowiedni sztab. Gutierrez, Mallory i reszta zajeżdżali się od czasu 36 Ophiuchi i zasługiwali na rozsądny przydział obowiązków.

W ostateczności jeden szalony przydział na głowę, a nie dwa lub trzy.

Jedyny cywil w tej grupie, doktor Truitt, był także jedynym, który piastował tylko jedno stanowisko. Jednak nawet mimo tego wydobyć z niego informacji graniczyło z cudem, jeśli wpadł w jeden ze swoich szpanerskich nastrojów. Gray zastanawiał się, czy uda mu się awansować tego faceta gdzieś poza grupę bojową, może wysłać z zatrzymanymi Grdoch na Crisium, i posadzić kogoś innego na stanowisku szefa wydziału kseno.

Na przykład Hallowell.

– Doktorze Truitt – odezwał się Gray – czy pana wydział zrobił

jakieś postępy z jeńcami?

– Ma pan na myśli przełamanie bariery językowej? – warknął zapytany. – Nie. Dzięki temu, że ktoś wydał rozkaz otwarcia ognia na ich stołówce!

– Zrobiłabym to samo – powiedziała Gutierrez. Wyraźnie zadrżała. – Widziałam wideo.

– Tymczasowo nazwaliśmy te zwierzęta rzeźne *Praedambestiarium Truitti*, w skrócie *praedams*. – Truitt całkowicie ją zignorował. – Przeprowadziliśmy szczegółowe ręczne skanowanie jednego z nich. W sumie jest ich piętnaście, zamkniętych w oddzielnych pomieszczeniach na okręcie.

Gray zauważył, że mężczyzna użył określenia „my”, mimo że przez cały czas znajdował się na pokładzie „Ameryki”, a nie z Hallowell i pozostałymi członkami ekipy na okręcie obcych.

– Widziałem raport, doktorze – odpowiedział Gray.

– No tak, wie pan, interesujące w *praedams* jest to, że mają mocno rozbudowany, niescentralizowany układ nerwowy, kilkaset węzłów nerwowych rozproszonych po całym ciele zamiast jednego mózgu. Pana Marines, panie admirale, mogliby tam stać i strzelać cały dzień, zanimby to zabili. Obawiam się, że to byłby bardzo zły pomysł.

– Racja, spieszyłem to, doktorze – powiedział Gray. – Zdarza się.

– No... tak, cóż...

Proste stwierdzenie Graya najwyraźniej zaskoczyło ksenosofontologa. Nie wiedział, jak ma się zachować.

– Tak więc może powinniśmy zostawić wzajemne oceny MILCOM-owi. Zgadza się pan?

– Oczywiście. Ma pan rację.

– Pana raport twierdzi, że *praedams* są najprawdopodobniej wynikiem inżynierii genetycznej?

– Tak, panie admirale. Dokładnie ujmując, Grdoch doprowadzili *praedams* do postaci, która nie mogłaby przetrwać na wolności. Na przykład te trzy płetwy są bezużyteczne. Być może były to kiedyś duże zwierzęta wodne, takie jak wymarłe ziemskie wieloryby, jednak zostały przekształcone tak, aby

w szybkim tempie produkowały dużo mięsa i tłuszczu. Wygląda także na to, że szybko się regenerują. Możliwe, że Grdoch są w stanie utrzymywać je przy życiu miesiącami, podjadając je jednocześnie co kilka dni.

– Boże, niech pan przestanie, doktorze – powiedział Vonnegut. Wyglądał, jakby miał zwymiotować.

– Natura ma kły i pazury – stwierdził ksenosofontolog, wzruszając ramionami. – Nie możemy oceniać sposobu, w jaki ewoluował obcy gatunek, ani jego kultury.

– Proszę kontynuować pracę nad językiem, doktorze – powiedział Gray. – Konfedzi w jakiś sposób musieli się z nimi porozumiewać.

– Musieli mieć już gotowe, działające oprogramowanie tłumaczące – zauważył Hadley. – Ten wirtualny rajd na Genewę przyniósł sporo nowych informacji wywiadowczych. Może język Grdoch znajduje się w tym pakiecie.

Gray wiedział, że wydział rozpoznawczy „Ameryki” otrzymał własne raporty z MILCOMINT po rajdzie na Genewę. Jak na razie jednak wywiad nie dzielił się zbyt ochoczo zdobytą wiedzą.

Wiadomość, że „Ameryka” i sprzymierzona flota miały zostać wysłane na Vulcana, nadal była pilnie strzeżoną tajemnicą i nikt na pokładzie wahadłowca, poza Grayem, o tym nie wiedział. Spekulacje i plotki dotyczące następnego zadania „Ameryki” krążyły po pokładzie od czasu Enceladusa.

Hiperkompartmentalizacja wywiadu wojskowego była bardzo pomocna i dawała osobisty dostęp do wielu informacji, jednak stwarzała także problemy. Jeśli można było bezpośrednio komunikować się z kimkolwiek na planecie, tajemnice stawały się dużo trudniejsze do utrzymania.

Były jednak granice, często ustalane przez zdrowy rozsądek. Utrzymywanie własnych sekretów, tak by nie poznał ich nieprzyjaciel, to jedno, płątanie się zaś w węzły tajemnic to coś zgoła innego.

Do cholery, jeśli jego ludzie nie zostaną dziś dokładnie poinformowani, Gray miał zamiar powiedzieć im o celu dalszych działań osobiście. Zaslęgiwali na to.

Podczas gdy inni kontynuowali dyskusję o Grdoch i o tym, czego można się było od nich dowiedzieć, Gray ułożył się na fotelu w swojej kabinie, zamknął oczy i spojrzał na dane dotyczące Vulcana.

DANE PLANETARNE – VULCAN

PLANETA: 40 ERIDANI A II

NAZWA: VULCAN

KOORDYNATY: RA 04H 15M 16,32S; DEC $-07^{\circ} 39' 10,34''$

ODLEGŁOŚĆ: 16,45 LŚ

TYP: ZIEMSKI/SKALISTY

ATMOSFERA: TLENOWO-AZOTOWA

ŚREDNI PROMIEŃ ORBITALNY: 0,68 JA

OKRES ORBITALNY: 223D 2H 07M

INKLINACJA: $04,1^{\circ} 15' 10,1''$

OKRES OBROTU: 25H 17M 15S

MASA: 1,05 ZIEMI

ŚREDNICA RÓWNIKOWA: 12,883 KM = 1,001 ZIEMI

ŚREDNIA GĘSTOŚĆ PLANETARNA: 5,63 G/CC = 1,02 ZIEMI

GRAWITACJA NA POWIERZCHNI: 1,0 G

PRĘDKOŚĆ UCIECZKI: 11,2 KM/S

POKRYWA CHMUR: 30%

ALBEDO: 0,39

ZAKRES TEMPERATUR NA POWIERZCHNI: $\sim -10^{\circ} C - 40^{\circ} C$

CIŚNIENIE ATMOSFERYCZNE NA POWIERZCHNI: ~ 900
MILIBARÓW = 0,89 ATMOSFERY

SKŁAD PROCENTOWY ATMOSFERY: N₂ 81,8; O₂ 18,1; AR 0,2;

$SO_2 < 300 \text{ PPM}$; $CO_2 < 300 \text{ PPM}$; $INNE < 200 \text{ PPM}$

WIEK: 5,6 MILIARDA LAT

BIOLOGIA: C, N, O, H, S, H_2O , PO_4

RUSZAJĄCE SIĘ HETEROTROFY, FOTOSYNTETYZUJĄCE AUTOTROFY. DEKSTROZA, LEWOSKRĘTNE AMINOKWASY, ZIEMSKA BIOCHEMIA.

HISTORIA KOLONIZACJI: KOLONIALNA ADMINISTRACJA KEID ZOSTAŁA USTANOWIONA W 2270 ROKU POD AUSPICJAMI URZĘDU KSENOPLANETOLOGII KONFEDERACJI. W 2275 ROKU ŚWIAT OTWARTY ZOSTAŁ DO PEŁNEJ KOLONIZACJI PRZEZ NIEMIECKO-ARGENTYŃSKĄ SPÓŁKĘ WEITE WELT. MIASTA KOLONIALNE POWSTAŁY WZDŁUŻ ZACHODNIEGO WYBRZEŻA NEUBAWARII I LAS PAMPAS, DWÓCH NAJWIĘKSZYCH KONTYNETÓW. DO 2420 ROKU OGÓLNA POPULACJA WYNOŚIŁA PONAD OSIEMDZIESIĄT MILIONÓW.

Vulcan był najrzadszym z klejnotów, światem tak podobnym do Ziemi, że można je było nazywać bliźniakami, od atmosfery nadającej się do swobodnego oddychania aż po praktycznie ziemską biochemię. Oceany lśniły złotem i purpurą gwiazdy typu K-1, która choć była nieco mniejsza od Słońca, na niebie Vulcana wydawała się dwadzieścia procent większa niż Słońce widziane z Ziemi. Pozostali dwaj członkowie potrójnego systemu, gwiazdy B i C, jasno świeciły na niebie, na czerwono i diamentowobiało, oddalone o około czterysta jednostek astronomicznych. Główna gwiazda układu widoczna była z Ziemi gołym okiem. Arabowie nazywali ją Keid, od słowa *qayd*, które oznaczało rozbitą skorupkę jaja, jednak obecnie rzadko używano antycznej nazwy. Gwiazda znana była jako o2 Eridani.

Pochodzenie nazwy planety wydało się Grayowi interesujące.

Vulcan był rzymskim bogiem, patronem kowali i złotników. W dziewiętnastym wieku astronomowie byli przekonani, że w Układzie Słonecznym krąży jeszcze jedna planeta, i nadali jej właśnie tę nazwę. W ostateczności okazało się, że anomalie przy Merkurym przypisywane polu grawitacyjnemu innej planety są wynikiem perturbacji wyjaśnionych lepiej przez teorię względności Einsteina, a Vulcan powrócił do mitologii.

W połowie dwudziestego wieku nazwa pojawiła się ponownie w serii science fiction emitowanej w popularnych w tym czasie dwuwymiarowych audiowizualnych systemach rozrywkowych. Pewien bohater tej serii pochodził właśnie z tego świata. Redaktor jednego z magazynów sponsorujących serię zasugerował, że świat ten leży w okolicy 40 Eridani, a twórca serii zgodził się na to. Vulcan jako zamieszkała planeta w układzie 40 Eridani stał się medialnym faktem.

Badania teleskopowe z początku dwudziestego pierwszego wieku zasugerowały, że wokół gwiazdy rzeczywiście krąży kilka planet, a automatyczna sonda wysłana w 2120 roku odkryła, że jedna z nich posiada oceany i atmosferę zdatną do oddychania. John Piccard, aktor specjalizujący się w dramatach historycznych, który wiedział o serii emitowanej w dwudziestym wieku, zażartował, że to na pewno jest ten Vulcan.

Nazwa planety pozostała.

Prawdziwy Vulcan nie okazał się domem humanoidalnej rasy z dziwnym poczuciem logiki. Miliard lat starszy od Ziemi, Vulcan wykształcił swój własny ekosystem, podczas gdy w Układzie Słonecznym planety dopiero się formowały. Istniały dowody na to, że w oceanach pokrywających zdecydowaną większość powierzchni planety żyły inteligentne istoty, jednak najwyraźniej, podobnie jak wiele innych gatunków w Galaktyce, ich kultura nigdy nie wynalazła ognia ani nie stała się cywilizacją techniczną. Vulcan znajdował się w fazie swojego długiego zmierzchu, oceany zwiększały stale stopień zasolenia, a powierzchnie dwóch superkontynentów zamieniały się w pustynie. Przyroda dobrze zaadaptowana do wcześniejszych warunków walczyła, lecz powoli przegrywała. Planeta krok po

kroku umierała.

Istniało jeszcze coś, co sprawiało, że Vulcan był taki unikalny. Lokalna przyroda biochemicznie przypominała ziemską. A dokładniej, wykształciły się prawoskrętne cukry i lewoskrętne aminokwasy.

Zarówno cukry, jak i aminokwasy mogły pojawiać się w wersji prawo- lub lewoskrętnej w zależności od sposobu, w jaki łączyły się cząsteczki. Lustrzane odbicie danej cząsteczki nazywano izomerem.

Nie było gwarancji, że w danym świecie ewoluują cukry i aminokwasy, wśród miliardów światów istniało mnóstwo opcji i alternatyw. Jeśli jednak tak się stało, pojawiało się prawdopodobieństwo wynoszące jeden do czterech, że w rezultacie powstaną prawoskrętne cukry i lewoskrętne aminokwasy. Każda inna kombinacja powodowała brak kompatybilności z ludzką biochemią. Vulcan był jednym z tych rzadkich przypadków, gdzie ludzie mogli jeść lokalną faunę i florę oraz produkować z niej żywność. Na innych światach skolonizowanych przez człowieka żywność albo była poddawana modyfikacji genetycznej, albo wytwarzana od podstaw przez nanoasemblery. Bez środków technicznych ludzie umarliby z głodu, nawet gdyby otaczało ich życie organiczne. Ludzka chemia nie potrafiła po prostu czerpać składników odżywczych ze związków izomerycznych.

Administracja Kolonialna Keid utworzona została pod koniec dwudziestego trzeciego wieku z założeniem, że Vulcan może stać się dużym producentem żywności dla Ziemi. Wówczas dopiero docierały do świadomości ludzi skutki rewolucji nanotechnologicznej i związanego z nią upadku ziemskich systemów ekonomicznych. W momencie gdy nanoagrokulutra była w stanie wyprodukować dowolną ilość żywności ze swobodnych pierwiastków dostępnych na określonym typie planetoid, skończyło się zapotrzebowanie na uprawę roślin na dalekich światach i przesyłanie ich na Ziemię. Przy gospodarczym chaosie na Ziemi, Vulcan stał się niepodległy, pozostając jednak częścią Konfederacji, ale tylko nominalnie

powiązany był z Niemcami i Argentyną.

Jednak teraz wydarzyło się tam coś nieoczekiwanego. Przybył okręt obcych i zawarto przy tym jakiś ważny układ. Dla Stanów Zjednoczonych niezmiernie ważne było dowiedzieć się, o co dokładnie chodzi.

Wahadłowcem zaczęło rzucać w momencie wejścia w atmosferę, a Gray poczuł szarpnięcie wywołane hamowaniem. Przez iluminatory widać było glob pokryty cienką warstwą chmur.

Podróż dobiegała końca.

Gray miał nadzieję, że na dole czeka na niego choć kilka odpowiedzi.

Tymczasowe prezydenckie stanowisko dowodzenia

Toronto

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej

Godzina 9.10 EST

– Panie prezydencie, przyszedł poranny przegląd – poinformował Whitney.

– Dziękuję.

Koenig skończył to, nad czym właśnie pracował – musiał przygotować przemówienie, które wygłosi wirtualnie przed Kongresem za dwa dni. Bardzo ważne przemówienie, nawołujące do jedności narodowej w obliczu wojny z Konfederacją i nadciągającego konfliktu ze Sh'daar. Nienawidził gierk politycznych, zabiegania o poparcie opozycji, przeciągania jej do swojego obozu, zamiast zwykłego wydawania rozkazów.

Tęsknił za Marynarką. Wiele spraw wyglądało tam o wiele prościej.

W porządku, był gotów. Sprawdził czas. Prezydencki przegląd wywiadowczy powinien otrzymywać każdego ranka najpóźniej o siódmej trzydzieści. Jeśli następowało opóźnienie, tak jak dziś,

znaczyło to, że w ostatniej chwili napłynęła jakaś bardzo ważna informacja.

Co też mi dziś podrzucą? – zastanawiał się prezydent.

Usiadł na fotelu, zamknął oczy i za pomocą osobistego klucza otworzył przepływ wewnętrznego strumienia danych. Informacje zalewały jego mózg, wyciągane ze szczególnego rodzaju pamięci, takiej, której przed chwilą tam jeszcze nie było.

Koenig zaczął przeglądać zasoby, gdy nagle podniósł się z szeroko otwartymi oczyma.

– Dobry Boże! – wykrzyknął.

– Panie prezydencie – spytał zatroskany Whitney – nic panu nie jest?

– W porządku, Marcus. Jednak to... zmieni wszystko.

WCB

Wojskowy Kompleks Szpitalny

Colorado Springs, USNA

Godzina 11.25 CST

– Proszę tylko mi powiedzieć, czy z tego wyjdzie!

Shay Ashton miała poczucie, że odkąd zjawiała się rano w szpitalu, ktoś odtwarza bez przerwy ten sam zapis wideo. Nikt nie chciał z nią rozmawiać, nikt nie chciał powiedzieć jej prawdy.

Doktor Patricia Gonzales spojrzała na nią znad trzymanyh w dłoni notatek. Było to smutne spojrzenie. Gonzales była starszą, naprawdę już starą osobą, z intensywnie niebieskimi oczyma, które zdawały się patrzeć na Shay z głębin oczodołów kojarzących się z jaskiniami, otoczonych siecią zmarszczek. Bez wątpienia była najstarszą osobą, jaką Ashton do tej pory spotkała. Ile mogła mieć lat? Sto? Oczywiście mierzonych jej miarą. Była jednak lekarzem. Czy miała coś przeciwko kuracjom odmładzającym? A może była purystką?

Dwadzieścia lat wcześniej Ashton poznała członka Kościoła

purystów. Był to kapitan Barry Wizewski, jej CAG na pokładzie lotniskowca „Ameryka”. Puryści wierzyli, że jeśli Bóg miał zbawić kogoś od piekła, ten musiał być w pełni człowiekiem. To zaś oznaczało zakaz manipulowania ludzkim genomem, posiadania protez genetycznych czy przechodzenia kuracji odmładzającej. Część z nich odmawiała jakichkolwiek zabiegów nanomedycznych, w tym wszczepienia implantów mózgowych. Ten wybór wyrzucił ich poza margines społeczności, która uzależniła się od technicznych modyfikacji ciała i umysłu. Ludzie byli przede wszystkim twórcami i użytkownikami narzędzi, a odmawiając sobie dostępu do pewnej części tych wynalazków, puryści, zdaniem Ashton, stawali się mniej, a nie bardziej ludzcy.

Miała nadzieję, że istnieje jakieś inne wytłumaczenie wieku Patricii Gonzales. Leczenie przez doktora, który nie uznaje nanomedycyny, tylko nieznacznie różniło się od leczenia przez lekarza z dawnych czasów, który uznawał tylko pijawki i lewatywę.

Po dłuższej chwili Gonzales pokręciła głową.

– Nie mogę ci tego powiedzieć, dziecko. Stan komandora Cabota jest bardzo poważny. Stwierdzenie, czy rekonstrukcja się udała, zajmie kilka miesięcy.

– Rekonstrukcja? Jaka rekonstrukcja?

– RSN. Rekonstrukcja sieci nerwowej. Nie powiedzieli ci?

– Pani doktor, nikt mi nic nie powiedział.

Znajdowały się w świetlicy dla odwiedzających tuż obok psychiatrycznej wersji oddziału intensywnej opieki medycznej. Na wyświetlaczu znajdującym się za ich plecami widać było Cabota leżącego na szpitalnym łóżku. Jego ciało wciąż pozostawało nienaturalnie napięte, skrępowane pasami. W prawym górnym rogu monitora wyświetlała się kolumna słów. Dźwięk był wyłączony, gdyż krzyki deprimowały gości, ale Cabot cały czas mówił. Ciągły potok słów, które sprawiały wrażenie, że mają jakiś sens, aż do momentu, gdy spróbowało się je poddać analizie.

Ashton spojrzała na ekran.

... a Bóg jest Boginią, czuję Cię w swoim mózgu, gdy nie potrafię

wyjaśnić jasnej rewelacji transcendencji, ponieważ teoria strunowa udowadnia istnienie alternatywnych rzeczywistości, które są manifestem wewnątrz macierzy Gai, która transformuje naszą rzeczywistość w sposób, który zamienia ołów w lazurowe niebo błogosławieństwa, jakim jest małżeństwo z Boską...

Przynajmniej nie był już przekonany, że coś po nim pełza.

– Urojenia religijne – powiedziała Gonzales, widząc, jak Ashton usiłuje znaleźć sens w monologu. – Technicznie rzecz biorąc, to schizofrenia urojeniowa. To, co w tej chwili wydobywa się z jego ust, nazywamy „sałatką słowną” i jest to typowe dla takich stanów.

– Myśli, że rozmawia z Bogiem?

– Możliwe. Ciągłe odwołuje się do Gai, jednak nie jesteśmy pewni, czy chodzi mu o antyczną Matkę Ziemię, czy też współczesną technotranscendencję.

Gonzales delikatnie odwróciła Ashton od monitora.

– Nie próbuj tego zrozumieć. W jego mózgu nastąpiło spięcie, które czyni niemożliwym sensowne komunikowanie się. Nagrywamy to wszystko, szukając odpowiedzi, które mogą przydać się w leczeniu, ale to głównie zwykłe brednie.

– A co, jeśli on rzeczywiście rozmawia z Boginią?

Gonzales przyglądała się jej przez moment swoimi przenikliwie niebieskimi oczyma.

– Jesteś z Peryferii, prawda, kochanie?

Znowu to samo. Westchnęła.

– Tak, z Bagien DC.

– Czy komandor Cabot jest twoim... mężem? – ostatnie słowo Gonzales wypowiedziała z niesmakiem. – A może partnerem seksualnym?

– Nie.

Ashton zastanawiała się, jak to wytłumaczyć komuś, kto sam nie był prymem. Czy miało sens w ogóle próbować? Newton Cabot był kumplem – prymem i byłym pilotem Marynarki, nikim więcej, jednak fakt, że oboje byli outsiderami o podobnym pochodzeniu, bardzo ich zbliżał. Dawał im coś wspólnego, potężniejszego i intensywniejszego nawet od wspólnych

doświadczeń wojskowych. Mąż... nie. Ale myślała o nim jak o bracie.

– Nie chciałam cię urazić – powiedziała Gonzales. – Wydajesz się do niego bardzo przywiązana, to wszystko.

– Latamy w jednej eskadrze – odpowiedziała, unikając poruszania faktu, że oboje byli prymami. – To faktycznie bardzo zbliża.

Gonzales pokiwała głową, jednak wydawało się, że nie wierzy do końca.

– Oficjalna polityka centrum zabrania podawania informacji o pacjentach komu innemu niż rodzinie, partnerom i osobom wskazanym przez pacjenta. Newton wymienił rodzinę z Bostonu... ale ciebie nie było na tej liście.

Ashton była bliska wybuchu. Prymitywi wiodący życie na uboczu kultury technologicznej mieli tendencję do wiązania się w pary, co gwarantowało prosty mechanizm przetrwania, większe grupy rozbijane były przez rozgrywki wewnętrzne i okazywały się trudniejsze do wyżywienia. Wieki temu stanowiło to normę kulturalną, przynajmniej poza Teokracją Islamską, ale w kontekście współczesnej kultury monogamię uważano za łagodne zboczenie.

A pieprzeni, pruderyjni, arystokratyczni tradycjoniści wyznawali zasadę, że wszyscy powinni mieć te same przekonania, przestrzegać tych samych norm kulturalnych i wieść takie samo życie.

Gonzales musiała zauważyć burzę zbierającą się w oczach Ashton. Uniosła rękę.

– Spokojnie, kochanie, spokojnie. Po prostu wyjaśniałam politykę centrum i to, dlaczego masz takie kłopoty. Mogę uznać, że jesteś bliską osobą, i powiedzieć ci to, co mi wolno.

Shay narzuciła sobie spokój.

– Przepraszam, pani doktor. Czuję się, jakbym od rana waliła głową w mur.

– Znam to uczucie. Zasadniczo... sieć neuronów wewnątrz kory mózgowej Newtona została częściowo skasowana, a częściowo przepisana. To się zdarza podczas urazów mózgowo-

naczyniowych, udarów lub wtedy, gdy odpowiedź wrogiego środowiska wirtualnego atakuje mózg. Na szczęście, atak nie wystarczył do spowodowania poważnych uszkodzeń fizycznych. Ale komandor postradał zmysły.

– Na stałe?

– Mamy nadzieję, że nie. Mamy plan leczenia, jednak – mówiąc w skrócie – musimy go zrestartować. Już wstrzyknęliśmy mu nanoboty mające zniszczyć jego implant, doprowadzić do postaci czystego mózgu, bez wspomagania technologicznego. Następnym krokiem będzie podanie mu jego własnych komórek macierzystych i wykorzystanie nanochirurgii do rozpoczęcia odbudowy sieci nerwowej w korze. Nazywa się to rekonstrukcją układu nerwowego, a polega na przerywaniu połączeń nerwowych, które powstały w czasie, kiedy znajdował się pod działaniem aktywnych systemów obronnych przeciwnika, tych... no... jak wy to nazywacie?

– ICEscream.

– Śmieszna nazwa. Faktycznie. Szok, jaki przeżył jego organiczny mózg podczas symulacji wirtualnej, przepisał duży obszar jego kory mózgowej. Spora część implantu została też po prostu spalona, właśnie dlatego musimy go usunąć. Przy odrobinie szczęścia uda nam się odbudować większość tego, co zostało utracone i... poprzecinać połączenia, które uniemożliwiają mu komunikację ze światem zewnętrznym.

– Ale to znaczy, że mu się poprawi, prawda?

Gonzales zacisnęła usta i pokręciła głową.

– Chciałabym móc to powiedzieć, dziecko. W najlepszym, powtarzam: najlepszym wypadku, będzie normalny, jednak możliwe, a nawet dość prawdopodobne, iż utraci część pamięci, nie będzie rozpoznawał osób, straci wiele umiejętności i doświadczenia. Może mieć poważną amnezję i trzeba go będzie uczyć od samego początku, jakby był nowo narodzonym dzieckiem.

– A w najgorszym?

– Najprawdopodobniej nie umrze. Przypuszczalnie ośrodki odpowiedzialne za kierowanie funkcjami życiowymi nie zostały

uszkodzone. Ale może żyć... w swoim świecie. Świecie, który niewiele ma wspólnego z naszym. – Wzruszyła kościstymi ramionami. – Może nadal rozmawiać tylko z Boginią i nie zauważać nikogo obok siebie.

– I mówi pani, że upłyną miesiące, zanim coś będzie wiadomo?

– Za dwa, trzy tygodnie będziemy wiedzieć, czy komórki macierzyste zastępują uszkodzone neurony. Sześć do ośmiu tygodni zajmie nam zdiagnozowanie, jak bardzo uszkodzona została jego pamięć. Powtórny trening, jeśli okaże się niezbędny, może potrwać rok lub dłużej.

– Rok?

Ponowne wzruszenie ramionami.

– A jak długo noworodek uczy się być człowiekiem? Nawet jeżeli posłużymy się ładowaniami, gdy już odbudowany zostanie implant, trening zajmie dużo czasu.

– Rozumiem, pani doktor. Dziękuję, że poświęciła pani czas na wytłumaczenie mi tego.

– Nie ma za co, kochanie. – Lekarka odwróciła się, by spojrzeć na monitor. – Chciałabym móc przekazać ci lepsze wiadomości, jednak zbyt często okazuje się, że to, co tu robimy, dociera do granic możliwości medycyny. Chcielibyśmy uważać to za precyzyjną, wysoko wyspecjalizowaną naukę, ale tak nie jest. Nigdy nie będzie. Nauki medyczne nigdy nie poznają wszystkich odpowiedzi.

Ashton chciała zapytać jeszcze lekarkę o jej wierzenia, a szczególnie o to, czemu jest taka stara, podczas gdy obecnie ludzie żyli w zdrowiu i relatywnej młodości przez dwa, trzy stulecia.

Ale jeśli unikała przedłużania życia z powodów religijnych, takie pytanie łatwo można by uznać za obraźliwe. Biała Konwencja nakazywała powstrzymywanie się od wszelkich dyskusji na temat wiary.

Przez chwilę obserwowała leżącego na łóżku Cabota, kolumna sałatki słownej pełzła bez przerwy w rogu ekranu, podczas gdy pacjent błąkał się gdzieś w umysłowym labiryncie. Ashton nie wierzyła w Boga, nie w sposób, w jaki większość ludzi go sobie

wyobrażała, jednak znana jej była hipoteza Gai, a także jej nowsza wersja, czyli macierz Gai.

Ziemia, czy raczej ściśle powiązana ziemską biosferą, mogła tworzyć rodzaj wyższego porządku, samoregulujący się, wewnętrznie spójny fenomen wynikający ze złożoności życia i sposobów, dzięki którym współpracowało. Nazywano to hipotezą Gai, od imienia greckiej bogini Ziemi. Niektórzy następcy twórcy tej teorii, Lovelocka, poszli tak daleko, że twierdzili, jakoby system posiadał samoświadomość albo właśnie ją tworzył, a ludzie i ich komunikacja elektroniczna to nic innego jak układ nerwowy Gai.

Ostatnio wierzący w tę teorię zauważyli, że ludzkie umysły i AI, z którymi współpracowały, mają tendencję do łączenia się w coraz wyższe formy świadomości. Najprostszym przykładem mógł być link taktyczny eskadry myśliwskiej, czyli elektroniczna sieć łącząca wszystkich pilotów i ich maszyny, a nawet – jeśli pozwalała na to odległość – AI lotniskowca w jedną fizycznie rozproszoną, jednak doskonale zorganizowaną całość. Tak jak ludzie składali się z bilionów komórek połączonych w jedną całość, a ludzka świadomość mogła być odbierana jako zjawisko pochodzące z sieci nerwowej kory mózgowej, tak wszyscy połączeni ludzie i sztuczne inteligencje mogli tworzyć dużo rozleglejszą i potężniejszą, bardziej świadomą całość, zwaną macierzą Gai.

Ashton nie widziała dowodów na istnienie takiej jedności, jednak z drugiej strony, czy pojedyncza komórka ludzkiej wątroby albo naskórka miała świadomość przynależności do konkretnej osoby? Jeśli koncepcja Gai miałyby być prawdziwa, to ten ogromny organizm wydawał się niespecjalnie zainteresowany pojedynczymi komórkami, które go tworzyły. Tak jak i Ashton przez większość czasu nie myślała o naskórku na czubku swojego nosa. Jeśli Gaja nie interesowała się nią, to i ona nie miała zamiaru zajmować się Gają.

Gdy spojrzała na leżącą postać, przypomniała sobie wiersz, kilka wersów powstałych wieki wcześniej, wyśmiewających Boston i parę arystokratycznych rodzin tworzących jego

śmietankę towarzyską.

*A oto i stary Boston,
Dorsza to dom i fasoli,
Tu Lowell szanuje Cabota,
A Cabot wprost Boga woli.* [3]

Ashton nie знаła pochodzenia wiersza. Nie miała pojęcia, czym jest dorsz ani czemu fasola była tak ważna dla Bostonu. Wiedziała jednak, że stary Boston przez długi czas zdominowany był przez kilka arystokratycznych rodów, nazywanych Braminami Bostońskimi, do których zaliczali się Lowellowie i Cabotowie. Działo się to wieki temu, przed podniesieniem się stanu wód, przed kosmicznymi uderzeniami Wormwood z 2132 roku i Turuschów z 2405 roku, które zatopiły nisko położone miasto. Cabotowie byli ważnymi przemysłowcami, biznesmenami, politykami i lekarzami, stojącymi na czele społeczeństwa miasta. Stąd i żart.

Niestety, teraz Newton rzeczywiście wolał „rozmowy z Bogiem”.

Shay ponownie zastanawiała się, czy medycyna nie robi tu przypadkiem uproszczenia. A co, jeśli on rzeczywiście był w kontakcie z boginią powstałą z połączonych ludzkich sieci?

Jeśli lekarzom uda się przerwać to połączenie, czy będzie im wdzięczny? A może pozostanie mu tylko uczucie utraconego raju?

Wątpiła, czy kiedykolwiek pozna prawdę.

Rozdział trzynasty

9 marca 2425

York Civic Center
Kompleks Rządowy Jeffersona
Toronto
Stany Zjednoczone Ameryki Północnej
Godzina 13.45 TFT

York Civic Center było niezależną metropolią, rządzącą się swoimi prawami, umiejscowioną na brzegach jeziora Ontario i rozciągającą się daleko na południe na sztucznym lądzie ponad akwenem. Jefferson Tower wyrastała wysoko ponad wody, oferując wspaniały widok zarówno na miasto, jak i jezioro.

Koenig poczuł ulgę, mogąc ujrzeć światło słoneczne zamiast paneli oświetlających wewnątrz skrytego kilometr pod ziemią bunkra. Od kilku miesięcy, z wyjątkiem oficjalnych okazji, prezydent Koenig i jego sztab przebywali w tymczasowym kompleksie prezydenckim, zbudowanym głęboko pod ulicami Toronto, chroniąc się przed możliwością kolejnego ataku nano-D, podobnego do tego, jaki spowodował powstanie trzykilometrowego leja w centrum Columbus, byłej stolicy Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Nie zważając na protesty i jęki ochrony, zorganizował spotkanie z Grayem i jego ludźmi w wielkim pokoju plenarnym umiejscowionym ponad trzysta metrów nad poziomem miasta.

Oczywiście istniały jednostki wojskowe rozmieszczone wokół Toronto, a także na wybrzeżu Atlantyku i na orbicie. Ich zadaniem było wypatrywanie kolejnego ataku. W razie alarmu Koenig i towarzyszący mu ludzie w ciągu kilku minut mogli

znaleźć się w bunkrze dzięki specjalnym, przeznaczonym tylko dla nich windom magnetycznym umieszczonym w rdzeniu budynku.

Nie przypuszczał jednak, by miało do tego dojść. Nic na to nie wskazywało z wyjątkiem butnych wypowiedzi prezydenta Denoix sprzed kilku dni. Nowy rząd Konfederacji odcinał się od całego pomysłu użycia broni nano-D, oskarżając o to ekstremistów znajdujących się w armii.

Koenig spojrział w dół ze sto dziewięćdziesiątego czwartego piętra, na zatłoczone aleje York Plaza, i modlił się, by Konfederacja pozostała przy takim podejściu, czyli prowadzeniu wojny w sposób ogólnie uznany za cywilizowany. Pomimo wypowiedzi Denoix wydawało się, że przeciwnik poczuł wyraźnie reprimendę ze strony reszty świata, nawet od państw, które formalnie nadal wchodziły w skład wspólnoty.

Wyrażenie „cywilizowane prowadzenie wojny” było kolosalnym oksymoronem. Wojna ze swojej natury nie może być cywilizowana. Kilka wieków temu użycie broni nuklearnej spowodowało wprowadzenie określonych restrykcji, aby uniknąć niewyobrażalnego nuklearnego ludobójstwa na światową skalę. Pewne granice nie mogły zostać przekroczone, nawet jeśli nieprzyjaciel swobodnie operował po obu stronach. Wprowadzenie ograniczenia wojen w niektórych przypadkach prowadziło nawet do ich przegrania. „Nie ma substytutu zwycięstwa” – powiedział kiedyś generał Douglas MacArthur, ale w pewnym sensie mylił się. Gatunek ludzki przetrwał pomimo tego, że powstawały nowe, coraz groźniejsze rodzaje broni. O ile nie było to zwycięstwo, to stanowiło większe osiągnięcie niż marny sukces wojskowy czy polityczny. Wyginąć można tylko raz.

Poprzeczka poszła w górę, gdy ludzie napotkali między gwiazdami obce cywilizacje, a szczególnie po wpłynięciu ultimatum Sh'daar. Dla ludzi praktycznie niemożliwe było zrozumienie motywacji czy ograniczeń kulturowych obcych. Co gorsza, gdy chodziło o przetrwanie całej ludzkości, nie miało sensu nakładanie ograniczeń na to, co mogło zostać użyte, a co

nie. Konfederacja i Stany Zjednoczone Ameryki Północnej musiały dzielić jedną planetę, nie zważając na wynik wojny domowej, lecz gatunki podległe Sh'daar atakujące Ziemię nie przejmowały się takimi błahostkami. Prawdopodobnie wolałyby zachować dla siebie świat nadający się do zamieszkania, jednak gdyby trzeba było zagotować wodę w oceanach i zamienić powierzchnię planety w szkło, zrobiłyby to. Koenig pamiętał lekcję, jaką był los rasy Chelk, i na jej wspomnienie zadrżał. Ich świat został zniszczony przez Sh'daar dwanaście tysięcy lat temu, nie ocalał nawet jeden przedstawiciel niepokornej rasy. Los Chelk mógł stać się udziałem Ziemi, jeśli Ziemianie nie nauczą się działać razem i nie zdołają się przeciwstawić Sh'daar wspólnym frontem.

Jednej rzeczy był nadal pewien: poddanie się Sh'daar nie mogło być brane pod uwagę. Szczególnego znaczenia nabierało to obecnie, gdy na galaktycznej scenie pojawili się dwaj nowi gracze – tajemniczy i potężni Obcy z Rozety oraz Grdoch. Nie wyglądało na to, aby ta dwójka pozostawała w jakimkolwiek związku.

Nowa lotniskowcowa grupa bojowa, formowana wokół „Ameryki”, mogła być sposobem na zdobycie odpowiedzi na kilka ważnych pytań.

Do tego koktajlu informacyjnego dziś rano przybyły nowe składniki, i to składniki ogromnej wagi.

– Panie prezydencie – odezwał się w głowie Koeniga Whitney – oficerowie Marynarki są już w drodze na górę.

– Dziękuję. Będę ze wszystkimi.

Otworzył drzwi i wszedł do sali odpraw, ogromnego pomieszczenia z przezroczystymi ścianami i monstrualnym stołem konferencyjnym. Miejsce dawało poczucie otwartej przestrzeni, o wiele przyjemniejsze od przygnębiających wnętrz pokoju sytuacyjnego w podziemiach. Pół tuzina kobiet i mężczyzn siedzących przy stole wstało, gdy Koenig wszedł. Eskow, McFarlane i admirał Armitage obecni byli fizycznie, wraz z członkami swoich sztabów. Inni, czyli Caldwell, Vandenberg, Sharpe, Lee i Delmonico, znajdowali się na sali wirtualnie,

podłączeni do AI kompleksu Jeffersona, widoczni przy stole w postaci projekcji holograficznych. Jedną z obecnych fizycznie postaci była Gru'mulkisch, której Społeczność Sh'daar cały czas bardzo uważnie skanowano i blokowano. Przygotowano dla niej nawet specjalne krzesło, rodzaj niskiej, wąskiej wyściełanej ławeczki, na której mogła się wspierać brzuchem.

Na sali fizycznie przebywała także kongresmenka Julie Valcourt, Kanadyjka, spiker Izby Reprezentantów. Nie do końca chciała wziąć udział w odprawie, choć Koenig wysłał jej osobiste zaproszenie. Niestety, potrzebował jej.

– Siadajcie, siadajcie – powiedział Koenig, przemierzając pomieszczenie wielkimi krokami. – Są już w drodze na górę.

– Nareszcie – mruknął Armitage.

Koenig spojrzał niego krzywo.

– Mieli do przebycia najdalszą drogę, admirale.

– Mogli połączyć się telekomunikacyjnie – odezwał się hologram Pameli Sharpe. – Tak jak niektórzy z nas.

– To niewskazane, Pamela – odparła projekcja Delmonico. Spojrzała ostro na Agletsch. – Nie z danymi, które mogą... zostać wyjawione.

Część baz i budowli służących obecnie USNA zaczynało jako obiekty Konfederacji i jako takie wzbudzały podejrzenia. Całkowite bezpieczeństwo cybernetyczne trudno było osiągnąć w normalnych warunkach i okazywało się to prawie niemożliwe, jeśli druga strona miała kiedykolwiek dostęp do używanej obecnie infrastruktury i mogła wbudować urządzenia szpiegujące w fizyczną konstrukcję budynków. Urządzenia elektroniczne mikroskopijnej wielkości mogły penetrować sieci komputerowe, umieszczać wirusy czy otwierać szeroko tylne drzwi. Nawet kwantowe kodowanie nie chroniło komunikacji komputerowej, jeśli naruszone zostały zabezpieczenia fizyczne na stacjach końcowych.

Z tego powodu najważniejsze rozmowy nie odbywały się na kanałach i w strukturach, którymi kiedykolwiek zarządzała Konfederacja. Winda kosmiczna i bazy Marynarki na orbicie stanowiły doskonały przykład. Choć zbudowane przez USNA,

urządzenia te przez wieki użytkowane były przez Konfederację i mogły zostać w tym czasie naszpikowane oprogramowaniem szpiegowskim.

– Zastanawiam się, czy nie jest za późno, by się tym przejmować – powiedział Lawrence Vandenberg. On także miał na myśli znajdującą się przy stole Agletsch. – Panie prezydencie, nadal uważam, że błędem było zapraszanie na to spotkanie... osób z zewnątrz.

W stosunku do obcych przenoszących Społeczność Sh'daar, takich jak Gru'mulkisch, wysuwano wiele podejrzeń. Teoretycznie, przy blokowaniu jej translatora, nie mogła nawet spróbować wypuścić penetrującego sieci wirusa bez zdradzenia się. Jednak nikt nie miał stuprocentowej pewności, że Sh'daar nie umieścili w swoich implantach nowinek technologicznych, które umożliwiały obejście zabezpieczeń stosowanych przez ludzi.

– Jest całkowicie bezpiecznie, panie sekretarzu – powiedział Neil Eskow. – Obiecuję.

– Jeśli jest coś, czego nauczyliśmy się podczas tej wojny – powiedział Koenig – to fakt, że Sh'daar nie są bogami. Zakładam, że nie ma wśród nas obcych kreacjonistów?

Uprzejme chrząknięcia rozległy się przy stole, a Koenig poczuł się nieco zażenowany.

Biała Konwencja zakazywała nie tylko nawracania na wiarę, ale także publicznych żartów z innych religii.

– Jeśli istnieją Gwiazdni Bogowie, panie prezydencie – powiedziała Valcourt – to tym bardziej mamy powód, by zakończyć tę wojnę.

– Prawdę mówiąc, nie wiem, o co pani chodzi – odparł Koenig.
– Sh'daar popełniają błędy. Zauważyliśmy, jak prostych technologii czasem używają. Jeśli faktycznie istnieją w Galaktyce istoty podobne do bogów, uważałbym Obcych z Rozety za dużo lepszych kandydatów. Nie oglądając się na to, co mówią AOK.

We flocie była pewna grupa antycznych obcych kreacjonistów. Niektórzy – nieliczni – uważali, że Sh'daar byli obcymi z zamierzchłej przeszłości, superpotężnymi istotami, które stworzyły gatunek ludzki przed milionami lat. Większość z nich

opowiadała się za przyjęciem przez ludzkość ultimatum Sh'daar i dołączeniem do ich galaktycznego sojuszu. Prawdopodobnie jedyny powód, dla którego nie zorganizowali większych protestów antywojennych, stanowiła Biała Konwencja.

Koenig mógł uwierzyć, że niektóre epizody zagubione w mrokach ludzkiej prehistorii były dziełem obcych przybyszów. Ludzki genom wykazywał subtelne ślady ingerencji, faktem był również nagły i niewytłumaczalny rozwój mózgu pomiędzy *Homo erectus* a wczesnym *Homo sapiens*. Istniało także sporo ruin co najmniej sugerujących, że kiedyś był tu Ktoś Inny – był i znikł. Świadczyły o tym ogromne kamienne miasta na dnie mórz w okolicach Japonii, Meksyku i Indii, które nie widziały powierzchni od czasu epoki lodowcowej dziesięć tysięcy lat temu, czy też miejsca takie jak Pumapunku i Nazca, które w żaden sposób nie dawały wpisać się w historię. Całkiem możliwe...

Jednak z punktu widzenia Koeniga teorie głoszone przez AOK przeczyły udowodnionym faktom ludzkiej kreatywności, inteligencji inżynieryjnej, i z tego powodu były nieprzekonujące.

Nie zmieniło się także całkowite przekonanie Koeniga, że kimkolwiek mogliby być hipotetyczni obcy bogowie, na pewno nie byli to Sh'daar. Sojusz wydawał się połączony technologią, przy tym bardzo zaawansowaną technologią, taką jak nanotechnologia czy robotyka, a nie podstawową wiedzą w rodzaju krzesania ognia. Specyficzna trauma, którą w spadku po przejściu osobliwości technologicznej zostawili swoim następcom antyczni ur-Sh'daar, zamieniła się w obsesję. Gdy wykrywano w Galaktyce cywilizację, która bliska była przejścia przez własną wersję osobliwości, to albo nakłaniano ją do zwrócenia się w kierunku bezpieczniejszych rodzajów nauki, albo niszczone, tak jak Chelk.

Bardzo prawdopodobne było, że Sh'daar samych siebie widzieli jako galaktycznych dobroczyńców, działających w interesie wszystkich.

Jednocześnie jednak ich wysiłki wydawały się rozproszone i bardzo często nieefektywne. Ziemia przetrwała dwa osobne

ataki przeprowadzone przez sojuszników Sh'daar, Turuschów i H'rulka. Dwa inne gatunki, Slan i Nungiirtok, zaatakowały w tym czasie ludzkie kolonie i stacje badawcze na innych światach. Fakt, że ataki te nie zakończyły się sukcesem, sugerował, że albo sojusz z premedytacją stosował strategię jedynie wywierania nacisku na ludzkość, nie niszcząc jej, lub też brakowało mu skoordynowania, jego członkowie byli słabo dowodzeni i nieefektywnie wykorzystywani.

Koenig bardzo chciał wierzyć, że prawdą jest to drugie. Wywoływanie czegoś tak niebezpiecznego i kosztownego jak wojna wymagało zdecydowania się na wojnę totalną, aż do pełnego zwycięstwa.

Część kobiet i mężczyzn obecnych w tym pokoju miała inne poglądy. Julie Valcourt, bardzo aktywna członkini Partii Globalnej Unii, była jedną z nich – żywiła przekonanie o potrzebie pokoju za wszelką cenę. Najdziwniejsze było to, że Koenig zgadzał się z większością tego, co twierdzili globaliści.

Według ostrożnych szacunków kolektyw Sh'daar obejmował od jednej trzeciej do połowy Galaktyki i liczył kilka milionów inteligentnych gatunków wraz z ich zasobami. Jeżeli imperium dysponujące tak przytłaczającą przewagą do tej pory nie zdmuchnęło Ziemi jak natrętnej muchy, to zdaniem globalistów, działo się tak tylko dlatego, że Sh'daar życzyli sobie, by ludzkość przetrwała.

Przy takim widzeniu sprawy jedynym rozsądnym rozwiązaniem było poddanie się, zanim Sh'daar stracą cierpliwość. Tego właśnie żądali północnoamerykańscy globaliści i rząd Konfederacji.

W chwili obecnej większość społeczeństwa Stanów Zjednoczonych wydawała się podzielać zdanie Koeniga, jednak prezydent wiedział, że taki stan jest tymczasowy i może ulec zmianie, w zależności od aktualnych nastrojów społecznych. Wojna ze Sh'daar była długa, jednak z wyjątkiem ataków Turuschów i H'rulka sprzed dwudziestu lat, większość ludzi, pominąwszy członków Sił Zbrojnych, nie była w nią bezpośrednio zaangażowana. Niepewny stan pokoju, który

funkcjonował od dwudziestu lat, czyli od czasu, gdy Koenig zmusił Sh'daar do zawarcia zawieszenia broni w Chmurze N'gai w Omega T_{-0,876gy}, utrzymywał ludzi w przekonaniu, że zagrożenie ze strony Sh'daar nie istnieje, a przynajmniej nie jest takie poważne. To mogło się szybko zmienić, gdyby przedstawicielom któregoś z podległych Sh'daar gatunków udało się przedrzeć przez obronę Układu Słonecznego i zbombardować Ziemię kolejnym pociskiem kinetycznym.

A na to czekali przyczajeni na skrzydłach politycznych Julie Valcourt i jej Partia Globalnej Unii, wypatrując okazji, by zawstydić Koeniga i amerykańską Partię Wolności.

Prezydent spojrział na Phillipa Caldwell, dyrektora Biura Bezpieczeństwa Narodowego, obok którego siedział Thomas McFarlane, dyrektor CIA. Zdaniem Koeniga „naczelnny szpieg” wyglądał na zdenerwowanego. Lecz to nie on bezpośrednio zapewniał napływ informacji do prezydenta. Koenig zastanawiał się więc nad przyczyną jego zdenerwowania.

– Skoro jeszcze czekamy – powiedział prezydent – może zechcieliby panowie podzielić się informacjami, które znalazły się w moim porannym przeglądzie wywiadowczym.

McFarlane wyglądał teraz na jeszcze bardziej zakłopotanego, o ile to w ogóle było możliwe.

– Panie prezydencie, muszę podkreślić, że nic z tego nie zostało jeszcze potwierdzone. To nadal tylko... niesprawdzone informacje.

– W porządku, panie McFarlane. Jeśli okażą się prawdziwe, pana niepotwierdzone informacje będą miały ogromny wpływ na tę wojnę. Im szybciej zaczniemy nad tym pracować, tym lepiej.

– Rozumiem, panie prezydencie. No cóż... jak większości z państwa wiadomo, w elektronicznej sieci Konfederacji umieściliśmy nieco więcej niż robaka Światła Gwiazd. Znalazły się tam antysieciowe wirusy, mające przekonać Genewę, że o to chodziło w ataku. Zgodnie z przewidywaniami ich ICE i inne systemy obrony elektronicznej powstrzymały nas od

wyrządzenia poważnych szkód. Jednak drugim celem było umieszczenie oprogramowania hakerskiego, umożliwiającego nam dostęp do kanałów informacyjnych w całej sieci europejskiej. Od czasu naszego ataku cztery dni temu Konstantin przeszukuje sieć Konfederacji ze znacznymi sukcesami.

– To – wtrąciła Delmonico – duże niedopowiedzenie. Jesteśmy w stanie przeczytać szyfrowane kwantowo wiadomości w momencie, gdy zostają wysłane. Nawet jeśli ta religijna zagrywka się nie powiedzie, to powinno dla nas wygrać wojnę! A przynajmniej jej ludzką część.

Koenig ostro spojrział na szefową ochrony cybernetycznej, dając jej do zrozumienia, że powinna zamilknąć.

– Proszę kontynuować, panie McFarlane.

– To przyszło o godzinie dziewiętej trzydzieści GMT – powiedział szef CIA, otwierając nowe okno informacyjne. – Czyli o czwartej trzydzieści naszego czasu. Konstantin przesłał to do Centralnej Agencji, gdy tylko otrzymał dane.

Wiadomość zaczynała się od wersji po francusku i niemiecku, a następnie pojawiło się angielskie tłumaczenie. AI odczytywała tekst pojawiający się na ekranie.

*WIADOMOŚĆ LASERCOM PRZEKAZANA PRZEZ
AUTOMATYCZNEGO DRONA KOMUNIKACYJNEGO TYP HERMES
MARK VII*

0127 GMT 09 MAR 2425

POCZĄTEK WIADOMOŚCI

PILNE PILNE PILNE

*ELEMENTY GRDOCH ZAATAKOWAŁY CYWILNĄ POPULACJĘ
VULCANA PO RAZ DRUGI. OBCY POWINNI BYĆ UWAŻANI
OBECNIE ZA WROGICH. MOTYWY NIEZNANE, JEDNAK MOGĄ
MIEĆ ZWIĄZEK Z ATAKIEM USNA NA ENCELADUS.*

PODPISANO – PEILLON, AMIRAL DE FLOTTE

KONIEC WIADOMOŚCI

– Wiadomość – kontynuował McFarlane – została wysłana z Dowództwa Floty Konfederacji do prywatnej rezydencji Denoix w Genewie.

– Mówi się tu o drugim ataku – zauważyła Valcourt. – Co wiemy o pierwszym?

– Nie znamy ram czasowych – odparł Caldwell. – Jednak dwa z plików, które udało się pozyskać podczas operacji Luter, zatytułowane były „Masakra” i „Raport gubernatora Delgado z Vulcana”. Nadal studiujemy oba dokumenty, jednak najwyraźniej kontakty Konfederacji z Grdoch rozpoczęły się od paskudnego i niesprowokowanego ataku tych ostatnich na kolonie na Vulcanie. Komodor^[4] Becker dowodzący flotą Konfederacji na Vulcanie zdołał chyba zawrzeć z nimi rozejm.

– Masakra? – pytała dalej Valcourt. – Jaka masakra?

– Nie znamy szczegółów. Wiemy jedynie, że kilka tysięcy kolonistów z argentyńskiej strony zostało zabitych lub pochwyconych i obecnie uważa się ich za zmarłych. Becker meldował o zniszczeniu jednego z okrętów Grdoch. Po tym zaczęli rozmawiać, negocjować i zawarty został rodzaj traktatu pokojowego lub rozejm.

– Możemy zakładać – dodał Koenig – że komunikacja między ludźmi i Grdoch nadal daleka jest od doskonałości. Ich porozumienie było na tyle kruche, że wydaje się rozpadać po bitwie o Enceladus. Być może Grdoch uważają, że to siły Konfederacji zaatakowały tam ich okręt.

– To może być dla nas szansa na sojusz z Grdoch – powiedział sekretarz Comb. – W tym biznesie potrzeba nam sojuszników.

– Być może – odparł Vandenberg. – A może Grdoch są tak obcy, że nie rozumieją pojęcia wojny domowej, tego, że ludzie mogą być między sobą podzieleni. Istnieje również i taka możliwość.

– Czy mamy pojęcie o tym, skąd pochodzą Grdoch? – spytał Koenig. – Z całą pewnością nie są rdzennymi mieszkańcami Vulcana.

– Niestety nie, panie prezydencie – powiedział Eskow. – Nie wydaje mi się, aby istniały jakiegokolwiek zapisy o tych istotach. Gru'mulkisch? Czy Agletsch wiedzą o nich cokolwiek?

– Przykro mi, ale nie, panie sekretarzu – odparła reprezentantka Agletsch. – Nie wydają się być członkami sojuszu Galaktycznych Władców, a my nie mamy o nich żadnych danych. Ale Galaktyka jest niezmiernie duża, tak-nie?

– Tak – powiedział Koenig. – Z pewnością tak.

Nawet Sh'daar nie znali, nie mogli znać, każdej cywilizacji technicznej wśród setek miliardów światów rozproszonych w Galaktyce. Było to w pewnym sensie uspokajające. Sh'daar mieli swoje ograniczenia i nie wiedzieli wszystkiego.

– A to rodzi jednak ciekawe pytanie – zauważył Eskow. – Opierając się na raportach z bitwy o Enceladus, oceniamy, że Grdoch wyprzedzają nas w rozwoju technologicznym o wiek, może dwa. A to uderza w paradoks limitowanej technologii.

Koenig potwierdził w zamyśleniu. Właśnie się nad tym zastanawiał.

– Nie wydaje się racjonalne, że Grdoch są tak blisko nas, jeśli chodzi o rozwój technologiczny.

– No właśnie – dodał Eskow. – Jeśli Grdoch byliby częścią sojuszu Sh'daar, to mogłoby być częścią obrazka. Ale nie są. No i mamy dylemat.

Wszechświat miał trzynaście i siedem dziesiątych miliarda lat. Ksenosofontolodzy oceniali generalnie, że pierwsze cywilizacje techniczne w Galaktyce nie mogły pojawić się wcześniej niż około osiem miliardów lat temu. O ile możliwe jest, że gatunki inteligentne rozwinęły się wcześniej, o tyle cywilizacje podobne do ludzkiej, z ogniem, metalurgią, statkami kosmicznymi, mogły ewoluować jedynie na planetach skalistych. Skaliste, podobne do Ziemi planety mogły zaś pojawić się jedynie wokół gwiazd o określonej metaliczności, posiadających pierwiastki cięższe od wodoru i helu, a to z kolei wskazywało na drugą i trzecią generację gwiazd, które powstały po śmierci pierwszej.

To te wcześniej wymarłe gwiazdy przygotowały wszystkie cięższe pierwiastki, jak węgiel czy tlen z wodoru lub helu,

wszystko, co leżało w układzie okresowym aż do żelaza, a eksplodujące supernowe stworzyły to, co jeszcze cięższe. Nawet formy życia powstałe w atmosferach gazowych gigantów, tak jak olbrzymi H'rulka, potrzebowały takich pierwiastków jak węgiel, krzem, fosfor i żelazo do biologicznego funkcjonowania.

Tak więc, według ksenosofontologów, pierwsze inteligentne formy musiały pojawić się od czterech do pięciu miliardów lat temu, czyli mniej więcej w tym samym czasie, gdy formował się Układ Słoneczny. Cztery miliardy lat temu pierwsze statki kosmiczne mogły zaczynać eksplorację młodej Galaktyki, a na niezliczonych światach powstawały kolonie obcych.

Jeśli ci obcy nadal gdzieś tu byli w formie, którą zobaczyć mogli ludzie, posiadali technologie wyprzedzające ludzkie o miliardy lat. Byli Gwiazdnymi Bogami.

Takie gatunki mogły mieć czas na skolonizowanie całej Galaktyki, każdego nadającego się do zamieszkania świata. To właśnie było podstawą słynnego paradoksu Enrico Fermiego: jeśli cywilizacje technologiczne zaczęły eksplorację Galaktyki miliardy lat temu, to gdzie są teraz? Dlaczego nie widzimy dowodów ich istnienia? Technologia tak zaawansowana mogła być zdolna do wszystkiego, w tym do zmiany wyglądu nieba.

Paradoks Fermiego sformułowany został u zarania poszukiwań przez ludzkość sąsiadów wśród gwiazd. W końcu po kilku stuleciach ludzie spotkali Agletsch, a od nich uzyskali dostęp do „Encyclopedia Galactica”, zestawu elektronicznych zapisów wymieniających i opisujących kilka tysięcy obcych gatunków rozproszonych w czasie i przestrzeni.

O ile EG sugerowała istnienie bardziej zaawansowanych cywilizacji (tak zwanych Gwiazdnych Bogów), o tyle wszystkie napotkane dotąd, w szczególności Turuschowie, H'rulka, Slan, Nungiirtok, same Agletsch, w najbardziej skrajnym przypadku wyprzedzały ludzką o kilka wieków. Wszystkie poznane dotąd cywilizacje różniły się od ludzkiej o pięć dziesięciomilionowych części procenta.

Było to po prostu statystycznie niemożliwe.

Najwyraźniej jakiś nieznaną czynnik pracował nad

zahamowaniem rozwoju technologicznego w Galaktyce i od pięciu dekad uważano, że ten czynnik stanowili Sh'daar. Ograniczając technologie dostępne rasom im podległym, upewniali się, że wszyscy byli na podobnym poziomie, plus minus sto lat.

Osiemset milionów lat temu w Chmurze N'gai, karłowatej galaktyce, która wkrótce miała zostać pochłonięta przez Drogę Mleczną, cywilizacja składająca się z setek, a może nawet tysięcy różnych gatunków, zniknęła w wyniku transcendencji, pozostawiając za sobą niedobitki, które nie chciały lub nie mogły za nią podążyć. Te niedobitki stały się traumatyzowanymi Sh'daar. Wkraczając do ludzkiej Galaktyki setki milionów lat temu, założyli swój wolno rozrastający się sojusz, podbijając świat za światem i eliminując te technologie, które mogły doprowadzić do kolejnej rundy transcendencji.

To miało sens. Nie było wyższych technologii, mityczni Gwiezdni Bogowie i Obcy z Rozety stanowili wyjątek, który potwierdzał regułę – ponieważ Sh'daar ograniczali rozwój każdej technologii, która mogła doprowadzić do osobliwości technologicznej.

W takim razie... dlaczego Grdoch byli tak blisko ludzkiego poziomu? Ich technologie militarne nieco wyprzedzały ludzkie, ale z drugiej strony, ludzie eksperymentowali już z bojowymi laserami promieni X, jednak problemy z ich skupieniem i kierowaniem blokowały dalsze prace. Jeśli ścieżki Grdoch i sojuszu Sh'daar nigdy się nie przecięły, szansa na to, by byli tak blisko technologii człowieka, wynosiła jeden do miliona, a nawet mniej.

– Najwyraźniej – powiedział Eskow – muszą być inne czynniki poza Sh'daar. Podejrzewamy, że miało miejsce kilka transcendencji, wśród niezliczonych gatunków gwiazdnych, które... stały się kim innym.

– Innymi słowy – powiedział Koenig – wokół nas nie ma naprawdę rozwiniętej cywilizacji, ponieważ te najstarsze poszły bawić się gdzie indziej.

To wiodło zaś do kolejnego interesującego wniosku. Może

gatunki technologiczne parły do osobliwości, gdy tylko osiągnęły ludzki poziom?

Odpowiedź na to pytanie miała zasadnicze znaczenie. Gdyby była pozytywna, ludzie mogli się spodziewać własnej osobliwości całkiem niedługo.

Odezwał się dzwonek i otworzyły się drzwi, umieszczone w czymś, co wydawało się oknem, wpuszczając sześćcioro oficerów Marynarki i jednego naukowca.

– O! Admirał Gray! – powiedział Koenig. – Witamy na odprawie. Zapewne wyda się wam... interesująca...

Rozdział czternasty

9 marca 2425

York Civic Center
Kompleks Rządowy Jeffersona
Toronto
Stany Zjednoczone Ameryki Północnej
Godzina 14.10 TFT

Gdy wszedł do wielkiego pokoju konferencyjnego, admirał Gray poczuł się nieco nieswojo w obliczu tłumu zgromadzonego tam fizycznie i wirtualnie.

– Panie prezydencie, przepraszam za spóźnienie – powiedział, zwracając się do Koeniga. – Ochrona budynku.

– Rozumiem. Moi specjaliści od ochrony są przekonani, że ktoś ma zamiar przemknąć się tu z atomówką przyklejoną do dupy.

Była to oczywiście przesada, biorąc pod uwagę minimum materiału niezbędnego do zapoczątkowania reakcji, jednak tylko niewielka. Istniały meldunki o zamachowcach samobójcach, używających jednostek konwersji antimaterii wielkości kilku centymetrów, chirurgicznie wszczepionych do ich żołądków, jednak tego typu zachowania były charakterystyczne raczej dla Teokracji Islamskiej niż rządu Konfederacji. Proces skanowania w kompleksie Jeffersona był jednak niezwykle rozbudowany i obejmował prześwietlanie promieniowaniem wstecznym, fluoroskopię tkanek miękkich i wiele innych testów.

Gray przyjął postawę zasadniczą.

– Panie prezydencie! Dowództwo Lotniskowcowej Grupy Bojowej Czterdzieści melduje się na rozkaz!

– Spocznij, admirale, i wyłącz tę trepozę – powiedział Koenig.

Prezydent wskazał współobecnym. – Jesteśmy tu w gronie przyjaciół.

Gray nie do końca był skłonny mu uwierzyć.

– Jeśli pan tak mówi, panie prezydencie.

Rozejrzał się po zgromadzonych, sprawdzając ich elektroniczne identyfikatory. Niektórych znał, ale tylko z serwisów wiadomości. O Boże, sekretarz stanu, spiker Izby Reprezentantów, a co ona tutaj robiła? Sekretarze najważniejszych resortów. Pozostałych nie znał. Na przykład doktora Lee. Ale jego referencje były imponujące.

– Po prostu nie spodziewałem się tak liczego i znakomitego grona.

– Stwórzcie sobie fotele i zaczynamy – powiedział Koenig. – Musimy tu zdecydować, jak najlepiej użyć Zespołu Zadaniowego Eridani.

Gray i jego ekipa znaleźli sobie wolne miejsce przy stole i kliknięciem w myślach spowodowali pojawienie się foteli.

– Phillip – powiedział prezydent, zwracając się do szefa Biura Bezpieczeństwa – masz coś dla nas?

– Trochę tła, panie prezydencie.

Duży wirtualny ekran pojawił się naprzeciw Koeniga. Na ekranie widać było podświetloną część błękitno-biało-złotego półksiężyca.

– Vulcan – rozległ się głos AI. – Świat tak podobny do Ziemi, że ludzie mogą na nim żyć bez jakichkolwiek zabezpieczeń.

W prawym dolnym rogu ekranu pojawiły się dane alfanumeryczne informujące, że obraz nakręcony został z lotniskowca „Intrepid” zaledwie kilka tygodni wcześniej, a następnie przesłany na Ziemię za pomocą drona komunikacyjnego. Słońce Vulcana, 40 Eridani A, widoczne było w oddali po prawej stronie. Dalej, na lewo, prawie poza panoramą, błyszczały blisko siebie dwie gwiazdy, jedna rubinowoczerwona, druga brylantowobiała.

– Według ostatnich danych – kontynuowała AI – Vulcan był domem dla około osiemdziesięciu milionów ludzi, większości pochodzenia niemieckiego bądź argentyńskiego. Stolicą jest

dwumiasto Himmel-Paradisio, na południowo-wschodnim wybrzeżu Neubawarii, głównego kontynentu planety...

– Panie prezydencie – powiedziała niezadowolona Valcourt – czy naprawdę musimy oglądać ten melodramatyczny wstęp?

– Musimy wiedzieć, w co się pakujemy, pani spiker. I wszyscy musimy mieć te same informacje.

Gray powstrzymał wybuch śmiechu. Faktycznie, prezentacja przygotowana przez Centralną Agencję i puszczona przez govnet była dość melodramatyczna, prawie żenująca. Gdy głos AI podawał dane, admirał wewnątrz ściszył go. Znał statystyki dotyczące tego miejsca, studiował je od momentu, gdy pojawiło się na liście możliwych dalszych celów w rozkazach, które otrzymał jeszcze przy Enceladusie. Świat, choć nominalnie pozostawał kolonią Konfederacji, politycznie był niezależny i wydawał się w bardzo niewielkim stopniu zaangażowany w konflikt między Konfederacją a USNA. Przemysł ograniczał się do produkcji tego, co niezbędne dla zabezpieczenia potrzeb własnej populacji, nie istniały stocznie, fabryki broni, kopalnie minerałów czy duża, stała armia. Naczelnym towarem eksportowym Vulcana były informacje, przede wszystkim na temat jego zadziwiającej biologii.

W rzeczywistości informacja stanowiła główny przedmiot ogólnego handlu międzygwiazdowego. Istniało niewiele minerałów, których transport na odległość wielu lat świetlnych byłby opłacalny, szczególnie gdy nanofabryki mogły wyprodukować prawie wszystko ze skał dostępnych w każdym systemie gwiazdowym. Admirał przypomniał sobie, że Agletsch stały się ekspertkami w zdobywaniu, opracowywaniu i przesyłaniu informacji na duże odległości. „Encyclopedia Galactica” była najlepiej znanym przykładem takiego handlu. Ludzcy przedsiębiorcy w coraz większym stopniu robili to samo.

Wprowadzenie zbliżało się do końca i ekran prezentował teraz komputerowy obraz całego systemu 40 Eridani. Dane wskazywały na moment wejścia lekkiego lotniskowca „Intrepid” i jego eskorty w przestrzeń 40 Eridani. Sześć planet poruszało się po niebieskich ścieżkach orbitalnych, gdy od drugiej rozciągnęły

się czerwone linie trajektorii i dotarły do zielonych ikon oznaczających „Intrepid” wraz z eskortą. Każda z rakiet podążała inną drogą, tak więc uderzyły w siły amerykańskie ze wszystkich kierunków.

– Nie wiemy, co dokładnie się wydarzyło – powiedział holograficzny obraz Phillipa Caldwell. – Flotylla „Intrepid” prawdopodobnie została trafiona wkrótce po wejściu w układ 40 Eridani.

Na obrazie jeden z niszczycieli, „Emmet”, znikł w białym rozbłysku. Chwilę później zniszczony został drugi okręt, „Fitzpatrick”. „Intrepid” przyjął kilka trafień, gdy próbował przyspieszyć i uciec z systemu. Ostatni niszczyciel, „Tomlinson”, zawisł, najwyraźniej próbując kupić czas, by osłonić lotniskowiec i stworzyć mu możliwość ucieczki.

W tym momencie obraz zamarł, „Intrepid” zakończył nagrywanie.

– Przyjmujemy, że zarówno „Intrepid”, jak i „Tomlinson” zostały zniszczone chwilę później – powiedział admirał Armitage. – Kolegium Szefów Sztabów rekomenduje wysłanie kolejnej grupy zadaniowej prosto do 40 Eridani, z zadaniem znalezienia i podjęcia rozbitków, przeprowadzenia ataku odwetowego na siły Konfederacji i... zajęcia się tym.

Na ekranie pojawił się ponownie układ gwiazdny. Widok przesuwał się we wszystkich kierunkach, jakby w poszukiwaniu czegoś, aż w końcu skupił się na jasnoszkarłatnej kropce zawieszanej nad ikoną oznaczającą Vulcana, następnie przybliżenie zwiększyło się tysiące razy. Na ekranie ukazał się jajowaty krwistoczerwony okręt, wyglądający tak samo, jak ten przechwycony przy Enceladusie.

– To chyba ten sam obcy okręt, który pojawił się przy Enceladusie – powiedziała Sharpe.

– Niestety, nie – odparł Eskow. Sekretarz nauki nałożył na obraz grupę zmieniających się wykresów paskowych oznaczających zużycie energii. – Odczyty energetyczne z „Intrepid” sugerują, że to inny okręt Grdoch, większy, potężniejszy. Może mieć ponad kilometr długości.

Gray z uwagą przyglądał się powiększonemu obrazowi. Lotniskowce gwiazdne, takie jak „Ameryka”, miały ponad kilometr długości, jednak ich kadłuby były wydłużone i cienkie, osiemsetmetrowe ołówki schowane za parasolową kopułą ochronną. W okręcie Grdoch nie było nic cienkiego. Masywny i pękaty, miał setki razy większą objętość niż lotniskowiec i ważył kilkaset milionów ton. Ten bardziej wyglądał na wygładzoną asteroidę niż na okręt kosmiczny. Koenig doskonale rozumiał, jak to się stało, że grupa Grdoch i masywne zwierzę rzeźne nie zostały przez długi czas odkryte na pokładzie przejętego okrętu. Tej wielkości jednostka była małym, samowystarczalnym światem, tak jak ludzkie cylindry O’Neilla czy niektóre kolonie założone na wydrążonych planetoidach.

– Teraz wiemy oczywiście, że ten okręt Grdoch zaatakował swych niedawnych sojuszników – powiedział Koenig.

Gray szybko odwrócił głowę w stronę prezydenta.

– Sir? Zmienili strony?

– Mamy nowe materiały wywiadowcze, admirale. Proszę się zapoznać.

Gray otworzył okno ładowania w swoim umyśle i zobaczył depezę przechwyconą z Genewy. Jako załącznik Koenig dodał to, co wiadomo było o pierwszym ataku Grdoch na Vulcana. Informacje pochodziły z cybernetycznego rajdu na Genewę, przeprowadzonego kilka dni wcześniej.

– A więc, panie prezydencie, Grdoch... – powiedział powoli Gray. – Czy są obecnie naszymi przyjaciółmi? Czy nadal jesteśmy... wrogami? – Prawie powiedział „celami”, jednak powstrzymał się w ostatniej chwili. Zbyt wielu w tym pokoju było lewicowców, by pozwalać sobie na tego typu żarty.

– Doskonale pytanie, admirale, na które wszyscy chcielibyśmy znać odpowiedź. Otrzymał pan pełny pakiet rozkazów dotyczący tej misji z HQMILCOM?

Gray potwierdził.

– Przyszły wczoraj, panie prezydencie.

– Jak brzmią?

– Mam objąć dowództwo nad Zespołem Zadaniowym Eridani –

odparł Gray najbardziej wypranym z emocji tonem, na jaki było go stać. – Cztery do pięciu lotniskowców, z dużą liczbą okrętów wsparcia, dwadzieścia do dwudziestu pięciu. Zespół Zadaniowy Eridani przeprowadzi rozpoznanie w układzie 40 Eridani. Naszym absolutnym priorytetem jest znalezienie i udzielenie pomocy rozbitkom z grupy „Intrepid”. W przypadku napotkania sił Konfederacji mamy nawiązać z nimi walkę, chyba że uznam, iż siły nieprzyjaciela w systemie są tak duże, że atak na nie spowoduje nieakceptowalne straty. Mamy także przeprowadzić rozpoznanie na samej planecie, by ustalić, czy rozlokowane są tam elementy ugrupowania bojowego Konfederacji.

– A jeśli natkniecie się na Grdoch? – zapytał Koenig.

– To, panie prezydencie, HQMILCOM pozostawia mojej ocenie. Według wczorajszych ocen Grdoch wydawali się sprzymierzeńcami Konfederacji, a tym samym wrogami. Jednak... te nowe dane zmieniają sytuację, prawda?

– Jeszcze tego nie wiemy, admirale – odparł Koenig. – Przyjmując za prawdę stare powiedzenie, że wróg mojego wroga jest moim przyjacielem, zawarcie jakiegoś sojuszu z Grdoch może okazać się wykonalne. Jest jednak wysoce prawdopodobne, że Grdoch nie potrafią rozróżniać ludzkich frakcji.

– Innymi słowy, wszyscy dla nich wyglądamy jednakowo – wtrącił Vandenberg. Kilka osób przy stole chrząknęło.

– Jeśli mogę, panie i panowie – powiedział doktor Truitt. – Mam już trochę doświadczenia z Grdoch... a przynajmniej z tymi, których zatrzymaliśmy przy Enceladusie. Ich psychologia jest... bardzo osobliwa, szczególnie jak na istoty tak podobne do nas.

– Przepraszam, doktorze – powiedział Koenig. – Co pan ma na myśli, mówiąc „tak podobne”? Meldunki, które widziałem, sugerują, że mogą oni służyć jako definicja słowa „obcy”.

– Ich biochemia jest prawie identyczna jak nasza, panie prezydencie. Przeprowadziliśmy doświadczenia w przenośnym laboratorium na pokładzie obcego okrętu. Ich biochemia oparta jest na prawoskrętnych cukrach i lewoskrętnych aminokwasach, dokładnie tak samo jak u ziemskich form życia. Używają RNA, tak jak na Ziemi, co nie jest zaskoczeniem, jeśli weźmiemy pod

uwagę, że RNA to w miarę częsty blok budowy organicznej. Używają także DNA. W innych sekwencjach oczywiście, ale w tych samych podstawowych parach: adenina, guanina, cytozyna, tymina. Sprawdziłem nasze bazy danych. Dotąd nie spotkaliśmy organizmów, które tak bardzo przypominałyby nasze.

– A Agletsch? – zauważył Eskow. – Mogą jeść nasze pożywienie...

– Jednak wymagają niektórych pierwiastków w większych ilościach – powiedział Truitt. – Na przykład kadmu, niklu i selenu. Nie przetrwają zbyt długo, jeśli ograniczone zostaną jedynie do pokarmu ziemskiego.

– Interesujące – powiedział Eskow. – To może wyjaśnić zainteresowanie Grdoch Vulcanem. Kompatybilna biochemia.

– To może także wytłumaczyć ich zainteresowanie Ziemią – powiedziała Sharpe. – Z tych samych powodów.

– Rzeczywiście – powiedział Koenig. – Tak więc pana rozkazy, admirale, zostaną poprawione. Jeśli napotka pan Grdoch, oczywiście proszę zdać się na własną ocenę, jednak proszę spróbować nawiązać z nimi kontakt w tajemnicy przed Konfederacją. Jeśli okażą wrogość, ma pan wolną rękę do otwarcia ognia i w miarę możliwości zniszczenia ich.

Konstatacja ta była pozbawiona emocji. Gray mógł sobie wyobrazić, co kryło się za prostymi stwierdzeniami Koeniga. Obaj mężczyźni mieli już do czynienia z wrogimi siłami obcych w sytuacjach, gdy musieli przełamać niechęć i spróbować nawiązać komunikację.

– Panie prezydencie.

Koenig musiał wyczuć wahanie w tonie głosu Graya.

– Ma pan problem z tymi rozkazami, admirale?

– Nie, panie prezydencie. Uważam jedynie, że w tym momencie pozbawiamy się elementu idiotoodporności. A to może nas kiedyś kopnąć w tyłek. Sir.

Zawsze istniała tendencja, szczególnie na najwyższych szczeblach dowodzenia, do komplikowania rozkazów poprzez mnożenie celów wynikających z siebie wzajemnie. Niepotrzebna

komplikacja zamieniała proste operacje w śmiertelne pułapki, a Gray delikatnie przypominał o tym fakcie Koenigowi, nie podważając przy tym bezpośrednio jego autorytetu.

– Rozumiem, admirale – odparł Koenig. – Lecz dopóki nie wyjaśnimy sytuacji z Grdoch... powodów, dla których znaleźli się w ludzkiej strefie, nie zorientujemy się, czego chcą, musimy chodzić na palcach po jajkach.

– Tak, panie prezydencie.

– Może być już za późno na chodzenie na palcach – powiedziała do Koeniga Valcourt. – Zaatakowaliśmy ich okręt, przechwyciliśmy go. Przetrzymujemy grupę ich towarzyszy w Crisium! To akty agresji, panie prezydencie, tak jakby potrzebna była nam kolejna wojna.

– W zasadzie sprawy mogą wyglądać o wiele prościej – odparł Koenig. – Jeśli Konfederacja zamierza sprzymierzyć się ze Sh'daar, a obecnie walczy z Grdoch, to wszystko staje się jedną wojną.

– Racja – powiedziała sekretarz Sharpe. – To po prostu my kontra reszta wszechświata!

Gray zauważył, że sekretarz stanu zgadzała się z przynajmniej kilkoma postulatami globalnych unionistów, pomimo że sama deklarowała się jako wolnościowiec. Była członkiem frakcji uważającej, że ludzkość nie może walczyć z czymś tak potężnym i mającym tak wielki zasięg jak sojusz Sh'daar.

– Nie jest tak źle, Pamela – powiedział admirał Armitage. – Nawet jeśli nie sprzymierzymy się z Grdoch, może uda nam się zwrócić ich przeciw Konfederacji. Sojusznicy de facto, choć nie oficjalnie.

– Myślę, że to oczywiste – dodał Koenig. – Oponenci są podzieleni i najwyraźniej mają kłopoty z wewnętrzną komunikacją.

– Dokładnie o to mi chodzi, panie prezydencie – powiedział Armitage. – My posiadamy sprawne wewnętrzne linie komunikacyjne.

– Napływają także pozytywne informacje z przebiegu operacji Luter – dodała Delmonico. – Mówię o części pozarozpoznawczej.

Pan McFarlane może przekazać szczegóły.

Szef wywiadu pokiwał głową.

– To prawda, choć nie mamy dotąd potwierdzonych informacji. W dużych miastach Konfederacji, Nowym Londynie, Bonn, Paryżu, Genewie, odbyły się wczoraj i dziś rano demonstracje. Antywojenne demonstracje. Zaczyna się słyszeć tu i tam o powstaniu nowego ruchu duchowego Światło Gwiazd.

A zatem zaczęło się – pomyślał Gray. Właśnie powstaje nowa religia.

Nie znał szczegółów, jednak przeglądał pliki dołączone do wiadomości Koeniga z poprzedniego dnia. Światło Gwiazd było nie tyle nową religią, co ruchem duchowo-filozoficznym, zaczynającym obejmować większe miasta na terenie Europy. Wirtualni piraci spenetrowali europejskie sieci komputerowe, umieszczając w nich robaki przeznaczone do infiltracji konfederackich mediów i zaszczepienia w nich zespołu idei, filozofii i zwykłej propagandy prowadzącej do ustanowienia nowej religii. Religia ta miała już nawet swój głos, lidera, który skupiał na sobie uwagę.

Charyzmatyczny filozof-aktywista nazywał się Constantine d'Angelo.

– Wiecie, od tego Światła Gwiazd możemy jeszcze oberwać rykoszetem – powiedział Vandenberg. – A co, jeśli trafi na podatny grunt tutaj, w USNA?

– Do tego momentu mamy dużo czasu – powiedziała Delmonico. – Cybernetyczna obrona przed robakiem Światła Gwiazd także jest już na miejscu. Przewidujemy, że ten ruch w pierwszej kolejności opanuje północną Europę i Rosję. Przez kraje tradycyjnie katolickie w Europie Południowej i Ameryce Łacińskiej będzie się posuwał powoli i prawdopodobnie nie zyska znaczenia w Teokracji ani w południowej i wschodniej Azji.

– Kilka demonstracji nie oznacza jeszcze końca wojny, panie prezydencie – powiedziała Sharpe.

– Nie – zgodził się Koenig. – Ale mogą one wskazywać początek końca. Stworzenie takiego skomplikowanego mempleksu jest

czasochłonne, szczególnie gdy tak jak tutaj czerpiemy z próżni. Doktorze Lee? Czy pan albo Konstantin macie jakieś przypuszczenia, ile może trwać zmiana memów?

– Zakładając, że w ogóle zadziała – powiedziała Valcourt. Nie wydawała się przekonana.

– Doktorze Lee?

– Przewidywania? Nie, panie prezydencie, memetyka nie jest prawdziwą nauką, jeszcze nie. Rezultaty nie są powtarzalne, a przypadkowe i kumulujące się efekty ludzkich emocji zawsze sprawią, że wynik jest przekoszony w stosunku do optymalnego. Z całą jednak pewnością te demonstracje, o których słyszymy, są zachęcającym znakiem, szczególnie po krótkim okresie inkubacji. Wydaje się prawdopodobne, że docelowa populacja była już gotowa, by zaakceptować nowy ruch religijny, nowy kierunek.

– Im większa populacja docelowa – dodała Delmonico – tym większa szansa na pozytywną odpowiedź. Przewidywanie odpowiedzi pojedynczej osoby jest trudne. Populacja składająca się z setek milionów to zupełnie inna sprawa.

– Czuję się... niekomfortowo – wolno powiedział Vandenberg. – Czuję się niekomfortowo z ideą religii opierającej się jedynie na znalezieniu i wciśnięciu właściwego przycisku w ludzkich umysłach.

– Ej, Van, wiesz przecież, że to nie jest takie proste – odparła Delmonico. – Szczególnie z czymś tak pokręconym, jak religia. Dodając do tego fakt, że ludzie należący do populacji docelowej w większości wyznają już jedną z wielu istniejących religii.

Eskow skrzywił się.

– Trudno mi w to uwierzyć. Nikt już nie kupuje religii. Mity i przesada. Biała Konwencja wybiła je wszystkie.

– Zaskoczona jestem, że pan tak mówi, panie sekretarzu – powiedziała Delmonico. – Biała Konwencja sprowadziła do podziemia jedynie rozmowy o religii. Nie zabiła zaś religii jako takich. Nie mogła. Religia jest częścią człowieczeństwa.

– Jak cholera... Ja jestem niewierzący – powiedział Eskow.

– Chciałabym zauważyć, panie sekretarzu, że ateizm jest

bardziej sprawą wiary niż niejedna religia. To nie jest coś, co można w jakikolwiek sposób udowodnić.

– A ja chciałbym zauważyć – uprzejmię wtrącił się Koe-nig – że dyskusja tutaj na ten temat nie ma sensu. Wróćmy do meritum. Doktorze Lee, rozumiem, że memetyka replikacyjna polega na zastępowaniu wyselekcjonowanych memów docelowymi, jednak to bardziej łagodne pchnięcie niż kopniak. Mam rację?

– Dokładnie tak, panie prezydencie – powiedział Lee, entuzjastycznie kiwając głową. – Powiedzmy, że chce pan zmienić... użyjmy jako przykładu chrześcijaństwa, skoro wszyscy znamy jego zasady. Nie może pan po prostu pojawić się u kogoś na progu, twierdząc, że Jezus to mit lub co najwyżej buntownik. Wbudowane systemy obronne tego mempleksu, można je nazwać antyciałami, spowodują, że cała argumentacja zostanie odrzucona. Nie, musi się pan wślizgnąć do piwnicy kościoła. Może opublikować kilka artykułów w popularnych mediach, wspominając o sprzecznościach w Biblii, na przykład jak Bóg może być jednocześnie miłością, światłem i przebaczeniem, a z drugiej strony skazywać ludzi na wieczne potępienie. Wyciąga pan wszelkiego rodzaju dyskusje z historii Kościoła na temat dyskryminacji kobiet. Pyta pan, dlaczego Twórca wszechświata, Bóg Wszechmogący domaga się krwawej ofiary, by zmasać grzech. Teraz obrona mempleksu będzie zwalczać tego typu pytania. Błędem jest kwestionowanie Biblii, grzechem opieranie się na marnym ludzkim pojmowaniu... jednak pytania atakujące rdzeń mempleksu powodują ciągły konflikt wewnętrzny, dyskomfort, dysonans i w ostateczności prowadzą do zwątpienia. Teraz przytacza pan kolejną historię, o tym, że wczesny Kościół nie wierzył w piekło, jednak akceptował reinkarnację. Opowieści o tym, jak Kościół zmienił się w ciągu wieków, zaprzeczając nauce, torturując heretyków, służąc celom politycznym i jakże ludzkim cechom, takim jak zazdrość, pycha, duma. Na początku tylko głosi pan swoje wizje. Ateiści mogą uznać je za fakty niepodlegające dyskusji, ale fundamentaliści, prawdziwi wierzący, a nawet zwykli praktykujący są dobrze zaszczepieni na takiego wirusa. Gdy zasiejemy zwątpienie, mem po memie,

zaczyna ono wzrastać, a nowe memy zaczynają pojawiać się w istniejącym mempleksie, by zmienić kształt ludzkiej świadomości, ukształtować umysły w mniej lub bardziej przewidywalny sposób.

– Myślałem, że nie można tego przewidywać – powiedział Vandenberg.

– Nie precyzyjnie. Nie możemy przewidzieć, kiedy dokładnie zajdzie zmiana ani jak się ujawni. Jednak w miarę upływu czasu trendy staną się jasne... I w końcu nieuchronnie zmienimy świat.

Zdaniem Graya Horace Lee byłby znakomitym kaznodzieją. Potrafił w swoje słowa włożyć tyle entuzjazmu, że wciągało to słuchaczy, czy tego chcieli, czy nie.

A zmiany punktu widzenia, w tym nawet bardzo drastyczne zmiany, miały już miejsce. Nieograniczona władza królewska, profity płynące z kolonializmu, moralność niewolnictwa, ograniczone prawa kobiet, wszystkie te mempleksy, a także inne, głęboko zakorzenione w ludzkich umysłach, dawno temu upadły lub uległy zmianie, i to tak, że nie były już rozpoznawane.

Niestety, każda z tych zmian wymagała czasu – lat, a czasem nawet wieków.

– A więc jesteśmy memżynierami – powiedział Eskow sarkastycznym tonem. – Podważamy psychologiczne, socjologiczne i kulturalne podstawy świata, aby go uratować.

– Za wszelką cenę – odparł Koenig. – Za wszelką cenę...

– A, właśnie – rzekł admirał Armitage. – Jedna mała praktyczna wiadomość, którą przed chwilą otrzymaliśmy. Bardzo dobra wiadomość. „Constitution” przybyła do systemu i teraz zwalnia, lecąc w stronę Marsa. Tam uzupełni zapasy, zanim dołączy do nowego zespołu zadaniowego.

– Świetne wiadomości – zgodził się Koenig. – Admirale Gray? Jak długo zajmą pana grupie przygotowania do wylotu?

– To, panie prezydencie, zależy od tego, w jakim stopniu mamy się odbudować. Zaopatrzenie już jest dostarczane i jeśli chodzi o zapasy, będziemy gotowi w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Jednak naprawy, główne naprawy, to zupełnie inna sprawa. Doznaliśmy przy Enceladusie kilku ciężkich uszkodzeń

i potrzebujemy czasu na odtworzenie struktury okrętu. Stocznia SupraQuito zaparkowała przy „Ameryce” zarówno 2390 CC12, jak i 2410 NI17, już wysłaliśmy nanoroje do rozpoczęcia napraw. Powiedziałbym, że za czterdzieści osiem godzin odtworzymy się w sześćdziesięciu procentach. Sto procent zajmie nam około tygodnia.

Dwie grupy alfanumeryczne oznaczały parę małych asteroid, węglowej o średnicy dwustu metrów i niklowej, studwudziestometrowej. Kilka miesięcy wcześniej umieszczone zostały one na orbicie synchronicznej, aby służyć jako źródła pierwiastków dla stoczni, szczególnie przy naprawach okrętów głównych. Nanorój było to stado złożone z kilkuset bilionów mikroskopijnych maszyn, zaprogramowanych na rozbieranie tych asteroid atom po atomie, przenoszenie atomów w okolice uszkodzeń i odtworzenie brakującej części kadłuba. CC12 była doskonałym źródłem środków podlegających zużyciu: tlenu i azotu do atmosfery okrętu, wody do uzupełnienia uszczuplonych wyciekami zapasów, a także węgla, wodoru i wielu pierwiastków niezbędnych do wytwarzania jedzenia.

– Cztery dni, Piachu – powiedział Koenig. Użycie przydomku Graya było rodzajem broni, która miała zapewnić, że admirał zrobi co należy i we właściwym czasie. – Cztery dni, nie więcej.

– Aye, aye, panie prezydencie.

Nie było już potrzeby na ten temat dyskutować.

Przez następne trzydzieści minut omawiali gotowość bojową floty, skład sił przeciwnika i swoje odczucia na temat Grdoch.

W końcu Koenig wstał, sygnalizując zakończenie odprawy.

– Daliśmy panu cholernie twarde orzech do zgryzienia, admirale – powiedział. – Musimy zadać Konfedom bolesne straty, by pomóc rozwinąć się spodziewanym efektom operacji Luter. Musimy wyeliminować z gry Grdoch, w ten czy inny sposób. Musimy także oszczędzać flotę na wypadek, gdyby nie powiodło się ani jedno, ani drugie i ponownie znaleźlibyśmy się w defensywie.

Gray wstał, a razem z nim jego oficerowie.

– Zrobimy, co w naszej mocy, panie prezydencie.

– Wiem, Piachu – odparł Koenig. – Mam do ciebie stuprocentowe zaufanie.

Któregoś dnia, panie prezydencie – pomyślał Gray – zawiodę to zaufanie. I co wtedy?

Rozdział piętnasty

13 marca 2425

Europejski Kanał Informacyjny
Centrala Wywiadu USNA
York Civic Center, Toronto
Stany Zjednoczone Ameryki Północnej
Godzina 6.45 EST

– Nazywany bywam Mesjaszem, który powrócił, by sprowadzić lud do domu!

Postać Constantine'a d'Angelo wypełniała cały obraz, skupiona, groźna, niepowstrzymana... Głos był oczywiście tłumaczeniem, kaznodzieja mówił po francusku, jednak jego głęboki, dźwięczny baryton nadal słyszalny był w tle, hipnotyzując rytmem i rozłożeniem akcentów.

– Mówią o mnie także Antychryst. To ci, którzy odrzucają mój przekaz, moją prawdę! Powiadam wam więc: nie jestem ani Mesjaszem, ani Antychrystem. Jestem posłańcem niosącym nadzieję, życie i odnowienie. Posłańcem, który przybył, by powiedzieć wam, że nastał nowy dzień, nowa era!

Thomas McFarlane uważnie przyglądał się twarzy, szukając... no właśnie, czego? Drgań, załamania linii, nieprawidłowego ułożenia cienia, „dzikich” pikseli... Jednym słowem czegokolwiek, co mogłoby wskazywać, że scena jest sztuczna, stworzona przez komputer. Nie udało mu się jednak znaleźć nic, co sugerowałoby, że Constantine d'Angelo nie jest tym, za kogo się podaje, człowiekiem z krwi i kości przemawiającym gdzieś w Genewie. Krajobraz stolicy Konfederacji, z biało-zielonym, porośniętym cytrusami szczytem Mont Salève, był wyraźnie widoczny w tle.

Tylko McFarlane i garstka jego najbliższych współpracowników wiedzieli, że d'Angelo wcale nie jest człowiekiem, lecz konstrukcją elektroniczną, awatarem, bit po bicie zbudowanym przez superkomputer Konstantin. Część, bardzo niewielka część intelektu i bazy danych Konstantina załadowana została do serwerów genewskich, obsługujących govnet Konfederacji, i obecnie mogły się wyświetlać jako audio i wideo w każdym nośniku. Od kilku dni w serwisach informacyjnych i reportażach pojawiał się „Constantine d'Angelo”, piętnujący rząd za jego zbrodnie przeciwko ludzkości, niesprawiedliwą wojnę ze Stanami Zjednoczonymi i wzywający ludność do zakwestionowania moralnego prawa rządu do reprezentowania społeczeństwa Europy.

Ilość protestów i demonstracji politycznych wywoływanych przez Ruch Światła Gwiazd w ciągu ostatniego tygodnia rosła wykładniczo, zarówno biorąc pod uwagę suche liczby, jak i siłę oddziaływania.

– Rząd genewski – mówił d'Angelo – każe nam wierzyć, że poddanie się jest jedyną nadzieją ludzkości, poddanie się obcym władcom Galaktyki, władcom, których nikt nigdy nie widział, nigdy nie spotkał, z którymi komunikowaliśmy się tylko przez ich niewolników. Pytam więc, czy to jest normalne? Nasz rząd chce powstrzymać technologiczny marsz ku wspaniałej przyszłości, ku nowym lekom, nowym światom, nowym sposobom myślenia i wyrażania siebie samego. Po co? Ci mistyczni i niewidziani dotąd władcy Galaktyki, z którymi walczyliśmy od sześćdziesięciu lat, boją się, że możemy stać się kimś więcej, niż już jesteśmy...

D'Angelo od kilku dni eksploatował ten temat. Sh'daar przeżyli traumę transcendencji swojego wielogatunkowego kolektywu, a teraz zabraniają innym iść własną ścieżką. A rząd genewski ze strachu chce zaakceptować żądania Sh'daar.

Oczywiście nie wszystkie elementy wielokulturowej ludzkości zgadzały się z ideą nieograniczonego rozwoju technologicznego i wiele z nich nadal popierało program Genewy. Kościół Uwielbienia Ludzkości był mocno zakorzeniony w północnej

Europie, a szczególnie we Francji. Purystyczna sekcja tego wyznania utrzymywała, że jakakolwiek zmiana podstawowego genomu *Homo sapiens* jest grzechem, odstępstwem od woli Boga. Polityczne skrzydło, znane jako Pureté de Humanité, pomimo ograniczeń nakładanych przez Białą Konwencję, było silnym zwolennikiem konfederackich inicjatyw pokojowych.

Na południu Kościół katolicki pozostał ostrożny i konserwatywny. Papieżycy w Rzymie wydała ostatnio encyklikę przeciw temu, co nazywała „ślepyim rozwojem ludzkiej technologii, niepopartym rozwojem duchowym, etycznym i miłością”. Antypapież w Marsylii był mniej stanowczy. Technologia powinna być po prostu ostrożnie rozwijana, a nawet kontrolowana przez Biuro Nauki i Technologii, aby zapobiec dalszej degradacji ludzkości.

Oczywiście większość ludzi, ograniczana Białą Konwencją, nie wypowiadała głośno swoich opinii religijnych, nie w momencie, gdy mieszanie religii z polityką groziło grzywną lub nawet więzieniem dla obywateli i sankcjami polityczno-militarnymi w przypadku państw. Tak czy inaczej, duża część społeczeństwa, świadoma tego, że to rozwojowi technologii zawdzięcza komfort, wygodę i ogólnie pojęty styl życia, w większości aprobowała zmiany.

D'Angelo cały czas podkreślał wagę prawa ludzkości do znalezienia własnej drogi, zagwarantowania niepodległości pomiędzy gwiazdami, bez poddawania czegokolwiek obcym cywilizacjom. Jednym z kilku popularnych memów pojawiających się w konfederackich wiadomościach i reklamach był znany rysunek Leonarda da Vinci „Człowiek witruwiański” z ramionami i nogami rozpiętymi na globie otoczonym antycznym francuskim motto: *Liberté, égalité, fraternité*.

Constantine d'Angelo powtarzał także inny temat tak często, że stał się on rozpoznawalnym memem: zbrodnie wojenne. Rząd w Genewie kontynuował prowadzenie niepopularnej wojny z Amerykanami, a co więcej, poważył się na użycie nano-D, zakazanej broni masowego rażenia, aby zniszczyć jedno z miast amerykańskich. Był to przykład niewyobrażalnego przestępstwa

wojennego. Nadal nie wiadomo było, kto osobiście ponosi odpowiedzialność za ten przerażający atak: Ilse Roettgen, prezydent Denoix, generał Korosi czy może jeszcze jakiś inny członek genewskiego rządu.

Nieważne, kto był winien, zniszczenie Columbus stanowiło niezmywalną plamę i koszmar dla każdego rządu.

– Miarka się przebrała! – mówił d'Angelo. – Dostycz dziecinnienia. Dostycz ranienia uczuć i niedojrzałości! Czas odrzucić nacjonalistyczny infantylizm. Czas porzucić strach, by dać unieść się ludzkiej wyobraźni, kreatywności i determinacji. Czas, by stanąć razem jako gatunek. Najwyższy czas dorosnąć i zająć należne miejsce wśród władców Galaktyki, a nie niewolników.

Mocne słowa – pomyślał McFarlane.

Sądząc po napływających meldunkach wywiadowczych, słowa te wydawały się padać na podatny grunt.

USNA CVS „Ameryka”

Stocznia Marynarki Wojennej

SupraQuito

Godzina 7.08 TFT

Lotniskowiec gwiazdny „Ameryka” opuszczał port.

Odepchnięty od doku w otwartą przestrzeń przez holowniki, dryfował przez chwilę, podświetlony najpierw lampami roboczymi, a potem ostrym, jasnym światłem Słońca wyłaniającego się zza zabudowań kompleksu portowego.

Kadłub maszyny miał nową powłokę, pomalowaną na czarno i szaro. Kopuła ochronna chciwie chłoneła światło słoneczne, ukazując wymalowane na nowo nazwę i numer jednostki. Dwie asteroidy, odciągnięte w głąb portu, dostarczyły wiele ton materiałów do nanostruktury kadłuba „Ameryki” brutalnie uszkodzonego przez pierścienie Saturna.

Wokół lotniskowca zgromadzone były inne okręty: lotniskowce

„Saratoga” i „Constitution” oraz mniejszy lotniskowiec Marines „Inchon”. Do formacji dołączyły także lekkie lotniskowce: rosyjski „Sława” i północnoindyjski „Shiva” wraz z okrętami liniowymi „Long Island” i „California”, ciężkimi krążownikami „Calgary” i „Maine”, stadem lekkich krążowników, niszczycieli, fregat oraz parą krążowników artyleryjskich „Porter” i „Decatur”. Cztery okręty Hegemonii Chińskiej przyleciały rano, prowadzone przez lotniskowiec „Shi Lang”. W sumie Zespół Zadaniowy Eridani składał się z dwudziestu czterech okrętów. Razem w ciasnej formacji rozpoczęły przyspieszanie poza system.

Kierowali się w stronę konstelacji Eridanus, czternaście stopni na zachód od białoniebieskiego diamentu gwiazdy Rigel.

– Zakodowana wiadomość, oznaczona jako osobista i poufna, panie admirale – odezwał się porucznik Kepner. – Z TPSD.

Tymczasowe prezydenckie stanowisko dowodzenia oznaczać mogło albo samego Koeniga, albo jego szefa sztabu bądź kogoś z Połączonego Kolegium.

– Odkoduj ją i prześlij do mnie.

W chwilę później w oknie komunikacyjnym w głowie Graya pojawiła się twarz admirała Armitage’a. A więc to coś z Połączonego Kolegium.

– Dzień dobry, Piachu!

Gray sprawdził czas. Znajdowali się już pięć minut od Ziemi, tak więc miał to być raczej monolog niż rozmowa.

– Przepraszam, że nie zdążyłem przed odlotem, ale to właśnie nadeszło z Crisium i uważałem, że powinieneś to zobaczyć.

W świadomości słuchacza pojawiła się kolejna ikona, ukazująca załącznik.

– To wynik operacji Luter i tego, co ty przywiozłeś nam z Enceladusa. Mamy obecnie działające oprogramowanie translacyjne dla języka Grdoch. To powinno pomóc ci na Vulcanie.

Gray pokiwał głową. To była dobra wiadomość. Rozszyfrowanie całkowicie obcego języka ze strzępków stanowiło ogromnie trudne zadanie nawet na Ziemi, gdzie

naukowcy dysponowali całą mocą obliczeniową Konstantina i innych potężnych AI.

Dotychczasowe oprogramowania tłumaczące powstawały głównie dzięki pomocy Agletsch, które robiły takie rzeczy już od wieków, tworząc grupę międzygwiazdnych dialektów umożliwiających im handel informacjami pomiędzy bardzo różnymi cywilizacjami. Problem stał się dużo poważniejszy, gdy obce języki zaczęły obejmować także takie rzeczy, jak zmiany kolorów, ruchy określonych części ciała, wzory na skórze, pole elektryczne czy nawet zapach. Jeszcze większym problemem w przypadku komunikacji międzygatunkowej był fakt, że obcy stan umysłowy, zestaw punktów widzenia, nastawień, sposobów rozumowania mógł tak bardzo się różnić, iż dwa gatunki nie miały szans na nawiązanie komunikacji.

Przy działającym programie translacyjnym nie powinno być jednak problemów. Gray zastanawiał się, jak konfederacy ksenolingwiści uporali się z tym problemem w tak krótkim czasie.

– Mamy jednak także inne informacje pochodzące z plików zdobytych podczas operacji Luter – kontynuował Armitage. – Bardzo... niepokojące informacje. To może całkowicie zmienić zakres twoich rozkazów.

O bogowie! Tego właśnie Grayowi było potrzeba... Kolejnej zmiany rozkazów odzwierciedlającej skłonność HQMILCOM do mikromenadżmentu.

Armitage wyglądał na zakłopotanego. Chyba myślał o tym samym.

– Na odprawie u prezydenta – kontynuował – widzieliśmy, jak bardzo biochemia Grdoch przypomina ludzką. To oczywiście niezwykle, biorąc pod uwagę ogromną różnorodność życia i życiowych procesów chemicznych w Galaktyce, jednak możliwe. RNA wyrasta względnie łatwo z TNA, a DNA jest prawie automatycznym produktem ewolucyjnym RNA. Życie oparte na DNA zawierać będzie proteiny i aminokwasy podobne do ziemskich, z prawdopodobieństwem wynoszącym dwadzieścia pięć procent, że składać się będzie z lewoskrętnych

aminokwasów i prawoskrętnych cukrów.

Gray zmarszczył brwi. Po co mu teraz cholerna lekcja biologii?

– Co z tego wynika, to oczywiście fakt, że Grdoch mogą jeść nasz pokarm... mogą czerpać składniki odżywcze z ziemskich form życia. Zgodnie z meldunkami z Vulcana, jakie widzieliśmy, a szczególnie *Le Rapport d’Gouverneur Delgado de Vulcan* oraz *La Massacrer* Grdoch myślą o nas, ludziach, jako o zwierzętach rzeźnych.

Gray podejrzewał to już od jakiegoś czasu. Po tym, jak widział Grdoch biesiadujących na ogromnych zwierzętach na pokładzie ich okrętu w pobliżu Enceladusa, był przekonany, że obcy posiadali imperatyw kulturowy, a może nawet ewolucyjny, zmuszający ich do polowania i rozszarpywania ofiary.

Ludzie mieli tendencję do rytualizowania prostych funkcji biologicznych, seksu, wydalania, odżywiania. Choć seks obecnie był mniej obwarowany zakazami i nakazami i nie wiązał się już z ryzykiem zachorowania, nadal pozostały pewne stare regulacje, określające gdzie i kiedy para mogła to robić. Nie wspominając już o kulturalnych napięciach między monogamią i poligamią czy o rytuale zawierania związku małżeńskiego. Pozbywanie się produktów przemiany materii wciąż odbywało się w samotności, a posiłki nadal stanowiły okazję do świętowania, socjalizowania się i zawierania przyjaźni.

To oczywiście były ludzkie rytuały. Dla Agletsch publiczne spożywanie posiłków stanowiło tabu, nawet jeśli przebywały wśród swoich, podczas gdy prymitywni Habu z Psi Cancri III publicznie się wypróżniali, znacząc swoje terytorium przed każdą rozmową czy transakcją.

Grdoch ze swoimi licznymi ustami, otoczonymi zębami ssawkami, umieszczonymi na całych ciałach, wyglądali na przystosowanych do jedzenia dosłownie od środka, a atak na zwierzę rzeźne, który obserwował Gray, był wysoce stylizowany – atak, wniknięcie w ofiarę, jedzenie. Ludzie, zdaniem admirała, nie stanowili wystarczającego posiłku, jednak podobnie jak w wypadku wielu rytuałów behawioralnych mogło nie chodzić o szczegóły, lecz o sam fakt.

Tak, jeśli ludzie mogli dla nich stanowić pokarm, nie będąc trucizną, jedyną rzeczą powstrzymującą gastronomiczny entuzjazm Grdoch mogła być świadomość, że ich ofiary są istotami myślącymi, inteligentnym gwiazdowym gatunkiem, takim jak oni sami.

Biorąc pod uwagę fakt, że sami ludzie mieli bardzo nieczyste sumienia w tym zakresie, począwszy od rytualnego kanibalizmu, a skończywszy na rzezi wymarłych obecnie waleni, inteligencja mogła też nie stanowić dla Grdoch wystarczającego hamulca.

– Biorąc to pod uwagę – kontynuował Armitage – twoje rozkazy zostały zmienione.

Zaczyna się – pomyślał Gray.

– Twoim celem głównym nadal pozostaje zbadanie zniknięcia „Intrepid”. Jednak obecnie nacisk położony zostaje na pokaz siły w celu ustanowienia pokojowych relacji z lokalnym rządem Vulcana. Z tego powodu unikać masz bombardowania wstępnego. W szczególności odnosi się to do bombardowania relatywistycznego. Istnieje prawdopodobieństwo, że na Vulcanie znajdują się amerykańscy jeńcy wojenni, dobrze byłoby także zawrzeć separatystyczny pokój z lokalnym rządem, nie niszcząc planety. W przypadku Grdoch musisz zdać się na własną ocenę. Jeśli będziesz mógł użyć oprogramowania językowego, by zdobyć ich przyjaźń, zrób to, ale muszę podkreślić jedną rzecz: nie ufaj im! Nasi naukowcy z Crisium twierdzą, że Grdoch używają prawdy jak narzędzia, by otrzymać to, na czym im zależy. Możliwe, że całkowicie obce jest im pojęcie dotrzymywania umowy. Jednocześnie Senat USNA zdecydował, że mamy zbyt małe siły, by angażować się w kolejną wojnę. Możesz się bronić, ale nie szukaj kłopotów. Przepraszam, że to takie namieszane, Piachu. Tajne rozkazy to skurwysyństwo. Wiem jednak, że możemy na ciebie liczyć.

Pięknie, kurwa, pięknie – pomyślał Gray o problemie zaprzyjaźniania się z ogarniętymi żądzą krwi Grdoch i o swojej załodze. Będą tym zachwyceni...

Obóz jeniecki
Himmel-Paradisio, Neubawaria
Vulcan, 40 Eridani A II
Godzina 17.25 czasu lokalnego / 9.43 TFT

Gubernator wraz z większością swoich ludzi dawno już stracił wszelką nadzieję.

Immanuel Vincente Delgado sprawował urząd od czterech lat. Przy populacji liczącej obecnie około osiemdziesięciu siedmiu milionów, Vulcan nie był w pełnym tego słowa znaczeniu planetarnym megalopolis. Ponieważ zaś niezależność kolonii od Ziemi pozostawała tylko oficjalna, stanowisko gubernatora było w zasadzie bardziej tytularne. Funkcję tę pełnili naprzemiennie przedstawiciele społeczności latynoskiej i niemieckiej, będąc konstytucyjnie wybranymi reprezentantami, a kadencja trwała pięć lat. Było to być może stanowisko wyłącznie reprezentacyjne, jednak ktoś musiał występować w imieniu populacji. Chodziło o prestiż i godność. Ludzką godność.

Los demonios nie przejmowali się prawami konstytucyjnymi, poprawnością polityczną, a z całą pewnością za nic mieli ludzką godność.

Jedyne, co ich obchodziło, to pora posiłku.

Potwory wchodziły na teren zamknięty. Delgado nie widział ich, brama była oddalona o sto metrów od miejsca, w którym siedział, słyszał jednak krzyki i widział falę nagich ludzi rozlewającą się po nierównym terenie.

Okazało się, że Grdoch wolą polować na swoje ofiary.

– Tylko nie znowu to! – krzyknęła kobieta siedząca obok niego.
– Jak długo to już trwa?

– Nie jestem pewien – odpowiedział Delgado. – Jakies kilka tygodni...

Maria Fuentes przebywała w obozie stosunkowo niedługo. Była pierwszym oficerem amerykańskiego lotniskowca gwiazdowego „Intrepid”, wzięto ją do niewoli, gdy okręt został

poważnie uszkodzony podczas potyczki dwa tygodnie wcześniej. Uratowała ją jednostka SAR Konfederacji i dostarczyła do obozu jenieckiego w Himmel-Paradisio, jednak gdy Grdoch pokazali swoje prawdziwe oblicze, wraz z innymi rozbitkami z „Intrepid” kilka dni temu przeniesiona została w to miejsce. Obecnie załoga lotniskowca oraz prawie tysiąc cywilów z Himmel-Paradisio przetrzymywani byli w tym miejscu jako jeńcy.

Nazwa miasta w obu językach oznaczała raj. Jednak w ciągu ostatnich dni to miejsce zamieniło się w piekło.

Napływający tłum rozdzielił się, rozpraszając po ogrodzonej przestrzeni, i Delgado mógł już zobaczyć *los demonios*. Tuzin zakrwawionych, szkarłatnych postaci pokrytych obscenicznie ruszającymi się trąbkami i uzębionymi ustami, machających trzema pazurzastymi kończynami i poruszających się z zadziwiającą prędkością. Fuentes cofnęła się, drżąc na całym ciele, a Delgado poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Jeden z Grdoch, oddalony zaledwie o kilka metrów, sięgnął łapą i chwycił jakąś szarpiącą się i wrzeszczącą kobietę. Gubernator desperacko chciał pomóc, jednak nie był w stanie nic zrobić.

Przyszpiliwszy kobietę do ziemi, potwór przetoczył się na nią, przykrywając ją całkowicie, z wyjątkiem kopiących dziko nóg. Przynajmniej jej dzikie wrzaski zostały stłumione przez tłuste cielsko potwora.

Gdy Grdoch uniósł się znad jej ciała, pozostały tylko krwawe szczątki, porozrzucane kończyny, głowa z przerażająco pozbawioną wyrazu twarzą i skóra torsu.

– *Ay, Dios y Santa Maria!* – wyszeptała Fuentes.

Delgado pomyślał ze zdziwieniem, że Fuentes nie powinna odwoływać się do religii, jednak zdał sobie sprawę, że jego przerażony umysł po prostu stara się myśleć o czymś innym, czymkolwiek innym, byle tylko nie skupiać się na tym, co działo się przed nim. Biała Konwencja nie miała tu żadnego znaczenia. W obliczu takiego horroru, takiej bezradności ludzie wzywali swoich bogów, nie zważając na niestosowność tych wezwań i regulacje prawne.

Nasycony potwór stoczył się z ciała kobiety i zaczął wolno

wycofywać się w kierunku bramy. Pozostali Grdoch także unosili się znad ofiar. Mała grupa mężczyzn i kobiet po prawej stronie spróbowała zaatakować jednego z napastników, z przewidywalnym efektem. Grdoch byli dużo silniejsi od ludzi, a ich skóra przypominała elastyczny plastik. Nie dysponując inną bronią niż zaostrome kije i gołe dłonie, ludzie nawet w większej grupie nie byli w stanie zagrozić obcemu. Nie przerywając posiłku, potwór sięgnął szponem, zahaczył dwie osoby, a następnie podążył za swoimi pobratymcami, zostawiając rannych tarzających się w piachu i własnych wnętrznościach.

Koszmar zakończył się, jednak Delgado wiedział, że horror będzie się powtarzał. Małe grupy Grdoch pojawiały się na placu co kilka godzin. Zgromadzeni tu ludzie zostali rozebrani do naga, prawdopodobnie po to, by ułatwić prześladowcom konsumpcję. Inni, pod baczным nadzorem silnie uzbrojonych obcych, codziennie przynosili uwięzionym jedzenie. Częściowo były to suche racje żywnościowe, ale w większości krwawe ochłapy mięsa.

Lepiej było nie myśleć, z jakiego zwierzęcia pochodziły...

Tak czy inaczej, Delgado i pozostali przywódcy społeczności wzięli na siebie odpowiedzialność za sprawiedliwy rozdział żywności. Wodę przywożono cysternami i wylewano do długiego, błotnistej rowu w pobliżu bramy. Grdoch najwyraźniej chcieli utrzymać swoje zwierzęta rzeźne przy życiu tak długo, jak to tylko było możliwe, jednak wygody nie należały do priorytetów. Ludzie spali na gołej ziemi, tłocząc się, by wzajemnie się ogrzewać.

Jeśli chodziło o załatwianie potrzeb fizjologicznych, Delgado wyznaczył do tego południowo-zachodni róg zagrody. To było jedyne możliwe rozwiązanie, ale nawet po jego wprowadzeniu niektórzy z zatrzymanych nie przestrzegali tej najprostszej zasady sanitarnej. W to miejsce odciągano także pozostałości po posiłkach Grdoch, gdy skończył się czas jedzenia. Nie było ani miejsca, ani narzędzi, ani woli, by przeprowadzać przyzwoite pogrzeby.

Delgado obawiał się, że ta odrobina dyscypliny obozowej

wkrótce całkowicie się załamie. Ludzie byli kompletnie zdruzgotani, pozbawieni cienia jakiegokolwiek nadziei. Próby walki były wyrazem desperacji lub samobójczej chęci zakończenia koszmaru niepewności, kto zostanie upolowany jako następny.

– Na pewno... na pewno... zostanie... wysłana flota – powiedziała z trudem Fuentes. Płakała, mówiąc. W ostatnim tygodniu widziała rozszarpywanych wielu członków załogi, była nawet w grupie próbującej walczyć. Stało się to wtedy, gdy potwór dopadł Michaela Glovera, kapitana „Intrepid”. Była to odważna próba, jednak całkowicie bezskuteczna.

– Nie jestem tego pewien, pani komandor – odparł Delgado. – Okręty, które tutaj mieliśmy, poleciały z Grdoch w zeszłym tygodniu. Ludzie z naszej Marynarki uważają, że te demony są ich najlepszymi przyjaciółmi.

– Mam na myśli swoich – odpowiedziała Fuentes. – USNA. Wiedzą, że „Intrepid” znikł. Może nawet dotarł do nich dron, którego wysłałam. Wyślą tu silniejszą flotę.

– Zakładając oczywiście – wolno powiedział Delgado – że Grdoch nie zaatakowali także Układu Słonecznego. Do tego czasu powinni już tam być. Być może przez cały czas o to im właśnie chodziło. O poznanie położenia naszej planety macierzystej.

Wzruszył ramionami, prawie dodając: „czyli o znalezienie drogi do nowej spiżarni”, ale powstrzymał się. Fuentes mogła nie wytrzymać większej ilości stresu, a jego czarny humor jedynie pogorszyłby sytuację. Kobieta znalazła się na krawędzi szaleństwa.

– Nadal nie mogę zrozumieć... Jak oni mogą myśleć o nas po prostu jak o żarciu – powiedziała Fuentes, kręcąc głową w negacji czegoś, o czym wiedziała doskonale, że jest prawdą. Przestała płakać i wydawała się ponownie interesować problemem, kim i czym byli obcy i jak można ich powstrzymać. – Wiedzą przecież, że jesteśmy inteligentni, że jesteśmy cywilizacją gwiazdną. Mówił pan, że rozmawiali z dowódcami waszej flotyli.

Delgado potwierdził.

– Gdy po raz pierwszy pojawili się w układzie, zaatakowali nas, naszą planetę i poczynili ogromne zniszczenia w kilku miastach. Myśleliśmy, że to kolejna rasa podległa Sh'daar, i próbowaliśmy przekazać im, że chcemy zawrzeć pokój z sojuszem. Nie mieliśmy obrony planetarnej, tylko kilka okrętów Legionu Vulcan chroniących układ... przed wami.

Pokiwała głową, a Delgado pomyślał, jakie to dziwne, że rozmawia w ten sposób z oficerem Marynarki USNA, wrogiem. Przybycie prawdziwych obcych sprawiło, że wszelkie polityczne różnice stały się nieważne. Dla nich dwojga, załamanych psychicznie, leżących nago w błocie i bezradnie oczekujących ponownego przybycia Grdoch, nędzne polityczne spory nic nie znaczą. Mniej niż nic.

Wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia. Wzięła jego dłoń w swoje.

– Obcy – powiedział, kontynuując opowieść – rozproszyli Legion. Wylądowali i ustanowili bazę na Las Pampas. To drugi kontynent, mniejszy. Zmasakrowali tam, nie znam dokładnych danych, prawdopodobnie kilka milionów kolonistów. Większość populacji Nowej Argentyny i Buena del Mar. Z Ziemi przybyła flota pod dowództwem komodora Beckera, znajdującego się na pokładzie „Emden”. To, co pozostało z Legionu, dołączyło do niej i wspólnie zaatakowali obcych, ze sporym sukcesem. Przynajmniej flota Grdoch została wyparta z planety, ich baza wyizolowana, a komodor Becker przeprowadził bombardowanie Nowej Argentyny. Wtedy to właśnie byłem w stanie przesłać kilka raportów na „Emden”, a oni wysłali to na Ziemię za pomocą drona komunikacyjnego.

– Ale... w końcu udało wam się skomunikować?

Delgado potwierdził.

– Podczas bombardowania obcy na planecie przestali strzelać i szerokopasmowo zaczęli nadawać obraz, macierz binarną tysięcy dwadzieścia cztery na tysięcy dwadzieścia cztery, tworzącą symbol.

– Jaki symbol?

– Ten.

Delgado narysował na ziemi palcem wąską, pionową elipsę, wpisaną w okrąg. Wyglądało to trochę jak szkic kociego oka.

– Co to znaczy?

– Na początku nie wiedzieliśmy, ale wzięliśmy to za znak, że demony chcą się z nami porozumieć. Lingwiści na pokładzie „Emden” pomyśleli, że to może być symbol oznaczający obcych, coś jak godło. Później przypuszczali, że może oznaczać to „poddajemy się” lub „chcemy rozmawiać”.

– Trudno jest nauczyć się całkowicie obcego języka od początku, nie wiedząc nic o kulturze tych, którzy go używają, nie mając nawet wiedzy, czy używają oni języka mówionego.

– Właśnie. Na szczęście komodor Becker miał na pokładzie zespół Agletsch.

Fuentes wyglądała na zaskoczoną.

– Agletsch współpracują także z wami?

– Oczywiście. Proszę się nie wygłupiać. Zanim się od nas oderwaliście, Agletsch współpracowały z całą Konfederacją. Są całkowicie apolityczne. Wiem, że kilka nadal współpracuje z wami, jednak mają dużą enklawę w Genewie i służą na pokładach naszych okrętów jako lingwiści i specjaliści od kontaktów.

– Oczywiście. – Kobieta wyglądała na zawstydzoną. Delgado pomyślał, że jest naiwna, ale przypisał to jej wiekowi. Jako komandor musiała mieć trzydzieści kilka lat, jednak wyglądała znacznie młodziej. Kosmetyki odmładzające.

A może to stres i sytuacja sprawiły, że nie myślała całkowicie jasno. No cóż, nie można jej za to winić.

– Tak czy inaczej – mówił dalej Delgado – Agletsch są ekspertami w ustanawianiu kontaktów z nieznanymi gatunkami. Z ich pomocą Becker zdołał nawiązać kontakt i walki natychmiast ustały. Myśleliśmy, że być może... że nastąpiła straszliwa pomyłka, że oni nie zdawali sobie sprawy z tego, iż mają do czynienia z inteligentnymi istotami, aż do momentu, kiedy Becker do nich przemówił. A może byli w stanie wojny ze Sh'daar, skoro Agletsch twierdziły, że nie należą do sojuszu. – Wzruszył ramionami. – Obecnie uważam, że oni udawali tylko

nieporozumienie, mając nadzieję dowiedzieć się, gdzie leży nasza macierzysta planeta. Becker opuścił system i poleciał w kierunku Ziemi, a jeden z okrętów Grdoch wraz z nim. Obcy pozostający na Vulcanie zaatakowali ponownie, mniej niż dziewięć godzin po wejściu okrętów w metaprzestrzeń.

– Kolejne nieporozumienie? – spytała Fuentes. Brzmiało to tak, jakby koniecznie chciała znaleźć wytłumaczenie dla tego horroru.

– Nic nie zrobiliśmy! – krzyknął Delgado. – Nic! Zniszczyli ostatnie okręty Legionu, wylądowali poza miastami i za pomocą laserów obrócili je w ruiny! Gdy rzuciliśmy broń i próbowaliśmy się poddać, transmitując sygnał, który nam pokazali, zgonili nas razem, zdarli z nas ubrania i zaprowadzili do tych zagród. Od tego czasu jesteśmy tutaj, bezradni. Jako żarcie. Żarcie dla tych demonów!

– Zawsze myślałam, że... – powoli powiedziała Fuentes – że obce gatunki nie mogą żywić się sobą nawzajem. Że stanowią dla siebie truciznę.

Delgado ponownie wzruszył ramionami.

– W większości przypadków to pewnie jest prawda. Podobno prawdopodobieństwo, aby cukry i aminokwasy były kompatybilne, wynosi jeden do czterech przy założeniu, że oba gatunki są oparte na węglu. Agletsch mają taką biologię. Słyszałem, że mogą jeść nasze pokarmy.

– Nie wiedziałam.

– To prawda. Oczywiście niektóre gatunki potrzebują w swoim pokarmie elementów śladowych, takich jak arsenik czy antymon, będących dla innych form życia truciznami. Albo mogą oddzielać truciznę w swoich tkankach, tak jak vulkańskie langusty albo jakaś ryba na Ziemi. Jednak natura ma tendencję do konserwatyzmu. To, co sprawdza się na jednym świecie, może równie dobrze ewoluować na innym, prawie takie samo. Różnice między gatunkami, te prawdziwe różnice, nie są biologiczne. To różnice w umysłach, w sposobach myślenia.

– To tak jak z tymi Grdoch – powiedziała Fuentes. – Nie mają problemu z jedzeniem innych inteligentnych form życia.

– Pod tym względem wcale tak bardzo nie różnią się od nas. Wiemy, że niektóre z gatunków wielkich waleni były inteligentne, zanim nie wybiliśmy ich wszystkich. Inne ziemskie zwierzęta także wykazywały duży poziom inteligencji: ośmiornice, słonie. Nie powstrzymało to ludzi przed zabijaniem ich dla pożywienia albo dla sportu. Ani od eksploatowania ich w inny sposób.

– Ale w tym czasie nie wiedzieliśmy, że są inteligentne!

– Tylko dlatego, że nie próbowaliśmy ich zrozumieć. Albo nie chcieliśmy.

– Jak Grdoch.

– Przynajmniej na początku. Ale teraz wiedzą, że jesteśmy gatunkiem myślącym. Rozmawiali z nami. Jednak wydaje się, że rządzi nimi apetyt.

– Imperatyw ewolucyjny?

Delgado potwierdził.

– Tak sędzę. Podczas... podczas krótkiego zawieszenia broni widziałem coś bardzo niepokojącego. W ich bazie w Las Pampas mieli zagrodę, podobną do tej tutaj. Trzymali tam kilka... zwierząt. Wielkie bestie, podobne do pozbawionych kości wielorybów. Grdoch wchodzili na teren tej zagrody i atakowali te stworzenia, rozdzielali je i dosłownie zanurzali się w nich, jedząc wszystkimi ustami jednocześnie. Doktor Schmidt, nasz najlepszy ksenobiolog, zauważył, że te zwierzęta były najpewniej wynikiem inżynierii genetycznej, zapewniającym Grdoch żywe źródło pożywienia. Prawdopodobnie z jakiegoś powodu muszą jeść swoją ofiarę, gdy ta jeszcze żyje. – Wzdrygnął się. – Okropne. Znamy jednak wiele ziemskich gatunków, które także zjadają ofiary żywcem.

– Ale inteligentne istoty powinny...

Znów wykazała się naiwnością.

– To tylko kulturalna preferencja, pani komandor. A nie konieczność. Może Grdoch potrzebują, by ofiara walczyła i szarpała się, aby wytworzyć jakiś enzym trawienny. A może po prostu ekscytuje ich pochłanianie żywego stworzenia. Przynajmniej...

– Co?

– Przynajmniej ludzie są zbyt mali, by chcieli utrzymywać ich przy życiu na kilka posiłków, tak jak to robią z tymi wielkimi bestiami. Dla nas męczarnia trwa dużo krócej.

Nowy chór krzyków zabrzmiał z drugiej strony zagrody. Potwory znów wdzierały się do środka. Miały zwyczaj pojawiać się małymi grupami, po dziesięć, dwanaście... a na Vulcanie było obecnie wiele tysięcy Grdoch.

– *Santa Maria, Madre de Dios* – powiedziała Fuentes.

Delgado zamknął oczy i prosił Boga, by pozbawił go całkowicie słuchu.

Proszę, proszę, niech to piekło się już skończy...

Rozdział szesnasty

13 marca 2425

Tymczasowe prezydenckie
stanowisko dowodzenia
Toronto

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej
Godzina 9.58 EST

Prezydent Koenig rozparł się w fotelu i odprężył, klikając jednocześnie w myślach na ikonę. W mentalnym oknie pojawiło się logo NAVS-CS, Północnoamerykańskiego Sympozjum Wirtualnego do spraw Nauk Kosmologicznych, które chwilę później zbladło, ukazując generowany komputerowo obraz Galaktyki, szerokiej spirali pyłu gwiazdowego, nachylonej pod kątem czterdziestu pięciu stopni w stosunku do punktu obserwacji i lekko spłaszczonej.

Prezydent uśmiechnął się na ten widok. Tylko raz ludzie mieli okazję zobaczyć Drogę Mleczną od zewnątrz, a było to dwadzieścia lat temu, gdy Koenig prowadził Grupę Bojową „Ameryka” przez czasoprzestrzenny cylinder AGTR, pojawiając się w miejscu, które dużo, dużo później stało się gromadą kulistą Omega Centauri. W tym czasie, prawie dziewięćset milionów lat temu, Omega Centauri, znana swoim licznym mieszkańcom jako Chmura Gwiazdowa N’gai, znajdowała się kilka tysięcy lat świetlnych nad płaszczyzną wiecznie głodnej Drogi Mlecznej, przez którą kilka milionów lat później została wchłonięta. Sh’daar z zamierzchłej przeszłości tak bardzo obawiali się konfrontacji ze współczesnymi mieszkańcami Galaktyki, że zgodzili się na zawieszenie broni. Podczas gdy „Ameryka” była

tam, w sercu pozagalaktycznej gromady, jednostka rozpoznawcza wydostała się z niej, by z zewnątrz spojrzeć na Drogę Mleczną, z unikalnej perspektywy dającej zapierający dech widok.

To, co obecnie oglądał Koenig, zostało oparte na zdjęciach zrobionych w tym czasie, choć to, co widział z pokładu „Ameryki”, bardziej przypominało jaśniejącą, szeroką ścianę gwiazd i mgławic. Chmura N’gai była zbyt blisko płaszczyzny Galaktyki, by uzyskać prawdziwą perspektywę zamkniętej spirali Drogi Mlecznej.

Koenig musiał jednak przyznać, że obrazy dostarczone przez grupę bojową i obrobione przez sztuczne inteligencje dostarczyły sympozjum wspaniałego materiału.

Do sympozjum dołączali inni, logując się setkami, a może nawet tysiącami. Jedną z największych zalet całkowicie zlinkowanego elektronicznie społeczeństwa była niesłychana łatwość spotkania interesującego człowieka.

NAVS-CS rozpoczęło swoją działalność głównie jako forum wymiany informacji między kosmologami, czyli platforma dla profesjonalistów, pomagająca im dzielić się wiedzą w szybko zmieniającym się środowisku. Temat budził jednak powszechne zainteresowanie, tak więc sympozja, takie jak to, goszczone przez wirtualny kampus Uniwersytetu Kolorado, cieszyły się znaczną popularnością poza kręgami kosmologów, astronomów i fizyków grawitacyjnych.

– Admirał King? – odezwał się głos w jego głowie. – Witamy na sympozjum. Czy możemy w jakiś sposób pomóc?

Głos należał do AI, elektronicznego opiekuna dla wirtualnych uczestników konferencji. „Alex King, admirał w stanie spoczynku” był alter ego Koeniga przeznaczonym na takie okazje. AI wiedziała oczywiście, kim był w rzeczywistości, miała pełny dostęp do ID i danych każdego z uczestników, jednak protokół zezwalał tym, którzy potrzebowali nieco anonimowości, na stworzenie fikcyjnych awatarów, umożliwiających im wzmieszanie się w niewidzialne tło.

– Wszystko w porządku, dziękuję – odparł Koenig.

– Do którego panelu chciałby pan dołączyć?

– Tylko do tego.

– Rozumiem. „Metryki grawitacyjne w zastosowaniach do metawersalnej jedności wielowymiarowej”. Cieszy się on wyjątkowym zainteresowaniem.

– Tak myślałem.

– Czy wie pan, w jaki sposób ściągać jednocześnie opisy techniczne i definicje?

– Oczywiście.

– Moim obowiązkiem jest zapytać. Życzę miłego pobytu. Jeśli będzie pan czegokolwiek potrzebował, proszę kliknąć tę ikonę.

W wewnętrznym oknie Koeniga pojawiła się nowa ikona.

– Dziękuję.

Głos AI zamilkł, a Koenig został ponownie sam w morzu elektronicznych obecności. Zgodnie z danymi widocznymi na liście obecnych było dobrze ponad dwa miliony ludzi. Zadziwiające.

W pewnym momencie zamigotała lampka połączenia. Sprawdził i zobaczył, że była to Deborah Johnston. Senator Deborah Johnston... albo była nią do wyborów w 2420, a potem...

– Dobry Boże... Deb?

Przez elektroniczny interfejs mógł wyczuć jej uśmiech.

– Alex, to jednak ty! Tak myślałam, że to musi być pan prezydent...

– No cóż, w przebraniu. Wiesz, jak to jest.

– Faktycznie wiem.

– Boże, Deb... myślałem, że nie żyjesz! Po Columbus...

– Byłam poza miastem – odpowiedziała. – Mexico City.

– Od tego czasu mieliśmy sporo chaosu.

– Doskonale sobie zdaję sprawę! Przeniosłam się do megalopolis LA. Pracowałam w Departamencie Terraformingu USNA jako doradca.

Koenig po raz pierwszy spotkał Deb, gdy oboje znajdowali się po przeciwnych stronach w Senacie, krótko po tym, jak został do niego wybrany w 2410 roku. Spierali się w wielu sprawach, przede wszystkim dotyczących niezależności Stanów

Zjednoczonych, niepodległości Peryferii i morskich wolnych miast... by w końcu wylądować w łóżku. Relacje seksualne zakończyły się w 2418 roku, gdy Koenig zaczął ubiegać się o prezydenturę i został wybrany na pierwszą sześcioletnią kadencję. Pozostali jednak bliskimi przyjaciółmi i o ile Koenig nie lubił jej liberalnych, globalistycznych poglądów, o tyle ją samą bardzo szanował.

Myślał... zakładał, że przebywała w Columbus, gdy stolica wyparowała po konfederackim ataku nano-D, i stała się jedną z milionów ofiar katastrofy.

Odetchnął z ulgą.

– To... to wspaniale, Deb! Szkoda, że nie dałaś mi znać, że wszystko z tobą w porządku.

– Ty też mogłeś się spróbować ze mną połączyć, prawda? Byliśmy...

– Wiem, wiem. Zajęci. Tak. Jesteś obecnie w LA?

– W Hilliard.

– Ohio?

– Departament pracuje nad rekonstrukcją Columbus. Doradzam im.

– Fantastycznie!

Gdy Konfederacja zbombardowała Columbus 15 listopada 2424 roku, po centrum stolicy został tylko krater o średnicy trzech kilometrów i głębokości pięciuset metrów. Hilliard należało do przedmieść Wielkiego Columbus i oddalone było od centrum o piętnaście kilometrów, leżało poza granicą zniszczeń spowodowanych falą uderzeniową. Koenig już kilka tygodni temu podpisał plany rekonstrukcji.

– Jak idzie odbudowa?

– Całkiem nieźle. Wyczyściliśmy ruiny. Mamy nadzieję za tydzień, dwa rozpocząć wznoszenie budynków.

Koenig pokiwał głową. Widział, aprobował te plany. Krater, obecnie wypełniony wodą z wodospadu Scioto, miał pozostać jako idealnie okrągłe jezioro otoczone przez kilometrowej wysokości wieże mieszkalne i arkologie. Nanokonstruktorzy zostali już zaprogramowani do wykonania tego zadania. W ciągu

roku Columbus powinno wyglądać piękniej niż przed katastrofą.

Gdyby tylko udało się jeszcze odbudować te miliony ludzi.

– To dobrze – powiedział. Przez moment szarpał się pomiędzy radością z odnalezienia przyjaciółki a poczuciem obowiązku. Stwierdził, że bardzo chce ją ponownie zobaczyć. – Słuchaj, Deb, ja...

– Zaczekaj, Alex, myślę, że zaczynają.

Koenig poczuł jednocześnie ukłucie żalu i wyczuwalną ulgę. Może lepiej było nie iść za daleko tą ścieżką.

– Dzień dobry, panie, panowie i AI – rozległ się nowy głos. W oknie znajdowała się młoda twarz, a tabliczka identyfikacyjna przedstawiała mężczyznę jako doktora Howarda Gilmore'a z Uniwersytetu Kolorado. – Witamy na Północnoamerykańskim Sympozjum Wirtualnym. Naszym pierwszym prezentującym będzie AI Stephen Hawking. Wcześniej jednak zachęcam państwa do ściągnięcia informacji uzupełniających, pochodzących od amerykańskiej lotniskowcowej grupy bojowej badającej anomalię przy Omega Centauri, szesnaście tysięcy lat świetlnych od Ziemi.

Koenig załadował materiał. W zasadzie znał go już z meldunków bezpośrednio po powrocie „Ameryki” do Układu Słonecznego. Tajemnicze konstrukcje Obcych z Rozety w sercu Omega Centauri stały się powszechnie znane, gdy okrojone wersje meldunków dostały się do kanałów informacyjnych.

Początkowo uważał, że rząd powinien te dane ocenzurować, co najmniej na poziomie „tajne”, i zezwolić jedynie garstce wybranych ludzi i AI w ogóle wiedzieć o ich istnieniu. Tajemnice tego typu są jednak trudne do utrzymania, zwłaszcza gdy w grę wchodzi środowisko naukowców. Doradcy prezydenta, z Marcusem na czele, nalegali na utrzymanie tajemnicy choćby dlatego, że Stany Zjednoczone nie mogły sobie pozwolić na przechwycenie tej informacji przez Konfederację. Jeśli Genewie udałooby się nawiązać kontakt z Obcymi z Rozety lub co gorsza, zawrzeć jakiś traktat, mogłoby to oznaczać koniec marzeń Stanów Zjednoczonych o niepodległości.

Lecz Koenig pozostawał niezdecydowany. O ile wojna

z Genewą miała duże znaczenie, o tyle kontakt z gatunkiem tak potężnym i technologicznie zaawansowanym jak Obcy z Rozety był stokroć ważniejszy. Sojusz z taką cywilizacją, o ile mógł być w ogóle brany pod uwagę, prawdopodobnie oznaczałby koniec zagrożenia ze strony Sh'daar. W opinii Koeniga przetrwanie rasy ludzkiej było dobrem nadrzędnym, niepodległość Stanów Zjednoczonych mogła zejść na dalszy plan.

Koenig przejrzał ściągnięty materiał, sprawdzając, czy nie znajdzie czegoś, co wcześniej przegapił. Było jednak wszystko, tak jak to pamiętał, obserwacje poczynione przez grupę bojową „Ameryki” w Omega Centauri, dane i zdjęcia zebrane podczas bliskiego przelotu pojedynczego ludzkiego zwiadowcy, spekulacje różnych członków zespołów naukowych wyprawy, w tym analiza plasująca obcych na mocnej pozycji K-3 w skali rozwoju cywilizacyjnego.

– Wszyscy jesteście już na bieżąco z materiałem – powiedział Gilmore po chwili. – Możemy więc przywitać naszego pierwszego mówcę, AI Stephena Hawkinga.

Twarz Gilmore'a zastąpiona została przez stworzony komputerowo obraz dawno nieżyjącego fizyka i brzęczący, nieprzyjemny głos rozległ się w umyśle Koeniga:

– Dzień dobry, ludzie i elektroniczne sofonty. Mam niezwykłą przyjemność spotkania się z państwem i przedstawienia ostatecznego i sprawdzalnego dowodu potwierdzającego jedną z ulubionych hipotez prawdziwego Stephena Hawkinga, a mianowicie tę dotyczącą wielu równoległych wszechświatów w większym multiświecie.

Oczywiście nie był to prawdziwy, ludzki Hawking, a jedynie skrajnie skomplikowana sztuczna inteligencja, rodzaj awatara wchodzącego w interakcję z ludźmi na podobnej zasadzie jak Konstantin prezentował się jako rosyjski futurysta. Oryginalny Stephen Hawking był niewątpliwie jednym z najbardziej błyskotliwych naukowców od czasu Isaaca Newtona, po którym odziedziczył urząd na Uniwersytecie Cambridge. Cierpiący na chorobę neuronu ruchowego zwaną stwardnieniem zanikowym bocznym w erze poprzedzającej neuronową nanomedycynę

rekonstruktywną, pokonywał jednak przeciwności i stał się jednym z najznakomitszych kosmologów teoretyków wszech czasów.

Jego najważniejsze dzieło powstało we współpracy z Rogerem Penrose'em i dotyczyło osobliwości grawitacyjnych w ramach ogólnej teorii względności. Przewidywało ono, że czarne dziury emitują promieniowanie, nazwane później promieniowaniem Hawkinga, opisywało także kosmologię łączącą mechanikę kwantową z ogólną teorią względności.

Koenig słyszał, że elektroniczna wersja Hawkinga, super-AI podobna do Konstantina, stworzyła wiele prac teoretycznych na kilku uniwersytetach, wliczając w to zarówno Kolorado, jak i Nowe Cambridge. Podobnie jak Konstantin, Stephen był cyfrowo programowaną sztuczną inteligencją piątej generacji, mózgiem pracującym w sieci kilku tysięcy połączonych komputerów Digital Sentience DS-8940, które dysponowały połączeniami nerwowymi w liczbie dziesięć do dwudziestej czwartej potęgi, czyli jakieś dziesięć miliardów razy więcej niż człowiek.

– Jak mogą państwo zobaczyć na tych danych – brzęczał dalej głos Hawkinga – matryce grawimetryczne zmierzone przez CP-240 Shadowstar w momencie przelotu nad wlotem do Rozety perfekcyjnie pasują do przypuszczeń o licznych przeciekach grawitacyjnych wzdłuż granic wszechświata.

Koenig wiedział, że prawdziwy Hawking był gorącym orędownikiem teorii wieloświatowej interpretacji fizyki kwantowej.

Teoria ta krążyła od wieków. Najprościej mówiąc, wieloświatowa interpretacja utrzymywała, że we wszechświecie zawsze istnieje wybór, dana cząsteczka mogła mieć jeden z dwóch przeciwnych spinów, w rezultacie powstawały dwie możliwości wszechświatów, w zasadzie identycznych z wyjątkiem tego, że ta jedna cząsteczka w każdym z nich miała inny spin.

Taka bifurkacja popularna była wśród autorów fantastyki naukowej na długo przed Hawkingiem. Istniały wszechświaty,

a było ich nieskończenie wiele, w których USNA osiągnęły pełną niezależność od Konfederacji, jednocześnie w nieskończonej liczbie innych wszechświatów to Konfederacja zwyciężyła, co automatycznie skutkowało tym, że Sh'daar decydowali o losach ludzkości. Były wszechświaty, w których kot zamknięty w pudełku żył, a w innych był martwy.

Fizycy zazwyczaj nie lubili wieloświatowej interpretacji, ponieważ intuicyjnie wydawało się kosmicznym marnotrawstwem tworzenie całego wszechświata tylko z powodu jednego fotonu. Jednak przez wieki przybywało poszlak świadczących, że tak właśnie się działo, choć najnowsze teorie sugerowały, że wszechświaty te w pewnym stopniu wzajemnie się przenikały. W społeczności naukowców szerzyły się spekulacje, że struktury fizyczne, takie jak Rozeta w sercu Omega Centauri czy też starożytne i enigmatyczne cylindry AGTR, prowadzą nie tylko do rejonów odległych w czasie i przestrzeni, ale także do całkowicie różnych rzeczywistości. Koenig osobiście dyskutował o takiej możliwości ze swoimi oficerami na pokładzie „Ameryki”.

A teraz Stephen twierdził, że to udowodnione.

– Od końca dwudziestego wieku przypuszczaliśmy, że istnieje ciemna materia – kontynuował naukowiec. – Jeden z największych paradoksów fizyki od dawna rodził pytanie: dlaczego grawitacja jest taka słaba? No właśnie, dlaczego? Pomijając to, co myśli się o sile grawitacji, spadając ze schodów, jest ona zdecydowanie najsłabszą z czterech podstawowych sił działających we wszechświecie. Z pozostałej trójki oddziaływanie słabe, odpowiedzialne za rozpad beta i powiązaną z nim radioaktywność, jest nadal dziesięć do dwudziestej piątej potęgi razy silniejsze od grawitacji, podczas gdy elektromagnetyzm jest silniejszy dziesięć do trzydziestej szóstej potęgi. Oddziaływanie silne, wiążące kwarki tworzące protony i neutrony w jądrze atomowym, jest dziesięć do trzydziestej ósmej razy silniejsze od grawitacji. Oczywiście mamy tu różnicę odległości, elektromagnetyzm, oddziaływanie silne i słabe działają tylko na bardzo ograniczonych dystansach i są praktycznie

niewyczuwalne poza granicami jądra atomowego, podczas gdy grawitacja działa w całym wszechświecie. Relatywna słabość grawitacji stanowi kontrast dla innych sił. Przez wiele lat powstały rozliczne wyjaśnienia, jednak najlepsze, najbardziej obiecujące jest to, że grawitacja jako jedyna ma możliwość przemieszczania się pomiędzy wszechświatami multiwersum. Multiwersum w tym ujęciu to hipotetyczna wielowymiarowa dziedzina, w której liczne wszechświaty funkcjonują jako nieskończona ilość dwuwymiarowych arkuszy jeden na drugim, należy przy tym wziąć pod uwagę fakt, że w czasoprzestrzeni jest więcej niż cztery wymiary. Z perspektywy wszechświata 4D inne wszechświaty zajmowały ten sam obszar, oddalone od danej rzeczywistości o grubość cienia. Z perspektywy hiperwymiarowej wszystkie wszechświaty, brany w M-teorii, były stykającymi się dwuwymiarowymi arkuszami. Jeśli grawitacja nie jest zaś ograniczona do jednego wszechświata, to prawdopodobnie „przecieka” do innych. Przy założeniu, że najbliższe wszechświaty w tym schemacie mają podobne historie, można sobie wyobrazić, że istnieją analogie dotyczące ich galaktyk. Przecieki grawitacyjne mogłyby w takim układzie tłumaczyć, czemu galaktyki są o wiele masywniejsze, niżby to wynikało ze zwykłego policzenia ich zawartości: gwiazd, planet, pyłu i gazu.

Teoria była elegancka i pozwalała na łatwe wyjaśnienie kilku innych teorii. Tłumaczyła Wielki Atraktor – tajemniczy punkt w przestrzeni międzygalaktycznej, na kierunku gwiazdozbiorów Centaura i Hydry, który wydawał się ściągać mnóstwo galaktyk, przyspieszając je, co popularnie zwane było ciemnym przepływem. Co ważniejsze, teoria ta dawała wyjaśnienie ciemnej materii.

Koenig ściągnął definicje, sprawdzając najnowsze opisy. Wieki wcześniej wnikliwe pomiary ruchów widocznej materii wewnątrz Drogi Mlecznej i we wszechświecie stawiały kosmologów przed bardzo niewygodnym dylematem. Wszystkie gwiazdy, planety, pył, gaz i energia... wszystko to, co policzalne, stanowiło mniej niż pięć procent tego, co w rzeczywistości

istniało. Kolejne dwadzieścia osiem i sześć dziesiątych procenta stanowiła tak zwana ciemna materia, a pozostałe sześćdziesiąt osiem i trzy dziesiąte jeszcze bardziej tajemnicza ciemna energia.

Innymi słowy, normalna materia, ta złożona z atomów, tworzyła mniej niż dwadzieścia procent substancji wszechświata. Ciemna materia była niewidoczna, tak jak to sugerowała jej nazwa, a także nieuchwytna. A jedynym sposobem, w jaki można było zaobserwować jej wpływ na normalną materię, stanowiły badania efektów grawitacyjnych.

Od pewnego czasu kosmolodzy byli przekonani, że ciemna materia okaże się cząsteczką fundamentalnie różną od normalnej materii. Przez dziesięciolecia ulubionymi kandydatami były hipotetyczne WIMP, czyli słabo oddziałujące masywne cząsteczki. Zgodnie z tą teorią WIMP mogły anihilować się wzajemnie, wydzielając niewyjaśnialne inaczej strumienie promieni gamma, mogły też rozpadać się na cząsteczki normalnej materii. Próby wykrycia nienormalnych promieni gamma albo materii nie powiodły się jednak z prostego powodu: istniały inne sposoby wytłumaczenia obserwowanych zjawisk.

Zakładano, że ciemna materia była „ciemna” po prostu dlatego, że funkcjonowała w sąsiadujących wszechświatach. Niedostępna, nieobserwowalna, jednak „wyczuwalna” przez grawitację przepływającą przez multiwersum.

– Z dużą dozą pewności – kontynuował Stephen Hawking – możemy powiedzieć, że shadowstar, mijając czarną dziurę Rozety w Omega Centauri, nie obserwował innych miejsc tego wszechświata, jak początkowo uważano. Porucznik Walton nagrywał kolejne równoległe wszechświaty, mniej lub bardziej podobne do naszego, funkcjonujące w hiperwymiarowym zbiorze. Pamiętając o tym, możemy także sugerować, że tak zwani Obcy z Rozety są przedstawicielami cywilizacji podróżującej między wszechświatami, posiadającymi dostęp do ekstremalnie zaawansowanej technologii, przemieszczającymi się z jednego wszechświata do drugiego. Czemu to robią? Nie wiadomo. Mogą być badaczami, uchodźcami z własnego,

ginącego uniwersum, próbującymi oszukać śmiertelny chłód entropii. A mogą także reprezentować Stwórcę tego wszechświata.

Koenig usłyszał, jak przez tłum słuchający prezentacji AI przebiega pomruk, lekka wibracja tła, wytłumiona przez moderującą AI, ale jednak słyszalna. Jedna myśl wpuszczona w macierz przez ogromną ilość umysłów niezależnie dochodzących do tej samej konkluzji: Gwiazdni Bogowie.

– Jestem w pełni świadom, że te sugestie są mocno kontrowersyjne – powiedział Stephen. – Szczególnie ostatnia. Jednak jako hipoteza powinna być poddana weryfikacji, zakładając, że znajdziemy metodę, by wejść w interakcję z tymi istotami, jakiś sensowny sposób komunikacji. Innym pozostawiam znalezienie rozwiązania, w jaki sposób mrówka miałyby skomunikować się z człowiekiem, wspinając się na paluch jego stopy.

Kontrowersyjne? Mało powiedziane. Koenig czuł narastające fale emocji, przesuwał się wzdłuż kręgosłupa, jednak nie mógł ich zdefiniować. Zdziwienie, zaskoczenie, bojaźń, wszystkiego po trochu i jeszcze coś więcej.

– Sugeruję – podjął Hawking – byśmy bardzo bacznie przyjrzełi się zasadzie antropicznej.

Koenig ponownie kliknął ikonę z definicjami. Wydawało mu się, że to pamiętał. O, jest!

Zasada antropiczna była bardziej filozofią niż nauką. W zasadzie sprowadzała się do jednego pytania. Dlaczego wszechświat został tak dokładnie zaplanowany, by pozwolić, a wręcz wymagać, by pojawiło się życie, a w konsekwencji inteligencja?

W fizyce i kosmologii istniało wiele stałych o niezmienniej wartości, które były tak bardzo precyzyjnie wyliczone, że najmniejsza zmiana parametrów którejkolwiek z nich mogła wykluczyć pojawienie się życia. Ludzkie rozumienie teorii bran i tego, jak pojawił się wszechświat, sugerowało, że większość, a prawdopodobnie wszystkie te liczby były całkowicie losowe, mogły przybrać dowolną wartość.

Zasada antropiczna miała kilka odmian, od słabych do mocnych. Słaba zasada antropiczna głosiła, że wszechświat przypadkiem powstał właśnie w takiej postaci, iż umożliwił rozwój życia. Wersja silna poszła dalej. Głosiła, że wszechświat musiał taki być, ponieważ zawierał życie. Jeden z wariantów zakładał, że musieli istnieć obserwatorzy, by wszechświat w ogóle mógł zaistnieć, a inny z kolei mówił o istnieniu wielu wszechświatów, tak by mogły mieć miejsce wszelkie możliwe kombinacje warunków.

Koenig szybko przejrzał listę podstawowych stałych.

N: Stosunek siły elektromagnetycznej do grawitacyjnej, fakt, że elektromagnetyzm jest 10^{36} razy silniejszy od grawitacji. Gdyby grawitacja była mocniejsza, gwiazdy byłyby mniejsze, gorętsze i starzałyby się znacznie szybciej. Zbyt szybko, by na ich planetach mogło wyewoluować życie.

Sigma: Oddziaływanie silne, wiążące razem protony i neutrony w jądrze atomowym w stosunku do sił odpychania pomiędzy pozytywnie naładowanymi protonami. Liczbowo wynosi 0,007. Jeśli wartość ta zmniejszyłaby się o jedną tysięczną, wodór nie byłby w stanie scalać się w gwiazdach, gdyby wynosiła 0,008, protony wpadłyby na siebie w pierwszym momencie Wielkiego Wybuchu, nie byłoby wolnych protonów, z których powstał wodór, i nie istniałyby gwiazdy.

Omega: Tempo ekspansji kosmicznej, wystarczająco wielkie, by dać galaktykom czas na rozwój życia, jednak nie za duże, aby mogły formować się nowe gwiazdy.

G: Stała grawitacyjna, której wartość wynosi $6,6784 \times 10^{-11} \text{m}^3 \text{kg}^{-1} \text{s}^{-2}$. Gdyby była większa, wszechświat zapadłby się w sobie. Przy mniejszej gwiazdy nigdy by nie powstały, a fuzja gwiazdowa nie byłaby możliwa.

Na liście uwzględniono też inne liczby, ale powyższe były najistotniejsze. Uniwersalne stałe i stosunki tak ważne, że gdyby choć jedna z nich była inna, wszechświat wyglądałby zupełnie inaczej, a życie, przynajmniej to, które budowało statki kosmiczne i sprzeczało się o politykę, nigdy by się nie pojawiło.

Koenig zauważył, że sześć tego typu stałych zostało zaprezentowanych w 1999 roku w książce „Po prostu sześć liczb: siły, które kształtują wszechświat”.

Inne zmienne charakterystyczne były tylko dla Ziemi. Choćby rozmiar żelaznego jądra planety, który z kolei ustalał siłę planetarnego pola magnetycznego i stopień, w jakim chronił powierzchnię przed promieniowaniem słonecznym i pozwalał utrzymać atmosferę. Fakt, że Ziemia posiadała duży księżyc, stabilizował tendencję planety do chwiania się. Dryf kontynentalny przyczyniał się do ogromnej biologicznej różnorodności. Atmosfera tlenowa pozwalała na odkrycie ognia, metalurgię, współczesną technologię.

Obecnie wiadomo było, że życie pojawiło się także na planetach nieposiadających tych dodatkowych czynników. Na przykład H'rukli byli ogromnymi workami gazowymi, dryfującymi w wodorowej atmosferze gazowego giganta, podczas gdy Turuschowie ewoluowali w środowisku, które składało się w większości z dwutlenku węgla. Istniały jednak przesłanki, które wskazywały, że te gatunki potrzebowały pomocy, by rozwinąć technologię niezbędną do opuszczenia macierzystych światów.

Tak zwani Gwiazdni Bogowie...

Zasada antropiczna dawno ogłoszona została jako dowód na istnienie Boga, naczelnej istoty, która bardzo precyzyjnie wymierzyła te liczby w taki sposób, aby umożliwić rozwój życia. Niektórzy sugerowali, że to samo życie ustalało niektóre wartości, a może była to cywilizacja techniczna, która przetrwała i ewoluowała aż do końca swojego wszechświata.

Koenig miał kłopoty z nadążeniem za najbardziej skomplikowanymi koncepcjami filozoficznymi. Najprostszym jego zdaniem podejściem było stwierdzenie: „No cóż, gdyby liczby były inne, nie byłoby nas tutaj, ale jesteśmy, a liczby są, jakie są, przez czysty przypadek”.

Wiedział jednak, że byłoby to omijanie problemu, po prostu oszustwo. Oszalała świadomość, że te wartości musiały być dokładnie takie, jakie są, bez najmniejszej odchyłki.

Jedna z grup głoszących silną zasadę antropiczną, to znaczy teorię, że wszechświat został zaprojektowany w taki sposób, sugerowała, że skrajnie zaawansowani technologicznie obcy mogli stworzyć ten wszechświat wraz z przyjaznymi życiu stałymi, prawdopodobnie w momencie, gdy ich wszechświat zaczynał umierać.

Jeśli Obcy z Rozety byli tak potężni...

Alexander Koenig, prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, nagle poczuł się bardzo malutki...

– Deb?

Sięgnął elektronicznie w jej stronę, wzmacniając wirtualny link pomiędzy nimi i wyczuwając w niej te same uczucia: strachu i braku wartości.

W jakiś sposób duch ludzkiego dotyku czynił wielki wszechświat odrobinę bardziej przewidywalnym.

Rozdział siedemnasty

13 marca 2425

USNA CVS „Ameryka”

Układ 40 Eridani A

Godzina 10.15 TFT

Wyjście...

W gwałtownym sztormie fotonów lotniskowiec gwiazdny „Ameryka” wyłonił się z pustki metaprzestrzeni Alcubierre’a w rzeczywistość wypełnioną gwiazdami i planetami. Przed nim, w odległości zaledwie trzydziestu jednostek astronomicznych, jaśniała 40 Eridani A, pomarańczowa gwiazda typu K-1, a bardziej oddalone gwiazdy B i C, tworzące system, widoczne były jako rubinowo-diaamentowa para.

„Constitution” i „Saratoga”, które wyłoniły się z bąbli kilka milionów kilometrów z przodu, wystrzeliwały już swoje eskadry myśliwskie. Niszczyciele „Sandoval” i „Young” zajmowały pozycję w awangardzie wysuniętej jeszcze przed lotniskowce, a krążownik artyleryjski „Decatur” dryfował dziesięć milionów kilometrów od sterburty. Gray obserwował z mostka flagowego „Ameryki”, jak pozostałe okręty co chwila wyłaniały się z metaprzestrzeni: rosyjskie „Sława” i „Płamiennyj”, północnoindyjska „Shiva” i jej eskorta „Ran-vir”, amerykańskie ciężkie krążowniki „Calgary” i „Maine”. Kopulasty sufit mostka stanowił wielki wyświetlacz, na którym widoczne było niebo z zielonymi ikonami, oznaczającymi pojawiające się jednostki. Lekki krążownik „Gridley”, niszczyciel „Ramirez”...

Pozostałe, bardziej odległe okręty zobaczyć można było na trójwymiarowym wyświetlaczu taktycznym, znajdującym się

w BCI, gdy tylko światło oznajmiające ich pojawianie się dopełzało do czujników okrętu flagowego. „Portland”, „Milwaukee” i lotniskowiec Marines „Inchon”, chiński krążownik „Fu Zhun”...

Oślepiający blask zalał mostek tak nagle i niespodziewanie, że Gray aż wcisnął się w oparcie fotela.

– Co jest, kurwa?

– Nakładka wyjścia, panie admirale – zameldował z BCI komandor Mallory.

– Jakie okręty?

– Sprawdzamy, sir.

Było to jedno z niebezpieczeństw podróży międzygwiazdnych. Napęd Alcubierre’a funkcjonował na zasadzie zawijania okrętu, poruszającego się z prędkością podświetlną, w ciasny bąbel grawitacyjnie zakrzywionej przestrzeni. Zgodnie z tym, co twierdził nieżyjący dawno Einstein, nic, ani materia, ani energia, nie może poruszać się szybciej niż światło. Faktycznie, materia nie osiągała nawet c , podczas gdy energia mogła poruszać się z magiczną prędkością trzystu tysięcy kilometrów na sekundę.

Idea, po raz pierwszy zaproponowana przez meksykańskiego fizyka teoretycznego Miguela Alcubierre’a, opierała się na tym, że nigdzie nie było powiedziane, by sama przestrzeń nie mogła poruszać się z prędkością większą od światła. Faktycznie, podczas pierwszych mikrosekund po Wielkim Wybuchu przestrzeń poruszała się zdecydowanie szybciej. Później okazało się, że okręty kosmiczne znajdujące się wewnątrz bąbla przestrzeni mogą podróżować razem z nim. Dopóki utrzymywały prędkość mniejszą od c względem przestrzeni, w której się znajdowały, zasady nie zostawały naruszone, Einstein mógł spoczywać w całkowitym spokoju, a ludzie lecieli do gwiazd w ciągu dni czy tygodni zamiast dekad czy stuleci.

Podczas przebywania w bąblu Alcubierre’a okręt nie znajdował się w normalnej przestrzeni, lecz w czymś w rodzaju kieszeni poza czterowymiarową rzeczywistością, w obszarze zwanym metaprzestrzenią. Kieszenie metaprzestrzeni mogły się wzajemnie nakładać, mogły obejmować okręty, planety, a nawet

gwiazdy całkowicie bezpiecznie. Jednak gdy okręt wychodził w miejscu zajęтым już przez inny okręt czy obiekt, rezultat był katastrofalny i bardzo spektakularny.

Okręty były relatywnie tak małe w stosunku do przestrzeni, w której operowały, że tego typu kolizje zdarzały się niezmiernie rzadko. Gray słyszał tylko o dwóch, jakie wydarzyły się podczas całej trzystuletniej historii lotów międzygwiazdnych.

Najwidoczniej nazwy dwóch kolejnych okrętów właśnie zapisały się na liście pechowców.

– Jakie okręty? – ponownie zapytał Gray.

– Fregata „Sam Morison” – zameldował komandor Mallory. – Znajdowała się już w normalnej przestrzeni, gdy inny okręt spadł jej na grzbiet. Podejrzewamy pomyłkę komunikacyjną w protokole poprzedzającym. Nadal sprawdzamy drugą jednostkę.

Stracili dwa okręty z liczącej dwadzieścia cztery jednostki grupy bojowej, a operacja jeszcze się nawet nie rozpoczęła. Co gorsza, dziki rozbłysk energii, bąbel rozszerzający się z prędkością światła, dotrze do 40 Eridani za cztery godziny.

Zespół Zadaniowy Eridani w bardzo spektakularny sposób zaanonsował swoje przybycie.

W sumie to niczego nie zmieniało. Światło emitowane przez okręty przy samym wyjściu z metaprzestrzeni wystarczało, by zaalarmować jednostki przeciwnika znajdujące się w systemie, nie było więc powodu, by przerywać misję.

Gray otworzył kanał taktyczny.

– CAG, można zacząć wystrzeliwać myśliwce.

– Przyjęłam, panie admirale – odparła kapitan Fletcher. – Wystrzeliwuję myśliwce.

Kontyngent myśliwców „Ameryki” zaczął wylaniać się parami z podwójnego kanału startowego i szóstkami z obrotowych modułów, znajdujących się w cieniu kopuły ochronnej. Obraz ze znajdującego się w pobliżu drona ukazywał start. Małe insekty wypadały z wielkiego grzyba i w odległości dziesięciu kilometrów od zrekonstruowanego i świeżo pomalowanego dzioba „Ameryki” formowały ciasny szyk bojowy.

Po przekazaniu kontroli z KL do bojowego centrum informacyjnego myśliwce eskadra po eskadrze zaczynały przyspieszać. Starhawki z VFA-44 miały zostać przy lotniskowcu jako BPP, bezpośrednia ochrona okrętu. Pozostałe eskadry, poruszając się z przyspieszeniem pięćdziesięciu tysięcy g, po dziesięciu minutach miały osiągnąć prędkość o włos mniejszą od prędkości światła.

Eskadry te wraz z myśliwcami wystrzelonymi z pozostałych lotniskowców miały nawiązać pierwszy kontakt z tym, co oczekiwało na Vulcanie.

– Połączenie przychodzące, panie admirale – odezwał się w głowie Graya porucznik Davidson, pełniący dyżur przy systemach łączności. – Admirał Guo z „Shi Lang”.

– Przyjmij.

Pozbawiona emocji twarz admirała Guo Huchenga pojawiła się w okienku komunikacyjnym.

– Admirale Gray.

– Tak, admirale Guo?

– Wygląda na to, że jeden z moich okrętów wpadł na jeden z pańskich.

Jego usta poruszały się szybko, całkowicie niesynchronizowane z komputerowo generowanym głosem, mówiącym po angielsku w głowie Graya.

– Tak, admirale – odparł Gray, starając się zachować kamienną twarz. – Straciliśmy fregatę „Samuel Eliot Morison”. Który z pańskich okrętów uczestniczył w wypadku?

– Lekki krążownik „Li Jinping”. Wydaje się, że nastąpił jakiś konflikt w protokołach wyjścia.

Przy dużej liczbie okrętów wychodzących z metaprzestrzeni w zbliżonym czasie i tym samym rejonie ryzyko nakładki przy wyjściu, choć nadal bardzo małe, stawało się większe niż w innych sytuacjach. AI znajdujące się na pokładach wszystkich okrętów formacji były sprzęgnięte, a ich zegary zsynchronizowane przed przemieszczeniem się z napędem Alcubierre’a, by zapewnić dodatkowy rozrzut przy wychodzeniu w normalną przestrzeń. Okazało się jednak, że komputery

stosowane na okrętach USNA nie są w pełni kompatybilne z tymi, które stosowała marynarka chińska.

To mogło prowadzić do pomyłek.

– Właśnie to sprawdzamy, admirale. Tymczasem musimy zacząć przyspieszać.

Oczy Guo lekko się rozszerzyły.

– Ma pan zatem zamiar kontynuować zadanie?

– Oczywiście. Przecież przeciwnik i tak się już nas spodziewa.

– Prawda. Najwyraźniej myliłem się, zakładając, że zachowa się pan tak jak Europejczycy.

Gray zdecydował się uznać to za komplement. Dowódcy europejscy, szczególnie francuscy, znani byli z ekstremalnej ostrożności, posuwając się nawet do odwoływania operacji, gdy tracili element zaskoczenia.

– Mam zamiar walczyć z przeciwnikiem, admirale Guo. Teraz.

– Zgadzam się całkowicie. Koniec przekazu.

Okno zamknęło się, a Gray poczuł lekką ulgę. Chińczycy nadal byli wielką niewiadomą. Wydarzenia drugiej wojny sino-zachodniej doprowadziły w 2132 roku do strącenia w wody Oceanu Atlantyckiego małej asteroidy, która została wytrącona z orbity przez chiński okręt wojenny. Wydarzenie otrzymało nazwę Wormwood.

Choć Pekin twierdził, że za atak odpowiedzialny był niezrównoważony dowódca okrętu, Hegemonia Chińska została oskarżona o wywołanie fali pływowej i śmierć pół miliarda ludzi oraz pozbawiona możliwości ubiegania się o przyjęcie do *Pax Confoederata*, nowej organizacji światowej, która powstała po tej wojnie.

Od lat pewne kręgi rządu USNA szukały sojuszu z Chińczykami, jednak z bardzo różnymi rezultatami. Przyłączenie okrętów Guo do Zespołu Zadaniowego Eridani było w dużej mierze eksperymentem. Gray zauważył już, że Guo nie przyjął bezpośrednio jego zwierzchnictwa, tylko niezależnie dowodził swą flotyllą czterech, a obecnie już trzech okrętów.

Gray nie wydawał więc Guo bezpośrednich poleceń, lecz po prostu informował go, co ma zamiar zrobić reszta zespołu,

i zapraszał do przyłączenia się. To podejście dotychczas działało, pomijając oczywiście utratę dwóch okrętów, która jednak najprawdopodobniej spowodowana została błędem sprzętowym.

Czy ta nieformalna procedura operacyjna sprawdzi się w boju, można było tylko zgadywać. Gray miał wrażenie, że system załamał się pod naporem wymagań bitwy, i cieszył się, że chiński kontyngent liczył jedynie cztery okręty.

Nie. Teraz już tylko trzy.

Sytuacja była śmiertelnie niebezpieczna ze względu na wielopoziomowość wydanych grupie rozkazów. Dyrektywy operacyjne HQMILCOM zakładały możliwość nawiązania relacji z Grdoch przy użyciu nowego oprogramowania translacyjnego ściągniętego od Konfederacji. Jeśli Gray mógłby decydować, to taka sytuacja nie miała szans zaistnieć. A ostatnie słowa admirała Armitage'a brzmiały: „Zdaj się na własny osąd”.

Raporty z Vulcana, wysłane przez gubernatora, brutalnie otwarcie opisywały zbrodnie Grdoch na 40 Eridani. Zaatakowali ludzką kolonię na Vulcanie bez powodu, gdy znaleźli się w trudnym położeniu, przyjęli rozejm zaproponowany przez silną flotę i zaatakowali ponownie, gdy flota oddaliła się.

Zgodnie z tym, co twierdzili Armitage i HQMILCOM, Grdoch nie byli wybredni, jeśli chodzi o posiłki. Na Vulcanie obcy żywili się ludźmi. Gray widział ich przy jedzeniu istot nazwanych przez Truitta *praedams*, które były genetycznie zmodyfikowanymi zwierzętami rzeźnymi. Myśl, że ludzi żywcem pochłaniały obce bestie, budziła przerażenie.

Wskazywała także na całkowicie obcy sposób myślenia Grdoch, to znaczy wykorzystanie inteligentnych form życia jako pokarmu. Jeśli chodziło o takie rzeczy, ludzie oczywiście też nie mieli kryształowo czystego sumienia, jednak generalnie jedzenie myślącej istoty, zwłaszcza żywcem, graniczyło z absurdem. Biochemia Grdoch mogła być identyczna z ludzką, jednak ich umysły były zupełnie obce, pracowały w tak radykalnie odmienny sposób, że prawdziwa komunikacja z nimi wydawała się całkowicie niemożliwa.

Wyglądało jednak na to, że rozmaite grupy na Ziemi nadal

różniły się podejściem do tematu relacji z Grdoch. Genewa zaproponowała im układ po pierwszym ataku na Vulcanie, ale wtedy być może niewiele było jeszcze wiadomo o kulinarnych zwyczajach obcych. A HQMILCOM najwyraźniej także nie mógł całkowicie odrzucić możliwości sojuszu. „Zdaj się na własny osąd”.

Najwyraźniej nikt z Marsa nie widział przybyszów podczas posiłku.

– Wszystkie myśliwce wystrzelone – rozległ się meldunek CAG.

– Przyspieszają w stronę Vulcana zgodnie z planem operacyjnym Alfa.

– Dziękuję – odpowiedział na kanale dowodzenia. – Kapitan Gutierrez, może pani rozpocząć przyspieszanie. Proszę przekazać to reszcie zespołu.

– Tak jest, panie admirale.

Dwadzieścia dwa okręty Zespołu Zadaniowego Eridani rozpoczęły przyspieszanie w głąb systemu.

VFA-96 „Black Demons”

Przestrzeń Vulcana

Godzina 14.23 TFT

– „Black Demons”, Demon Jeden – rozległ się głos komandora Mackeya. – Uwaga! Zbliżamy się do obiektu, dziesięć milionów kilometrów.

Porucznik Megan Connor doskonale zdawała sobie sprawę z tego faktu. Dziwnie poskręcany i zwinięty obraz otaczającego wszechświata, kreowany przez prędkość podświetlną, wracał do normy w miarę wytracania szybkości. Planeta docelowa była dokładnie na wprost, jaśniejac w świetle gwiazdy niczym mały rogalik. Po zmianie powiększenia okazało się, że jest ona pokryta chmurami, rozciągającymi się nad oceanami, i bardzo przypomina dom.

Czerwone ikony reprezentowały potencjalnie wrogie okręty.

Dwa największe, oznaczone jako nieznane, najprawdopodobniej były jednostkami Grdoch, jednak w przestrzeni znajdowało się dużo mniejszych, które jej katalog zidentyfikował jako: lekki krążownik klasy Francesco, kilka niszczycieli klasy Rommel, pięć fregat Rhone. Kierowały się w stronę centrum systemu, nadlatując od strony trzeciej planety. Znajdowały się mocno z lewej, w odległości pół jednostki astronomicznej.

– Demon Jeden, Demon Sześć – wywołała Connor. – Czas się zdecydować, Mac. Prosto z mostu. Ci goście to wrogowie czy nie?

– Byłaś na odprawie ze wszystkimi, Meg – odparł Mackey. – BCI każe traktować ich jak wrogów, ale mamy czekać na pierwszy ruch.

– Cholera, skipper! – wtrącił się porucznik Carlson, Demon Trzy. – Bez BW?

– Tiaaa – dodał porucznik Gregory. – To doskonały sposób na piękne samobójstwo!

– Wiem – odpowiedział Mackey. – Ale musimy dać im czas na zaprzyjaźnienie się, o ile tego chcą, prawda? To tylko pokaz siły... Chyba że goście chcą prawdziwej zabawy.

– A co jest lepszego, by się zaprzyjaźnić, niż mała bombowa dyplomacja? – dociekał Gregory.

BW oznaczało bombardowanie wstępne, które było podstawą współczesnej walki przestrzennej. Bitwy rzadko rozgrywały się w otwartej przestrzeni, typowy układ gwiazdny był tak duży, że z wyjątkiem ekstremalnych i nadzwyczaj rzadkich przypadków niespodziewane spotkanie flot w otwartej przestrzeni raczej się nie zdarzało.

Oczywiście drugą sprawą było, że cały sens używania flot kosmicznych do zdominowania systemu gwiazdowego polegał na opanowaniu tych jego elementów, które miały znaczenie strategiczne, czyli planet, księżyców, baz orbitalnych, asteroid, fabryk, generatorów mocy i innych instalacji charakterystycznych dla współczesnej cywilizacji.

Taktyka kosmiczna sprowadzała się więc do obecności sił broniących planet i sił atakujących, wyłaniających się z napędów Alcubierre'a w odległych rejonach systemu, przyspieszających

w stronę jego centrum i atakujących obrońców, by przejąć kontrolę nad chronionymi obiektami.

Bombardowanie wstępne było, dosłownie rzecz ujmując, pierwszą salwą w tego typu starciu. Rakiety dalekiego zasięgu i pociski kinetyczne wystrzeliwane z dużej odległości miały za zadanie osłabić zdolności bojowe floty obrońców. Najskuteczniejsze w tym wypadku było bombardowanie relatywistyczne, w którym nadlatujące pociski miały prędkość porównywalną z prędkością światła. Energia kinetyczna przenoszona nawet przez drobiny wielkości ziaren piasku była niewyobrażalnie wielka. Człowiek, który dowodził dziś flotą atakującą, Piachu Gray, zyskał swój przydomek wiele lat temu, anihilując flotę przeciwnika i oczyszczając całą półsferę planety za pomocą chmur piasku. Taktyka ta charakteryzowała się nadzwyczajną skutecznością, jeśli nie brało się pod uwagę zniszczeń ubocznych. Tym razem jednak nie można było zastosować bombardowania wstępnego, gdyż na planecie lub na pokładach okrętów przeciwnika mogli znajdować się amerykańscy jeńcy wojenni.

Ponadto mówiło się, że jednym z zadań zespołu zadaniowego było przeciągnięcie przeciwnika na swoją stronę. Najpierw pokaz siły, potem zawarcie porozumienia.

Tak więc to fala myśliwców wystrzelonych z lotniskowców miała być pierwszą grupą nawiązującą kontakt z przeciwnikiem i miała to zrobić bez zmiękczenia go ogniem. Siły główne, dwadzieścia dwa okręty, także już były w drodze. Dysponując mniejszym przyspieszeniem, powinny znaleźć się na miejscu po około dwóch godzinach.

Do tego momentu myśliwce zdane były tylko na siebie, a ich rakiety miały stanowić metodę prowadzenia dyplomacji.

Zdaniem Connor to nie był właściwy sposób użycia posiadanych zasobów. Politycy gadali, podpisywali traktaty i decydowali o tym, kiedy zacząć wojnę. Lecz gdy środki polityczne wyczerpywały się, to piloci musieli odważać czarną robotę.

– Uzbroidź rakiety – nakazał Mackey. – Nie strzelać bez mojego

zezwolenia.

Ciągle zmniejszając prędkość, myśliwce „Black Demons” zbliżały się do planety.

Okręt łowczy Grdoch „Gwałtowny Rzeźnik”
Przestrzeń Vulcana
Godzina 14.23 TFT

Zaalarmowany rojowódca Tch’gok zwrócił kolejne trzy słupki wzrokowe na ekran. Ofiary mknęły coraz bliżej, ich jednostki zwalniały, ale nadal poruszały się dość szybko.

– Uzbrojenie! – nakazał, kierując skupione myśli do światłowodów połączonych bezpośrednio z jego układem nerwowym. – Namierzyć najbliższy z tych małych okrętów i otworzyć ogień!

Lasery promieni X wysunęły się z kadłuba okrętu łowczego Grdoch „Gwałtowny Rzeźnik”, a zbliżające się pyłki myśliwców przeciwnika zajaśniały i znikły jak nocny motyl w płomieniach. Te myśliwce nie stanowiły większego zagrożenia dla okrętów łowczych, jednak duże jednostki lecące za nimi mogły być groźne.

Tch’gok wahał się.

Było to charakterystyczne dla psychologii Grdoch, stanowiło efekt dziesiątków milionów lat ewolucji drapieżników w niebezpiecznym ekosystemie, wypełnionym przemocą. Myśliwi Grdoch mieli zwyczaj osaczać bezradną i słabą ofiarę stadem. Jednak wycofywali się natychmiast i uciekali, gdy mieli do czynienia z siłą lub zagrożeniem osobistym.

Ten ewolucyjny imperatyw wykształcił się miliony lat wcześniej, zanim Grdoch opuścili bagna stanowiące ich naturalne środowisko i wykształcili cywilizację. Ewoluwali jednocześnie jako drapieżcy i ofiary, więc ich współczesna psychologia odzwierciedlała i jedno, i drugie.

To samo było z fizjologią. O ile drapieżniki mają zazwyczaj

skierowany do przodu wzrok, działający z doskonałą percepcją głębokości i kontrastu, ofiary zwykle widzą szerzej, panoramicznie. Grdoch posiadali obie możliwości jednocześnie, dysponując tuzinem oczu na teleskopowych słupkach, dających im widzenie okrężne, pełne trzysta sześćdziesiąt stopni. Pomimo że byli dużymi istotami, ich sferyczna symetria pozwalała poruszać się szybko w dowolnym kierunku, a słupki ustne, służące jednocześnie jako manipulatory, stanowiły bardzo delikatne narządy zmysłu dotyku.

Ewolucja ukształtowała Grdoch jako perfekcyjnych drapieżców klasy średniej w ich rodzimym ekosystemie. Eony wcześniej czołowym drapieżnikiem w świecie Grdoch był prawdziwy nocny koszmar, najeżony zębami i pazurami, zakuty w pancerz i dysponujący nienasyconym apetytem. Potwór ten, nazywany *tch'tch'tch*, wdrukował rozsiewaną przez siebie grozę głęboko w psychikę Grdoch. Te wielkie i wiecznie głodne drapieżniki dawno już wyginęły, jednak Grdoch pozostali tym, czym uczynił ich proces selekcji naturalnej, zarówno psychologicznie, jak i fizjologicznie – groźnym zabójcą i przerażoną ofiarą w jednym ciele.

Dlatego Tch'gok wahał się...

Czuł znajome pokusy idące w dwóch kierunkach – ku dzikiej rozkoszy ucztowania i ku panicznej ucieczce. Trik polegał na ominięciu emocji przez umysł i wolę, wspomoczeniu myśli przez naturalne płyny ustrojowe. *Jeść! Jeść! Jeść!*

Enzymy trawiące wezbrały. Strach wepchnięty został w kąt przez głęboki, przejmujący głód.

– Kontrolny roju! Wypuść swój rój. Okrętowódco, podprowadź nas bliżej.

„Gwałtowny Rzeźnik” ruszył w kierunku zbliżających się myśliwców.

Godzina 14.24 TFT

Dwa myśliwce „Black Demons” zostały trafione niewidocznymi promieniami. Zginęli Teller i de la Cruz.

– Zezwalam na otwarcie ognia! – nadał na kanale taktycznym Mackey. – Zezwalam na otwarcie ognia!

– Co to, kurwa, było? – rozległ się przerażony głos.

Porucznik Rey była nowa w eskadrze, dołączyła do niej jako uzupełnienie po stratach poniesionych przy Enceladusie. Wyglądało na to, że dziewczyna nie wierzy w to, co widzi.

Connor potrząsnęła głową z niesmakiem. Idiotka. Nie widziała raportów po bitwie?

– Laser X, pani porucznik – powiedział ironicznie Mackey. – Proszę nie pozwolić, by panią coś takiego trafiło, bo może to zepsuć pani resztę dnia.

– Nadlatują! – krzyknął Kemper. Connor słyszała stres w jego mentalnym głosie. – Wchodzą do bitwy!

– Trzymać formację! – odparł Mackey. – Wszystkie jednostki, trzymać formację!

Roje myśliwców w kształcie jaja wyłoniły się z za dużo większego okrętu przeciwnika i ruszyły do ataku na amerykańskie maszyny.

– Jest ich za dużo! – powiedział Daimler, kolejny nowy.

– Zdecydowanie środowisko obfituje w cele – powiedziała Connor. Nie podobał jej się strach pobrzmiewający w głosach kolegów.

– Pamiętajcie – ostrzegł Mackey – że te jaja piją strumienie wysokoenergetyczne. Żadnych laserów czy pisków. Tylko rakiety!

– Namierzony – zgłosił Kemper – i... Fox Jeden!

Wszystkie myśliwce zaczęły wystrzeliwać rakiety, w większości VG-10 Krait, jednak niektórzy piloci z „Black Knights” i „Grim Reapers”, siedzący za sterami velociraptorów, mieli na wyposażeniu dużo większe i silniejsze niszczyciele okrętów fer-de-lance. Myśliwce nieprzyjaciela odpowiedziały

salwą laserów X wymierzoną zarówno w rakiety, jak i ludzkie myśliwce, jednak w chwilę później głowice nuklearne, które przebiły się przez zaporę ogniową, zaczęły eksplodować w kulach światła i twardego promieniowania.

– Spróbujcie przebić się przez myśliwce – rozkazał Mackey. – Chcemy dopaść okręt główny!

Connor wystrzeliła parę kraitów, a następnie zmusiła starhawka do silnego przyspieszenia, kierując się ku dziurze w roju myśliwców przeciwnika i próbując przedostać się na ich tyły. Jej AI zmieniła nieco kurs, unikając maszyn Grdoch, usiłujących odciąć jej drogę. Położyła maszynę na sterburcie, aby zmylić wrogie systemy naprowadzania. Dziewczyna doskonale zdawała sobie sprawę, że starhawk nie ma szans przy trafieniu osiemdziesięcioteradzulowym promieniem. Każdy strzał miał energię równą wybuchowi głowicy nuklearnej VG-10 Krait, skupioną jednak w strumień o średnicy męskiego przedramienia. Gdy docierał do macierzy kadłuba starhawka, ten po prostu wyparowywał, a temperatura równa panującej w jądrze gwiazdy zamieniała myśliwiec w kulę plazmy.

– Uwaga! – krzyknął porucznik Carlson. – Te dranie...

Connor uchwyciła w celownik okręt matkę Grdoch, odległy obecnie o mniej niż tysiąc kilometrów.

– Cel namierzony! Przechodzę na lancę! Fox Jeden!

Na uzbrojeniu jej starhawka znajdowały się rakiety VG-44c Fer-de-lance, każda o mocy megatony zapakowanej do kadłuba trzymetrowej rakiety. Megan poczuła szarpnięcie, gdy dwie z ciężkich fer-de-lance jedna po drugiej wysunęły się z brzucha myśliwca, następnie zrolowała maszynę w lewo i wystrzeliła serię pocisków ARTO. Nie była pewna, czy lecące ziarna piasku rozproszą strumienie X, ale to było jedyne, co posiadała, i warto było spróbować. Położyła piaskową zasłonę, chroniącą zarówno jej myśliwiec, jak i dwie rakiety.

AI uruchomiła w jej głowie bezdźwięczny alarm. Myśliwiec Grdoch siadł jej właśnie na ogonie, a jego systemy uzbrojenia rogrzewały się. Obracając starhawka o sto osiemdziesiąt stopni, Connor odpaliła kolejne pociski ARTO i pomknęła ku nadirowi.

Białe światło oślepiło ją w momencie, gdy promień X uległ rozproszeniu na chmurze piasku. W odpowiedzi wybrała kraita, nie... dwa... i odpaliła.

Myśliwiec przeciwnika zbliżał się szybko, zbyt szybko. Para głowic nuklearnych, które wystrzeliła, wybuchła w odległości niecałych piętnastu kilometrów. Prawie w tej samej chwili odległa i dużo większa eksplozja rozświetliła niebo.

Burza promieniowania przeszła starhawka...

Maszyna Meg Connor stała się martwa i koziółkując, leciała w kierunku powierzchni Vulcana.

Rozdział osiemnasty

13 marca 2425

USNA CVS „Ameryka”

Układ 40 Eridani A

Godzina 14.30 TFT

– Dajcie mi obraz w zbliżeniu – rozkazał Gray. – Zobaczmy, co mają do powiedzenia drony.

Bezzałogowe pojazdy rozpoznawcze wystrzelone zostały jeszcze przed myśliwcami, budując sieć wideo, której AI zespołu zadaniowego mogły użyć do rozproszenia „mgły bitewnej” i stworzenia użytecznego obrazu tego, co się działo. Obraz na wyświetlaczu znajdującym się na mostku pokazywał bitwę toczoną przez myśliwce. Vulcan widoczny był jako srebrny rogal na tle jasnopomarańczowego blasku 40 Eridani. Zielone i czerwone ikony tańczyły w świetle, a wybierając jedną i klikając na nią, można było obserwować indywidualne akcje, wymianę ognia.

Gray mniej jednak interesował się walkami myśliwiec na myśliwiec, a bardziej ogólnym rozwojem całej bitwy. Zespół Zadaniowy Eridani za kilka chwil miał się znaleźć w tej niebezpiecznej części przestrzeni, konieczne więc było, aby myśliwce wyczyściły nieco obszar.

Właśnie dlatego myśliwce zostały wysłane przed siłami głównymi floty. „Ameryka” i okręty główne, które jej towarzyszyły, były odporniejsze na promienie X niż myśliwce, posiadały silniejsze ekrany grawitacyjne, przeznaczone do wychwytywania nadciągającej energii w ciasno zakrzywionych rejonach czasoprzestrzeni i rozpraszania jej ponownie

w przestrzeń. Jednak analiza uzbrojenia Grdoch zdobytego przy Enceladusie udowodniła, że okręty ludzi nie były w stanie rozpraszać tak silnej energii przez dłuższy czas. Jeśli flota miała przetrwać następnych trzydzieści minut, myśliwce musiały wyeliminować przynajmniej część sił wroga lub w najgorszym wypadku poważnie zredukować możliwości walki niektórych jednostek.

Niestety, w tym tkwił również problem. Myśliwce, najważniejsze elementy floty, były jednocześnie najdelikatniejszymi maszynami, przypominały ćmy w ciemności, otoczone burzami nuklearnymi.

Gray patrzył na pulsowanie wybuchów wielu głowic bojowych i zastanawiał się, jak przebiega bitwa, kto wygrywa. Słyszał rozmowy prowadzone między pilotami na kanale taktycznym, jednak każdy koncentrował się na tym, co dotyczyło bezpośrednio jego, i nie był w stanie ocenić ogólnego obrazu bitwy.

- *Knight Sześć! Uważaj! Uważaj! Masz jednego na ogonie!*
- *Cel namierzony! Fox Jeden! Fox Jeden!*
- *Donny! Odbij w lewo!*
- *Mam go!*
- *Boże! Rozpada się!*
- *Uważaj na odłamki, Reaper Siedem! Jesteś za blisko!*
- *Kurwa! Reap Siedem dostał!...*

Gray słuchał tych oderwanych od osób głosów w sieci i zdawał sobie sprawę z tego, że zbyt wielu już zginęło.

Eksplozje nuklearne w przestrzeni kosmicznej nie zachowywały się tak samo, jak na powierzchni planety. Nie było typowego grzyba na początku, a jedynie powiększająca się kula rozgrzanej do białości plazmy. Jednak promieniowanie uwalniane przez głowicę atomową, przy braku absorbujących je cząsteczek powietrza, miało pięć tysięcy razy większy zasięg niż w atmosferze i to właśnie ono powodowało większość uszkodzeń podczas walki w przestrzeni. Nawet najlepiej chronione systemy elektroniczne były wrażliwe na uderzenia promieniowania o takiej sile.

Niestety, piloci myśliwców byli jeszcze wrażliwsi. Oczywiście, że ich kokpity zostały silnie opancerzone. Musiało tak być, skoro myśliwiec lecący z prędkością podświetlną narażony był na spotkanie z atomami wodoru poruszającymi się z prędkościami relatywistycznymi, emitującymi przy tym śmiertelne promieniowanie jonizujące. Jednak atomówka wybuchająca odpowiednio blisko wyzwała wystarczająco duże promieniowanie, by zniszczyć układy elektroniczne i dosłownie usmażyć pilota. Izba chorych „Ameryki” dysponowała urządzeniami, które były w stanie naprawić praktycznie każdą komórkę ludzkiego ciała, jednak pilot musiał żyć wystarczająco długo, by się tam znaleźć.

Jeśli zaś wystarczająca ilość promieniowania przedostała się przez grawitacyjne i elektromagnetyczne tarcze, człowiek ginął w ciągu kilku sekund i żadna technologia medyczna nie była w stanie tego zmienić.

Chińskie myśliwce z „Shi Lang”, trzy eskadry nowych kaifeng, wiązały się właśnie walką z nieprzyjacielem, spadając na odleglejszy z dwóch okrętów głównych Grdoch. Jednostki obcych rozdzieliły się, jedna oznaczona przez AI „Ameryki” jako Alfa, zbliżała się do floty sprzymierzonych, druga, Bravo, pozostawała na orbicie Vulcana.

Był jeszcze jeden element układanki, to znaczy kontyngent dziesięciu okrętów głównych Konfederacji, nadal oddalony o pół godziny, jednak przyspieszający w stronę Vulcana. Wspierali Grdoch czy też byli potencjalnymi sprzymierzeńcami?

Gray przez chwilę studiował zmieniającą się sytuację, szukając jakiegoś mocnego punktu, który można było wykorzystać. „Dziel i rządź”, mówiło stare powiedzenie, które miało zastosowanie zarówno w czasach rzymskich, jak i współczesnych. Rozdzielając się w obliczu przeciwnika, Grdoch mogli popełnić jeden z najcięższych grzechów wojny. Z drugiej strony, historia знаła wiele przypadków dowódców, którzy zrobili dokładnie to samo, a mimo wszystko odnieśli zwycięstwo.

Gray miał także niekomfortową świadomość, że to samo robili Chińczycy – rozdzielali siły sprzymierzonych, niezależnie

ruszając na Bravo. Rozkazy operacyjne wyraźnie mówiły, że zespół zadaniowy powinien stanowić całość, ale admirał Guo najwidoczniej postanowił je zlekceważyć. Dlaczego? By zademonstrować niezależność chińskiego kontyngentu od rozkazów Graya? Trzeba będzie porozmawiać później z Chińczykiem.

Jeśli będzie jakieś później...

Sytuacja nadal mogła rozwinąć się po myśli ludzi. Jeśli Chińczycy utrzymają ten drugi okręt Grdoch z dala, reszta zespołu może rzucić się na Alfę.

Gray jeszcze przez chwilę przyglądał się bitwie, a następnie zaczął wydawać rozkazy.

– Dean! Utrzymamy szyk liniowy. Powiadom pozostałe okręty.

– Aye, aye, sir!

Na wyświetlaczu pojawiły się linie ukazujące zakładane trasy każdego z okrętów.

– Wykonamy bliskie przejście nad celem Alfa i uderzymy prosto na Bravo.

– Tak jest!

Szyk liniowy pochodził z zamierzonych czasów Marynarki, kiedy okręty floty ustawiały się w nim w jednej linii. Jego zaletę stanowiło to, że tylko pierwsze jednostki narażały się na ogień nieprzyjaciela. Jedną z alternatyw było podejście ścianą, w którym wszystkie okręty tworzyły dwuwymiarową płaszczyznę, co każdemu z nich umożliwiało prowadzenie ognia, ale eksponowało także wszystkie na ogień nieprzyjaciela. Jeszcze inną możliwością był pościg generalny, w którym poszczególne okręty lub ich małe grupy wybierały sobie własne cele i indywidualny sposób podejścia do nich.

Ze względu na śmiertelność broni Grdoch Gray zdecydował się na użycie pierwszej taktyki. Spodziewał się stracić kilka okrętów z awangardy, istniały duże szanse, że Grdoch skoncentrują się na pierwszych jednostkach, łatwych do namierzenia i nieschowanych tak skutecznie za elektronicznymi zabezpieczeniami. Przy ataku ścianą więcej ciężkich okrętów zespołu bojowego mogło zostać uszkodzonych przy podejściu,

zaś skutki generalnego pościgu były trudne do przewidzenia.

– Niszczyciele i część fregat na czoło. Reszta fregat na flanki. Dalej krążowniki, lotniskowce, krążowniki artyleryjskie i pancerniki.

– Przekazuję rozkazy, panie admirale.

Gray usiadł ponownie w swoim fotelu, próbując zignorować lodowatą pięść zaciskającą się na jego żołądku. To była najgorsza część dowodzenia, wydawanie rozkazów, które decydowały o tym, kto może przeżyć, a kto najprawdopodobniej zginie. Umieszczenie w awangardzie niszczycieli i fregat, małych jednostek, mających po kilka tysięcy ton, których załogi liczyły kilkaset osób, mogło oznaczać mniej salw skierowanych w duże okręty, lotniskowce, ważące po kilka milionów ton, czy ciężkie krążowniki artyleryjskie, z których każdy był małym miastem o populacji liczonej w tysiącach.

Czy dokonał właściwego wyboru? W zależności od efektywności ciężkiego uzbrojenia Grdoch rozdzielenie ich siły rażenia na wszystkie dwadzieścia dwie jednostki główne mogło się okazać lepszym rozwiązaniem niż koncentrowanie ognia na kilku okrętach. Gray ryzykował, opierając się na założeniu, że współczesna walka przestrzenna była niezwykle szybka. Zespół zadaniowy powinien znaleźć się za celem Alfa w ciągu ułamka sekundy, a ustawienie, jakie przyjął, dawało ciężkim okrętom szansę na przelot bez większych uszkodzeń.

Nie można także zapominać o eskadrach myśliwskich, które poprzedzały w bitwie zespół zadaniowy. One także zaliczały trafienia okrętów Grdoch. Pytaniem pozostawało tylko, czy w jakikolwiek sposób zmniejszało to zdolności obronne przeciwnika. Jeśli nie, szlak bojowy Zespołu Zadaniowego Eridani nie miał najmniejszego znaczenia.

– Siedemdziesiąt pięć sekund do najbliższego przejścia, admirale – powiedziała kapitan Gutierrez. – Nie wygląda na to, by miało być tak łatwo jak przy Enceladusie.

– Nie – odpowiedział Gray. – Nie wygląda. Ale zobaczymy, jak oni reagują na bezpośrednie zagrożenie.

Okręt Grdoch przy Enceladusie stanowił zagadkę, nad którą

stratedzy i ksenospecjaliści pracowali bez wytchnienia od czasu bitwy, starając się znaleźć klucz do zachowań obcych. Jednostka otworzyła ogień do floty USNA, jednak w chwilę później raczej uciekała, niż kontynuowała walkę. Gdy Gray wirtualnie dostał się na pokład przechwyconego okrętu i pod postacią drona spotkał jednego z Grdoch, ten wydawał się przerażony, przynajmniej według ludzkich standardów. Większa grupa najpierw sprawiała wrażenie przestraszonej, więcej niż trochę, by chwilę później stać się skrajnie agresywna, gdy Marines próbowali zabić ich zwierzę rzeźne.

Oczywiście cały szkopuł leżał w wyrażeniu „według ludzkich standardów”. To, co wydawało się niespójnym zachowaniem dla człowieka, wcale nie musiało takim być dla obcych. Jeśli jednak ludzie mieli walczyć z tymi istotami, musieli je zrozumieć.

„Poznaj swojego wroga” – to podstawowa zasada, głoszona przez antycznego chińskiego stratega Sun Tse. Nie było to jednak łatwe, kiedy miało się do czynienia z kulturą, która ewoluowała na świecie oddalonym lata świetlne od Ziemi.

Gray ściągnął dużą ilość opracowań, meldunków i rozważań, stworzonych przez naukowców analizujących zachowania obcych jeńców, i jak do tej pory nie zauważył niczego pewnego. Opierając się na doświadczeniach z Enceladusa, był jednak w stanie założyć się, że Grdoch posiadali bardziej wyczuloną reakcję na stany „ucieczka – walka” niż ludzie. Pytania nasuwały się same: Dlaczego przybyli do tego systemu? Cemu sprzymierzyli się z Konfederacją? Ale to sugerowało, że istniały sposoby pobicia ich. Otwarta, naga siła wydawała się wzbudzać ich agresję, jednak gdy „Ameryka” otworzyła ogień, okręt przy Enceladusie usiłował zbiec. Być może obcy mieli mentalność, która wiodła ich do ataku, gdy mieli znaczną przewagę, a jednocześnie nakazywała im natychmiastową ucieczkę po lekkim nawet prztyczku w nos.

No tak, zakładając, że mają nosy.

Tak czy inaczej, na to właśnie liczył Gray.

Okręty ZZ Eridani ustawiły się w linię, mając w awangardzie fregaty „Wyatt”, „McDonnell” i „Brewster”, za nimi leciały

niszczyciele „Semmes”, „Young” i „Ramirez” oraz krążownik „Milwaukee”. „Ameryka” znajdowała się za rufą pancernika „Long Island”, mając przy sobie „Maine” i rosyjską „Sławę”. W jednym momencie okręty wyłączyły napędy grawitacyjne i poruszały się już tylko siłą rozpędu, z prędkością około ośmiu tysięcy kilometrów na sekundę.

– Wszystkie okręty – powiedział cicho Gray. – Uwaga. Link taktyczny, kontrola AI...

Jedną z wad szyku liniowego był brak możliwości otwarcia ognia przez większość okrętów bez ryzyka trafienia jednostek czołówki. Jednak większość strzałów miała paść w ciągu tego ułamka sekundy, w którym zespół przelatywał w odległości jedynie dziesięciu tysięcy kilometrów od celu. Ludzki refleks był zbyt wolny, by kierować ostrzałem w takim wypadku, dlatego zadanie zostało przekazane do AI okrętów. Taktyczne łącze pomiędzy komputerami zespołu zadaniowego powodowało, że stawał się on jednością, koncentrowało ogień i kontrolowało, czy żaden z okrętów nie znajduje się na linii strzału.

– Awangarda jest pod ostrzałem, panie admirale – zameldował Dean.

Gray widział salwę na swoim wyświetlaczu taktycznym, grafika komputerowa ukazywała niewidoczne w rzeczywistości strumienie koherentnego promieniowania X, strzelające z celu Alfa i wymierzone w prowadzące okręty ludzi. „McDonnell” przyjął bezpośrednie trafienie, które spowodowało wyparowanie większości jego kopuły ochronnej. Odłamki i lód nadal poruszały się w stronę obiektu z prędkością ośmiu tysięcy kilometrów na sekundę.

Pięćdziesiąt kilometrów od „McDonnella” „Wyatt” także został trafiony, tracąc fragment kopuły. Obie uszkodzone fregaty koziółkowały, pozbawione systemów kontrolnych. Zabójcza broń obcych sięgała głębiej w ludzką awangardę, ignorując uszkodzone jednostki i szukając nowych celów. Fregata „Brewster” znikła w ogromnym, oślepiająco białym błysku, gdy dosięgło ją kilka strumieni, przebijając się przez kopułę ochronną i niszcząc generator mocy.

Pojawiło się także nowe zagrożenie. Inna antyczna zasada mówiła, że żaden plan bitwy nie przetrwał kontaktu z nieprzyjacielem, i to właśnie można było obecnie zaobserwować, gdy myśliwce Grdoch zaczęły punktować linię zespołu. Oczywiście wiele z nich zostało zniszczonych przez falę ludzkich myśliwców, jednak na pewno nie wszystkie. Dziesiątki maszyn obcych oblegały obecnie większe okręty, szczególnie lotniskowce. Broń, którą dysponowały, nie miała takiej mocy jak promienie wystrzeliwane z okrętu głównego, było ich jednak bardzo dużo. Rój czerwonych napastników szukających jakiejś wyrwy w obronie ludzi.

Gray rzecz jasna spodziewał się, że część myśliwców przeciwnika zdoła się przedrzeć. Lotniskowce i pozostałe okręty posiadały efektywne systemy obrony punktowej przed tego typu atakiem, każdy z lotniskowców miał także osłonę w postaci eskadry BPP lecącej w pobliżu. Jednak liczba maszyn przeciwnika i furia ataku powodowały, że obrona była na skraju wydolności.

„Ameryką” szarpnęło, gdy coś trafiło w tylną część jednego z modułów obrotowych. W chwilę później po lewej stronie, w odległości mniejszej niż dziesięć kilometrów, wybuchła głowica nuklearna i grawitacyjne tarcze lotniskowca napięły się do granic wytrzymałości, by przyjąć napływającą falę śmiertelnego promieniowania.

Gray słyszał, jak kapitan Gutierrez wykrzykuje rozkazy, używając wewnętrznych linii łączności, jednak jego uwaga skupiona była na całej grupie bojowej, a nie tylko na jednym okręcie. Okręcie, którym ponownie silnie szarpnęło.

Robiło się naprawdę gorąco.

Gray sprawdził pozycję jednostek Konfederacji. Przy ich obecnym przyspieszeniu nadal znajdowały się dwadzieścia pięć minut od celu.

– Daj mi kanał do Konfedów – nakazał admirał.

– Kanał otwarty, sir.

– Flotylla konfederacka! – wywołał. – Tu admirał Gray z Lotniskowcowego Zespołu Zadaniowego USNA, zbliżającego się

do Vulcana. Atakuję okręty Grdoch znajdujące się pomiędzy mną a planetą. Jakie są wasze intencje? Proszę o odpowiedź.

Jeśli okręty Konfederacji nadal sprzymierzone były z Grdoch, prawdopodobnie odpowiedź nie nadejdzie, jednak warto było spróbować zawrzeć taki bitewny sojusz. Jednostki Konfederacji znajdowały się zbyt daleko, by mieć jakikolwiek wpływ na zbliżającą się walkę. Przy tej odległości sygnałowi zajmie dwie minuty dotarcie do nich i kolejne dwie powrót. Cztery minuty były w walce wiecznością. Do czasu, kiedy odpowiedź Konfederatów dotrze do „Ameryki”, bitwa z Grdoch będzie zakończona, w ten czy inny sposób.

Warto było jednak spróbować, choćby po to, by wiedzieć, czy okręty amerykańskie będą musiały stoczyć kolejną bitwę.

– „Long Island” znajduje się pod ciężkim ostrzałem, panie admirale.

– Dziękuję.

Nie można było podjąć już żadnej innej decyzji czy wydać nowego rozkazu. Linia bojowa przesuwiała się ku planecie i jej obrońcom.

– Panie admirale! Cel Alfa zmienia kurs! Wygląda na to, że się wycofuje.

Na dużym ekranie mostka flagowego czerwona ikona oznaczająca okręt Grdoch faktycznie gwałtownie traciła prędkość, najprawdopodobniej próbując zawrócić w stronę planety, zostawiając prowadzenie bitwy myśliwcom. Gray słyszał, jak kilku techników wiwatuje, a kapitan Gutierrez nakazuje im spokój.

– Jeszcze się nie skończyło!

Okręt Grdoch czekał zbyt długo. Przed zmianą kierunku musiał wytracić prędkość postępową, a w tym czasie linia bojowa USNA przeleciała obok niego. Każdy okręt w linii wycelował w przeciwnika swoje główne uzbrojenie, a AI w odpowiednim momencie otworzyły ogień, wysyłając w przestrzeń salwę za salwą.

W czasie krótszym niż mgnienie oka cała linia minęła cel. W ciągu trzech sekund pokonała dwadzieścia tysięcy

kilometrów, kierując się w stronę planety.

Cel Bravo przyspieszał obecnie, oddalając się od Vulcana, za nim leciały myśliwce, zarówno własne, jak i ludzkie, a na końcu pozostałości kontyngentu chińskiego. Wyświetlacz pokazywał koziołkujący chiński niszczyciel „Laiyuan”, który pozbawiony był już całkowicie kopuły ochronnej. Zarówno „Shi Lang”, jak i krążownik „Fu Zhun” także doznały poważnych uszkodzeń. Myśliwce Grdoch wydawały się skupiać swoją uwagę na lotniskowcu.

– Do wszystkich jednostek – powiedział Gray. – Związać walką obiekt Bravo. Zdejmijmy nieco ciężaru z barków admirała Guo.

Za nimi cel Alfa otoczony był brylantowymi rozbłyskami detonujących głowic nuklearnych i wydawał się uszkodzony. Punkt równowagi bitwy, jej środek ciężkości, przenosił się na cel Bravo.

– Dajcie mi Guo! – rozkazał Gray.

Zajęło to chwilę, lecz twarz admirała Guo pojawiła się w oknie komunikacyjnym Graya. Widoczny w tle mostek był zrujnowany, a powietrze ciemne od dymu. Twarz admirała pokrywała krew, obficie płynąca z rany na głowie. Sztuczna grawitacja nie działała, dowódca dryfował w powietrzu.

– Admirale Guo – powiedział Gray – rekomenduję przerwanie ataku!

– Admirale Gray – odpowiedział Chińczyk – kluczową sprawą jest nie pozwolić temu... obcemu demonowi uciec.

– Zapewniam pana, że mu się to nie uda. Proszę się wycofać i ratować okręt!

– Wierzę, panie admirale – odpowiedział Guo – że przekaże pan pełny i dokładny obraz tej bitwy po powrocie na Ziemię. Wrogowie... wrogowie mogą stać się przyjaciółmi...

Obraz znikł w zakłóceniach. Na głównym wyświetlaczu „Shi Lang” rozkwitła trudnym do zniesienia blaskiem.

W tym samym czasie „Fu Zhun” kontynuował atak, nie zważając na utratę okrętu flagowego. Gray bezradnie patrzył, jak krążownik zbliżał się do dużo większego okrętu Grdoch, wystrzeliwując salwę za salwą z niemal zerowej odległości.

Ponownie odezwały się lasery przeciwnika, tnąc ludzki okręt jak gorący nóż masło.

„Fu Zhun” eksplodował.

– Kurwa! – krzyknął Gray na tyle głośno, że grupa techników spojrzała na niego wystraszona.

– Chińska flotylla przestała istnieć – zameldował Dean.

– Wiem. Lecimy tam!

Czemu, do cholery, Guo oddzielił się od floty głównej? Brawura? Polityczna demonstracja odmowy przyjęcia rozkazów od zachodniego dowódcy? Gray podejrzewał, że było w tym dużo więcej. Hegemonia Chińska była persona non grata w społeczności światowej od ponad trzystu lat. Komentarz Guo o wrogach stających się przyjaciółmi...

Może dostał rozkaz, by za wszelką cenę sprawić, aby Stany Zjednoczone uwierzyły, że siły Hegemonii są przyjaciółmi, sojusznikami w walce ze wspólnym wrogiem.

No cóż, to mu się udało. Jednak okręt Grdoch cały czas przyspieszał, kierując się w stronę, z której zbliżała się flotylla okrętów Konfederacji. Jeszcze moment, a dranie będą w pułapce.

Wokół „Ameryki”, w ogromnej sferze, dryfowały wraki, uszkodzone myśliwce i odłamki – smutna, lecz spodziewana pozostałość po bitwie w otwartej przestrzeni. Z tyłu po lewej stronie błyszczał Vulcan.

– Przekazać do „Inchon”! – powiedział Gray. – Zabezpieczyć planetę!

Transportowiec Marines wystrzelił już własne myśliwce, włączając się do walki. Teraz zarówno one, jak i okręt macierzysty zaczęły gwałtownie wytracać prędkość, obierając wektor prowadzący na niską orbitę nad 40 Eridani A II.

Myśliwce Grdoch znajdowały się już nad atmosferą planety, a z przestrzeni nadciągało ich więcej. Okręt Marines zdecydowanie potrzebował wsparcia.

– „Sława”! – powiedział Gray, sprawdzając uprzednio, które jednostki znajdują się na najdogodniejszych pozycjach. – „Decatur”! „Calgary”! Skierować się w stronę planety i udzielić wsparcia Marines!

Napłynęły potwierdzenia.
Zespół Zadaniowy USNA zaczął się dzielić...

Arkologia Lakeview, Toronto
Stany Zjednoczone Ameryki Północnej
Godzina 14.31 EST

Koenig uśmiechnął się, wstając.

– Dziękuję, że przyszedł.

– Po osobistym zaproszeniu przez prezydenta? –
odpowiedziała Deb ze śmiechem. – Jak mogłabym odmówić?

– Po prostu – odparł. – Mówiąc „nie”. „Nie, do cholery” także
byłoby akceptowalną formą.

Koenig opuścił podziemną fortecę tymczasowego
prezydenckiego stanowiska dowodzenia, udając się kolejką do
wieży Arkologii Lakeview, a następnie magnetyczną windą na
szczyt, do restauracji znajdującej się dziewięćset metrów nad
poziomem jeziora Ontario.

W tym czasie Deb Johnston złapała z północnego Columbus
pociąg magnetyczny, który pokonał pięćset kilometrów dzielące
stolicę od Toronto w dziesięć minut. Więcej czasu zajęło jej
wyplątywanie się z terminarza spotkań ustalonych na dzisiejsze
popołudnie i rozmów z miejskimi nanoarchitektami.

Koenig wahał się przez chwilę, spoglądając na funkcjonariuszy
ochrony osobistej, znajdujących się kilka kroków od niego,
a potem rozłożył ramiona, zapraszając kobietę do uścisku.
W nosie miał, co pomyśla sobie ochroniarze.

Deb odwzajemniła uścisk.

– Tak dobrze znów cię widzieć, Alex – powiedziała.

– Głodna?

– M-hmm. Jak wilk.

– To całkiem dobre miejsce – powiedział, uśmiechając się. –
Ludscy kelnerzy.

– A to znaczy, że jest drogo, ale niekoniecznie smacznie.

Wierzę ci jednak na słowo.

Decyzja o zaproszeniu jej na lunch wywołała małe trzęsienie ziemi wśród agentów ochrony osobistej. Ale jeśli nie potrafili dostosować się do tej pory do podejmowanych przez prezydenta w ostatniej chwili decyzji, to chyba powinni zmienić zawód. Jako była senator USNA, Johnston posiadała wiele wysokich certyfikatów bezpieczeństwa, jedyne, co trzeba było zrobić, to wynająć całą restaurację i sprawdzić około dwudziestu jej pracowników. Koenig jadał tu już wcześniej, więc nie stanowiło to problemu.

– Po co faktycznie mnie zaprosiłeś? – zapytała, wydostając się z uścisku i zajmując miejsce. – Na pewno nie z powodu głodu.

– Nie tylko z powodu głodu – zgodził się. – Muszę... muszę porozmawiać o polityce.

Skrzywiła się.

– Proszę, nie w czasie lunchu.

– Spodoba ci się. Zaczynam zbliżać się do twojego sposobu myślenia.

Otworzyła szeroko oczy.

– To bomba! W jaki sposób? Myślisz o zostaniu unionistą?

– Niezupełnie. Jednak to, co usłyszeliśmy dziś rano... zaszokowało mnie, Deb. Zastanawiam się, czy globaliści nie mają racji. Czy powinniśmy się poddać Sh'daar?

Przynajmniej się nie roześmiała.

Kelner, pod czujnym wzrokiem ochroniarzy, podszedł do stołu i podał im staroświeckie menu zamiast typowych wyświetlaczy holograficznych. Konwersacja na chwilę uległa zawieszeniu, by oboje mogli złożyć zamówienie: kurczak piccata z prawdziwego kurczaka dla Johnston i wybór sushi i sushimi dla Koeniga.

Deb Johnston była nadal członkiem Partii Globalnej Unii, politycznego melanzu wielu mniejszych grup nawołujących do zjednoczenia świata. Była częścią konfederackiej Partii Globalistów i jako taka sprzeciwiała się wojnie, jednak obecnie nie występowała otwarcie przeciw rządzącej Partii Wolności. W zamian za to stworzyła coś, co w kołach rządowych nazywano „lojalną opozycją”, i kontynuowała debaty na temat obecnej

polityki USNA. Jej członkowie w większości popierali pomysł ponownego połączenia się z Genewą, jednak byli wciąż podzieleni w kwestii akceptacji ultimatum Sh'daar.

– Jakie masz zdanie w sprawie Sh'daar, Deb?

– Chodzi ci o to, czy powinniśmy dołączyć do sojuszu? – Westchnęła. – Nie jestem pewna. Uważam, że powinniśmy mieć prawo do samostanowienia, jeśli chodzi o sprawę rozwoju technologicznego. My, ludzie, jesteśmy tak bardzo związani z naszą technologią, że akceptacja ograniczeń ultimatum byłaby jak wsadzenie nas do pudełka. – Mrugnęła. – Gdzieś to słyszałam.

Analogia z pudełkiem była jednym z ulubionych zwrotów Koeniga, powtarzanym w wielu jego przemówieniach w ciągu ostatnich kilku lat.

– Ja także. Bylibyśmy jak kot Schrödingera. Żyjemy czy nie? Trzeba otworzyć pudełko i sprawdzić.

– Myślisz o hipotezie wieloświatowej.

Pokiwał głową.

– Z wyjątkiem tego, że to już nie jest hipoteza. Zgodnie z tym, co słyszeliśmy dziś rano, teraz wiemy, że istnieją inne wszechświaty, być może nieskończona ilość. Nieważne, jaką tu i teraz podejmiemy decyzję, okaże się, że w innym wszechświecie postanowiliśmy coś innego. Wygląda więc na to, że tak naprawdę ten nasz wybór nie ma większego znaczenia.

– Nic się nie zmieniło, Alex – odpowiedziała. – My mamy tylko ten wszechświat. Nadal musimy podejmować najlepsze możliwe decyzje, opierając się na dostępnych informacjach. A jeśli chodzi o wybory moralne, musimy robić to, co uważamy za słuszne.

– Czasami to, co słuszne, wcale nie jest takie oczywiste.

– Nigdy nie jest. Czy naprawdę obawiasz się Sh'daar? A może chodzi o Grdoch?

– Wydaje mi się, że o jednych i drugich. Nie możemy prowadzić trzech wojen naraz. Wszechświat, ten wszechświat, staje się niewiarygodnie skomplikowany, nie sądzisz?

– A ty szukasz sposobu na uproszczenie spraw.

– Czy słyszałaś o operacji Luter?

– Nie.

W skrócie opisał jej program memetyki replikacyjnej i powstanie nowej religii w Europie. Poświadczenie bezpieczeństwa Johnston miało wystarczająco wysoką klauzulę, by mogła usłyszeć szczegóły.

– A więc d’Angelo jest fałszywy? – zdziwiła się. – Jestem rozczarowana!

– Dlaczego?

– Podoba mi się jego przesłanie. Odpowiedzialność osobista, ludzka wolność wyboru i koniec dla ograniczonego fanatyzmu.

– Nawołuje przeciwko przyłączeniu się do Sh’daar.

– Nawołuje do jedności ludzkości.

– Nie jest fałszywką – powiedział Koenig. – Nie do końca, jeśli wierzy w niego i jego przesłanie wystarczająca liczba ludzi. Z tego, co widzieliśmy, w Europie istnieje silny ruch antywojenny. Szczególnie po Columbus.

Skrzywiła się.

– To było straszne. W ruinach nadal znajdują ciała, wiesz? I częściowo pochłonięte ciała. Uderzenie nano jest podobne do zjedzenia żywcem.

– Wiesz o Grdoch?

– Tak, widziałam program na kanale informacyjnym. To nie są istoty, z którymi bym weszła w komitywę. Nie w sytuacji, kiedy mogą się na nas rzucić w środku konferencji pokojowej.

– Genewa staje się coraz bardziej zdesperowana. Myślę, że właśnie dlatego sprzymierzyli się z Grdoch. Dowiemy się więcej, gdy nasza flota wróci z Vulcana.

– Nie spodziewaj się, że będę się z tobą sprzeczać, jeśli o to chodzi. Nie podoba mi się pomysł wojny domowej wewnątrz Konfederacji. Nie podoba mi się podział ludzkości, jeśli chodzi o stosunek do obcych, niezależnie od tego, czy będą to Sh’daar, czy Grdoch. Wydaje mi się, że w tych tematach mamy dość podobne zdanie, prawda?

Pokiwał głową.

– Tak, mamy. Także nie podoba mi się wojna domowa... ale ją mamy. Nie chodzi tylko o problem Sh’daar. To Genewa chciała zająć nasze Peryferie, kontrolować wolne miasta oceaniczne,

Konstantina i inne super-AI...

– Co nie byłoby problemem, gdyby Konfederacja była naprawdę zjednoczona.

– Nie. To sposób dotarcia do celu jest problemem. To oraz chciwość, korupcja i żądza władzy...

– Denoix?

– I inni. Na przykład generał Korosi.

Pokiwała głową.

– To podły człowiek.

– Ciemna materia.

– Co?

– Stephen mówił dziś rano o ciemnej materii.

– Tak, grawitacyjne przecieki do innych wszechświatów.

– Aha. Ale dla mnie prawdziwą ciemną materią są układy z Genewą. Sprzymierz się z nimi. Dołącz do drani pomimo ich zbrodni. A potem, być może, trzeba się będzie także sprzymierzyć ze Sh'daar. I z Grdoch.

Wyglądała na zaskoczoną.

– Dlaczego?

Koenig pomyślał chwilę.

– Ktoś zasugerował kiedyś, kilka wieków temu, że jedyną rzeczą, jaka jest w stanie powstrzymać odwieczną ludzką rywalizację i walki pomiędzy nacjami, mogłaby być inwazja z innego miejsca. Z kosmosu.

Pokiwała głową.

– To się jednak nie sprawdziło, jak widać. Sh'daar zaatakowali nas, a my nadal walczymy między sobą.

– Niestety. Ale zasada nadal obowiązuje, nawet jeśli wciąż skaczymy sobie do gardeł. A co się stanie, jeśli inwazja nie jest wymierzona w Ziemię... tylko w całą naszą Galaktykę, cały wszechświat?

– Myślisz o Obcych z Rozety? Czy mamy potwierdzenie ich wrogości?

– Nie. Straciliśmy tam okręty, lecz... nie. Jak na razie, wszystkie dowody wskazują na to, że są tak potężni, tak daleko przed nami, że nawet nas nie zauważają.

– Myślisz, że zrobimy na nich wrażenie, przyłączając się do Sh'daar przeciwko nim?

– Chciałbym to wiedzieć. Spójrz, Sh'daar są czymś przerażeni. Wiemy, że boją się ur-Sh'daar, części swojej cywilizacji, która przeszła transcendencję setki milionów lat temu. To dlatego są tak przeciwni temu, by ktokolwiek inny na własną rękę rozwinął technologię i doszedł do osobliwości technologicznej. Może Obcy z Rozety to ur-Sh'daar. Nie wiemy po prostu. Czego jestem pewien, to faktu, że ludzkość, nawet zjednoczona, nie ma szans z Obcymi z Rozety.

– Gwiazdni Bogowie?

– Być może. Jeśli nie są bogami, mogą być, kim chcą, biorąc pod uwagę potęgę, jaką dysponują. Dobry Boże, Deb, jeśli silna zasada antropiczna jest prawdą, to oni mogą być tymi, którzy stworzyli wszechświat!

– To nie wygląda na bardzo prawdopodobne, nie uważasz? Znaczący... czemu mieliby pojawiać się tutaj, w tym wszechświecie, właśnie teraz? Kilka tysięcy lat świetlnych od Ziemi? Mają do dyspozycji cały wszechświat!

– Zastanawiasz się, czemu pojawili się po sąsiedzku, a nie w supergromadzie w gwiazdozbiorze Lwa czy innym tego typu miejscu?

– Dokładnie. Gdzieś o kilkaset milionów, a może kilka miliardów lat świetlnych, a nie w naszej Galaktyce, w okolicach Układu Słonecznego...

– Masz rację. Jednak pozostaje faktem, że tutaj są, ze swoim poziomem technologii, który czyni z nas, cholera, nawet nie jaskiniowców w porównaniu z nimi. Jesteśmy jak mrówki, jak ameba. I jeśli okażą się zagrożeniem, być może jedyną szansą na ocalenie ludzkości będzie przyłączenie się do Sh'daar i Grdoch.

Wolno pokiwała głową.

– Boże. Wiem już, czemu nazywasz to ciemną materią.

– Nie wydaje mi się, by mogła stać się jeszcze ciemniejsza.

Rozdział dziewiętnasty

13 marca 2425

Vulcan

Układ 40 Eridani A

Godzina 14.33 TFT

Starhawk porucznik Connor wiedział, jak chronić swojego pilota. Dziewczyna była nieprzytomna, gdy myśliwiec uderzył w atmosferę, jednak pokładowa AI zdołała powstrzymać koziołkowanie, a następnie przekształciła kadłub, spłaszczając go, wysuwając szerokie, łukowate skrzydła, które chwyciły gęstniejące powietrze i zmniejszyły prędkość upadku.

Tymczasem zestaw medyczny pracował nad utrzymaniem Meg przy życiu, pompując w jej żyły nanoantyrad i sprawdzając stan jej mózgu w poszukiwaniu oznak poważnej traumy. W momencie, gdy z trudem odzyskiwała świadomość, myśliwiec był na wysokości mniejszej niż dwadzieścia kilometrów, drżąc podczas przebijania się przez powietrze.

Connor nie mogła zobaczyć przesuwającego się pod nią terenu. Wszystkie sensory znajdujące się na kadłubie starhawka zostały zniszczone. Próby nawiązania łączności radiowej bądź laserowej z kimkolwiek z eskadry spełzły na niczym. Nie udało się także uruchomić radionadajnika naprowadzającego. Jednak AI cały czas przekazywała dane, uspokajając, twierdząc, że prędkość maszyny spadła z kilometrów na sekundę do marnych metrów na sekundę. Dziewczyna wsłuchiwała się w ten uspokajający głos, zastanawiając się jednocześnie, co czeka na nią na powierzchni planety.

Wiedziała, że na Vulcanie można żyć i funkcjonować bez

kombinezonu środowiskowego. Że będzie mogła znaleźć wodę i żywność, a także, że jest tam spora ludzka populacja. Nie miała tylko pojęcia, gdzie na powierzchni planety znajdowali się Grdoch.

Kilka miesięcy wcześniej Connor została schwytana przez inny obcy gatunek, Slan. Była przez jakiś czas przetrzymywana jako jeniec na ich okręcie i nawet krótko przesłuchiwana. Udało jej się uciec tylko dzięki pododdziałowi Marines, wysłanemu na pokład okrętu z misją ratunkową.

To nie było miłe przeżycie. Zgodnie zaś z materiałami szkoleniowymi Grdoch byli gorsi od Slan. O wiele gorsi. Slan przynajmniej nie byli zainteresowani ludźmi w celach konsumpcyjnych.

Do powierzchni pozostało mniej niż kilometr. Poczwała przyspieszenie, gdy starhawk przechylił się na lewą stronę i wszedł w długi, łagodny łuk. AI poszukiwała bezpiecznego miejsca do lądowania, czegoś gładkiego, niezbyt kamienistego, nieporośniętego zbyt gęsto. Czegoś, co nie znajdowało się na morzu, bagnach lub wysoko w górach. Megan nie wiedziała o warunkach terenowych Vulcana nic prócz tego, że ludzie żyli tam swobodnie, bez większego wsparcia technicznego.

AI zaprogramowana została tak, by unikać widocznych instalacji wojskowych, radarów i lidarów, o ile było to możliwe. Nie miało sensu łagodne i bezpieczne wchodzenie w atmosferę tylko po to, by chwilę później zostać usmażonym przez obronę przeciwlotniczą.

Był dzień czy noc? Gdy starhawk został trafiony, Vulcan był w połowie oświetlony, jednak maszyna mogła zanieść ją dosłownie wszędzie.

Sztuczna inteligencja mogła rozmawiać z pilotami, ale czyniła to bardzo rzadko. Bardziej efektywne było dostarczanie informacji bezpośrednio do mózgu i otrzymywanie poleceń tą samą drogą. Gdy więc Connor zażądała informacji na temat poziomu światła, właściwości terenu i aktywności przeciwnika w najbliższej okolicy, jedyne, co otrzymała, to ogólną negację. Komputer albo nie był w stanie odpowiedzieć, albo niewiele

wiedział.

Starła się więc podkreślić swoją wolę wylądowania gdzieś w okolicach zamieszkałych przez ludzi. Z dala od baz wojskowych czy też większych miast, oczywiście, ale jednak w pobliżu terenów, na których można spotkać człowieka.

W odpowiedzi poczuła coś jak potwierdzenie.

Tutejsi ludzie należeli do Konfederacji, byli wrogami, ale przynajmniej istniała możliwość skontaktowania się z nimi.

Za wszelką cenę chciała uniknąć Grdoch.

By zająć się w jakiś sposób, oczekując w ciemności kokpitu, Meg sprawdziła listę wyposażenia w zestawie przetrwania. Radio i radiolatarnia, oczywiście. Baterie. Zestaw nanomedyczny. Woda w ilości wystarczającej na kilka dni. Nóż. Maczeta z dwusiecznym ostrzem. Hełm i zestaw oddechowy, które zamienią jej kombinezon lotniczy w skafander środowiskowy. Opakowanie z zaprogramowanymi nano, które wyprodukują buty trekkingowe w jej rozmiarze, samoogrzewający koc i małe schronienie, wszystko to z lokalnej gleby, żwiru i roślin. Zapasowy zestaw nano, umożliwiający uzupełnienie zapasów powietrza, wody i pożywienia w skafandrze.

I najważniejsze, Solbeam Mk. VII, pękaty półmegadżulowy laser ręczny.

Nadal miała w nocy koszmary, w których potwory wywlekają ją z rozbitego myśliwca na pokładzie okrętu Slan.

To się już nigdy nie powtórzy.

USNA CVS „Ameryka”

Układ 40 Eridani A

Godzina 14.36 TFT

Nadal nie było odpowiedzi od flotyli Konfederacji i Gray zaczynał się już niecierpliwić. Do cholery, na co oni czekali? Na szansę, by po kryjomu zaatakować flotę USNA? Jeśli taki mieli zamiar, to srodze się zawiodą. Byli zdecydowanie słabsi i gorzej

uzbrojeni.

– Wiadomość od Konfedów, panie admirale – zameldował porucznik Kepner. – Priorytet jeden. Opóźnienie czasowe siedemdziesiąt osiem sekund.

– Dawaj ją!

Upłynęło kilka sekund, a potem w głowie Graya pojawiła się brodata twarz.

– Jestem kapitan del Castro, dowodzący Grupą Bojową Konfederacji Vulcan. Admirale Gray?

Amerykanin czekał, słuchając. Jego odpowiedź szła do del Castro ponad minutę. Dowódca Konfederatów wydawał się bardzo zakłopotany.

– Sir – kontynuował – znaleźliśmy się w konflikcie z... naprawdę przerażającym wrogiem. Myśleliśmy, że Grdoch mogą być sojusznikami... jednak...

Zaczekaj – pomyślał Gray.

– Sir, nasze rządy znajdują się w stanie wojny, ale tutaj... tak daleko od domu, musimy zawierać takie sojusze, jakie musimy. By przetrwać. Z całym szacunkiem, oddaję panu całą moją flotyllę do dyspozycji. W tym momencie wykonuję manewr odcinający drogę okrętowi Grdoch bezpośrednio przed wami. Czekam na dalsze rozkazy.

Nie było to całkowite poddanie, jednak warunki i definicje mogli uzgodnić później. W tej chwili musieli pokonać Grdoch.

– Przekazać do wszystkich jednostek – powiedział Gray wolno i wyraźnie. – Nie otwierać ognia do okrętów Konfederacji, powtarzam, nie otwierać ognia do jednostek Konfederacji! Są obecnie po naszej stronie.

Napłynęły potwierdzenia.

Gray oparł się w fotelu, spoglądając na wyświetlacz nad sobą. Konfederaci faktycznie obrali kurs przecinający drogę jednostce Grdoch, poruszającej się z przyspieszeniem osiemdziesięciu tysięcy g, zbyt szybko dla „Ameryki” i pozostałych jednostek USNA.

– Możemy im tak pozwolić odlecieć, admirale? – chciała wiedzieć kapitan Gutierrez.

– Nie – odparł. – Nie wiemy, skąd się wzięli, gdzie jest ich planeta macierzysta, a jeśli teraz się przemkną, to jestem pewien, że wrócą silniejsi. Lecz jeśli ich okręty nigdy nie wrócą... – zawiesił myśl.

– Przylecą, by je znaleźć – powiedziała Gutierrez. – Tak jak my teraz, szukając „Intrepid”.

– Tak, ale to nie będzie wielka flota inwazyjna. Zachowają ostrożność. To nam kupi czas.

– Mam nadzieję, że się pan nie myli, panie admirale. Dwa te potwory w zupełności wystarczą. Dziękuję.

– Zmniejszają prędkość! – zameldował komandor Dean Mallory. – Mam wrażenie, że zawracają, by podjąć walkę!

– Widzę...

Wielki okręt obcych nadal mógł się wymknąć, jednak najwyraźniej zawracał, starając się uniknąć nadciągających jednostek Konfederacji.

– Przekazać do wszystkich – rozkazał Gray. – Rozproszyć się. Spróbujemy przestrzennego okrążenia.

Formacja liniowa zaczęła się rozpadać, poszczególne okręty przesuwały się w lewo bądź w prawo, zbliżając się do okrętu Grdoch, pokonując dystans, który je od niego dzielił.

– Wszystkie jednostki – cicho powiedział Gray – ognia!

Okręt łowczy Grdoch „Gwałtowny Rzeźnik”

Przestrzeń Vulcana

Godzina 14.37 TFT

Rojowódca Tch’gok przekazywał swoim podwładnym szybkie komendy.

– Szczypce, produkuj te połączenia broni, ale już! Okrętowódca! Ustaw nas przodem do nadlatującej ofiary! Macie tylko trzy po trzy *gh’gh’chk*, zanim znajdą się w zasięgu cięcia.

Fizjologia Grdoch była mocno rozczłonkowana. Każde usta posiadały swój własny żołądek. Wzrok i inne zmysły były

rozmieszczone na całym ciele, nie istniał też centralny mózg, procesy nerwowe zachodziły w całym układzie. Taka budowa zapewniała organizmowi przetrwanie, mógł on stracić kilka małych lokalnych pompek służących jako serca i nadal sprawnie działać.

Architektura okrętu Grdoch przypominała budowę ich ciała, to dotyczyło także systemów kontroli i naprawy uszkodzeń, posiadających możliwość dublowania, co dawało ogromną elastyczność i niezależność. Ich ogromne, pękate jednostki mogły zostać straszliwie uszkodzone, ale nadal posiadały zdolność do prowadzenia walki lub ucieczki, a członkowie załogi posiadali zwielokrotnione specjalizacje, tak by każdy z nich mógł pełnić kilka funkcji.

Nawet Tch'gok nie był kapitanem w ludzkim tego słowa znaczeniu, lecz bardziej organizatorem, pierwszym wśród równych, którego zadaniem było utrzymywanie całego okrętu i załogi w równowadze. Jego rola w każdej chwili mogła zostać przejęta przez jednego z kilkuset Grdoch, znajdujących się w dwudziestu siedmiu oddzielnych rojowódzczych modułach.

„Gwałtowny Rzeźnik” został mocno uszkodzony, prawie zabity, ale szybko budził się do życia.

USNA CVS „Ameryka”

Układ 40 Eridani A

Godzina 14.38 TFT

Biorąc sobie do serca starą zasadę, że trzeba znać przeciwnika, Gray ściągnął wszystkie dostępne dane na temat okrętu Grdoch przechwyconego przy Enceladusie. Niestety, nie było tego wiele. „Shenandoah” i holowany przez nią okręt obcych ledwie dotarł do Księżyca, gdy Zespół Zadaniowy Eridani opuszczał Układ Słoneczny. Ludzie nadal byli w trakcie przeprowadzania jeńców z okrętu do przeznaczonej dla nich części bazy Crisium.

Mimo tego kilka rzeczy wydawało się oczywiste, istniały także

pewne bardzo prawdopodobne przypuszczenia na temat psychologii Grdoch, wysnute na podstawie ich obserwacji od chwili wzięcia do niewoli.

Zwyczajne żywieniowe Grdoch były jeszcze bardziej makabryczne, niż Gray początkowo przypuszczał. Ich organizmy najwyraźniej posiadały jakiś rodzaj neurotoksyny ukrytej w śliniankach, która przynajmniej częściowo paraliżowała ofiarę. Już samo to było paskudne, ale na tym nie koniec. Toksyna działała także, przynajmniej w przypadku wielkich *praedams*, na kontrolę krwawienia i pracę serca, pozwalając utrzymać ofiarę przy życiu na wiele karmień.

Starając się panować nad żołądkiem, Gray czytał dalej, dowiadując się, że przynajmniej jeden z ziemskich gatunków zachowywał się tak samo. Pewna ryjówka – *Blarina brevicauda* – posiadała taką samą toksynę. Wiadomo było, że ryjówki codziennie zjadały owady, robaki i młode myszy o łącznej wadze samej ryjówki. Ten jednak gatunek znany był z podjadania sparaliżowanych myszek przez kilka dni. W jednym z przypadków zwierzę utrzymywało swoją ofiarę przy życiu przez piętnaście dni.

Natura ma tendencję do powtarzania wzorców zachowań w całej Galaktyce. Toksyna Grdoch dostosowana była do układu nerwowego gigantów, na których żerowali, i prawdopodobnie nie działała na ludzi, dzięki Bogu. Jednak biologia Grdoch sugerowała, że ich psychologia była z ludzkiej perspektywy bezwzględna, oportunistyczna i całkowicie pozbawiona takich uczuć jak empatia, współczucie czy litość.

I to stanowiło najstraszliwszy koszmar... Nie należało się spodziewać, że obcy będą czuli, rozumowali i wnioskowali podobnie jak ludzie tylko dlatego, że rozwinęli się w środowisku nieco przypominającym Ziemię. Litość była czysto ludzkim atrybutem i nikt nie powinien oczekiwać podobnych uczuć u Grdoch czy ryjówki krótkoogoniastej.

Gray zastanawiał się, w jaki sposób można było w ogóle komunikować się z takimi istotami. Języki mogły być perfekcyjnie przetłumaczone, ale nie emocje, nastawienia,

uprzedzenia i zachowania, które za nimi idą.

Wstępny raport doktora Truitta dotyczący Grdoch mówił:

Posiadają oni (Grdoch) oportunistyczne i manipulacyjne podejście do stosunków z innymi gatunkami, w stopniu nieznanym nawet skłonny do oportunistów ludziom. Powiedzą ci dokładnie to, co ich zdaniem chcesz usłyszeć, gdy tylko będzie to dla nich korzystne...

No właśnie. Ludzie zachowywali się podobnie, używając języka, by oszukiwać, zwodzić i manipulować, jednak słowa Truitta sugerowały coś więcej. Każde zachowanie było usprawiedliwione, jeśli prowadziło do realizacji własnego celu.

Respektowanie różnic kulturowych i obcej psychologii było zachowaniem prawidłowym, jednak istniały granice tolerancji wobec zachowań obcych. Gray w psychologii Grdoch, przynajmniej na razie, widział bardzo niewiele cech, które mogłyby mu się podobać.

Oczywiste było także, że okręty Grdoch celowo naśladowały ich budowę ciała. Studia nad ich anatomią dopiero się rozpoczęły, jednak skany ciał wykonane jeszcze na pokładzie „Shenandoah” ukazały wielokrotny nadmiar organów i systemów, ich okręty wydawały się zbudowane dokładnie w ten sam sposób. Gray przypomniał sobie *praedams* i to, jak trudno było je zabić, a także to, że Grdoch, którzy zaatakowali Marines Kornblutha, musieli zostać w końcu spaleni.

– Wchodzimy w zasięg skuteczny, panie admirale! – zameldował Mallory.

– Wszystkie okręty! Ognia! Rozwalić tego drania.

Roje uzbrojonych w głowice nuklearne rakiet wyskoczyły ze wszystkich okrętów floty. Ważny był tu termin, „zasięg skuteczny”. Rakiety z napędem grawitacyjnym mogły być odpalane w kierunku celów odległych o dziesiątki jednostek astronomicznych i gdy dozwolone było bombardowanie wstępne, wystrzeliwanie ich z granic systemu gwiazdowego stanowiło standardową praktykę. W terminologii wojskowej rakiety uznawane były ogólnie za broń dalekiego zasięgu, przeznaczoną do odpalania z odległości setek tysięcy czy nawet

milionów kilometrów od celu, podczas gdy strumienie, lasery i broń plazmową zaliczano do broni bliskiego zasięgu, do dziesięciu tysięcy kilometrów.

Jednak rozkazy Armitage'a zakazywały bombardowania Vulcana z dużej odległości, nie było także wiadomo, czy siły Konfederacji stanowiły uzasadnione cele. Tak czy inaczej, im bliżej celu następowała salwa, tym mniejsze istniało zagrożenie, że nieprzyjaciel strąci rakiety za pomocą laserów. Lasery X Grdoch były diabelnie skuteczne w niszczeniu nadlatujących rakiet. Wystrzelenie ich z maksymalnym przyspieszeniem z odległości zaledwie kilku tysięcy kilometrów dawało większą szansę na przedostanie się przez obronę wroga.

Jaki był efektywny zasięg dla rakiet, zależało od kompleksu algorytmów matematycznych, w których zmienne uwzględniały wszystko, od lokalnej gęstości materii do efektywności nieprzyjacielskiego ognia zaporowego.

Poszczególne okręty zespołu zadaniowego kontynuowały wystrzeliwanie rakiet w kierunku uciekającego okrętu Grdoch. Niektóre z nich mogły przedostać się i trafić okręt, a w najgorszym przypadku, jeśli przeciwnik musiał strzelać do rakiet, to nie mógł jednocześnie prowadzić ognia do okrętów.

W momencie, gdy połączone AI okrętów kontrolujące systemy ognia osiągnęły konsensus, zaczęły wystrzeliwać rakiety. Najpierw kilka, potem więcej, a wreszcie całe chmury, nadając im maksymalne przyspieszenie, by parę tysięcy kilometrów dzielące je od okrętu Grdoch mogły pokonać w kilka sekund.

Gray przyjrzał się formacji i podjął jeszcze jedną decyzję. W tego typu działaniach lotniskowce gwiazdne nie były najefektywniejsze. Były za to bardziej wrażliwe na rakiety i broń strumieniową niż inne okręty główne, miały także na pokładach zdecydowanie słabsze uzbrojenie ofensywne, polegając głównie na myśliwcach. Większość myśliwców zespołu zadaniowego była już w przestrzeni, tak więc „Ameryka” i pozostałe lotniskowce niewiele mogły wnieść do bitwy na małym dystansie.

– „Saratoga”, „Constitution”, „Shiva” – nakazał – wraz z eskortą dołączyć do okrętu flagowego i przemieścić się na orbitę

Vulcana.

Lotniskowce nie były potrzebne w końcowej fazie ataku na okręt Grdoch, a Gray obawiał się, że delikatne kolosy mogą zostać uszkodzone przez śmiertelne promienie okrętu obcych. Lepiej było wycofać je na orbitę i pozostawić ostatnie fazy ataku ciężkim krążownikom i pancernikom.

Lotniskowce zaczęły więc wytracać prędkość, zmieniając kurs na wiodący z powrotem w kierunku planety. Razem z nimi leciały okręty stanowiące ich bezpośrednią osłonę: rosyjski krążownik liniowy „Płamiennyj” ze „Sławą”, ciężki krążownik „Ranvir” z północnoindyjską „Shiwą” oraz „Calgary”, „Decatur” i „Porter”, towarzyszące „Saratodze”, „Constitution”, „Inchon” i „Ameryce”. Do grupy dołączyły jeszcze dwa niszczyciele i dwie fregaty.

Niebo za nimi rozjaśniła fala eksplozji nuklearnych.

Okręt łowczy Grdoch „Gwałtowny Rzeźnik”

Przestrzeń Vulcana

Godzina 14.39 TFT

Rojowódca Tch’gok rodził. Niemowlaki Grdoch wyśliz-giwały się z tuzina jego ust i lewitowały w zerowej grawitacji kabiny, popiskując.

Grdoch byli hermafrodytami. Kontakty z innymi członkami społeczności zostawiały w ciałach każdego dorosłego kolekcję komórek jajowych, zapakowanych w kieszenie skórne w ich ustach. Z czasem komórki te migrowały głębiej do organizmu, gdzie dochodziło do podziałów i rozwoju młodych. Mające wielkość ludzkiej głowy płody, będące zmniejszoną, bardziej płaską kopią rodziców, pozostawały wewnątrz czasem przez lata, do momentu, aż jakiś kryzys spowoduje konieczność ich wydostania się na zewnątrz.

Na rodzimej planecie młode Grdoch wyłaniały się z ust rodzica, spadały na grunt i rozpoczynały samodzielne życie.

Koncepcja rodzicielstwa była tej rasie całkowicie obca, niemowlaki były bezrozumnymi zwierzakami, które ignorowano, a czasem nawet zjadano, aż do momentu, gdy nauczyły się radzić sobie same. Po kilku latach rozwoju te, które przeżyły, zbierano i rozpoczynało się szkolenie. W społeczności Grdoch dużo większy nacisk kładło się na pojęcie roju, grupy społecznej niż na tak przypadkową rzecz jak rodzice. Biologia i genetyka były oczywiście ważne, jednak kwestia, który Grdoch miał być czym partnerem czy też rodzicem, nie miała zupełnie znaczenia.

Poród był nieco absorbujący, szczególnie gdy odbywał się na pokładzie okrętu, gdzie młode co jakiś czas likwidowano, by zapobiec spowodowaniu przez nie jakiegoś uszkodzenia. Szczególnie nieprzyjemne było, gdy poród, zwykle kilkuset młodych jednocześnie, odbywał się w momencie, gdy rodzicowi groziło niebezpieczeństwo. Imperatyw biologiczny był zrozumiały, jako że Grdoch ewoluowali przy straszliwych *tch'tch'tch*. Ich rytm reprodukcyjny rozwinął się tak, by dać maksymalną szansę przekazania własnego DNA. Dodatkowo, jeśli uciekało się przez bagna z monstrialnym *tch'tch'tch* tuż za sobą, kilkaset piszczących młodych mogło zmylić drapieżcę, a przynajmniej odwrócić jego uwagę.

Ale tak było na Gr'tch'gah, rojoświecie w zamierzchłej przeszłości, a nie w centrum kontrolnym nowoczesnego okrętu międzygwiazdowego. Tu w najgorszym wypadku była to mała niedogodność, a w najlepszym lekka przekąska.

Tch'gok poczuł, jak jedno z małych zbliża się do ust, szybko więc je chwycił, rozerwał zębami i zaczął wysysać soki. Wiedział, że niebezpieczeństwo było ogromne. Dwa okręty Grdoch zostały przytłoczone przewagą sprawiającą, że ich zdecydowanie lepsza technologia nie wystarczyła, by pokonać wroga. Co gorsza, ten nieprzyjaciel nie uciekł, gdy „Gwałtowny Rzeźnik” otworzył ogień, zarówno myśliwce, jak i duże okręty przejawiały niemal samobójczą chęć pozostawania w pobliżu i wystrzeliwania rakiet w okręty Grdoch. Było to całkowicie niezrozumiałe zachowanie. W obliczu oczywistej przewagi należało uciekać... szybko. Żadna

inna taktyka nie miała sensu.

Jednak demonstracja przewagi nie odstraszyła przeciwnika i równowaga taktyczna nagle zachwiała się, a drapieżca stał się ofiarą. Manewr przeciwnika rozdzielił „Gwałtownego Rzeźnika” i „Krwio pijcę” na taką odległość, że nie mogły się już dalej wspierać ogniem. Co gorsza, gdy „Rzeźnik” został unieruchomiony na orbicie planetarnej, „Krwio pijca” uciekł, powiększając jeszcze dystans.

A teraz siostrzany okręt umierał tam w blasku eksplozji termonuklearnych, osaczony przez ofiary, które zmieniły się w sforę drapieżników.

Grdoch wydalil jeszcze kilka młodych i otwarł jeden ze swoich kanałów komunikacyjnych.

– Uzdrawiacz okrętów! Jaki jest nasz status?

– Ponad połowa sprawności, rojowódco! – padła odpowiedź. W tle słycać było czkawkę i popiskiwanie młodych, pewny znak wzrostu napięcia na okręcie.

Tch’gok studiował najbliższą przestrzeń, zauważając małą eskadrę nieprzyjacielskich okrętów zbliżającą się do orbity planetarnej. Przeglądając katalog ludzkiej techniki militarnej, zidentyfikował: krążownik liniowy, kilka krążowników, niszczycieli i fregat oraz sześć lotniskowców gwiazdnych, dwa duże i cztery małe. Lotniskowce były szczególnie niebezpieczne, gdyż przenosiły roje myśliwców. Te zaś udowodniły już, jak potrafią być zabójcze, nawet dla wielokrotnie większego okrętu łowczego Grdoch. To właśnie jeden z tych myśliwców tak mocno uszkodził „Gwałtownego Rzeźnika”, odpalając rakietę niemal z zerowego dystansu.

Rodziła się okazja.

Mała flotylla najprawdopodobniej planowała przeprowadzenie ataku na siły Grdoch znajdujące się na planecie, zapewne w formie szturm myśliwców z tych lotniskowców. Tch’gok zauważył, że ludzka filozofia wojenna była zupełnie inna. Wydawali się mieć okręty o różnych właściwościach i nie każdy z nich przenosił myśliwce. W rzeczywistości tylko określone, całkiem spore jednostki, nazywane przez ludzi lotniskowcami

gwiazdnymi, były w stanie wystrzelić i przyjąć małe jednostki. U Grdoch każdy okręt pełnił wszystkie funkcje, bez rozróżnienia na typy, choć istniały jednostki większe i mniejsze. W praktyce nie było nawet podziału na okręty wojskowe i statki cywilne, każda jednostka Grdoch mogła walczyć, przewozić ładunek lub kolonistów czy odkrywać nowe światy, w zależności od potrzeb.

Grdoch dokładnie przyglądali się gatunkowi, który nazywał się „ludźmi”, podczas krótkiego sojuszu z małymi stworzeniami. Byli oni całkowicie obcy, tak w działaniu, jak i myśleniu. Całe populacje o znaczącej przewadze liczebnej mogły zostać sparaliżowane strachem, podczas gdy w innych wypadkach małe, bezbronne grupy próbowały atakować strażników żywności czy nawet całe roje żywieniowe, pomimo że nie miały najmniejszych szans.

Czemu tak się działo, dotychczas nie ustalono. Tch’gok nie miał wątpliwości, że schwytani przedstawiciele gatunku powinni być dokładnie przebadani, by dowiedzieć się, jakie czynniki na nich oddziaływały i w jaki sposób. Na razie wszystko, co on i jego towarzysze mogli zrobić, to skorzystać z okazji tworzonej przez irracjonalne zachowanie obcych. Nagły, rozrywający brzuch atak przeciw tym obcym lotniskowcom, zanim zdążą wystrzelić myśliwce, zniszczy tę część ludzkiej floty, próbującą przejąć planetę, zanim siły główne skończą z „Krwio pijcą” i wrócą do „Gwałtownego Rzeźnika”.

Do tego czasu „Rzeźnik” zlikwiduje sześć lotniskowców i zniknie.

W tym momencie najważniejszym celem przestało być pokonanie ludzi w tym systemie, a stał się nim powrót do rojoświata, na Gr’t’och, z ostrzeżeniem o ludzkich możliwościach, ale i słabościach. Nieracjonalność ludzkiego myślenia mogła zostać wykorzystana. Przy dużym nacisku na ten sektor przestrzeni, powiedzmy kilku trójek-trójek-trójek-trójek-trójek okrętów, całe ludzkie imperium mogło zostać rozbite, a wszystkie ich kolonie obrócone w wielkie rezerwy myśliwsko-żywieniowe.

Zgodnie z raportami, które Tch’gok otrzymywał z powierzchni

planety, ludzie nie sprawiali przy zabijaniu takiej przyjemności jak *gorchit*, genetycznie modyfikowane bestie hodowane zarówno jako pożywienie, jak i rozrywka. Te śmieszne istoty umierały prawie natychmiast, pomimo usilnych prób utrzymania ich jak najdłużej przy życiu.

Dobrą wiadomością okazało się jednak to, że byli tak liczni. Pojedynczy z ich światów mógł wyżywić wiele dwieście czterdziestek trójek Grdoch przez długi, długi czas, aż do chwili, gdy nauczą się hodować ludzi, by zapewnić stałe dostawy. Jak wielu z nich biegało po ich macierzystej planecie, pozostawało niewiadomą, ale liczba ta na pewno mierzona była w miliardach. Historia Grdoch pisana była przez cykle głodu, dlatego właśnie nauczyli się hodować *gorchit*. Ludzie w ostatecznym rozrachunku mogą okazać się nawet lepszym źródłem protein niż wielkie bestie.

Oczywiście nie będzie z nimi tyle zabawy, ale chodziło przecież o podstawę egzystencji.

O przeżycie.

Rozdział dwudziesty

13 marca 2425

Vulcan
Układ 40 Eridani A
Godzina 14.45 TFT

Starhawk Connor skreślił wystarczająco gwałtownie, by zaparło jej dech. Co się tu, do cholery, działo? Nadal nie miała wizji, ale AI cały czas informowała, przesyłając serię wrażeń, że zlokalizowała duże skupisko ludzkie na północy, tuż za stolicą planety Himmel-Paradisio.

Nie było żadnych znaków obecności planetarnej obrony przeciwlotniczej. Myśliwiec miał zamiar spróbować tu wylądować.

AI była także w stanie przekazać jej, że wykryła grupę kilku okrętów wojennych USNA, w tym jednostkę lotniskowcowo-transportową Marines „Inchon”, zbliżającą się do planety i że obecnie komunikuje się z AI okrętu. Panel komunikacyjny myśliwca został zniszczony, jednak sztuczna inteligencja zdołała przekonfigurować nieco nanomacierz kadłuba w ten sposób, że udało jej się częściowo odzyskać łączność.

Nie upływie długi czas, sugerowała AI, a zostanie uratowana...

...o ile wrogo nastawieni koloniści lub Grdoch nie zabiją jej zaraz po wylądowaniu.

USNA CVS „Ameryka”

Układ 40 Eridani A
Godzina 14.50 TFT

Procesja sześciu lotniskowców dryfowała w stronę planety, ich myśliwce były wystrzelone, a fregaty i niszczyciele szły przed siłami głównymi. Dwa największe okręty, „Ameryka” i „Constitution”, znajdowały się na końcu formacji, za innymi, mniejszymi lotniskowcami, chronione częściowo przez swoją obronę punktową i myśliwce.

– Jaki jest status tego kadłuba? – zapytał Gray, patrząc na podświetlony obraz obcej jednostki pochodzący z dronów bojowych. Na wyświetlaczu maszyna wydawała się dryfować bezradnie, pozbawiona możliwości poruszania się. Nie dawała znaku życia od czasu przelotu głównych sił w pościgu za drugim okrętem Grdoch. Jeden z myśliwców „Ameryki” dostał się bardzo blisko okrętu z parą rakiet fer-de-lance, kilka megaton eksplozji termonuklearnej najwyraźniej wykończyło obcego. A teraz...

– Panie admirale! – to była Gutierrez. – Nasze sensory wyczuwają wzrost poziomu mocy we wraku. Dziesięć do dwunastu i rośnie... kurewsko szybko!

Gray natychmiast sprawdził własne odczyty i zaklął pod nosem. Okręt Grdoch budził się do życia.

– Ognia! Wszystko, co mamy!

Jednostka przeciwnika nadal była dość daleko, prawie sto tysięcy kilometrów, i miała czas zareagować na salwę rakietową. Grdoch, wiedząc już, że ludzie zauważyli fakt budzenia się ich okrętu, gwałtownie go obrócili i odskoczyli od planety jak uderzający drapieźnik.

Rakiety oderwały się od floty ludzi, z dużym przyspieszeniem pochłaniając kilometry, jednak potężne, koherentne promienie X już cięły grupę lotniskowców, zaliczając kolejne trafienia i powodując straszliwe straty.

Jako pierwsza dostała „Shiva”, przyjmując trafienie w kopułę ochronną. Jej zbiornik wodny natychmiast zamienił się w zamarzającą w próżni chmurę pary. W chwilę później trafiona została „Saratoga”, a potem ciężki krążownik „Calgary” i niszczyciel „Sandoval”.

– Wszystkie okręty! Rozproszyc się!

Kurwa, kurwa, kurwa!

Taktyka lotniskowcowych grup bojowych nadal przypominała tę, która stosowana była w erze marynarki oceanicznej, cztery wieki wcześniej. Współczesne lotniskowcowe zespoły zadaniowe były bezpośrednimi następcami „Kido Butai”, grupy złożonej z sześciu lotniskowców Japońskiej Cesarskiej Marynarki Wojennej, stworzonej do przeprowadzenia ataku na Pearl Harbor. Marynarka amerykańska używała pojedynczych lotniskowców wraz z ich eskortą, łącząc czasem kilka grup w celu przeprowadzenia szczególnych operacji. Termin „grupa bojowa” został zarzucony na korzyść określenia „grupa uderzeniowa”. Powrócił wraz z ultimatum Sh'daar i rozwojem lotniskowców gwiazdnych.

Współczesna grupa bojowa skoncentrowana była wokół jednego lub dwóch lotniskowców, wraz z krążownikami, niszczycielami, fregatami stanowiącymi bezpośrednie wsparcie większych towarzyszy. Potężniejsze jednostki, pancerniki, monitory, krążowniki artyleryjskie, dodawano w szczególnych przypadkach, gdy chodziło o przeprowadzenie bombardowania planetarnego.

Zespół Zadaniowy Eridani był bardzo nietypowy i składał się z sześciu lotniskowców, Gray zaś miał niekomfortową świadomość tego, jak były one wrażliwe. Wycofał je z ataku na cel Bravo, a teraz bliski był ich utraty po niespodziewanym zmartwychwstaniu celu Alfa.

HQMILCOM nigdy nie wyjaśnił, czemu wysyłają tak wiele lotniskowców w jednym zespole zadaniowym, ale Gray domyślał się powodu i był on czysto polityczny. „Shiva” i „Sława” reprezentowały nowych sojuszników USNA w wojnie przeciw Konfederacji, a szczególnie przeciw Europie. Posiadanie w zespole czterech lotniskowców amerykańskich nie pozostawiało wątpliwości, że to USNA stoją na czele nowego sojuszu. Sześć lotniskowców mogło być także próbą zastraszenia Grdoch.

Gray wiedział jednak, jak bardzo przeciążone były siły Marynarki USNA. Zawalił sprawę, nie upewniając się, czy cel Alfa został całkowicie zniszczony, i przez ten błąd naraził całą grupę

bojową, misję i Stany Zjednoczone Ameryki Północnej na poważne niebezpieczeństwo.

Krażownik artyleryjski „Decatur” zaczął wystrzeliwać w kierunku okrętu Grdoch relatywistyczne pociski kinetyczne. Na wyświetlaczu Gray widział trafienia jako jaskrawe błyski, gorące jak powierzchnia Słońca. Każdy cios pozostawiał krater na szkarłatnym kadłubie okrętu obcych.

Maszyna miała zadziwiające zdolności regeneracyjne. Na oczach Graya te kratery powoli wypełniały się i uszczelniały, jednak „Decatur” kontynuował dziki i bezwzględny ostrzał, trafiając okręt Grdoch dotąd, aż rozgrzane do czerwoności fragmenty kadłuba zaczęły się od niego odrywać i dryfować w przestrzeń.

Rakiety także zaczęły docierać do celu i odwróciły uwagę Grdoch od grupy bojowej. „Constitution” otrzymała jeszcze trafienie laserem X, które uszkodziło jej kopułę ochronną i wysłało w przestrzeń chmurę cząsteczek lodu, jednak w chwilę później Grdoch musieli skoncentrować się na otaczającym ich ze wszystkich stron roju rakiet z głowicami nuklearnymi.

Myśliwce Grdoch wymieszały się z myśliwcami BPP i pomiędzy przeciwnikami zaczęły pojawiać się rozbłyśki wybuchów jądrowych.

– Wprowadzić do akcji działa „Ameryki” – rozkazał Gray. Podwójna prowadnica biegnąca wzdłuż osi kadłuba, która zazwyczaj służyła do wystrzeliwania par myśliwców, tym razem zaczęła wypluwać pociski ze zubożonego uranu o masie tony, przyłączając się do kinetycznych fajerwerków „Decatura”. – Lotniskowce, wycofać się! Eskorta do przodu!

Wyświetlacz taktyczny pokazywał schematyczne kursy wszystkich jednostek amerykańskich, lotniskowce zwolniły, puszczając do przodu niszczyciele, fregaty i myśliwce. Kule nuklearnego ognia otoczyły nieprzyjaciela, który nagle przerwał ogień, jakby po zadziałaniu wyłącznika.

Gray nie chciał jednak drugi raz zostać zaskoczony.

– Myśliwce! Wykończyć go!

– Od strony planety zbliża się więcej myśliwców nieprzyjaciela,

panie admirale – zameldował Mallory. – Wygląda jednak, że chcą uciec.

To była prawda. Myśliwce Grdoch przyspieszały, wysliz-gując się z atmosfery Vulcana i znikając w ciemnościach. O ile było wiadomo, nie były w stanie osiągnąć prędkości nadświatłnej, musiały do tego znajdować się na pokładach większych jednostek, tak jak ludzkie myśliwce w lotniskowcach. Ponieważ oba ich okręty macierzyste zostały zniszczone, jedynym racjonalnym rozwiązaniem było poddać się, a nie walczyć.

Zdaniem Graya Grdoch prezentowali bardzo czarno-białe widzenie rzeczywistości: albo walczyli jak cholera, albo uciekali jak najszybciej, bez żadnych stanów pośrednich.

Może tak zostali wychowani, żeby walczyć do śmierci lub uciekać w zimną ciemność przestrzeni...

Komunikacja z myślącymi w ten sposób istotami mogła być prawdziwym problemem.

Nastąpił kolejny straszliwy wybuch. Towarzysząca mu kula promieniowania i gorącej jak gwiazda plazmy zaczęła się szybko powiększać.

Cel Alfa rozpadał się.

Vulcan
Układ 40 Eridani A
Godzina 15.27 TFT

Uszkodzony myśliwiec Connor zwolnił do stu kilometrów na godzinę i kontynuował opadanie. Czekanie było nie do zniesienia. Megan nie wiedziała nic prócz tego, co przekazywała jej do mózgu AI. Czuła, że nos maszyny jest lekko uniesiony, a skrzydła skierowane tak, by wytracać prędkość.

AI przekazała jej, że za chwilę nastąpi wstrząs, a w następnym momencie myśliwcem szarpnęło gwałtownie przy zderzeniu z twardym gruntem. Nanomacierz kadłuba maszyny mogła przyjąć silne uderzenie, rozpraszając i absorbując jego siłę,

jednak nadal było to bardzo twarde lądowanie. Myśliwiec jeszcze przez kilka sekund drżał i zgrzytał, a następnie znieruchomiał przechylony pod kątem czterdziestu pięciu stopni na sterburcie.

Connor poczuła przypływ paniki, gdy napłynęły wspomnienia Slan wywlekających ją z myśliwca w ciemnościach ich okrętu orbitującego przy 36 Ophiuchi A III, zaledwie kilka miesięcy wcześniej.

– Otwieraj! – krzyknęła. Tym razem nie miała zamiaru bezradnie czekać w ciemnościach. – Wypuść mnie stąd!

Pokrywa kokpitu zmarszczyła się, a następnie rozplynęła, odsłaniając bezchmurną kopułę zielonkawego nieba, wypełnioną pomarańczowym blaskiem. Megan kliknęła ikonę uwalniającą ją z fotela i wstała na drżących nogach, sięgając ręką do krawędzi kokpitu, by się przytrzymać. Krajobraz wokół niej był prawie identyczny jak ziemski gdzieś w okolicach Nowego Jorku lub Pensylwanii. Grawitacja także przypominała ziemską, a AI poinformowała, że powietrze również nadaje się do oddychania, co było rzadkością wśród światów zamieszkałych przez człowieka. Jednak dziewczyna nie miała zamiaru na razie zdejmować skafandra. Być może istniały jakieś drobnoustroje, na które lokalni mieszkańcy byli już odporni, a ona jeszcze nie.

Wokół rosły drzewa, dziwnie wyglądające, lecz z całą pewnością drzewa, z liśćmi mającymi odcień bardziej pomarańczowy i żółty niż zielony. Myśliwiec wylądował na szerokiej, otwartej łące, pokrytej pomarańczową roślinnością przypominającą trawę. Długa wyrwa w trawie pokazywała drogę lądowania.

Connor usłyszała krzyk i odwróciła się. Zbliżali się ludzie, nadzy ludzie, całkiem spora grupa. Co się, do cholery, dzieje?

Społeczność ludzka już dawno uznała publiczną nagość za akceptowalną, odrzucając przestarzałe tabu zabraniające chodzenia bez ubrania, które obecnie zakładało się wyłącznie w celach ochrony. Ludzka skłonność do ozdabiania się i schludnego wyglądu nie dawała się jednak tak łatwo wyrugować. Zbliżający się ludzie byli podrapani, brudni, umazani błotem i nieczystościami. Niektórzy nosili jakieś resztki

ubrań, poszarpane skrawki mundurów czy sukni, jednak większość nie miała nic. Część z nich trzymała zaostrome kije, przypominające dzidy. Nikt nie posiadał żadnej ozdoby ciała, animowanych tatuaży, biżuterii czy hologramów.

Connor uniosła ręczny laser, dotykając przycisku przeładowania i czując uspokajające wibracje oznaczające, że broń jest w pełni naładowana i gotowa do użycia. Z tego, co słyszała ostatnio, Niemieccy i Latynoscy koloniści Vulcana byli wrogami, jednak mówiło się, że Grdoch zwrócili się przeciw dotychczasowym sojusznikom. Patrząc na tłum, można było odnieść wrażenie, że plotki te są całkowitą prawdą, jednak Meg nie miała zamiaru pozbywać się ochrony, zanim nie będzie zupełnie pewna.

– *Ayudarnos!* – krzyknął jakiś mężczyzna, gdy zobaczył jej broń.

– *Ja!* – zaszlochała jakaś kobieta. – *Helfen Sie uns!*

– Tłumaczenie – wydała polecenie Connor. – Symultaniczne, dwustronne.

– Pomocy!

Oprogramowanie znajdujące się w implanicie mózgowym Connor było w stanie biegle tłumaczyć kilkanaście ludzkich języków. Jej osobisty asystent mógł w nich mówić, używając zewnętrznych głośników skafandra.

– Jestem porucznik Connor z Marynarki USNA – powiedziała i usłyszała echo swych słów, gdy sekretarz tłumaczył je na niemiecki i hiszpański. – Co tu się dzieje?

Wielojęzykowy galimatias zablokował obwody tłumaczące.

– Spokojnie, spokojnie! – powiedziała dziewczyna. – Kto jest szefem?

Tłum zatrzymał się około pięciu metrów od myśliwca Connor i kilka kroków naprzód wysunął się korpulentny mężczyzna z bujnymi włosami.

– Pani porucznik, dzięki Bogu za przybycie! Jestem gubernator Immanuel Delgado. Wydaje mi się, że to ja jestem tu... szefem.

Connor wyszła z kokpitu, jednak nie opuściła broni.

– Jesteście jeńcami?

Było to przypuszczenie, ale tylko takie wyjaśnienie miało sens. Gubernator planetarny tutaj? Nagi, brudny i wyglądający, jakby przeszedł przez sześć kręgów piekieł?

Mężczyzna pokiwał głową.

– Grdoch zaatakowali nas jakieś dwa tygodnie temu. Zabili miliony...

– Poruczniku? – odezwał się kobiecy głos, tym razem po angielsku. – Jestem komandor Fuentes z „Intrepid”.

Później Connor myślała, że powinna przyjąć postawę zasadniczą, jednak w tym momencie nie była w stanie zrobić nic innego, jak wpatrywać się w kobietę wyłaniającą się z tłumu. Wolno opuściła broń i schowała ją do kabury.

– Mój Boże! Pani komandor, co oni pani zrobili?

– Wpisali nas do swojego pieprzonego menu! Jak mocno uszkodzony jest pani myśliwiec?

– Właśnie! – dodał Delgado, podekscytowany. – Może pani porozumieć się ze swoją flotą?

– Panel łączności uległ uszkodzeniu – odparła Connor. – Możemy jednak przesłać sygnał przez AI myśliwca. Udało mi się skontaktować z AI okrętu schodzącego w dół.

– Co się tu dzieje? – spytała Fuentes. – Należy pani do floty USNA, a to oznacza, że do systemu przybył zespół zadaniowy.

Connor potwierdziła.

– „Ameryka” wraz z pięcioma innymi lotniskowcami, do tego floty z Rosji i Północnych Indii.

– Połączona flota!

– Tak, pani komandor. Atakujemy dwa okręty bojowe Grdoch. Jeden z nich strącił mojego starhawka. Byłam jednak w pierwszej fali i po trafieniu nie wiem, co działo się na zewnątrz. Nie mam pojęcia, kto wygrał...

Ta świadomość poraziła Connor. Mgła bitewna zawsze była nieodłącznym czynnikiem w walce, mimo że drony bojowe i zaawansowana elektronika pozwoliły odejść daleko od niepewności dawnych bitew. Jednak ta ślepotą, całkowita nieświadomość tego, która strona wygrywa, sprawiła, że dziewczyna poczuła się słaba i pozbawiona jakiejkolwiek szansy.

Po chwili pomyślała jednak o czymś innym.

– Chwileczkę. Jesteście jeńcami. Mówicie mi, że wylądowałam w obozie jenieckim?

Zbieg okoliczności sprawiający, że przez przypadek wylądowała w takim miejscu, wydawał się jej absurdem.

Przypomniała sobie jednak polecenia, które wydała AI: znaleźć populację ludzką z dala od głównych miast i instalacji wojskowych. Jeśli miasta Vulcana zostały opróżnione z ludzi przez Grdoch lub zamienione w bronione silnie bazy...

– To duży obóz lub rejon przetrzymywania, poruczniku – powiedział Delgado. – Wzniesli płot wokół dwustu hektarów... może trochę więcej.

Około dwóch kilometrów kwadratowych.

– Dużo, jak na obóz jeniecki.

– Małeńko, jak na rezerwat do polowań – powiedziała gorzko Fuentes.

– Cholera! Grdoch polują tu na was?

– To... demony – powiedział Delgado. – Potwory z dna piekieł. Panujący tu terror jest trudny do wyobrażenia.

– No cóż... nasi są w drodze – powiedziała Connor. – Mieliliśmy rozkaz dowiedzieć się, co stało się z „Intrepid”. Jest z nami transportowiec Marines.

– Dzięki Bogu!

– Zobaczmy, czy uda mi się stąd kogoś złapać – dodała Meg.

Połączyła się z AI.

– Potrzebuję komunikacji z flotą – powiedziała w myślach. – Jakikolwiek okręt. Natychmiast.

Poczuła potwierdzenie od sztucznej inteligencji. Miała wrażenie, że kilka okrętów powinno być blisko, w odległości kilkuset kilometrów, jednak bitwa nad planetą jeszcze trwała. Poczuła połączenie... AI szeptała w jej głowie.

Connor powtórzyła to, co usłyszała, tłumowi jeńców.

– Wygląda na to, że nasi ludzie ustanawiają lokalną dominację w przestrzeni. Moja AI jest w kontakcie z przynajmniej jednym okrętem, przypuszczam, że to „Inchon”, jednostka Marines, o której wspominałam. Twierdzą, że są w drodze.

– Jak długo? – spytał Delgado.

– Trudno powiedzieć, sir. Najpierw muszą zdobyć panowanie w przestrzeni i powietrzu.

Absolutną konieczność przy jakiegokolwiek próbie wysadzenia wojsk na powierzchni planety stanowiło kontrolowanie najbliższej przestrzeni, szczególnie niskiej orbity. Planetarny zespół szturmowy i tak był zwykle zdecydowanie mniej liczny od obrońców, a sytuacja pogarszała się tym bardziej, gdy orbitujące okręty mogły zostać trafione przez jednostki znajdujące się na powierzchni, transportery opancerzone, ciężkie uzbrojenie piechoty czy też fortece.

Literatura dotycząca taktyki wojskowej od zawsze podkreślała konieczność zdobycia przyczółka. W walce przestrzennej „przyczółek” rozszerzał się na trzeci wymiar. Żołnierze na powierzchni znajdowali się w bardzo trudnej sytuacji, jeśli musieli zmierzyć się z przeciwnikiem atakującym z orbity. Lepiej było stać na szczycie skały i ciskać kamienie w dół, niż znajdować się na dnie i chronić przed nimi.

Na łące zapanował totalny chaos. Ludzie zaczęli biegać i wrzeszczeć.

– O Boże! – powiedziała Fuentes, zamykając oczy. – Znowu?

– Co to jest?

– Pora karmienia – powiedział Delgado. – Dla demonów, nie dla nas.

– Nie – powiedziała Fuentes, patrząc ponad tłumem. – Tym razem są uzbrojeni. Sądzę, że przybywają, by zbadać lądowanie starhawka.

Oczywiście spadająca maszyna była śledzona, zarówno z baz lądowych, jak i z przestrzeni. Grdoch natychmiast otrzymali koordynaty punktu lądowania.

W tym momencie Connor mogła już zobaczyć trzy potwory, szkarłatne, pękate worki o średnicy ponad dwóch metrów, zaopatrzone w trzy pazurzaste odnóża i setki trąbek pokrywających całe ciało, niektóre mające ponad pół metra długości. Cała trójka wyposażona była w jakieś urządzenia techniczne, jakby ssawki. Czy były to jakieś skanery, czy broń?

Connor nie miała zamiaru czekać na wyjaśnienie.

– Rozproszyc się – krzyknęła do pozostałych. – Ja zajmę się tą trójką.

Poruszając się szybko, dopadła do wraku starhawka.

– AI, czy działa jakakolwiek broń?

Poczuła przeczącą odpowiedź komputera. Gdyby miała działający laser wysokoenergetyczny czy też miotacz strumienia cząsteczek, jej szanse wielokrotnie by wzrosły. A w obecnej sytuacji...

Kucając za kadłubem myśliwca, uniosła się na tyle, by widzieć ponad kokpitem. Trójka zbliżała się prosto do niej, znajdowała się w odległości około stu metrów. Dziewczyna podniosła broń, oparła ją o kadłub i ustabilizowała. Nacisnęła język spustowy.

W jasnym świetle słońca promień był niewidoczny, jednak pół miliona dżuli skoncentrowanych w plamkę wielkości paznokcia przebiło jedną z istot i wyrwało fontannę płynów wewnętrznych. Grdoch zgiął się, zapiszczał przenikliwie jak ptak i upuścił niesione urządzenie.

W tym samym momencie pozostała dwójka uniosła własne rurki i po obu stronach myśliwca wybuchły gejzery ziemi. A więc jednak broń. Connor mocno wątpiła, by były to lasery X, takie jak na pokładach okrętów. Wytworzenie impulsu promieni X wymagało ogromnej energii. Najwcześniejsze ludzkie eksperymenty z tą technologią wymagały energii porównywalnej do małej eksplozji nuklearnej. Nie wiadomo, czym posługiwali się Grdoch, jednak z całą pewnością była to dość silna i śmiertelna broń.

Przenosząc punkt celowania, Connor ponownie wystrzeliła i drugi Grdoch upadł na bok, upuszczając swoją broń. Jednak pierwszy, jak zauważyła z przerażeniem, już się podnosił i ponownie toczył w jej kierunku.

Niewielki zasób danych, jakie posiadała na temat Grdoch, pochodził z ostatniej odprawy. Sugerowały one, że obcy posiadają zduplikowane organy wewnętrzne i zdecentralizowany układ nerwowy. Nie było możliwości oddania jednego strzału w głowę, gdyż nie mieli oni mózgu,

a właściwie ich mózg rozmieszczony był w całym ciele.

Kolejne dwie eksplozje poderwały grunt kilka metrów przed Connor, odrzucając ją w tył. Cholera, czym była naładowana broń obcych?

Ponownie się unosząc, przestawiła miotacz na strumień ciągły, wycelowała i wystrzeliła, uwalniając potężną dawkę energii. Trafiła ona jedno ze stworzeń, przewróciła je i otworzyła jak rozszczelniający się skafander kosmiczny.

Ponownie zmieniając punkt celowania, użyła ciągłego strumienia przeciwko pozostałym. Wiedziała, że Mk.VII Solbeam nie zniesie takiego używania przez dłuższy czas. Broń przeznaczona była do wystrzeliwania krótkich impulsów, a nie strumieni ciągłych. Używając jej w sposób tak niezgodny z przeznaczeniem, w każdej sekundzie mogła rozładować baterie.

Strumień Grdoch trafił tuż nad hełmem Connor, która instynktownie schyliła głowę. Blisko! Ponownie zaczęła celować...

...gdy eksplozja kadłuba starhawka tuż przy kokpicie wyzwoliła falę uderzeniową, która odepchnęła dziewczynę i wyrwała dziurę w nanolaminacie kadłuba.

Grdoch, wszyscy trzej, posuwali się w jej stronę. Wolniej i ostrożniej, jednak cały czas zbliżali się nieubłaganie. Jeden z obcych wydawał się ciężko ranny, na jego ciele widoczne było głębokie rozcięcie, a on sam znaczył swą drogę pomarańczowoczerwoną krwią.

Z całą pewnością to coś wkrótce się wykrwawi i zdechnie!

Solbeam w dłoni Megan zabrzęczał trzykrotnie, ostrzegając o niskim stanie baterii, panele kontaktowe rękawiczek na palcach jej dłoni przesłały do mózgu wiadomość. Miała jeszcze kilka sekund ciągłego strumienia, a uchwyt pistoletu był tak gorący, że czuła to mimo rękawiczek. Prawdopodobnie nie miała szans na powtórne naładowanie.

Dziewczyna była jednak zdecydowana nie zrobić ani kroku w tył. Wymierzyła do najbliższego Grdoch i przytrzymała język spustowy do momentu, aż ujrzała wnętrze stworzenia.

Obcy zatrzymali się, jakby niezdecydowani, a następnie zaczęli się powoli wycofywać. Do cholery! Wygrywała! W tym momencie jej broń po raz ostatni zadrżała i przestała działać.

Trójka Grdoch przestała uciekać, zatrzymała się i zaczęła naradzać. Po chwili ponownie skierowali się ku pozycji Connor, trzymając broń w pogotowiu.

Okręt łowczy Grdoch „Gwałtowny Rzeźnik”

Przestrzeń Vulcana

Godzina 15.50 TFT

Rojowódca Tch'gok dryfował w mikrogravitacji centrum dowódczego „Gwałtownego Rzeźnika”. Ogień przebił jedną z rur tlenowych na ścianie, powodując powstanie kuli płomieni w zerowej grawitacji. Światłowody biegnące z innych części okrętu dostarczały danych o otoczeniu i statusie „Gwałtownego Rzeźnika”. Okręt był skończony i Tch'gok o tym wiedział.

Miał jednak jeszcze wystarczająco dużo energii, by przeprowadzić ostatni atak. Flota ofiar wchodziła na orbitę, nie zważając na niebezpieczeństwo czające się zaledwie kilka tysięcy kilometrów od niej.

Rojowódca wydał rozkaz...

Rozdział dwudziesty pierwszy

13 marca 2425

USNA CVS „Ameryka”

Układ 40 Eridani A

Godzina 15.50 TFT

– Pułkownik Engelman, może pan wysłać swoich Marines.

– Aye, aye, sir. Już jesteśmy w drodze na dół.

Victor Engelman był dowódcą Piątego Planetarnego Pułku Szturmowego Marines, tradycjonalistą, który dwie dekady wcześniej dowodził plutonem na stacji Arktur. 1/5 Marines – pierwszy batalion piątego pułku Pierwszej Dywizji Marines USNA – składał się z około dziewięciuset ludzi, aktualnie zaokrętowanych na pokładzie „Inchon”.

Na wyświetlaczu mostka okrętu flagowego transportowiec ustawiony był kopułą ochronną w kierunku planety, jego zatoki lądownicze otworzyły się, a z ich wnętrza wyłoniły się cztery czarne lądowniki.

Były to UC-154 Choctaw, wahadłowce transportowe Marines, z których każdy mógł przenosić dwustu uzbrojonych szturmowców. Osiemdziesięciometrowe kadłuby transportowców były matowo czarne i posiadały białe, czerwone i zielone lampy nawigacyjne. Grupa maszyn wsparcia bezpośredniego Nightshade kręciła się już jak rój ważek wokół „Inchon”, a następnie skierowała w stronę błękitnej krzywizny planety.

Przestrzenna część bitwy wydawała się skończona. Myśliwce BPP atakowały maszyny Grdoch. Zwykle byli to maruderzy, którzy zbyt późno zaczęli odwrót.

– Panie admirale – powiedziała AI w myślach Graya – mamy kontakt na powierzchni planety.

– Jaki kontakt?

– Od AI. A dokładnie od AI znajdującej się na pokładzie starhawka z VFA-96. Porucznik Megan Connor.

– Pamiętam ją. 36 Oph. Kontakt ze Slan.

– Tak, panie admirale. To ona także najprawdopodobniej uszkodziła cel Alfa, jednak jej myśliwiec został przy tym poważnie uszkodzony. Udało jej się awaryjnie wylądować w okolicy stolicy Vulcana.

– Masz może głos lub obraz?

– Nie, admirale. Tylko przekaz myślowy wysłany przez jej AI. Panel komunikacyjny myśliwca jest uszkodzony. Była jednak w stanie poinformować nas, że zlokalizowała obóz jeniecki na zamkniętym terenie na południowy zachód od Himmel-Paradisio oraz że znajdują się tam członkowie załogi „Intrepid”.

– Dziękuję.

Oczywiście wolałyby, aby kanał komunikacyjny z planetą był lepszy. Gray chciałby mieć naocznego świadka relacjonującego, co się dzieje. Mentalna komunikacja AI przekazywała jednak odczucia, a nie dane. Był to artefakt związany z wewnętrznymi wyświetlaczami, których marynarze używali do współpracy ze swoimi komputerami. AI ciągle miały problemy z przekazywaniem informacji drogą telepatycznej sugestii zamiast w postaci plików z danymi.

Umysły okrętów były nieco ograniczone przy interpretacji zdarzeń i nadawaniu priorytetów. Skoro głównym celem Zespołu Zadaniowego Eridani było zlokalizowanie członków flotyli „Intrepid”, raport porucznik Connor powinien zostać oznaczony jako bardzo pilny i natychmiast przesłany do dowódcy. W tym momencie Gray naprawdę niewiele mógł z nim zrobić. 1/5 Marines byli już w drodze do szturm na Himmel-Paradisio, ale tylko dzięki temu, że to miejsce wydawało się być głównym miejscem obrony Grdoch na planecie. Wydawało się logiczne, aby punkt dowodzenia założyć w okolicy stolicy planety, zaś jego zajęcie było dla Marines kluczowe przy zdobyciu całego globu.

Uwolnienie jeńców będzie, niestety, musiało poczekać.

Gray przywołał w umyśle powiększony obraz uszkodzonego okrętu obcych, celu Alfa. Jednostka była dosłownie porozrywana na kawałki, wirujące, stumetrowe fragmenty spowite chmurą radioaktywnych odłamków, gorącej plazmy i zamarzającej pary. Okręt Grdoch był całkowicie martwy, jednak coś nie dawało Grayowi spokoju...

– Operacyjny – powiedział – wyślij kilka dodatkowych dronów bojowych do wraku. Chcę, aby te większe kawałki zostały dokładnie zanalizowane.

– Już się robi, panie admirale – odparł Dean Mallory. – O czym pan myśli, sir?

– Grdoch wydają się walczyć, gdy mają pewną przewagę, i uciekać, gdy jej nie mają. Jednak gdy nie mogą uciec, walczą jak szczury w pułapce. Ponadto...

– Tak?

– Mają zadziwiającą zdolność używania zdublowanych systemów, wyjść zapasowych i są chyba o wiele lepszymi nanotechnikami niż my.

– Wysłałem sześć dronów. Wlatują właśnie w chmurę.

Gray został już raz wzięty z zaskoczenia przez coś, co wydawało się być jedynie wrakiem okrętu Grdoch. Nie chciał, aby to się powtórzyło.

– Proszę przekazać „Ramirezowi”, „Maine” i „Youngowi”, by zbliżyły się do wraku. Z największą ostrożnością. Spalić wszystko, co wyda się chociaż odrobinę podejrzane.

– Aye, aye, sir.

Reszta zespołu zadaniowego w ciągu ostatnich kilku minut wróciła na orbitę Vulcana, łamiąc pozycje obronne. Ostatnie z wrogich myśliwców uciekły w przestrzeń, jednak poprzednie grupy kierowały się ku 40 Eridani B i C, parze bliskich, jasnych gwiazd, czerwonej i białej, oddalonych o jakieś czterysta jednostek astronomicznych. Jednak w tym momencie priorytet stanowiło oczyszczenie orbity Vulcana i przejęcie kontroli nad planetą.

Mijały kolejne minuty.

– Sir! – mentalny głos Deana był alarmujący. – Wykryliśmy budowanie mocy w chmurze odłamków.

– Zniszczyć!

W następnym momencie promień lasera X prześlizgnął się po rufie „Ameryki”, odcinając część, w której mieściły się generatory mocy, i odsyłając jednostkę w mrok.

Gray poczuł gwałtowne przyspieszenie, spowodowane przez siłę odśrodkową wywołaną niekontrolowanym wirowaniem okrętu.

Poczuł ostre, gorące uderzenie promieniowania przenikającego jego skórę i ciało i wiedział, że „Ameryka” umiera...

VFA-96 „Black Demons”

Orbita Vulcana

Godzina 15.54 TFT

Porucznik Don Gregory znajdował się mniej niż dziesięć kilometrów za rufą „Ameryki”, gdy ta została trafiona. Podchodził do lądowania do jednej z obrotowych zatok, kiedy z dryfującego dwa tysiące kilometrów dalej wraku wystrzelił promień lasera X. Oślepiające światło objęło tylną część lotniskowca. Wokół rufy zaczęły krążyć odłamki. Co gorsza, sensory Gregory’ego przechwyciły ślady promieniowania gamma z trafionego okrętu, co oznaczało, że generatory zostały uszkodzone, a mikroosobliwości właśnie wydostały się na wolność.

Lotniskowce, jak większość okrętów międzygwiazdnych, składały się z kopuły ochronnej wyglądającej jak parasol i długiego, cienkiego kadłuba. Toroidalny pierścień na kopule zawierał projektory grawitacyjne napędu Alcubierre’a, podczas gdy w przednim członie kadłuba, schowane w cieniu kopuły, mieściły się pierścienie obrotowe, z częścią mieszkalną, hangarami, jak również mostkami. Na rufie znajdowały się

główne generatory mocy, zaś na samym końcu przedział z generatorem kwantowym.

Okręty kosmiczne wymagały dużej dawki energii, by wytworzyć bąbel Alcubierre'a, który pozwalał im, a w zasadzie metaprzestrzeni, która je spowijała, prześlizgiwać się w normalnej przestrzeni z prędkością nadświatlną. Pierwotne wyliczenia sugerowały, że dla osiągnięcia tego celu potrzeba było anihilacji masy równej masie Jowisza. Późniejsze poprawki znacznie zniwelowały ten wynik, jednak podróże międzygwiazdne nadal wymagały ogromnych ilości energii. Energii pochłanianej z samej pustej przestrzeni.

„Ameryka”, jak większość okrętów kosmicznych, używała generatorów syntezy helu-3, by wytworzyć parę czarnych dziur, każda o wymiarach protonu, orbitujących wokół siebie w polu Higgsa z prędkością zbliżoną do c . Te osobliwości służyły do pochłaniania energii próżni – niewyobrażalnie wielkich ilości energii zmagazynowanej w tak zwanej pustej przestrzeni. Wczesne, dwudziestowieczne wyliczenia sugerowały, że przestrzeń o rozmiarach tradycyjnej żarówki zawierała wystarczającą ilość energii, by w ułamku sekundy spowodować wyparowanie wszystkich ziemskich oceanów. Późniejsze badania udowodniły, że jest inaczej. W rzeczywistości energii było jeszcze więcej.

Dużo, dużo więcej.

Wystarczająco, by nie tylko wyparować oceany, ale także przy okazji spowodować anihilację całej Galaktyki.

Współczesna technologia nie pozwalała czerpać z próżni takiej ilości energii, jednak wykorzystywała wystarczającą jej ilość, by pozwolić okrętom zawinąć lokalną przestrzeń jak precel, manipulować grawitacją i tworzyć nowe prawa fizyki, przynajmniej lokalnie i tymczasowo.

To jednak znaczyło także, że w każdym generatorze mocy krążyło kilka mikroosobliwości. Gdy „Ameryka” została trafiona promieniem X, czarne dziury o wymiarach protonu zaczęły przegryzać się przez strukturę okrętu.

Mikroosobliwości były tak małe, że nie mogły pochłaniać

szybko, stanowiły więc niewielkie zagrożenie dla okrętu. Jednak gdy pole zanikło, para osobliwości zaczęła się przemieszczać, energia próżni zassana z pustki zasilila je i zaczęły błyskawicznie rosnać. Pożerając coraz więcej materii i energii, powiększały swoje rozmiary i wciąż się przemieszczały. „Ameryka” posiadała matrycę złożoną z dwustu par osobliwości, a gdy każda próbowała pochłonąć naraz więcej materii, niż była w stanie, pozostała materia przegrzewała się, uwalając burzę promieniowania X i twardych promieni gamma.

Gregory był tego świadomy już w pierwszej sekundzie, gdy gorące światło i promieniowanie objęło jedną trzecią kilometrowej długości kadłuba lotniskowca. Pilot był przerażony. To przecież jego okręt i jego koledzy... którzy zapewne umierali tam, mając przed sobą kilka ostatnich sekund życia.

Chyba że Grdoch zdołają oddać jeszcze jeden strzał...

USNA CA „Maine”

Orbita Vulcana

Godzina 15.54 TFT

– „Ameryka” została trafiona!

Kapitan Catharine Francesconi była tak skupiona na fragmentach okrętu Grdoch, że nagły rozbłysk dzikiej energii na drugiej półsferyze wyświetlacza na mostku całkowicie ją zaskoczył.

– Boże – kontynuował jej oficer operacyjny – ona płonie!

Płomień jako taki nie miał racji bytu w całkowitej próżni, jednak tylna część „Ameryki” była otoczona rozszerzającą się kulą promieniowania, rozgrzanej do białości plazmy. Kawałki kadłuba odpadały, znikając w promieniotwórczym żarze.

– Sensory wskazują, że Grdoch szykują się do kolejnego strzału!

– Mostek! Przyspieszenie! Umieść nas pomiędzy Grdoch i „Ameryką”.

Ciężki krążownik skoczył naprzód. Resztki okrętu Grdoch znajdowały się w odległości mniejszej niż sto kilometrów od niego, zaś uszkodzona „Ameryka” tysiąc kilometrów w przeciwnym kierunku.

Kapitan Francesconi wywodziła się z arystokratycznej rodziny o wielopokoleniowych tradycjach marynarskich. Jak wielu przedstawicieli swojej klasy społecznej, była amerykańską globalistką, uważającą, że wojna z Konfederacją była niepotrzebnym marnotrawieniem sił ludzkich i zasobów, podczas gdy dużo większe niebezpieczeństwo dla ludzkości przedstawiali Sh'daar, a teraz Grdoch. Nie lubiła Koeniga i jego Partii Wolności, nie lubiła także admirała Graya, uważając, że został postawiony na stanowisku przewyższającym jego kwalifikacje. Mówiło się nawet, że był prymem prosto z Ruin Manhattanu! Tylko fakt, że odniósł kilka spektakularnych zwycięstw, pozwalał jej, z trudem, zaakceptować go jako swojego przełożonego.

Co nie znaczy oczywiście, że miała jakiś wybór. Jej podstawowym obowiązkiem było wykonywanie rozkazów dowódcy zespołu zadaniowego. W rozkazach tych nie było ani słowa o tym, co właśnie robiła... jednak dla powodzenia operacji konieczne było ratowanie „Ameryki” i znajdującej się na jej pokładzie, kierującej nią grupy ludzi.

Grdoch wystrzelili ponownie, biorąc na cel lotniskowiec, jednak tym razem na drodze znalazł się „Maine”.

VFA-96 „Black Demons”

Orbita Vulcana

Godzina 15.54 TFT

Porucznik Gregory był tak skupiony na znajdującym się przed nim ciężko uszkodzonym lotniskowcu, że nie zauważył nawet potężnego błysku, gdy „Maine” przyjął kolejne uderzenie promieni X. Starhawk poruszał się z prędkością podejścia

wynoszącą mniej niż kilometr na sekundę. Zbliżając się ku rufie lotniskowca, jeszcze bardziej zwolnił, gdy osobliwości „Ameryki” przemieściły się wewnątrz jej kadłuba i duże jego kawałki odrzucone zostały w przestrzeń. Cały okręt zaczął powoli koziółkować, a Gregory nie znajdował się już na linii zatoki lądowniczej. Spowita plazmą rufa lotniskowca wlokła za sobą podczas obrotu gorący ogon. Gregory poczuł gwałtowne szarpnięcie, gdy jego myśliwiec zderzył się ze stygnącą plazmą i przebił na drugą stronę. Większość promieniowania pochłonięta została przez tarcze grawitacyjne. Gdyby uderzenie nastąpiło przy większej prędkości, myśliwiec nie wytrzymałby tego.

Obrócił się nosem w kierunku okrętu i dostosował swój wektor do ruchu lotniskowca. Po wyrównaniu prędkości zobaczył ze stu metrów uszkodzony generator mocy, poddawany wewnętrznym naprężeniom szalejących osobliwości.

Wewnątrz poszarpanego kadłuba czarne dziury zdołały otworzyć sobie dopływ energii z próżni, karmiącej osobliwości, pozwalającej im rosnąć i zamieniającej je w potwory gotowe pożreć cały okręt.

Do cholery, trzeba było coś zrobić.

Jednak w tym momencie Gregory nie miał zielonego pojęcia co.

Obóz Himmel-Paradisio

Vulcan

Układ 40 Eridani A

Godzina 15.54 TFT

Connor uniosła laser i spróbowała ponownie wystrzelić. Broń wygenerowała jeszcze odrobinę energii, tyle ile potrzeba do zapalenia świeczki, i zamilkła. Trójka rannych Grdoch zbliżała się ostrożnie, tocząc się ku niej wolno, rozchodząc się na boki i nieustępliwie próbując ją oskrzydlić.

Dziewczyna oceniała swoje możliwości. Mogła uciekać, co

zapewne kupiłoby jej nieco czasu, jednak mogło również spowodować, że niektórzy z jeńców zostaliby ranni w wyniku ostrzału Grdoch. Mogła również pozostać na miejscu, próbując zdobyć jedną z tych dziwnie wyglądających broni.

Trzecią opcją było poddanie się.

Żadna z tych możliwości szczególnie do niej nie przemawiała. Horror, jaki przeżyła, gdy kilka miesięcy wcześniej przechwycili ją Slan, sprawiał, że wolała zginąć, niż narazić się na kolejne badania przez obcych. Jeśli prawdą było to, co mówili Delgado i komandor Fuentes, mogła zostać po prostu pożarta żywcem. To zależało od tego, czy Grdoch uznaliby, że posiada jakieś istotne informacje, jednak z tego, co wiedziała, nie wyglądało na to, by Grdoch byli zainteresowani cokolwiek, co dotyczyło ludzi, z wyjątkiem ich wartości odżywczej.

Wyciągnęła z pochwy nóż survivalowy. Był to nieco patetyczny gest, biorąc pod uwagę, że jej trzej przeciwnicy dysponowali bronią rażącą na odległość, jednak zawsze to lepsze niż nic. Pytanie brzmiało, jak wykorzystać go efektywnie. Musiała dostać się bardzo blisko, tak blisko, aby dwaj pozostali Grdoch nie użyli swojej broni w obawie przed trafieniem trzeciego.

W tym momencie zawahała się. Czy obcy dbali o takie rzeczy? Czy miało to dla nich jakiegokolwiek znaczenie? Współpracowali ze sobą, to prawda, jednak mogli zdecydować się na poświęcenie jednego z nich, jeśli rezultatem byłoby usmażenie zbuntowanego więźnia.

Ucieczka była chyba najlepszym wyborem.

Decyzja zapadła jednak za jej plecami.

Megan była tak zajęta zbliżającymi się Grdoch, że nie zauważyła grupy ludzkich jeńców po swojej lewej stronie, kobiet i mężczyzn dzierżących tyczki, dzidy i pałki, czołgających się i zachodzących obcych z boku. Dostrzegła ich dopiero w momencie, gdy podnieśli się jednocześnie, wrzeszcząc coś, co mogło być okrzykiem bojowym lub po prostu daniem ujścia wściekłości.

Connor zastanawiała się, w jaki sposób udało im się prześlizgnąć tak blisko stworzeń posiadających oczy dookoła

całego ciała. Grdoch po lewej stronie Connor zauważył ruch i wycelował broń w kierunku nadciągającego zagrożenia. Grupa ludzi rozproszyła się, ale kontynuowała natarcie, broń Grdoch wypaliła parę razy i kilku z atakujących padło, poczerńiałych i dymiących.

Dziewczyna nie mogła pozostać za myśliwcem i oglądać rzezi. Wrzeszcząc coś bezsensownego, wyskoczyła zza kadłuba starhawka i rzuciła się ku Grdoch z uniesionym nożem.

Wpadła w szal.

Grdoch po prawej stronie zauważył ją i wystrzelił. Poczła podmuch gorącego powietrza, gdy strumień chybił o włos. Ułamek sekundy później sama skoczyła desperacko do przodu z wyciągniętymi ramionami, sięgając nożem purpurowego ciała.

W tym samym momencie tłum dopadł obcego po lewej stronie, dosięgając go sześciostopowymi tyczkami o zaostrzonych, utwardzonych w ogniu końcach. Grdoch odwrócił się i wydał z siebie przenikliwy skrzek, gdy jedna z włóczni przeszła przez usta i zagłębiła się w ciało.

Connor zaatakowała potwora znajdującego się w środku, wydającego się wahać, które z zagrożeń jest większe, gdzie ma celować. Obracał się właśnie, unosząc broń w kierunku dziewczyny, gdy ta uderzyła z całej siły, wbijając nóż i tnąc głęboko miękką tkankę. Skóra okazała się elastyczna jak guma i nóż prawie się ześlizgnął, jednak jego ostrze wykonane z utwardzanego spieku, będącego w stanie ciąć nawet stal, poparte siłą skoku i masą ciała Megan, przebiło zewnętrzną warstwę, a ręka dziewczyny po łokieć zanurzyła się w ciele przeciwnika.

Przez straszliwą chwilę Connor przylegała całym ciałem do obcego, czując dotyk jego gryzących ust. Trzymając nóż cały czas w ciele wroga, przekreśliła go i zaczęła ciąć na oślep wewnątrz ciała, starając się zadać jak najwięcej obrażeń wewnętrznych. Zdawała sobie sprawę, że stworzenie posiada niewyobrażalną wręcz odporność, jednak z całą pewnością zadawała mu ogromny ból.

Jedno z pazurzastych odnóży spadło na nią od tyłu, chwyciło

wpół i potrząsnęło tak, jak dorosły mężczyzna potrząsa natrętnym szczeniakiem. Jej ramię wysunęło się z rany, czerwonopomarańczowe i mokre od krwi istoty.

Grdoch zapiszczał, zadrżał i upuścił Connor. Jego broń ręczna, a właściwie ustna, upadła na ziemię. Uderzając twardo o podłoże, Megan zgubiła nóż, jednak udało jej się przetoczyć i nakryć sobą broń obcego.

Okazała się ciężka i nieprzystosowana do ręki człowieka. Dziewczyna miała nadzieję, że nie była zbyt skomplikowana w obsłudze. Wyglądała jak kartonowa tuba, mająca z jednej strony gruszkę wielkości pięści, którą Grdoch trzymali w ustach, z drugiej zaś otwór z wystającą z niego jakąś antenką. W porządku, najważniejsza rzecz, czyli który koniec jest który, została ustalona, pozostawało tylko domyślić się, jak tego używać. Connor uniosła broń i skierowała antenkę na Grdoch za sobą. Spust... gdzie, do cholery, był spust?

Obcy strzelali z tej broni ustami, musieli więc ją zagryzać, w jakiś sposób przykładać siłę do gruszki, ścisnąć...

Obiema rękami z całej siły ścisnęła zgrubienie.

Część elastycznej skóry, znajdująca się na wprost wylotu broni, poczerniała, zmarszczyła się i pękła, tworząc otwarty, krwawy krater. Miękkie tkanki wewnątrz eksplodowały szkarłatnym gejzerem. Grdoch zesztyniał na moment, a następnie zaczął toczyć się w tył, próbując uciec. Na jego drodze znalazła się Fuentes i wbiła włócznię w oko istoty.

– Uwaga!

Grdoch wyrzucił w bok jedno z ramion i przeciągnął pazurem przez korpus Fuentes.

Kobieta krzyknęła przeraźliwie, a Connor kolejny raz wypaliła do napastnika, patrząc, jak ten kurczy się, a następnie zmieniła cel. Trzeci Grdoch uciekał.

Connor nie miała zamiaru pozwolić oddalić się żadnemu z nich.

Porucznik Gregory wiedział, że czas mu się kończy. Rufa „Ameryki” była jedną wielką kulą plazmy. Przez wyrwy widać było, jak uwolnione czarne dziury pochłaniają energię i materię, zbliżając się już do środkowej części okrętu.

Pilot widział tylko jeden sposób na powstrzymanie katastrofy, a było to rozwiązanie z gatunku „uleczy lub zabije”. Połączywszy się z AI, Gregory uzbroił ostatnią pozostałą mu rakietę VG-10 Krait, wycelował w kadłub „Ameryki” tuż przed uszkodzonym generatorem mocy i kliknął ikonę spustu.

– Odmowa namierzania – powiedziała AI. – Cel jest zbyt...

– Obejście manualne! Namierzaj!

AI ponownie zaprotestowała.

– Wymagam potwierdzenia. Wybrany cel to...

– Potwierdzam! Znoszę wszystkie zabezpieczenia! Ognia!

Rakieta wysunęła się z kadłuba myśliwca, przyspieszając i ignorując zabezpieczenia uniemożliwiające jej uderzenie w okręt sił własnych czy detonację zbyt blisko myśliwca. Ekspłodowała niemal natychmiast, po przebyciu zaledwie stu metrów.

Ta rakieta uzbrojona była w maleńką, taktyczną głowicę o mocy dziesięciu kiloton, mniejszą niż bomby, które pięć wieków temu zniszczyły Hiroszimę i Nagasaki. O ile prawdą było, że efekty wybuchu nuklearnego ulegały w próżni redukcji, to jednak odpowiednik dziesięciu tysięcy ton materiału wybuchowego odpalony z tak małej odległości miał straszliwe skutki. W próżni nie mogła rozchodzić się fala uderzeniowa, jedynym medium, które ją przenosiło, była kula gorącej plazmy, powłoka cząsteczek subatomowych poruszających się z ogromną prędkością, która odrzuciła myśliwiec Gregory’ego jak krążącego owada.

Obóz Himmel-Paradisio
Vulcan
Układ 40 Eridani A
Godzina 15.56 TFT

Connor ponownie wystrzeliła z obcej broni, trzymając ją oburącz, by zrównoważyć ciężar. Uciekający Grdoch obrócił się, skurczył i padł. Grupa około pięćdziesięciu jeńców dopadła do niego, podnosząc upuszczoną broń i przyszpilając go do ziemi zaostrzonymi tyczkami.

Jeńcy wyłaniali się teraz ze wszystkich zakątków obozu, kilkoro uzbrojonych, większość jednak nie. Nagła bitwa uwolniła burzę emocji w ludziach, którzy jeszcze przed momentem byli całkowicie pokonani i bezradni. Rozładowywali oni obecnie te emocje na ciałach Grdoch, które dosłownie w ciągu kilku sekund zostały rozerwane na strzępy.

Megan była przy Marii Fuentes.

– Pani komandor! Jak się pani czuje?

– Boli...

Fuentes krwawiła bardzo obficie z rany ciągnącej się od obojczyka do krocza. Connor starała się powstrzymać krwawienie, nie miała jednak żadnych skutecznych środków, ani nanohomeostatyków, ani kleju do skóry, ani nawet wystarczająco dużego bandaża.

Po chwili Fuentes nie żyła.

Podszedł do nich Delgado.

– Już wcześniej próbowaliśmy ich atakować – powiedział. Miał dziki, szalony wzrok i obie ręce umazane do ramion krwią. – Zawsze byli zbyt silni. Ich skóra była za twarda. Ale pani zdołała ich dostatecznie mocno zranić.

– Nie wystarczająco szybko, gubernatorze. Nie dla niej...

Pokiwał głową.

– Przykro mi z powodu pani przyjaciółki.

W rzeczywistości Megan Connor nigdy wcześniej nie spotkała

Marii Fuentes, kobiety, która była zastępcą dowódcy na innym okręcie. Jednak spotkawszy ją tutaj, na wrogim świecie, miała wrażenie, jakby odnalazła dawno niewidzianą siostrę.

A teraz siostra znów odeszła, na zawsze.

– Dobrze, że razem udało nam się ich pokonać – powiedziała Connor. Wstała i spojrzała na zdobyczną broń. Nie wiedziała, jakiego jest rodzaju, ale podejrzewała, że to jakiś typ masera, używający mikrofal, by na odległość ugotować cel. Po trafieniu ofiara eksplodowała jak kadłub jej starhawka. Trafienie w tkankę powodowało natychmiastowe ścięcie białka. Paskudne...

Jakich źródeł energii wymagała? Dziewczyna nie miała ani czasu, ani narzędzi, by to sprawdzić, a broń miała większą wartość w takim stanie, w jakim była, niż rozebrana na kawałki.

– Musimy się stąd wydostać – powiedziała do Delgado. – Z tego... więzienia.

– Zgadzam się, ale jak?

– Idźcie za mną. Proszę zebrać wszystkich i idźcie za mną...

Rozdział dwudziesty drugi

13 marca 2425

USNA CVS „Ameryka”

Układ 40 Eridani A

Godzina 15.57 TFT

Drugie szarpnięcie było ostre i brutalne, wystarczająco silne, by przekonać Graya, że „Ameryka” została trafiona ponownie. Próbował różnych kanałów, szukając otwartej linii komunikacyjnej, jednak całkowicie bezskutecznie.

Wyrzucony ze swojego fotela, Gray lewitował w absolutnej ciemności. Z całą pewnością uszkodzone zostały generatory mocy „Ameryki”, a awaria musiała być bardzo poważna, skoro nie zadziałały automatyczne systemy zapasowe. Nie można było skontaktować się z AI okrętu ani z żadnym z jego przedziałów.

– Kto tu jeszcze jest? – zawołał w ciemności. – Nikomu nic się nie stało?

W momencie trafienia razem z nim na mostku flagowym znajdowało się dziesięć osób: Dean Mallory, Roger Hadley, Harriman Vonnegut, Gary Kepner i szóstka techników.

Po chwili zaczęły odzywać się głosy.

– Vogel! Okay!

– Hadley! W porządku!

– Shapiro. Wydaje mi się, że mam złamaną rękę...

– Mallory! Okay...

– Newton. Zero problemów.

Jak cholera zero problemów – pomyślał Gray, ale nie przerywał zgłaszania się załogi. Cała jedenastka była w zupełnie dobrym stanie, nie licząc złamanej ręki, paru zadrapań i siniaków. Gray

nie myślał o jednym ogromnym zagrożeniu dla nich wszystkich. Pomimo potężnych osłon cały mostek był bardzo silnie napromieniowany. Jeśli uda im się stąd wydostać i udać pod opiekę medyczną, jeśli dostaną zastrzyki antyradiacyjne, a może nawet pełną transfuzję krwi, mieli duże szanse przeżyć.

Jeśli nie, to w ciągu kilku godzin będą śmiertelnie chorzy, a po kilku następnych godzinach lub dniach, w zależności od otrzymanej dawki, umrą.

– Czy ktoś ma przeszkolenie medyczne?

– Zaawansowana pierwsza pomoc, panie admirale – odezwał się męski głos.

– Kto to mówi?

– Kelly, sir.

– Zobacz, czy możesz coś zrobić... To był Shapiro, tak?

– Tak, panie admirale.

– Przydałoby się światło. Ktoś ma światło?

Zapadła cisza, a potem odezwała się jakaś kobieta:

– Panie admirale, technik Marynarki drugiej klasy Anderson.

– Dajesz, Anderson.

– Mam na całym ciele tatuaże z płynnego światła. Czy mogę je włączyć?

– Zezwalam. Zapal je.

W ciągu ostatnich wieków, kiedy społeczeństwo coraz bardziej oddalało się od klasycznego tabu nagości, ozdabianie ciała, tatuaże i nanoanimacje skórne stawały się coraz powszechniejsze. W starej marynarce wielu żeglarzy miało tatuaże. Mocno wytatuowany marynarz stał się nawet pewnego rodzaju stereotypem, jednak obecnie zdobienia ciała zostały ujęte w regulaminie Marynarki i miały być niewidoczne spod munduru. Współczesne barwniki mogły być zasilane ciepłem ciała lub wewnętrzną elektrycznością człowieka i bardzo łatwo włączane i wyłączane.

Obrazy z płynnego światła były bardziej skomplikowane i wymagały większej energii, jednak zasada ich powstawania była taka sama, luminescencyjne substancje pobierały ciepło z organizmu. Po aktywacji mogły emitować zarówno leciutki

poblask, jak i ostre światło, w zależności od wykonania.

W pomieszczeniu pojaśniało, przyzwyczajeni już do ciemności ludzie zaczęli mrużyć oczy. Technik Anderson była coraz silniejszym źródłem światła, w miarę jak zdejmowała kolejne części ubrania, eksponując coraz więcej ciała. Gray widział już wcześniej ten trend na Ziemi, kobiety na szczególne okazje „nosiły” tylko buty i światło. Był to ostatni krzyk mody, zarówno w Europie, jak i w Ameryce.

Rzeczywiście zwracało uwagę i rozpraszało. Nic dziwnego, że Marynarka nakazywała wyłączenie tego w czasie służby.

Całkowicie naga Anderson zdryfowała na środek pomieszczenia, a jej świetliste ciało rzucało podskakujące cienie na ściany, sufit i instrumenty pokładowe. Mając już możliwość widzenia, Gray zorientował się w położeniu i spojrzął naprzód. Mostek dowódczy „Ameryki” położony był tuż przed i kilka stopni niżej niż mostek flagowy, jednak połączenie między nimi zostało szczelnie zamknięte w momencie, gdy okręt wchodził do walki. Kapitan Gutierrez, komandor Taggart i inni oficerowie znajdowali się za sześciocentymetrową ścianą z berylalumistali.

Admirał z frustracją rozejrzył się po mostku flagowym. Cholera, potrzebowali zasilania, i to natychmiast. Nie wiedział, jak mocno został uszkodzony okręt, musiał przyjmować, że bardzo poważnie, jednak dopóki nie zostanie przywrócona komunikacja wewnętrzna, ocena stanu była praktycznie niemożliwa.

Gray złapał się na tym, że żałował tego, iż nie da się podłączyć do Anderson wyświetlaczy, a przynajmniej radia. Chciał znać rozmiary uszkodzeń okrętu tak samo, jak i sytuację zewnętrzną.

Bez jego udziału bitwa nadal się oczywiście toczyła. W każdym zespole zadaniowym ustalano łańcuch dowodzenia. W przypadku Zespołu Zadaniowego Eridani dowództwo natychmiastowo i automatycznie przechodziło w ręce kapitana Wade’a Harmona z „Constitution”, siostrzanego okrętu „Ameryki”. Harmon był dobrym oficerem, inteligentnym i doświadczonym. Da sobie radę.

Jednak dla Graya kosmos skurczył się nagle do pojedynczego,

szczelnie zamkniętego pomieszczenia, a przeżycie mogło stanowić pewien problem.

Gray zauważył, że nie znajdował się w całkowitej nieważkości. Kilka minut po zgaśnięciu świateł uderzył plecami o ścianę. Zdał sobie sprawę, że okręt musiał się wolno obracać, tworząc siłę odśrodkową, dającą złudzenie śladowej grawitacji. Oba mostki „Ameryki” znajdowały się w kwadratowej wieży wystającej z kadłuba, czterdzieści metrów od brzucha kopuły ochronnej, czyli w pobliżu środka ciężkości okrętu. Im dalej od środka obrotu, tym większa była prędkość obrotu i pozorną grawitacją. Gray oceniał, że okręt obracał się wokół punktu umieszczonego na kopule ochronnej, wykonując jeden obrót w ciągu około pięciu minut, powoli i statycznie, co pozwalało wytworzyć grawitację panującą na sporej planetoidzie. Około jednej tysięcznej G.

Z Anderson jako źródłem światła, Kelly znalazł zestaw pierwszej pomocy i unieruchamiał ramię Shapiro. Gaza, którą owijał złamaną kończynę, po wydaniu jej myślowego polecenia twardniała i mogła spełniać rolę usztywnienia. Na nastawianie kości będzie czas później.

O ile będzie jeszcze jakieś później.

Niektóre z podstawowych funkcji okrętu musiały nadal być dostępne, jako że nie były w pełni zależne od generatora mocy. Na przykład awaryjne otwieranie drzwi. Mogła zachodzić potrzeba ich otwarcia lub zamknięcia przy uszkodzonym zasilaniu zewnętrznym, tak więc posiadały niewielkie baterie umieszczone w ścianach.

Gray odepchnął się i podryfował przez pomieszczenie, aż znalazł się przy panelu oddzielającym mostek okrętu od mostka flagowego. Poszukał uchwytu dla dłoni, a następnie panelu sterującego.

Nie otworzył natychmiast drzwi. Zamiast tego umieścił dłoń na panelu kontrolnym. Z drugiej strony drzwi mogła znajdować się próżnia lub szaleć ogień. Gray musiał to wiedzieć, zanim otworzył cokolwiek.

Dzięki baterijnemu zasilaniu panel dostarczył wymaganych

informacji, po drugiej stronie nie było ognia, panowała standardowa temperatura i ciśnienie, nie stwierdzono obecności trujących gazów. Dopiero wtedy otworzył drzwi.

Po prześlizgnięciu się przez nie pierwszą osobą, na którą się natknął, była Laurie Taggart, dryfująca do góry nogami w stosunku do niego.

– Piachu! – krzyknęła. – Dzięki Bogu!

Udało mu się powstrzymać przed przytuleniem jej, choć bardzo tego pragnął.

– Wszystko w porządku, pani komandor?

Potwierdziła.

– Tutaj nikt nie ucierpiał. Co się stało, do cholery?

Z ciemności zmaterializowała się kapitan Gutierrez i przywarła do uchwyty na ścianie.

– Nie ma zasilania, jak widać.

– Zostaliśmy trafieni z krótkiego dystansu laserem X – powiedział Gray. – Nie wiem, jakie są uszkodzenia. Podejrzewam, że straciliśmy część rufową, osobliwości wyrwały się na wolność, prawdopodobnie zasilane kaskadą energii próżni.

Gutierrez pokiwała głową.

– Promieniowanie, czuliśmy je. To ma sens.

– Nic nam nie będzie, jeśli się stąd wyniesiemy – powiedział Gray.

– Czy... czy pan rozkazuje opuścić okręt? – W głosie Gutierrez brzmiał sprzeciw, jak gdyby nie zgadzała się z jego opinią i zamierzała się kłócić.

Gray doskonale wiedział, jak się czuła kapitan. Był skipperem „Ameryki” pod kontradmirałem Jasonem Steigerem... i nie było możliwości opisanego tego, jak bardzo kapitan czuł się związany ze swoim okrętem, nawet na długo po odejściu.

Wiedział także doskonale, że to do niej, jako kapitan okrętu, należał obowiązek wydania rozkazu zejścia z pokładu. Nikt inny nie mógł tego zrobić, nawet admirał.

– Ależ skąd, kapitanie – odparł. – Decyzja oczywiście należy do pani, mam jednak nadzieję, że nie wyda pani rozkazu, zanim nie

będzie to absolutnie konieczne.

– Co jeszcze, do cholery, musi się wydarzyć, by było to konieczne? – spytała Taggart.

– Musimy dać szansę innym.

Duże okręty główne, takie jak „Ameryka”, miały wbudowane moduły ratunkowe: cała wieża, w której mieściły się oba mostki oraz BCI, mogła zostać odstrzelona. Podobnie moduły mieszkalne, obracające się wokół kadłuba za wieżyczką, mogły być zwolnione i odrzucone przez siłę odśrodkową. Wreszcie kontrola lotów, znajdująca się za pierścieniami obrotowymi, tak by można nadzorować z niej starty i lądowania, także mogła zostać wystrzelona w przestrzeń.

Były jednak inne sekcje okrętu, szczególnie maszynownia, które mieściły się w kadłubie, a w przypadku „Ameryki” oznaczało to prawie tysiąc osób, dla których jedyną możliwą drogę ucieczki stanowiły szalupy ratunkowe umieszczone na końcach wyjść bezpieczeństwa. Dopóki nie zostanie przywrócona komunikacja wewnętrzna, pozwalająca dotrzeć rozkazowi ewakuacji do wszystkich członków załogi, ani Gutierrez, ani Gray nie mieli zamiaru spieszyć się z jego wydawaniem.

Oczywiście w wypadku, gdyby komunikacja nie została przywrócona, a sytuacja stała się bardzo zła, każdy mógł podjąć taką decyzję na własną rękę.

Na mostku rozległo się głębokie dudnienie, po którym nastąpiło zgrzytliwe piszczenie i metaliczny stukot.

Gray wiedział, że były to odgłosy przeciążonego do granic możliwości kadłuba okrętu, który zaczynał się rozpadać.

– Musimy mieć sprawny jakiś kanał wewnętrzny – powiedział pozostałym. – Jak najszybciej.

Obóz Himmel-Paradisio

Vulcan

Układ 40 Eridani A

Tłum, liczący obecnie setki, a może nawet tysiące osób, dotarł do północnego ogrodzenia obozu, posuwając się przez otwartą łąkę jak jeden organizm, przypominający amebę. Na jego czele szła Connor, kierując się ku jednej z „wież”.

Delgado wyjaśnił jej nieco spraw po drodze. Gdy Grdoch zajęli Vulcana, użyli nanotechnologii do szybkiej budowy ogrodzenia. Grawiloty, obce pojazdy dryfujące tuż nad ziemią, okrążyły okolicę, siejąc ziarna wielkości ryżu, które natychmiast zamieniały glebę i skały w ogrodzenie. Gdy ściany już całkowicie wyrosły, gładkie i strome jak wnętrze ogromnej misy, Grdoch w jednym miejscu wycięli pięciometrową przerwę, w której zainstalowali bramę.

Niepotrzebne były typowe wieże strażnicze ani wartownicy. Ściany miały różną wysokość, tworząc miejscami pseudowieże, jednak nigdzie nie były niższe niż siedem metrów, do tego gładkie jak wypolerowany kamień. Nie istniała najmniejsza szansa, by więźniowie, nadzy i pozbawieni narzędzi, mogli się po nich wspiąć.

Teraz mieli jednak broń, trzy sztuki. Connor przywołała do siebie Delgado i jeszcze jednego mężczyznę, Siegfrieda Kocha. Ten ostatni wyglądał na nieco starszego, około sześćdziesiątki, ale przy wszechobecnych kuracjach odmładzających trudno było precyzyjnie określić czyjkolwiek wiek. Przed chwilą chwycił trzecią sztukę broni Grdoch i nie chciał jej oddać.

– Mam doświadczenie – wyjaśnił.

– Proszę powiedzieć swoim ludziom, by się mocno cofnęli – powiedziała dziewczyna. – Jeśli ściany eksplodują, ostatnią rzeczą, jakiej nam potrzeba, to rany zadane odłamkami i kamieniami. Wie pan, jak to działa?

– Wycelować i ścisnąć tutaj – powiedział Koch. – Wydaje się bardzo proste. Maser?

– Takie mam wrażenie. Czymkolwiek to strzela, skupia na celu ogromną ilość energii cieplnej. Sugeruję, abyśmy strzelali razem

z postawy leżącej.

Tłum cofnął się, a trójka strzelców położyła się na żółtym mchu, wycelowała w jeden punkt około pół metra nad ziemią i użyła broni. Wybuch był zupełnie satysfakcjonujący, choć odłamki materiału faktycznie poszybowały daleko w tył.

Potrzeba było jeszcze dwóch strzałów, aby poszerzyć przejście, a potem Delgado powiedział: *Adelante*, i tłum ruszył naprzód.

– Uwaga na boki! – ostrzegła Connor. – Nie dotykajcie ich! Są gorące!

Ona, Delgado i Koch czekali, aż tłum przeleje się przez wyrwę. W tym momencie dobiegł do nich zziębnięty mężczyzna, by powiedzieć, że Grdoch, mnóstwo Grdoch wkracza do obozu przez bramę na wschodzie.

– Ilu, Peter? – spytał Delgado po niemiecku.

Chłopak potrząsnął głową i odpowiedział w tym samym języku.

– Nie wiem, panie gubernatorze! Ale wielu, bardzo wielu! Są uzbrojeni.

– Myślicie, że to odpowiedź na wezwanie pomocy przez tę trójkę? – spytała Connor. – Czy to raczej my ich zaalarmowaliśmy, rozwalając ścianę?

– To nie ma znaczenia – powiedział Koch. Spoglądał na północny wschód, wypatrując niebezpieczeństwa. – Nadciągają, a my we trójkę ich nie powstrzymamy.

– Nie – zgodził się Delgado. Podniósł głos i krzyknął do uciekających cywilów: – Szybciej, ludzie, szybciej!

Wysoki, mocno umięśniony mężczyzna oddzielił się od tłumu. Miał porządnie wykonaną włócznię.

– Jak mogę pomóc?

– A pan to...? – spytała Connor.

– Starszy sierżant Thomas Weirton, pani porucznik. USNS „Intrepid”.

– Panie gubernatorze – powiedziała Megan – może odda pan swoją broń temu człowiekowi i wyniesie się stąd?

Delgado zawahał się i potrząsnął głową.

– Nie, proszę pani. Jestem odpowiedzialny za ich

bezpieczeństwo. Zostanę.

– *Herr Koch*?

– Nie, poruczniku. Byłem *Wachtmeister* w innym życiu, dawno temu, w armii europejskiej. Potem odszedłem na emeryturę i wyemigrowałem tutaj. Zostanę i będę walczył.

Connor była bliska wydania rozkazu, ale zmieniła zdanie. Było coś w wyrazie oczu Delgado i zaciśniętych szczękach Kocha.

– Zechce się pan do nas przyłączyć, sierżancie? – spytała. – Nawet bez broni?

– *Semper Fi*, ma'am – odpowiedział Weirton starym mottem Marines. – Są tu także inni nasi, którzy chcą walczyć.

– Proszę ich zgromadzić, sierżancie. Jeśli nie możemy dać wam broni, może uda nam się zabrać ją tamtym.

Marine uśmiechnął się drapieżnie.

– O tym samym myślałem, pani porucznik.

Spojrzała na zaostrzony koniec włóczni.

– Jak, do cholery, udało wam się to zrobić? Przemyciliście noże czy co?

– Nie, ma'am. Próbowaliśmy, ale... – wskazał na swą nagość – nie pozwolili nam niczego zatrzymać. Ale tu są kamienie. Oczywiście to nie krzemienie, niestety, ale jakiś kwarc. Próbowaliśmy, uderzając jeden o drugi, i udało nam się stworzyć całkiem fajne ostrza. Wykrzesaliśmy także iskry do rozniecenia ognia.

Brwi Connor uniosły się.

– Jestem pod wrażeniem, sierżancie.

– Adaptuj się, improwizuj, przezwyciężaj – to była kolejna antyczna mantra Korpusu. – Tak czy inaczej, pani porucznik, w końcu mieliśmy na tyle ostrych kawałków, że mogliśmy nimi strugać. – Potrząsnął włócznią. – A to rośnie w całej południowej części tego syfu. Nałamaliśmy tego, zaostrzyliśmy i utwardziliśmy w ogniu. Nie udało nam się jeszcze wykonać kamiennych grotów i przymocować ich do tyczek, ale mieliśmy tylko kilka tygodni.

– Planowaliście się stąd wyrwać?

– Abso–kurwa–lutnie! Mieliśmy jednak kłopot, gdy

atakowaliśmy tym pojedynczych Grdoch. Ich skóra jest za twarda. Dopiero pani ze swoim pistoletem mogła wyrządzić im prawdziwą szkodę. Hej! – Odwrócił się, machając do kogoś w tłumie. – Callahan! Przytargaj tu swoją dupę!

Młody człowiek odłączył się od innych. Z włócznią i zmierzwioną brodą stanowił doskonały obraz prehistorycznego myśliwego. Dołączyła do nich także uzbrojona kobieta. Należeli oni do grupy osób, które chwilę wcześniej rzuciły się na jednego z uzbrojonych Grdoch, próbując pomścić śmierć swoich. Było to, zdaniem Connor, coś zadziwiającego.

Mijały minuty i mały, lecz wciąż rosnący oddziałek uzbrojonych kobiet i mężczyzn zaczął formować pozycję obronną przy wyłomie w murze. Cywile wydostawali się coraz szybciej na zewnątrz.

– Czuję się jak Mojżesz nad Morzem Czerwonym – powiedział po chwili Delgado. – A Egipcjanie są tuż za nami.

Connor musiała poszukać w głowie odniesienia i zachmurzyła się, gdy je znalazła. Ludzie, z którymi miała tutaj do czynienia, Delgado, Fuentes i inni, nadzwyczaj swobodnie używali określeń religijnych. Na początku wzięła to za różnicę kulturową. Kolonie położone z dala od Ziemi i centralnego rządu Konfederacji często nie były takie rygorystyczne w przestrzeganiu Białej Konwencji. Inne, w szczególności te, które ustanowiła Teokracja Islamska, powstały wręcz jako wyraz opozycji do tej regulacji.

Jednak Fuentes nie była częścią tej kultury.

Stanowiło to, zdaniem Connor, typowy przykład mentalności okopowej. W okopach nie było ateistów. Nie oznaczało to istnienia jakiejś szczególnej doktryny lub Kościoła, a jedynie powszechne przekonanie, że ktoś musi panować nad tym wszechświatem pełnym irracjonalnego okrucieństwa, strachu i chaosu. Bez Boga wszechświat wydawał się zbyt wielki i zbyt straszny, by objąć go ludzkim umysłem. Walka czy koszmar, jaki zgotowali Grdoch, stanowiły gwarancję przywołania religijnego impulsu czającego się w każdym człowieku, impulsu, który mógł definiować, czym naprawdę była ludzkość.

Jak większość ludzi wychowanych w cieniu Białej Konwencji,

Connor czuła lekkie zażenowanie, gdy ktoś odwoływał się do Boga, jednak mogła całkowicie zapomnieć o takich gafach, jeśli dawały nieco odwagi przerażonym, pozbawionym nadziei i woli walki ludziom.

Poza tym, myślała, patrząc na tłum przelewający się przez wyrwę, Delgado miał rację. To był exodus, może nie ten z boską pomocą, jednak exodus z niewolnictwa, strachu i koszmaru.

Ostatni z jeńców przekroczyli dziurę w ogrodzeniu.

– W porządku – powiedziała Connor. – Teraz reszta z was zaczyna się wycofywać. Za dziurę i rozproszyć się.

– Za późno – odpowiedział Weirton. Wskazał włócznią, co uczyniło go podobnym do archetypicznego paleolitycznego łowcy. – Skurwysyny już tu są...

USNA CVS „Ameryka”

Układ 40 Eridani A

Godzina 16.15 TFT

– Myślę, że to tutaj – powiedział technik elektronik.

– Chodź no, Anderson – powiedziała Gutierrez. – Nic nie widzę.

– A teraz, pani kapitan?

– Lepiej...

– Jeśli uda nam się dostarczyć zasilanie do tego połączenia – powiedział Kepner – powinniśmy być w stanie przynajmniej korzystać z sieci okrętu.

– A może spróbujemy użyć baterii z drzwi? – zasugerował Gray. – Powinny być za tamtym panelem.

– Może się udać – powiedziała Gutierrez. – Conway! Johansson! Sprawdźcie, czy uda wam się zdjąć tę osłonę! Anderson, przyświeć im!

Sieć okrętowa była – w ogólnym zarysie – wewnętrznym internetem, działającym na niezależnym serwerze. Nawet przy braku głównego zasilania powinna wciąż funkcjonować, jednak spięcie elektryczne po trafieniu promieniem X przebiło zapory

i zniszczyło wewnętrzne źródło energii. Przy działającej sieci każdy, kto posiadał standardowy wojskowy implant mózgowy, mógł połączyć się z dowolnym innym podłączonym użytkownikiem za pomocą głosu, przekazu danych czy też awatarów i automatycznych sekretarzy. Gdyby udało się to podłączyć, mogliby komunikować się swobodnie ze wszystkimi na pokładzie „Ameryki”.

Oczywiście wiązało się to z niezliczonymi drobnymi kłopotami i frustracjami. Panele mocowane były autośrubami. Wystarczyło dotknąć łba kciukiem, a śruba sama się wykręcała, w drugą zaś stronę należało przytknąć ją do powierzchni i także dotknąć łba. Jednak do ich działania potrzebne było zasilanie, którego właśnie zabrakło. Śruby oczywiście posiadały nacięcia, aby użyć tradycyjnego, starodawnego wkrętaka, jednak takiego reliktu nie dało się znaleźć nigdzie na mostku.

Vonnegut spostrzegł jednak pasek metalu o szerokości centymetra przy fotelu Graya i po kilku minutach siłowania i ranienia palców zdołał go odłamać. Pasek był na tyle płaski, że udało się jego róg wcisnąć w nacięcia śrub i mogli je odkręcić. Po następnych kilku minutach panel został zdjęty.

To dało im dostęp do baterii drzwi, które Macy, elektronik komputerowiec, zaczął podłączać do serwera sieci. Gdy dokonał ostatniego połączenia, serwer zaczął działać i Gray poczuł wewnętrzne kliknięcie, zobaczył strumień danych i wiedział już, że jest ponownie online.

Zdał sobie sprawę, jaką starą technologią się posłużyli, antyczną wręcz. Dla kultury dysponującej nanotechnologią i napędami grawitacyjnymi to było prawie jak krzesanie ognia za pomocą dwóch kamieni. Był jednak niewiarygodnie dumny z tego, w jaki sposób współdziałała ze sobą obsada mostków, improwizując, adaptując się i sprawiając w końcu, że system zaczął działać.

– Kontrola uszkodzeń! – pomyślał, otwierając kanał. – Tu admirał Gray. Jaki jest nasz status?

– Niedobrze, panie admirale – nadeszła odpowiedź. – Ale pomoc jest już w drodze!

- Jaka pomoc?
- Może pan ściągać obrazy?
- Potwierdzam.
- Proszę spojrzeć, sir...

W głowie Graya otworzyło się okno i zobaczył „Amerykę” z zewnątrz. Widok pochodził najprawdopodobniej z drona. Lotniskowiec stracił około dwustu metrów rufy. Wyglądało to, jakby rakietę lub wysokoenergetyczny promień przeciął kadłub okrętu i odłączył od niego generator mocy. W oddali widać było odcięty fragment, obracający się w płaszczu gorącej plazmy i kawałków roztopionego metalu kadłuba. To, co pozostało z generatora, zapadało się w sobie, miażdżąc metal w coraz mniejszej przestrzeni. Uwolnione osobliwości, które dawno przestały być mikro, zgniatały resztki kadłuba z niewyobrażalną siłą.

– To mogliśmy być my, panie admirale – powiedział oficer kontroli uszkodzeń. – Jednak jakiś szybko myślący jeździec użył kraita, by odciąć generator.

– Co z Grdoch? – spytał Gray. – Nadal jesteśmy pod ostrzałem?

– Nie jesteśmy, sir, ale nie bardzo wiem, co się dzieje. Jesteśmy... trochę zajęci, jak pan widzi...

– Rozumiem. Jaki jest rachunek?

– Główne napędy diabli wzięli, większość zapasowych popaliła się. Załoga walczy z ogniem w sekcjach od czerwonej jeden do czerwonej pięć, jednak wygląda na to, że dadzą sobie radę. Nie wiem nic o stratach w ludziach. W przedziale generatora mocy mogło być od dwustu do trzystu osób, mamy tu także silne promieniowanie. Wy byliście odcięci od sieci, ale gdzie indziej działała ona cały czas. Dowodzenie przejęła kapitan Fletcher i to ona wszystko organizuje...

– Świetna robota – powiedział Gray. Słyszał lekkie zniecierpliwienie w głosie mężczyzny i nie chciał mu już zabierać czasu. – Kontynuujcie.

– Aye, aye, sir.

Zapomniał zapytać, o co chodziło z pomocą w drodze, ale nie miało to znaczenia. Dzięki dronowi sam już mógł się

zorientować. „Constitution”, siostrzany okręt „Ameryki” – wielki i dumny – manewrował w pobliżu. W tej chwili obracał się wolno, by ustawić się idealnie równolegle.

Mniejsze jednostki, transportowce remontowe, SAR, a nawet gig kapitański, wyłaniały się z zatok startowych i zbliżały do „Ameryki”.

– Mam wrażenie, że nam się jednak uda – powiedział admirał, uśmiechając się do oficerów i podoficerów na mostku.

Rozdział dwudziesty trzeci

13 marca 2425

Obóz Himmel-Paradisio

Vulcan

Układ 40 Eridani A

Godzina 16.15 TFT

Connor leżała płasko na twardej ziemi, trzymając oburącz broń obcych. Linia Grdoch postępowała przez łąkę w otwartej formacji, poruszając się wolno, lecz zdecydowanie w kierunku wyrwy w murze.

– Musimy kupić ludziom trochę czasu! – powiedziała Megan do pozostałych. Uciekający więźniowie dopiero przed chwilą przedostali się przez dziurę.

– Może nie będzie trzeba – odparł Weirton. – Co się tam, do cholery, dzieje?

Na północy rozbłysła seria wybuchów, przesuając się wzdłuż horyzontu. W chwilę później dogonił ją dźwięk.

– To od strony Dwumiasta – powiedział Delgado. – Musi być atakowane!

– Nasza flota – odparła Connor. – Znaczy, że przejęliśmy kontrolę nad przestrzenią! Jednak przybycie tutaj może zająć naszym nieco czasu. Nie liczyłabym na szybką pomoc!

– Może oni jednak o tym nie wiedzą – zauważył Weirton.

Grdoch wyglądali na dezorientowanych, być może wystraszonych, a z całą pewnością niepewnych. Niektórzy toczyli się obecnie do tyłu, w stronę bramy. Inni kontynuowali natarcie.

Connor przez chwilę miała dylemat. Czy powinna kazać

uzbrojonym członkom grupy strzelać? Czy też skłoni to wycofujących się Grdoch do powrotu i kontynuowania ataku? Psychologia obcych nadal była wielką niewiadomą. Z pewnością podejmowanie decyzji w takich warunkach było trudniejsze niż postępowanie według zasad wpojonych na szkoleniach i musiały być one inne, niż sugerowano podczas ostatnich odpraw.

Postanowiła zaczekać. Czy Grdoch w ogóle ich już zauważyli? Nikt nie wiedział, jak dobry mieli wzrok. Faktem było, że widzieli we wszystkich kierunkach, ale z jaką rozdzielczością? Jeśli dotychczas nie zauważyli ludzi leżących przy wyrwie w murze, lepiej było ich zaskoczyć.

– Nie otwierajcie ognia – powiedziała cicho. – Pozwólmy im podejść. Im mniej ich będzie...

– ...tym mniej trzeba będzie zabić – dokończył z uśmiechem Weirton. – Myśli pani jak Marine, pani porucznik.

– Uznam to za komplement.

– Zgodnie z moją intencją.

Nadal jednak toczyło się ku nim dwadzieścia pięć, trzydzieści szkarłatnych bestii.

– Nie jesteśmy w stanie zabić ich wszystkich – stwierdził Delgado.

– Może jeśli zginie wystarczająco dużo, reszta się wycofa – odparła Connor.

Nienawidziła tego czekania na otwartej przestrzeni bez ruchu. Dla pilota myśliwskiego szybkość oznaczała życie, a leżenie na ziemi i czekanie, aż potwory podejną na odpowiednią odległość, było zaprzeczeniem wszystkiego, czego dotychczas ją uczono.

Megan nie spodziewała się, że wyjdą z tego cało. Delgado miał rację. Z pewnością nie uda się powalić wszystkich nadciągających Grdoch. Pamiętała, jak trudno było zabić zaledwie trójkę z nich, a działo się to przy udziale wściekłego tłumu uzbrojonego we włócznie. Obecnie dwunastka ludzi trzymała pozycję obronną, z czego tylko trójka miała nowoczesną broń. Nie wystarczy, stanowczo za mało...

Najbliżsi Grdoch byli już sto metrów od nich i zwiększali tempo.

– W porządku – powiedziała Connor. – Ścinamy ich!

Ścisnęła gruszkę spustową, dwóch Grdoch wypadło z szyku, a przed trzecim poderwała się kolumna piasku. Jedno z nich chybiło.

– Uważajcie, jak strzelacie, kurwa! Nie marnujcie energii.

Nie wiedziała, na ile wystarczą jeszcze baterie broni, i każdy strzał był ważny.

Zamiast skupiać się na zabijaniu każdego obcego, przenosiła ogień we wszystkich kierunkach. Może jeśli wystarczająco dużo Grdoch zostanie rannych, będą bardziej skorzy do wycofania się, niż w wypadku gdyby tylko kilku zostało zabitych.

Nadal postępowali naprzód. Cholera, byli naprawdę twardymi przeciwnikami!

Connor strzelała i strzelała, i strzelała, bolały ją już dłonie i nadgarstki, a nadal musieli we trójkę prowadzić ogień w kierunku nacierającej linii. Grdoch odpowiadali ogniem. Podoficer z „Intrepid” znajdujący się obok zadrzał i podskoczył, jego skóra paskudnie poczerniała. Ziemia przed pozycjami obronnymi zaczęła wybuchać.

I nagle między walczącymi wyrosła czarna ściana ziemi, dymu i płomieni, której towarzyszył ogłuszający ryk. Fala uderzeniowa mocno pchnęła Connor. Co jest, do cholery?

Na początku myślała, że to Grdoch ściągnęli nową, potężniejszą broń. Te ich ustne karabiny nie były w stanie wywołać czegoś takiego.

W tym momencie zobaczyła nightshade’y.

AGG-44 Nightshades, dwumiejscowe grawiloty szturmowe, były maszynami wsparcia powietrznego i przestrzeni. Paskudne, podobne do wazek, miały przyśpieszenie jedynie dwunastu g, jednak na niskich pułapach zapewniały doskonałe wsparcie ogniowe swoimi wysokoenergetycznymi laserami i raketami powietrze – ziemia.

Cztery nadleciały od północy, a teraz przebijały się przez chmurę dymu i odłamków. Były już tak blisko, że Connor mogła zobaczyć oznaczenia USNA na ich kadłubach, poczuła drżenie powietrza.

– Hurra! – wrzasnął Weirton. – Zajebcie ich!

Cztery maszyny zniknęły na południu, jednak za chwilę wykonały zwrot i rozpoczęły kolejne najście. Gdy opadł dym po pierwszym ataku, Connor zobaczyła Grdoch. Znajdowali się bliżej, ale zostało ich tylko piętnastu, a kilku było poważnie rannych.

– Nie przestawajcie strzelać – krzyknęła i zwróciła broń ku najbliższemu obcemu, wrywając w jego korpusie spory krwawy krater i odrzucając go kilka kroków do tyłu. Inni zaczęli się wahać.

Nightshade’y wykonały kolejne przejście, tym razem wolniej i niżej, ślizgając się metr lub dwa nad gruntem. Connor usłyszała przenikliwy świst, rodzaj brzęczenia, i zdała sobie sprawę, że używają przeciw obcym gatlingów, siekając Grdoch dwunastoma pociskami ze zubożonego uranu na sekundę.

– Czy ktoś na dole nas słyszy? – zapytał męski głos w głowie dziewczyny.

– Odbieram cię! Porucznik Megan Connor, VFA-96, USNA „Ameryka”.

– Porucznik Justin Dillon, USNA Marines. Czy na dole są z tobą cywilni jeńcy?

– Mieszanina, Dillon – odparła. – Cywile i kilku naszych z „Intrepid”. Gdzie mamy się znaleźć?

Nastąpiła krótka przerwa, prawdopodobnie Dillon konsultował się z przełożonymi.

– W tej chwili tu będzie całkiem dobrze. Rozmawiałem z dowódcą pułku, za kilka minut przylecą tu Marines.

Connor roześmiała się. Nie było w tym nic śmiesznego, jednak stres ostatnich kilku godzin zrobił swoje.

– Musielibyśmy wszystkich wysledzić i ściągnąć ich ponownie tutaj – powiedziała Dillonowi. Jeden z nightshade’ów wisiał na wprost niby wielka, czarna, opasła wałka i ewidentnie patrzył na nią. Zamachała spontanicznie. W odpowiedzi maszyna kilkakrotnie przechyliła się z burty na burtę.

– Nie ma problemu, jeśli nie uda wam się ich zgromadzić – powiedział Dillon. – Wygląda na to, że poczwary uciekają.

– A więc... wygraliśmy?

Nastąpiła chwila wahania.

– Wygraliśmy – powiedział w końcu Dillon. – Ale cena była wysoka, kurewsko wysoka...

Connor poczuła dreszcz, słysząc te słowa, i zaczęła się zastanawiać, co się stało.

USNA CVS „Constitution”

Układ 40 Eridani A

Godzina 19.27 TFT

Gray przeniósł flagę na „Constitution”. Z mostka flagowego nowego lotniskowca admirał i jego sztab mieli wspaniały widok na otaczającą przestrzeń, flotę USNA na orbicie oraz białe, błękitne i pomarańczowe barwy planety obracającej się pod nimi. Bitwa się skończyła, zarówno na orbicie, jak i na ziemi. Zwycięstwo...

Prawie.

„Amerykę” otaczała chmura mniejszych jednostek. Drony robocze i transportowe dokonywały inspekcji i zaczynały już naprawy. Celem było doprowadzenie lotniskowca do takiego stanu, by mógł dolecieć na Ziemię, a to oznaczało wymianę generatora mocy.

Do tego momentu zwiadowcy znaleźli w systemie małą planetoidę – 40 Eridani A okrążały dwa pasy asteroid – tak więc flota nanoinżynieryjna już rozpoczynała programowanie maszyn, które będą w stanie rozłożyć planetoidę i stworzyć nowy generator mocy. Roboty powinny potrwać kilka tygodni, większość tego czasu miało zająć testowanie i wyważanie. Jeśli nie uda się wszystkiego wykonać poprawnie, „Ameryka” będzie musiała zostać na orbicie Vulcana do momentu zbudowania stoczni naprawczej w tym systemie. A z tym mogłyby być małe problemy polityczne.

Choć technicznie należeli nadal do Konfederacji Ziemskiej,

tutejsi całym sercem łączyli się z flotą USNA. Kapitan del Castro, dowodzący Grupą Bojową Konfederacji Vulcan, oddał bezwarunkowo wszystkie okręty swej grupy pod dowództwo Graya. Jego okręt flagowy „Estrella de la Plata” znajdował się obecnie przy amerykańskim „Maine”, przyjmując na pokład ostatnich rozbitków. „Maine” prawie na pewno nie uda się naprawić, jej kadłub ucierpiał w trzech miejscach, kopuła ochronna i, co najważniejsze, projektory grawitacyjne spłonęły. Z liczącej dwa tysiące osób załogi zginęło tysiąc dwieście, w tym kapitan Catharine Francesconi. Zespoły SAR z „La Platy” nadal sprawdzały przedział za przedziałem w poszukiwaniu rozbitków. Gray wiedział, że ustawiając swój okręt pomiędzy wrakiem Grdoch a „Ameryką”, kapitan Francesconi z całą pewnością uratowała lotniskowiec.

Jako kapitan okrętu, Catharine miała obowiązek dbać na pierwszym miejscu o swoją załogę i okręt. Jako dowódca zespołu zadaniowego Gray z kolei miał widzieć szerszy obraz, przesuwać różne okręty jak pionki na szachownicy, by osiągnąć cel misji. Czasem wymagało to poświęcenia kilku figur, gdy było to konieczne.

A cholerna natura wojny sprawiała, że zawsze było konieczne...

Byłoby zupełnie inną sprawą, gdyby Gray nakazał kapitan Francesconi zablokowanie ataku nieprzyjaciela. Jednak ona podjęła tę decyzję samodzielnie.

Gray zastanawiał się, czy byłby w stanie uczynić to samo, gdyby role się odwróciły.

Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co sam zrobił: nie docenił przeciwnika, i to prawie kosztowało go utratę „Ameryki”. Nie był to ruch sprzyjający rozwojowi kariery, choć Gray tak naprawdę nie bardzo przecież o nią dbał. Nieraz mówił prezydentowi Koenigowi, że nie chce tej roboty, dowodzenia całym lotniskowcowym zespołem zadaniowym. Politycy byli, kim byli, nie miał więc wątpliwości, jaki będzie rezultat. Nie zostanie oficjalnie ukarany, tak przynajmniej sądził, ale przeniosą go gdzieś za biurko na Ziemię lub Marsa i nigdy nie będzie już

dowodził ani zespołem, ani nawet pojedynczym okrętem.

Niech się dzieje, co chce. Zrobił, co było w jego mocy, ale to najwyraźniej nie wystarczyło. Nie udało mu się nawiązać komunikacji z Grdoch, choć trzeba przyznać, że oni także jakoś nie pałali chęcią do rozmów. Odnalazł pozostałych członków załóg „Intrepid” i „Tomlinsona”, a to był prawdziwy sukces. Meldunki z powierzchni planety wskazywały, że kilkuset żyło i znajdowało się pod troskliwą opieką 1/5 Marines Engelmana. Przekonał także miejscowych, by zmienili swoją przynależność polityczną z Konfederacji na USNA, choć wiedział, że w podjęciu tej decyzji większy udział mieli Grdoch niż on sam. Biorąc to wszystko pod uwagę, 40 Eridani było sukcesem. Zwycięstwem...

Jednak prawda leżąca za każdym zwycięstwem wojskowym była taka, że stanowiło ono mieszaninę sukcesu, porażki i straszliwych strat.

– Wszystko w porządku, admirale? – Skipper „Constitution”, Wade Harmon, pojawił się właśnie na mostku flagowym. – Zainstalował się już pan?

– Świetnie, kapitanie. Dziękuję.

– Słysząc... No, słysząc wiele plotek krążących po pokładzie „Connie”. Ludzie gadają o tym, gdzie lecimy dalej.

– I jaki pogląd przeważa?

– Ziemia. Jest jednak spora grupa, która myśli, że rodzinna planeta Grdoch.

Gray zaśmiał się.

– No cóż, najpierw musielibyśmy wiedzieć, gdzie to jest. Jeńcy nie byli dotąd specjalnie rozmowni.

Prawie osiem tysięcy Grdoch było obecnie jeńcami wojennymi, część stanowili piloci myśliwców uratowani z przestrzeni wokół Vulcana, większość jednak pochodziła z baz, które założyli na powierzchni planety. Bez wsparcia z przestrzeni bardzo szybko się poddali. Specjaliści wywiadu próbowali używać nowego oprogramowania przy przesłuchaniach, jednak na razie bez sukcesu. Gray widział meldunki. Osiemdziesięciu Grdoch zapytano o położenie ich systemu. Wszyscy wydawali się chcieć zaspokoić ciekawość pytających, jednak uzyskano pięćdziesiąt

dziewięć różnych odpowiedzi, od czerwonego karła oddalonego o dziesięć lat świetlnych do czerwonego giganta znajdującego się w jądrze Galaktyki. To oczywiście dałoby się sprawdzić przy użyciu dronów rozpoznawczych, jednak oczekiwanie na rezultaty musiałoby potrwać miesiące, a Gray mocno podejrzewał, że żadna z pięćdziesięciu dziewięciu wersji nie była prawdziwa. Gdyby Grdoch poznali położenie Układu Słonecznego i Ziemi, rezultaty mogły być katastrofalne, jednak na szczęście znalezienie kolebki ludzkości wcale nie było takie proste. Informacja, że Ziemia to trzecia planeta gwiazdy G2 mniej więcej w połowie odległości od centrum Galaktyki, była bezużyteczna, biorąc pod uwagę ogromną ilość światów spełniających te kryteria, natomiast koordynaty systemu i programy konieczne do ich zamiany na coś mającego wartość stanowiły pilnie strzeżone tajemnice. Grdoch byli zapewne równie ostrożni.

Mimo to nieszczęście przeszło o włos. Grdoch najwidoczniej natknęli się na ludzką kolonię w 40 Eridani i nawiązali kontakt z siłami Konfederacji, a ci idioci zaprowadzili okręt bojowy obcych prosto do Układu Słonecznego. Dzięki Bogu, jednostka ta została przejęta przy Enceladusie, jednak gdyby udało jej się uciec, rezultat mógłby być katastrofalny dla ludzkości. Sh'daar poznali współrzędne Ziemi dwie dekady wcześniej i dwie rasy ich sojuszników, Turuschowie oraz H'rulka, przyniosły ludziom wojnę. Turuschowie zdołali nawet wystrzelić w kierunku Ziemi pociski kinetyczne, które spowodowały ogromne straty.

Co mogliby zrobić Grdoch, gdyby odnaleźli Ziemię, o tym lepiej było nawet nie myśleć.

Po dłuższej chwili milczenia Harmon upewnił się:

– Lecimy do domu?

– Tak, kapitanie. Jednak najpierw muszę sprawdzić, czy schwytaliśmy wszystkich Grdoch. Wysłałem eskadrę, żeby sprawdziła B i C.

– Myślałem o tym, sir.

Dwie pozostałe gwiazdy systemu 40 Eridani B i C okrężały się nawzajem po eliptycznej orbicie, wahającej się od trzydziestu

pięciu do czterystu jednostek astronomicznych. Wydawało się, że okręty Grdoch próbowały uciekać w ich kierunku, i Gray chciał mieć całkowitą pewność, że nic tam nie zostało, na przykład trzeci okręt obcych.

Tym razem nie pozwoli sobie na niedocenyenie tych drani.

– Chciałbym także wiedzieć, czy będziemy w stanie przeprowadzić lokalnie naprawy „Ameryki”, przynajmniej na tyle, by mogła wrócić do domu, czy też będziemy musieli przyciągnąć tu mobilną stocznię. Niektóre okręty zespołu także są w kiepskim stanie. „Sława” została paskudnie trafiona, podobnie „Long Island”. „Constitution” także przyjęła trafienie.

– Nic, czego byśmy w miarę szybko nie byli w stanie usunąć, panie admirale.

– Miło to słyszeć. Chciałbym jednak przyprowadzić do domu flotę w pełnej gotowości, maksymalnej, jaką jesteśmy w stanie tutaj osiągnąć. Musimy także zdecydować, co zrobić z jeńcami.

– Słyszałem, że są przetrzymywani w swoich własnych obozach. Dobre rozwiązanie.

– Na teraz. Nakazałem trzymać ich w zamknięciu w tych obozach, w których były te ich *praedams*.

Gray skrzywił się, mówiąc to, jakby poczuł w ustach nieprzyjemny smak. Nadal przed oczami miał widok biesiadujących Grdoch, wizja wystarczająco paskudna, by każdego nawrócić na wegetarianizm.

Jednak zagłodzenie Grdoch byłoby jeszcze gorsze, a przynajmniej wielkie *praedams* nie były rozumne, o ile naukowcy się nie pomylili.

Obcy, zdaniem Graya, mieli jeszcze w przyszłości przysporzyć ludzkości mnóstwo problemów etycznych. Co należy robić, jak się zachowywać, gdy inna rozumna rasa, z którą chcesz zawrzeć sojusz, hołduje zasadom tak diametralnie różnym od twoich?

Kiedyś, wieki wcześniej, paskudna, krwawa i długa wojna podzieliła ludzkość na Zachód i wyznawców religii, które uznawały za nieetyczne zdobycze technologii. Nawet głównonurtowy i umiarkowany islam kultywował praktyki i kary, których współczesny Zachód nie był w stanie

zaakceptować. Nie miało znaczenia, że najpowszechniejsze religie Zachodu również swego czasu żądały kary śmierci dla homoseksualistów, heretyków, wiedźm, a także promowały wykorzystywanie kobiet i niewolników. Różnica polegała na tym, że islam pozostawał młodą religią, najmłodszą z monoteistycznej trójki, i po prostu nie wyrósł jeszcze z takich dziecinad. O ile Zachód modlił się o tolerancję i różnorodność, tego typu wartości nie mogły być częścią islamu bez podważania fundamentalnych zasad. Modyfikacje uznawano za atak na Allaha i Jego Proroka.

Jednak Zachód w imię zrozumienia i tolerancji także posunął się niebezpiecznie daleko. Po zwycięstwie militarnym tylko kontrowersyjna Biała Konwencja i zjednoczona Konfederacja Ziemska dały nowoczesnemu islamowi możliwość rozwoju.

Gdyby tego nie zrobiono, nieuchronnym wynikiem byłaby dalsza destrukcja.

Zdaniem Graya podobne zabiegi okażą się konieczne przy dalszych kontaktach z Grdoch. Czy będą oni zainteresowani otwartą komunikacją, kontaktami dyplomatycznymi, wymianą naukową, czy nawet handlem z istotami, które traktują jako pożywienie?

A jaka była alternatywa? Masakra?

Gray miał ogromną nadzieję, że gdyby taka decyzja miała zostać podjęta, jego nie będzie w pobliżu.

– Pieprzeni Grdoch nie zrobiliby tego dla nas – zauważył Harmon.

– Może nie. Ale musimy ustalić jakieś standardy, wyznaczyć gdzieś granice.

Cała sztuka polegała na wiedzy, gdzie te granice wyznaczyć. Umiarkowany islam cztery wieki wcześniej odrzucił pomysł, że ich religia jest niedojrzała, niekompletna lub zgoła barbarzyńska. Wierzyli w to, w co wierzyli, żyjąc w przekonaniu, że oświecenie pochodzi bezpośrednio od Boga.

Ale nie odnosiło się to tylko do islamu. To samo dotyczyło chrześcijan czy ortodoksyjnych żydów i każdego innego systemu opierającego się na przekonaniu, że „skoro Bóg tak powiedział, to nie ma dyskusji”.

Gray zdawał sobie sprawę, że Grdoch nigdy nie zaakceptują idei, jakoby ich zachowanie było w jakikolwiek sposób niecywilizowane. Nie wiedział, czy wierzyli w jakiegoś boga, jednak zawsze pozostawał argument, że w taki sposób ukształtowały ich prawa ewolucji.

Z całą pewnością nie będą też chcieli zmienić paradygmatu zachowań tylko dlatego, że inny gatunek uważa ich postępowanie za straszne.

Czy możliwe było, aby istniały gatunki tak obce sobie wzajemnie, że nie mogły się porozumieć w żaden sposób?

Czy odnosiło się to także do niektórych czysto ludzkich systemów wartości?

Czy jedynym rozwiązaniem było coś na kształt Białej Konwencji, na której strażą stała siła militarna?

Nie były to miłe wnioski.

Tymczasowe prezydenckie
stanowisko dowodzenia
Toronto

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej
Godzina 23.35 EST

– Chcesz się pozbyć Białej Konwencji? – Deb Johnston wydawała się zszokowana. – Mój Boże, dlaczego?

Leżeli razem w łóżku, pozostając w objęciach. Koenig przyprowadził ją do TPSD i poprosił, by została na noc. Agenci ochrony wiedzieli, że była tutaj, jak mogło być inaczej?

O ile jednak prezydent dawał im się we znaki swoją niezależnością, o tyle mógł polegać na ich dyskrecji. Nie będzie żadnych przecieków, nie z tej kwatery.

Boże... gdyby jego konserwatywni wolnościowcy dowiedzieli się, że był w łóżku z globalistką, kto wie jak by się to skończyło...

– No cóż – powiedział wolno. – Powody polityczne są takie, że

chcemy stworzyć warunki do sojuszu z islamistami.

Pokiwała głową.

– Dążyliśmy do tego od lat. To głupota mieć rząd światowy, jeśli miliard ludzi pozostaje poza jego kontrolą.

– Wiem.

– A ja wiem, że jesteś najbardziej apolitycznym wolnościowcem, jakiego znam. Jaki jest prawdziwy powód?

– Istnienie wielkiego rządu, rządu, który zapomina, że jego władza pochodzi od ludzi, to jedno z najgorszych przestępstw popełnionych przez ludzkość na sobie samej. Rząd nie ma interesu w tym, by mówić obywatelom, w co wierzyć lub jak tę wiarę wyrażać.

– Jednak zasada tłumu, czyli to, czym jest prawdziwa demokracja, może być taką samą tyranią, jak każda inna. Dlatego mamy demokrację reprezentatywną. Ludzie, zwykli obywatele, nie wiedzą, co jest dla nich najlepsze.

– A banda biurokratów i wybranych oficjeli wie? Daj spokój! Wiesz, że stare Stany Zjednoczone, wyznające w dwudziestym pierwszym wieku zasadę „mamusia wie lepiej”, flirtowały z socjalizmem. Jednolita edukacja... pod opieką rządu. Powszechna służba zdrowia... pod opieką rządu. Centralna dystrybucja żywności... pod opieką rządu. Powszechne prawo pracy... pod opieką rządu. W połowie wieku kraj znalazł się na krawędzi zbiorowego samobójstwa. Samobójstwa dzięki podatkom, edyktom prezydenckim, zawilościom prawnym i powszechnej korupcji. Problem polega na tym, że rząd, wielki rząd, jest z założenia nieefektywny. Funkcjonuje po to, by móc funkcjonować. Tak jak w starych Stanach. Wszystkie te powszechne programy, rozdawnictwo, korupcja rozciągająca się od władz terenowych po prezydenta w końcu rozbiły bank i jedyną rzeczą, która pozwoliła utrzymać kraj w całości, były wojny islamskie, a potem pierwsza wojna sino-zachodnia. A potem podniósł się poziom wód, krwawa śmierć pochłonęła półtora miliarda istnień, rząd zaś był jak dinozaur skonfrontowany z upadkiem asteroidy. To, co pozostało, wpadło w anarchię na kilka dekad.

- Jednak wróciliśmy. W odróżnieniu od dinozaurów.
- W pewnym sensie. Ale analogia sięga tylko dotąd. Stany Zjednoczone Ameryki Północnej wyrosły na ruinach starego państwa, z nową konstytucją i nowym mitem założycielskim. Ale... wiesz? Zaczęliśmy właśnie popełniać te same błędy. Może to ludzka natura? Prawda jest taka, że wielki rząd, rząd służący samemu sobie, nigdy nie będzie rozwiązaniem.
- A co nim jest?
- Cholera wie. Jednak separacja spraw religii od spraw państwa to dobry start. Ludzie powinni zacząć być odpowiedzialni za swoje decyzje... I swoje poglądy.
- Będziesz miał kłopoty w Senacie.
- Wiem. – Pomyślał o tym przez chwilę. – Myślę jednak, że w końcu się zgodzą. Wiadomości o zagrożeniu ze strony Grdoch przerażyły ludzi. Sojusz z Teokracją Islamską ma sens, podobnie jak z Hegemonią Chińską. Ludzkość musi zostać zjednoczona, naprawdę zjednoczona.
- A co ze Sh'daar? Chcesz sprzymierzyć się także z nimi? Przeciw Obcym z Rozety?
- Jeśli tylko znajdziemy sposób na obejście ich żądań, to czemu nie? Grdoch udowodnili, że w Galaktyce są naprawdę ciemne siły. O wiele potężniejsze i paskudniejsze od nas. Jeśli nie znajdziemy sposobu na jakąś współpracę – ludzie z ludźmi, ludzie ze Sh'daar, ludzie z kimkolwiek, z kim uda nam się porozumieć – to popadniemy w niewolnictwo, albo nawet wyginieemy. Prawdopodobnie nastąpi to ostatnie, bo jeśli pozostaniemy bierni, jeśli nie będziemy się rozwijać, umrzemy.
- A może jeśli...
- Cholera!* – w głowie Koeniga zabrzmiał sygnał nadejścia ważnej wiadomości.
- Zaczekaj sekundę, kochanie.
- Otworzył kanał.
- Przepraszam, że przeszkadzam, panie prezydencie – odezwał się Marcus Whitney.
- Mów.
- Wywiad przechwycił meldunki z Europy. Wygląda na to, że

Konfederacja upada. Armia zbuntowała się. Denoix gdzieś znikł. Korosi został aresztowany. Anglia, Niemcy i Ukraina ogłosiły secesję. Włochy i Hiszpania mogą być następne.

– Kto nad tym panuje?

– Jak na razie, nikt. Ruch Światła Gwiazd domaga się zakończenia wojny i wolnych wyborów. Chcą wybrać Constantine’a d’Angelo na prezydenta.

– Mój Boże!

– Konstantin panuje nad tym, panie prezydencie. Za kilka godzin wyda oświadczenie. Panie prezydencie, wygraliśmy!

– Wszystko na to wskazuje, Marcus.

Koenig był zaskoczony tempem wydarzeń. Oczywiście wcześniej występowały już w Europie symptomy niezadowolenia, jednak od uwolnienia wirusa w infrastrukturze komputerowej Genewy upłynął zaledwie tydzień.

Wiadomości jednak nie przekonały go. USNA mogły właśnie wygrać niepodległość, jednak bardzo wiele zależało od tego, co zastąpi teraz Konfederację Terrańską. Czy będzie to nowa konfederacja pod przywództwem Stanów Zjednoczonych? A może próżnia w Europie wypełniona zostanie przez coś jeszcze mroczniejszego niż socjalistyczny rząd?

Koenig zastanawiał się, czy Konstantin ma w tej materii jakieś pomysły.

– W porządku, Marcus – powiedział Koenig. – Daj mi znać, jeśli się coś jeszcze pojawi.

– Tak, panie prezydencie.

– Co się stało, Alex? – spytała Johnston.

– Nie jestem pewien – odpowiedział, mocniej ją obejmując. Zadrzał pod wpływem strasznego przeczucia. – Z całą pewnością nowy świat. Ale jeszcze nie wiem, jaki to będzie świat.

Epilog

Świadomość czuła życie – Umysł – w tej nowej rzeczywistości. W końcu to Umysł powołał ten wszechświat do życia, Umysł, który zorganizował wszystkie prawa, fizykę, a życie teraz to wszystko wypełniało.

A na pewnym poziomie Umysł zawsze odwoływał się do Umysłu.

Wiedział o cybernetycznej świadomości, rozciągającej się na ogromnym obszarze czasowym, a także o innej cybernetycznej świadomości, która była w opozycji do pierwszej.

Podział... Konflikt... Zagłada.

Coś musiało zostać zrobione.

Świadomość poruszyła się.

Problemem, jak zawsze, będzie znalezienie sposobu komunikacji z Umysłami tej rzeczywistości.

[1] O-6 – w systemie amerykańskim stopnie wojskowe często oznaczane są w tzw. pay grade. Pozwala to jednoznacznie określić stopień wojskowy niezależnie od rodzaju sił zbrojnych. O-6 (Officer-6) oznacza szósty kolejny stopień oficerski, czyli pułkownika Wojsk Lądowych, Sił Powietrznych i Marines bądź też kapitana Marynarki (Navy Captain). (przyp. tłum.)

[2] Najwyższy stopień w amerykańskiej Marynarce Wojennej, nadawany tylko na czas wojny. Admirał „pięciogwiazdkowy”. (przyp. tłum.)

[3] John Collins Bossidy, „Boston Toast”, przekład Justyn Łyżwa.

[4] Komodor (ang. commodore) – stopień niewystępujący w polskiej Marynarce Wojennej. W niektórych państwach, np. w Wielkiej Brytanii, Kanadzie, Australii, nadaje się go oficerom nieposiadającym stopnia admirała, ale będącym na stanowisku przewidzianym dla admirałów. (przyp. tłum.)

Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Seria Star Carrier](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Prolog](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Rozdział szesnasty](#)

[Rozdział siedemnasty](#)

[Rozdział osiemnasty](#)

[Rozdział dziewiętnasty](#)

[Rozdział dwudziesty](#)

[Rozdział dwudziesty pierwszy](#)

[Rozdział dwudziesty drugi](#)

[Rozdział dwudziesty trzeci](#)

[Epilog](#)